

Wprowadzenie

Historia wypraw krzyżowych do Ziemi Świętej jest powszechnie znana, w każdym razie nie ma chyba wielu ludzi, którzy by o nich nie słyszeli. Studenci mediewistyki dobrze znają krucjaty przeciwko heretyckim albigensom lub też Maurom w Hiszpanii. Natomiast o krucjatach w północno-wschodniej Europie wiedzą na Zachodzie tylko nieliczni czytelnicy. W powszechnej świadomości istnieją one jedynie jako tło straszącego do dzisiaj nacjonalistycznego eseju propagandowego, jakim jest film Eisensteina *Aleksander Newski*. Mówi się, że wielki radziecki reżyser wybrał ten temat dlatego, że tak mało o nim wiedziano, a jego fikcyjna wizja nie musiała się mierzyć z faktami historycznymi.

Niniejsza książka jest próbą opisu zmagania, jakie przez czterysta lat, od XII do XVI wieku, toczono wokół Bałtyku w imię idei chrześcijaństwa, oraz wyjaśnienia roli, jaką te wojny odegrały w zachodzących podówczas przemianach społeczeństw Północy. Na więcej po prostu nie ma miejsca. Odniesienia do ogólnej historii regionu bałtyckiego pojawiają się tu tylko wtedy, gdy dotyczą bezpośrednio krucjat. Wiadomości o rozkwicie i upadku królestw skandynawskich, księstwach wschodnioeuropejskich, Hanzie, handlu rybnym, germańskiej kolonizacji Wschodu, rozwoju miast, dziejach Kościoła lub żeglugi czytelnik musi poszukać gdzie indziej.

Punktem wyjścia jest schyłek epoki wikingów, kiedy władcy skandynawscy zostali odcięci od daw-

nych zdobywcy zamorskich i zaczęli napotykać rosnącą konkurencję ze strony wchodzących w fazę intensywnego rozwoju Słowian. Po przyjrzeniu się kondycji europejskiej Północy na koniec XI wieku narracja zaczyna krążyć po tym świecie, koncentrując się na obszarach i okresach najściślej związanych z wyprawami krzyżowymi: poczynając od południowo–zachodniego Bałtyku w 1147 roku, kiedy papież po raz pierwszy ogłosił świętą wojnę z poganami Północy, a kończąc na pograniczu ruskim około 1505 roku, kiedy z Rzymu wyszła ostatnia w historii bulla wzywająca do wyprawy krzyżowej. Przez te niespełna cztery stulecia ziemie podbite przez krzyżowców zmieniły się niemal nie do poznania - w aspekcie demograficznym, językowym, kulturowym, gospodarczym i politycznym. Popełniłbym nieściskość, gdybym się ograniczył do stwierdzenia, że zostały one ucywilizowane, czy choćby tylko schryistianizowane, ale te dwa zwroty wyrażają istotną część zachodzącego podówczas procesu: napływ zasadniczych składników kultury średniowiecznej z jej źródeł we Francji, Italii i Nadrenii, oraz rozwój handlu i skuteczniejsze wykorzystywanie zasobów naturalnych dzięki nabywaniu nowej wiedzy i umiejętności. Pełne przedstawienie tego zagadnienia wymagałoby książki zupełnie innego rodzaju; skupiając się nawet na tak ograniczonym polu tematycznym jak wyprawy krzyżowe, nie byłam w stanie powiedzieć wszystkiego, co powinno zostać powiedziane. Za te luki przepraszam czytelników i mam nadzieję, że nawet w najbardziej

zawile napisanych akapitach dostrzeże on spójny zamysł autorski.

Opowiadając tę historię, musiałem żonglować co najmniej trzema piłeczkami: opisami wypraw, przeglądem rozwoju ideologicznego i zarysem historii politycznej. Krucjaty na przykład można zrozumieć tylko w świetle ruchu cysterskiego, wzrostu znaczenia Stolicy Apostolskiej, zakonnych inicjatyw misyjnych, koncyliaryzmu, naporu hord mongolskich oraz rozkwitu księstw litewskiego i moskiewskiego w XV wieku. Uporać się z pobieżnym choćby omówieniem tych obszernych tematów i powiązaniem ich z daleką europejską Północą nie było zadaniem łatwym; czytelnik angielski zaś mógłby w tym miejscu zadać pytanie, czy trud był wart zachodu.

Z kilku powodów odpowiem na to twierdząco. Po pierwsze, krucjaty północne były częścią szerszego zjawiska ekspansji Zachodu, a jeżeli już mamy ją badać, to w pełni - w najmniej prawdopodobnych miejscach i w najdziwniejszych jego przejawach. Święte wojny na Bliskim Wschodzie przyniosły spektakularne podboje i trwałe obsesje, ale w ostatecznym rozrachunku okazały się tylko zasmucającym marnotrawstwem czasu, pieniędzy i ludzkiego życia. Po dwóch wiekach walki, kolonizacji, budowania potęgi, pracy misjonarskiej i rozwoju gospodarczego Ziemia Święta była dla chrześcijaństwa stracona. Saraceni zwyciężyli. Dwie wielkie religie wyszły z tej epoki w opozycji nie do odwrócenia, a jeżeli dochodziło do przenikania się związanych z nimi kultur, to nie dlatego, że chrześcija-

nie próbowali podbić Palestynę; istniały inne, bardziej trwałe i mniej zapalne punkty ich zetknięcia.

Krucjaty północne nie miały równie widowiskowego charakteru, znacznie mniej też kosztowały, ale zmiany przez niespowodowane przetrwały znacznie dłużej i do dzisiaj nie wszystkie zniknęły. Południowo-zachodnie wybrzeże Bałtyku aż po ujście Odry wciąż należy do Niemiec, a mieszkańcy dawnych Inflant jeszcze siedemdziesiąt lat temu pamiętali o swoim germańskim pochodzeniu, dopóki nie dostali się pod wpływ nowego imperialnego żywiołu. Zachodnie formy chrześcijaństwa są żywe w całym regionie, Finowie trwają w przywiązaniu do zachodnich instytucji i tolerancyjnie odnoszą się do szwedzkiej mniejszości, a i odrodzone republiki Estonii, Łotwy i Litwy także zwracają się ku Zachodowi, szukając tam zrozumienia i wsparcia. Te kraje wschodniego Bałtyku od siedmiuset lat były społecznościami kolonialnymi i poniosły przez wieki znamię pozostawione przez średniowiecznych zdobywców, którego nie zdołała zatrzeć żadna inna potęga próbująca je zaanektować lub odmienić. Jeżeli o którychkolwiek krucjatach można powiedzieć, że okazały się skuteczne, to właśnie o północnych i rekonkwiescie.

Po drugie, krucjaty północne były ogniwem łączącym region bałtycki z zachodnią Europą i pomogły wciągnąć go do kręgu wspólnej cywilizacji łacińskiej - ogniwem kutym z mocnego żeliwa, którego pominąć nie sposób. Na wrogich i kulturowo obcych terytoriach powstały nowe wspólnoty chrześcijańskie. Jak nimi zarządzać, jak je rozwijać i ich bronić - z tymi problema-

mi trzeba było sobie radzić na wszystkich granicach Europy, nie tylko w średniowieczu, lecz i później, a oddziaływanie owych wspólnot okazało się szersze niż tylko lokalne. Fundamentalne instytucje średniowiecza - kościoły, zamki, miasta, prawo feudalne i kościelne, cechy rzemieślnicze i gildie kupieckie, parlamentaryzm - zostały zaszczepione w świecie dzikim, zimnym i nieprzyjaznym, zmuszonym jednak do adaptacji i rozwoju, bo alternatywą mogła być tylko zagłada. To nie była ziemia obiecana, połyskująca złotem pokus jak Półwysep Iberyjski czy Palestyna; zwycięstwa, zyski i żniwa dusz przychodziło tam mozolnie wypracowywać, w walce z wyjątkowo uciążliwymi przeszkodami. Nauka o działaniu tych instytucji na ich ojczystych terytoriach lub w cieplarnianych koloniach jest wysoce rozwinięta i ma licznych entuzjastów; przynajmniej tyle samo można się jednak o nich dowiedzieć, przyglądając się, jak sobie radziły w warunkach skrajnie niekorzystnych, z dala od mocno okrzepniętego centrum. Historia krucjat północnych może dać nam wgląd w tę dziedzinę i uczynić ogólny obraz kultury średniowiecza bardziej wyrazistym.

Po trzecie wreszcie, historia ta bardziej dotyczy Anglii niż wielu innych krajów Europy. Mimo podboju normńskiego i zaangażowania królów angielskich we Francji, Albion nigdy nie był odcięty od świata bałtyckiego, a po 1300 roku te związki coraz bardziej się umacniały dzięki handlowi, sojuszom politycznym i ruchowi krzyżowemu. W latach trzydziestych XIII wieku Henryk III udzielił specjalnych przywilejów stowarzy-

szeniu bałtyckich kupców z siedzibą na Gotlandii i płacił pensję Krzyżakom, którzy rozpoczęli podbój Prus. W tym samym czasie angielski biskup przewodził Szwedom w aneksji i nawracaniu ludów środkowej Finlandii. W latach 1329–1408 kilkuset Anglików służyło pod sztandarami krzyżackimi w krucjacie przeciwko Litwie; jeden z nich, Henryk Bolingbroke, w 1399 roku zostawszy królem Anglii, przyjął imię Henryka IV. Spory i traktaty między władcami angielskimi a Hanżą, Krzyżakami i królami skandynawskimi przewijały się przez cały XV wiek. Począwszy od lat czterdziestych XIV wieku, angielski kupiec tekstylny, wabiony wysoką podażą smoły, wosku, futer, zboża, drewna i doskonałych łuków, był jedną z ważnych postaci na scenie bałtyckiego handlu. Wszystko, co się działo w tym dalekim świecie, miało dla Anglii duże znaczenie, szczególnie zaś w kontekście wypraw krzyżowych.

Z tych właśnie przyczyn ta historia zasługuje na ponowne opowiedzenie. Przez ostatnie półtora wieku mało który temat był równie intensywnie drażniony przez historyków kontynentalnych, przede wszystkim niemieckich - i rzadko który pozostaje bardziej niedostępny dla czytelnika angielskiego bez znajomości języka oryginału. To, co w tej książce prezentuję, jest tylko niewielkim gołoborzem na górze niemiecko – skandynawskiego *Ostforschung*, z dodatkiem kilku kamyczków z Rosji, Polski, Finlandii i wyzwolonych republik bałtyckich. Uprzedzam jednak, że niewiele uwagi poświęciłem nastawieniu i ogólnym wnioskom autorów wyko-

rzystywanych przez mnie materiałów. Może to przesłonić fakt, że opisywanym kwestiom daleko do historycznej martwoty i że zajadłe spory wciąż są dominującą cechą w dziedzinie historii średniowiecza nad Bałtykiem.

Tak było od dawna, ponieważ największe XIX-wieczne potęgi regionu miały w zwyczaju usprawiedliwiać bieżącą politykę przez pisanie historii od nowa i po swojemu, identyfikując się albo z krzyżowcami, albo z ich przeciwnikami. Wysiłkom naukowym Johannes Voigta i dziennikarskim Heinricha von Treitschkego można w dużej mierze przypisać postrzeganie Zakonu Krzyżackiego jako prekursora pruskiej monarchii, II Rzeszy i całej germańskiej *Kultur*. „Szczególnie dla nas ekscytująca”, deklarował Treitschke, „jest owa głęboko zakorzeniona doktryna państwa jako najwyższej wartości, jaką Zakon Teutoński [Krzyżacy] głosił chyba mocniej i wyraźniej niż którykolwiek z głosów niemieckiej przeszłości (...) To magia ziemi przesyconej najszlachetniejszą niemiecką krwią”. Wrogowie niemieckiego imperializmu z kolei odsądzali Krzyżaków od czci i wiary, sławiąc władców Nowogrodu i Polski jako obrońców ludu słowiańskiego - jak na przykład czynił to wielki polski historyk Joachim Lelewel, pisząc, że „(...) stworzone [przez Krzyżaków] państwo zakonne było zniewagą dla człowieczeństwa i moralności”. Kiedy narodziły się ruchy nacjonalistyczne krajów bałtyckich, brzmienie polemicznego chóru przybrało na sile; wszystko, co się działo w odległej przeszłości Litwy, Łotwy i Estonii, albo piętnowa-

no jako zbrodnię przeciwko ludzkości, albo gloryfikowano jako „doniosłe i owocne wydarzenie”. Oczywiście nie wszyscy historycy wpadali w te koleiny - ale podobne poglądy tak harmonijnie współgrały z duchem czasów, że trafiały do przekonania milionów. W 1914 roku propaganda niemiecka celowo nazwała rozgromienie armii rosyjskiej przez marszałka Hindenburga w Prusach Wschodnich „bitwą pod Tannenbergiem”, aby przedstawić ją jako akt sprawiedliwości dziejowej, odwet za krzyżacką klęskę z 1410 roku. Siła legendy Zakonu jeszcze nieraz odbijała się złowróżbnym echem: Himmler stworzył SS jako swoistą reinkarnację rycerskiej maszyny militarnej, a kilkanaście lat po upadku III Rzeszy architekt odnowy Niemiec, kanclerz Konrad Adenauer, w symbolicznym geście wystąpił publicznie w białym krzyżackim płaszczu. Z prac wielu radzieckich bałtologów przebija klasyczna XIX-wieczna aura czystego panslawizmu, zaledwie trochę przetkanego marksistowskim materializmem dialektycznym zrodzonym w tej samej epoce i atmosferze. Rzetelne i bezstronne wysiłki współczesnych historyków uczyniły tylko niewielki wyłom w utrwalonych przez tradycję pokoleń wersjach historii regionu bałtyckiego.

Jest to zrozumiałe. Południowe i wschodnie wybrzeża Bałtyku doświadczyły w XX wieku ogromnych cierpień. Mroczne siły nowożytnego świata - nazizm, komunizm, wojna totalna - przynajmniej raz za żywej ludzkiej pamięci biły w każde miasto od Kilonii po koło podbiegunowe, miażdżąc zarówno swe sługi, jak

i ich ofiary z tępą destruktywnością, przy której wojny średniowiecza wydają się malowniczą przygodą. W latach 1939–1950 ponad pięć milionów mieszkańców tego regionu zostało uchodźcami lub wygnańcami. Tylko niewielu z nich kiedykolwiek wróciło do domów. Bałtyk stał się dziś politycznym zaściankiem, ale ten spokój okupiony został milionami trwale zapisanych w sercach uraz u tych, którzy musieli gdzie indziej szukać miejsca do życia, i tyluż krzywdami wobec tych, którzy pozostali. W takim klimacie stare rany się nie goją, stare spory nie odchodzą w niepamięć, nawet wśród historyków. Czas zimnej wojny mamy już od wielu lat za sobą, ale interpretacje konfliktów między chrześcijaństwem i pogaństwem, katolicyzmem i prawosławiem, między Niemcami, Bałtami i Słowianami wciąż budzą silne namiętności.

Praca będąca podstawą pierwszego wydania tej książki powstała w pośpiechu ponad dwadzieścia lat temu i miałem czas wyrazić żal za grzechy licznych błędów i nieporozumień, jakie się w niej znalazły. Rozkwit studiów nad bałtyckim i północnym średniowieczem, jaki się od tamtej pory dokonał, wymusza nie tylko korektę pomyłek, ale i rewizję niemal wszystkich wysnutych z ówczesnego materiału dowodowego wniosków. Już samo znaczenie pojęcia „krucjaty”, jakie funkcjonowało w latach siedemdziesiątych, zostało w dużym stopniu zdyskredytowane, a białe plamy w historii Litwy i północnej Rusi coraz bardziej się wypełniają. Ten stan rzeczy znajduje odbicie między innymi w rozszerzonym spisie lektur uzupełniających, choć

pozycji opublikowanych w języku angielskim i francuskim wciąż jest bardzo niewiele.

Europa Północno–Wschodnia u zarania wypraw krzyżowych

Tu się kończy bezkres wielkiej Niziny Wschodnio-europejskiej. Jej granice wyznacza długie pasmo płaskowyżów i gór, ciągnące się łukiem od Finlandii na Półwysep Skandynawski oraz wybrzeże Bałtyku. Właśnie to niemal zamknięte wśród lądów morze i kilka wielkich rzek, łączących je z bardziej umiarkowanym klimatem Południa, nadają leżącemu nad nim regionowi ów szczególny charakter.

Ląd i morze

Bałtyk nie zawsze był morzem. W mule zalegającym na jego dnie można znaleźć muszle niewielkiego ślimaka *ancylus fluviatilis*, przytulika strumieniowego, żyjącego wyłącznie w wodach słodkich. Ponad osiem tysięcy lat temu było tam jezioro utworzone przez wody spływające z gór Skandynawii i środkowej Europy, zwane przez geologów Jeziorem Ancylusowym. Wokół niego rozpościerała się bagnista równina, ciągnąca się od Atlantyku po Ural - dopóki ocean nie zatopił jej zachodniego skraju, tworząc Morze Północne. Jezioro Ancylusowe było połączone z tym nowym akwenem dwoma kanałami. Jeden, dziś zamknięty, przetrwał w szczątkowej formie jako wielkie jeziora środkowej Szwecji, drugi to Cieśniny Duńskie: Wielki i Mały Bełt, Sund i Kattegat. Słona woda z Morza Północnego zaczęła przenikać do jeziora i tak zamieniło się ono

w morze, od czasów średniowiecznych zwane Bałtykiem. Zasolenie nigdy jednak nie osiągnęło tu poziomu oceanicznego; nie pozwala na to znaczna ilość słodkiej wody, jaka napływa korytami licznych rzek. Do Bałtyku wpadają cztery wielkie ciekі kontynentalne: Odra i Wisła niosące wody z Sudetów i Karpat oraz Niemen i Dźwina z Niziny Wschodnioeuropejskiej. Na północy, gdzie morze rozdziela się na Zatokę Botnicką i Fińską, z wyżyn i gór Fennoskandii także wpada sporo pomniejszych rzek - mamy więc w rezultacie lekko słonawe morze, niemal zamknięte między lądami, bez dostrzegalnych pływów, wciskające się szerokimi odnogami między krainy o tak surowym klimacie, że w najostrzejsze zimy lód skuwał prawie całą jego powierzchnię. To jego istnieniu region zawdzięcza kilka cech, które nie tylko miały wpływ na kierunek rozwoju lokalnych kultur, ale do pewnego stopnia go wręcz wyznaczały.

Po pierwsze, połączenie z oceanem złagodziło klimat regionu na tyle, by możliwe stało się tam prowadzenie życia, jakie nazywamy cywilizowanym. Jeśli ktoś chciałby okrążyć glob wzdłuż przecinającego Bałtyk równoleżnika 60°N, musiałby przemierzyć Syberię, Kamczatkę, Alaskę, rejon Zatoki Hudsona - straszliwe krainy, gdzie aż do XIX wieku niemożliwe było tworzenie się kultur w rozumieniu europejskim (czytaj: śródziemnomorskim). Smutny los kolonii wikingów na Grenlandii jest tego dobitnym przykładem. Tymczasem na tych samych szerokościach geograficznych na wschód od Kattegatu i Gór Skandynawskich żyły ludy,

które już w IX wieku zaliczały się do rodziny europejskiej. Zamieszkane przez nie ziemie cieszyły się przyjaznym klimatem (choć bardzo surowym według norm italskich czy greckich). Dzięki morzu ludzie ci mogli uprawiać rolę, hodować bydło i osiedlać się nawet pod samym kołem podbiegunowym.

Krainy te graniczyły też jednak z obszarami o ekstremalnie zimnym klimacie, gdzie zwierzęta musiały mieć gęste futro, a bezkresne areale gruntu były bezużyteczne dla rolnictwa. Mogli tam żyć tylko nomadowie; kiedy na Północ zaczęły napływać ludy rolnicze, musiały się uczyć sztuki przetrwania od społeczności łowiecko-zbierackich, które były tam przed nimi. W porze letniej Bałtyk zapewniał łatwy dostęp do tych terenów, ale przybysze mogli docierać tylko do pewnych granic, na których albo trzeba się było zatrzymać, albo zmienić styl życia. Granicę wytyczał właśnie klimat. W średniowieczu przebiegała ona wzdłuż wybrzeża Zatoki Botnickiej, nie dalej niż sto kilkadziesiąt kilometrów w głąb fińskiego i szwedzkiego lądu. Na zachodzie grzbietem gór północnej Norwegii sięgała Morza Arktycznego, na wschodzie skręcała ku południu do jeziora Ładoga i dalej na przełaj przez Nizinę Wschodnioeuropejską. Po jednej stronie tej linii podstawą ludzkiego bytu były pola uprawne i łąki; po drugiej, zwanej przez Skandynawów Finnmarkiem, zależał on od sprawności myśliwego i pasterza. Wszystko było tam inne: nie istniały stałe osady, nie zbierano plonów, nie znano koła, nie było zinstytucjonalizowanej władzy i religii. Ludzie wędrowali ze swoimi reniferami przez

ziemie, które aż do czasów nowożytnych nie mieściły się w geografii politycznej. W większości byli to Lapończycy, do których zimą dołączały grupy handlarzy i łowców z ziem dzisiejszej Szwecji, Norwegii i Finlandii, chętnie skupujących - lub rabujących - futra, pierze i lapońskie dzieci. W sagach wikińskich często przewija się wątek wypraw w subarktyczną tundrę, handlu i bitew z koczownikami Północy, sami wikingowie nigdy się jednak w Finnmarku nie zadomowili, a jego mieszkańców uważali za czarowników, zdolnych panować nad pogodą, przybierać dowolną postać i wskrzeszać zmarłych. Średniowieczni kronikarze z krain położonych dalej na południe (jak Adam z Bremy w latach siedemdziesiątych XI wieku) zaludniali daleką Północ przedziwnymi istotami: amazonkami zachodzącymi w ciążę od picia wody i rodzącymi chłopców o psich głowach, których sprzedawały na ruskich targach niewolników; białogłowymi dzikusami hodującymi potwory; zielonymi ludźmi dożywającymi stu lat; czy plemionami kanibali. Pierwszy dostępny wykształconym Europejczykom wiarygodny opis Lapończyków pojawił się dopiero w 1555 roku, kiedy Szwed Olaus Magnus wydał swe dzieło *Historia de gentibus septentrionalibus* („Historia ludów północnych”).

Granica klimatyczna była zarazem barierą w porozumieniu, ponieważ żyjące po jej wschodniej stronie plemiona wypracowały ułatwiający przetrwanie system zupełnie obcy tym z zachodu. Niewielkie klany, liczące od stu do stu pięćdziesięciu dusz, obejmowały w posia-

danie „dworzyszczka” (*sit*), na które składały się szlak łączący ich letnie i zimowe obozowiska oraz wszystkie przynależne do niego zasoby. Zasady regulujące hodowlę renów, zakładanie wnyków, połów ryb, a nawet ojcostwo ustalały rady złożone z głów rodzin (*naraz*). Na spotkaniach starszyny z sąsiadujących ze sobą grup wyznaczano granice między *sit*. Niektóre łowiska i tereny łowieckie dzieliło wspólnie kilka grup, co sprzyjało tworzeniu się szerszych więzi, nie była to jednak żadna spójna organizacja. Przybysze często mówili o lapońskich królach, twierdzach i armiach, ale te pojęcia były stosowane błędnie - po prostu tamtejsze stosunki okazywały się zbyt trudne do wyjaśnienia.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że bliskość tego obcego świata miała silny wpływ na zasiedlające pograniczne osiadłe społeczności. Finnmark był dla nich źródłem nieustannego zagrożenia, ale i zysku, czerpanego z handlu oraz z bezpośredniej eksploatacji tamtejszego głównego bogactwa: zwierzyny i ryb, do czego niezbędnych umiejętności ludzie z zachodu nabywali od wschodnich nomadów. Zagrożeniem był sam klimat - mroźne zimy prowadziły do nieurodzaju i głodu - oraz drapieżniki rabujące trzodę. W kronikach położonego zbyt blisko tych dzikich terenów Nowogrodu można przeczytać, jak często owo na ogół nieźle prosperujące miasto rzucały na kolana klęski głodu. Tak było na przykład w 1128 roku, kiedy mróz zniszczył zboże ozime:

Rok ów był nadzwyczaj okrutny. Za trzy pudy żyta żądano pół funta srebra; ludzie jedli liście, brzozową korę, tłuczoną pulpę drzewną zmieszaną z plewami i trawą, a bywało że i mech, jaskry i końskie mięso. Wielu padało z głodu i trupy leżały wszędzie: na ulicach, rynkach i traktach, a najmici wynosili je za mury. Nędza i cierpienia spadły na wszystkich. Rodzice oddawali dzieci w darze przejezdnym kupcom albo je zabijali. Wielu ruszało szukać ratunku na obczyźnie.

Nie lepiej było w 1230 roku, kiedy śmiercią głodową zmarło podobno dwie trzecie populacji, która nie mogła liczyć więcej niż pięć tysięcy dusz. Kronikarz odnotował, że dochodziło do aktów kanibalizmu:

Niektórzy z gminu mordowali się wzajem i zjadali; inni spożywali zwłoki. Polowano też na psy i koty, zabijano konie. Kogo jednak by przychwycono na podobnych czynach, kary czekały nań srogie: jednych palono na stosie, innych żywcem ćwiartowano lub wieszano. Ludzie próbowali jeść liście, korę, ślimaki i co komu przyszło do głowy. Nie było między nami zgody i miłości, jeno nędza i nieszczęście, wrogość na ulicach i rozpacz w domach, gdy rodzice patrzyli na śmierć płaczącego o chleb potomstwa. Za bochen płaciliśmy po ćwierć funta srebra, tyleż samo za ćwierć baryłki żyta.

W latach 1413–1414 rycerz burgundzki Gilbert de Lannoy, który zawędrował w te strony, stwierdził, że „zimą nijaka żywność nie dociera do Nowogrodu Wielkiego: ani ryby, ani mięso czy dziczyzna, wszyst-

ko bowiem jest tam wtedy martwe i zamrożone”. Bałtycki klimat umożliwiał osadnictwo i uprawę, ale było to balansowanie na krawędzi zagłady. Z drugiej strony był to region znany i potrzebny reszcie Europy - i znów za sprawą morza. Wpadające do Bałtyku wielkie rzeki zapewniały stosunkowo łatwe połączenie dalekiej Północy z ogromnym obszarem ich dorzeczy na południu i wschodzie. Odra była taką drogą dla polskich księstw Śląska i czeskich Moraw, a zwłaszcza dla Marchii Brandenburskiej i Miśnieńskiej oraz Łużyc; możnowładcom saskim ułatwiała ekspansję i zawieranie przymierzy. Margrabia brandenburski już w 1147 roku próbował zagarnąć Szczecin i wielokrotnie pustoszył jego okolice. Książę saski Henryk Lew założył kolonię w Lubece w 1158 roku i dwójkę swoich dzieci pozenił z potomstwem króla duńskiego; także margrabia miśnieński w 1152 roku wszedł w alians z Duńczykami, wydając córkę za innego monarchę. Biskup morawski udał się z misją między Słowian bałtyckich w 1147 roku, a książęta śląscy przez dwa kolejne stulecia regularnie brali udział w wyprawach krzyżowych. Odra była też oczywiście ważną arterią handlową i im dłuższy jej odcinek dany władca kontrolował, tym się stawał bogatszy, a im intensywniejszą prowadził rywalizację w jej dorzeczu, tym bardziej się interesował ludami żyjącymi u ujścia i dalej, za morzem.

Wisła miała podobne znaczenie dla panujących na ziemiach polskich. Bolesław Chrobry już na przełomie X i XI wieku próbował zająć jej deltę i ten zamysł pozostawał głównym punktem polityki jego co aktywniej-

szych następców, mimo że ich ośrodek władzy, Kraków, leżał daleko na południu, o kilkaset kilometrów w górę rzeki, u podnóża Karpat. Wisła i jej dopływy otwierały jednak drogę w głąb Polski i nad Bałtyk także z ruskiego księstwa halicko–wołyńskiego i południowo–wschodnich stepów; w 1241 roku na tereny Prus dotarła nią nawet tatarska orda z Mongolii.

Podobnie było nad Niemnem, z którego nurtem kierowało się na północ zainteresowanie Litwinów i Rusinów z Mińska; Dźwinę wykorzystywali Połocczanie, a szlak wodny wiodący rzekami Łować i Wołchow do jeziora Ładoga i Newy łączył z Bałtykiem rozpościerającą się aż po Ural strefę wpływów Nowogrodu Wielkiego. Szczególne znaczenie komunikacji rzecznej na ziemiach ruskich polegało na tym, że połączenia lądowe między dopływami rozszerzały demograficzne i gospodarcze „pole grawitacyjne” Bałtyku na niezmiernie odległości: przez system Dźwiny na północ do Morza Arktycznego, osią Dniepru do Morza Czarnego, a Wołgą aż do Kaspijskiego. Całą tą siecią bałtyckie dobra płynęły na wschód, wymieniane na towary niedostępne w Inflantach czy Skandynawii - dlatego i władcy, i kupcy byli zainteresowani sytuacją u ujścia tych rzek. W XII wieku książę połocki przez małżeństwo wszedł w sojusz z królem duńskim; książę smoleński zawarł w 1229 roku porozumienie handlowe z gildiami Rygi i Gotlandii, a w miarę jak rosła potęga zamkniętej w interiorze Moskwy, kolejnych jej monarchów nieodparcie pociągały wybrzeża Zatoki Fińskiej i Ryskiej. W 1555 roku „moskiewski ruski” był według

Olaus Magnusa jednym z pięciu wiodących języków regionu subarktycznego - konkurując z niemiecką.

Dorzecza wielkich rzek bałtyckich były spenetrowane przez cesarstwa rzymskie i bizantyjskie znacznie wcześniej niż samo wybrzeże, wskutek czego różnice między społecznościami żyjącymi w ich górnym i dolnym biegu nigdy nie były wyraźniejsze niż w średniowieczu. Ta odmienność odbijała się w charakterze wzajemnych kontaktów. Oprócz trwającej od czasów neolitu zwykłej wymiany towarowej, migracji osadniczej i okazjonalnych napaści dochodziło do prób wyzysku, nawracania, podbojów, a nawet asymilacji. Wszystko to jednak było możliwe tylko dzięki istnieniu tych wielkich płynących dróg.

I tak dochodzimy do trzeciego związanego z morzem elementu bałtyckiej kultury. Wymieszane w dużym basenie wody słodkie i słone tworzą doskonałe środowisko dla ryb - i dla rybaków. Każdej wiosny Bałtyk zamienia się w kuszącą planktonową zupę. Przydennym prądem napływa tam woda ze środkowej części Morza Północnego, przynosząc w maju ławice makreli, którym do dzisiaj towarzyszą foki, większe ryby, a czasem znajdzie się nawet wieloryb; w średniowieczu tych morskich zwierząt było znacznie więcej. Na nieco mniejszej głębokości przenika do Bałtyku woda spod płaskich wybrzeży Holandii i Niemiec, a z nią śledzie - do XV wieku ich ławice przybywały na Bałtyk w kwietniu i maju na tarło i pozostawały tam do listopada. Wierzchnia, mniej słona warstwa przyciągała łososie i węgorze, a na dodatek wszystkie rzeki i nad-

brzeżne jeziora obfitowały w najróżniejsze ryby słodkowodne. Olaus Magnus w swym dziele całą księgę poświęcił właśnie rybom, a drugą rybim potworom. Przez całe średniowiecze rybołówstwo i przetwórstwo rybne oraz związany z nimi handel i konsumpcja odgrywały istotną, coraz ważniejszą rolę w życiu ludów Północy, w dużym stopniu wpływając na ich gospodarkę i politykę.

Według jednej z legend *Knyttlingasaga* („Sagi Kanutowego rodu”, rozdział 28.) surowy duński król Kanut IV poskromił do 1086 roku swych buntowniczych poddanych ze Skanii, grożąc im odebraniem prawa do połowu w cieśninach. Ulegli, nie mogliby bowiem żyć bez śledzi. Historia ta nie straciła na wiarygodności jeszcze około 1250 roku, kiedy ta saga została spisana. Badania archeologiczne wskazują jednak na stosunkowo niską konsumpcję ryb w nadbałtyckich osadach z epoki wikingów (w przeciwieństwie do tych w Norwegii). Wybrzeża Bałtyku były wówczas zresztą słabo zasiedlone, a choć wśród artefaktów znajduje się sporo rybackich haków i węćierzy, brakuje oznak egzystencji „społeczności rybackich”. Zmiana w tej dziedzinie zaszła w XII wieku i później: liczne odcinki zachodnich brzegów każdego lata przeobrażały się w tętniące życiem obozowiska zwane *fiskelejer*, w których rybacy, kupcy i słudzy królewscy spotykali się na targach rybnych. A było czym handlować: wiosną na przykład przez Sund migrowały na południe tak wielkie ławice śledzi, że czasem można je było po prostu nabierać z wody wiadrem. Najsławniejsze obozowiska były usy-

tuowane na południowo–zachodnim krańcu Skanii, pod Skanör i Falsterbo, które w okresie od XIII do XV wieku przerodziły się w niemal autonomiczną wspólnotę, rządzącą się własnym prawem i obyczajem, przyciągającą klientelę z całej Europy. Królowie i biskupi duńscy zadowalali się udziałem w jej zyskach, pozwalając rybakom i kupcom swobodnie prowadzić interesy.

Niektóre metody połowu zmieniły wygląd rzecznych ujść i przybrzeżnych płycizn. U wybrzeży Skandynawii spotykało się „zagrody węgorzy” - rzędy osadzonych na palach platform, z których rybacy mogli zakładać i sprawdzać zastawione pułapki - oraz grodzie śledziowe: wytyczone liniami palików wieloboki, które można było zamykać sieciami lub plecionkami z wikliny (tego rodzaju konstrukcja zachowała się do dzisiaj w Kappeln). Nurt w ujściach wielkich rzek Słowiańszczyzny przegradzały tak liczne sieciowe barykady i jazy, że utrudniało to działanie duńskim flotyllom, które w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XII wieku często napadały na tamtejsze ziemie. W rzekach Szwecji i Danii budowano lejkowate pułapki na łososie (*laxakar*).

Organizacja i rozwój rybołówstwa i przetwórstwa rybnego, a zwłaszcza rywalizacja o prawa eksploatacji łowisk i lokalnej siły roboczej były kwestią jak najbardziej polityczną - i nie mogło się tu obejść bez ingerencji książąt i wielmożów. Już w XII wieku obok bardziej znanych form zwierzchnictwa feudalnego istniała *piscatura*: prawo do kontroli zasobów wód przybrzeżnych, rzek i jezior, zazdrośnie strzeżonych przed

kłusownikami, chroniące przy tym łowiska przed nadmiernym wyeksploatowaniem - na przykład przez zakaz stosowania niektórych typów sieci. Same ryby były przyjętą walutą danin i opłat dzierżawnych. Mieszkańcy Olandii, wyspy leżącej u południowo-wschodniego wybrzeża Szwecji, uznawali zwierzchnictwo króla z Uppsali, ale jedynym tego widomym znakiem był doroczny dar ze śledzi. W latach siedemdziesiątych XI wieku Absalon, biskup Roskilde, utrzymywał patrole morskie, dzięki którym słowiańscy rybacy z Rugii mogli spokojnie pracować, odwdzięczając mu się za to symboliczną daniną z jednej ryby. Kiedy wojowie polskiego króla Bolesława Krzywoustego dotarli w 1107 roku na wybrzeże pomorskie, o swym zwycięstwie śpiewali:

*Naszym ojcom wystarczały ryby słone i cuchnące,
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające.*

Wdrażanie nowych metod połowu i przetwarzania, a także wahania popytu na rynkach międzynarodowych były dla ludzi Północy - Lapończyków, Finów, Bałtów, a później także Niemców, Skandynawów i Słowian - sprawą życia i śmierci.

Ostatnim wartym podkreślenia punktem tego przeglądu cech szczególnych europejskiej Północy jest problem transportu i łączności - znów w znacznej mierze uzależnionych od dróg wodnych i łodzi.

Już wówczas można było się poruszać po tym regionie lądem, ale ze względu na nieliczne, kiepskiej jakości szlaki takie podróże były przedsięwzięciami cza-

sochłonnyymi i uciążliwymi, a ponadto rozległe obszary pozostawały dla wędrowca niedostępne. W latach siedemdziesiątych XI wieku Adam z Bremy obliczał, że na pokonanie mającego trzysta kilkadziesiąt kilometrów traktu z Hamburga do Wolina trzeba przeznaczyć bity tydzień. Droga morsko-rzeczna z Oldenburga do Nowogrodu była aż pięciokrotnie dłuższa, jednakże można ją było przebyć w czasie zaledwie dwóch tygodni. Gdyby ktoś wybrał się z Danii do Sigtuny we wschodniej Szwecji lądem, musiałby się liczyć z czterotygodniową podróżą; statkiem dotarłby na miejsce w pięć dni. Zimą ta różnica mogła być większa lub mniejsza, zależnie od grubości pokrywy śnieżnej - można wtedy było korzystać ze skrótów przez zamrożone rzeki i jeziora; o tej porze roku mało kto jednak podejmował takie wyprawy, jeśli nie zmuszała go do tego potrzeba lub żądza zysku z polowania bądź grabieży. Czas na podróżę zaczynał się w maju i kończył w październiku - a wtedy droga morska była zdecydowanie dogodniejsza niż lądowa.

Gdy tylko puszczą zimowa lodowa skorupa, Bałtyk stawał się akwenem doskonale żeglownym. Obecnie duńskie cieśniny zamarzają tylko raz na trzy sezony i na nie dłużej niż trzy miesiące. Średni czas zupełnego zalodzenia w portach południowych waha się od trzech dni we Flensburgu do trzech tygodni w Stralsundzie. Ryga i Sankt Petersburg są zamknięte przez prawie sześć miesięcy, porty Estonii i Zatoki Botnickiej około czterech. Potem nadchodzi dobra pogoda, ze wschodnimi wiatrami przeważającymi od kwietnia do czerwca,

zachodnimi od lipca do września. Żeglarz ma wtedy do dyspozycji długi pas wody, nie szerszy niż dwieście mil morskich, wzdłuż którego kurs wyznaczają liczne wyspy i płytkie kotwiczowiska. W średniowieczu sztuka nawigacji sprowadzała się do żeglugi wzdłuż brzegu, znajomości jego punktów charakterystycznych i sondowania dna, a przede wszystkim do umiejętności krótkoterminowego prognozowania pogody na podstawie wyglądu nieba. Kompasów nie używano na Bałtyku aż do XVI wieku, a i wtedy były potrzebne raczej przyby- szom z innych mórz - w ciągu trzystu lat na brzegach wyrosło mnóstwo kościelnych dzwonnicy i monumen- talnych krzyży, widocznych z dziesięciu mil i więcej, a bardziej niebezpieczne przejścia między mieliznami zostały wytyczone wbitymi w dno tykami. Do najwięk- szych zagrożeń należały mgły, nagłe sztormy i ataki pi- ratów, ale dzięki bliskości miejsc schronienia łatwiej było ich unikać - przynajmniej tych naturalnych - niż na kanale La Manche, Morzu Północnym lub Śród- ziemnym.

Pierwszymi bałtyckimi żeglarzami byli prawdopo- dobnie Finowie, którzy na swych poszytych skórami łodziach mocowali brzożowe wiechy do chwytania wiatru. Ludy germańskie rozwijały techniki wiosłowo- żaglowe, aż wreszcie w całej północnej Europie głów- nym środkiem morskiego transportu stały się słynne „długie łodzie wikingów” (*langskips*). Każdy, kto miał władzę nad ludźmi potrafiącymi budować i prowadzić takie jednostki, szybko się bogacił i rósł w siłę; od IX do XI stulecia wodzowie wikińscy stosowali tę zasadę

tam, gdzie o łupy było najłatwiej: na Wyspach Brytyjskich, w zachodniej Europie i na rzecznych szlakach Rusi. Około 1100 roku szans na tego rodzaju zdobycze było już znacznie mniej, ale wciąż w całym regionie bałtyckim istotnym wyznacznikiem potęgi był okręt wojenny, a znaczenie władców zależało wprost proporcjonalnie od wielkości ich flot. Królowie duńscy i szwedzcy próbowali to sobie zapewnić przez nakładanie obowiązku służby wojskowej na co silniejszych poddanych, ale z małym powodzeniem, i musieli apelować o załogi do obsadzania okrętów, szczególnie w działaniach zaczepnych. Od 1170 roku w Danii poszczególne gminy (tak zwane dystrykty okrętowe) zostały zobowiązane do kontrybucji na rzecz utrzymania załóg floty obronnej, której łączna liczebność sięgała ośmiuset sześćdziesięciu jednostek. Do celów ofensywnych król mógł liczyć najwyżej na dwieście pięćdziesiąt okrętów.

Istniało jednakże wiele ich odmian, a każda przynosiła inne korzyści armatorom i załogom, jak również na swój sposób wpływała na organizację społeczną. Jednostki wojenne dzieliły się na co najmniej dwie klasy: duże, sześćdziesięciosłowe i większe drakkary (*skeifir*), doprowadzone do doskonałości przez ludy Norwegii, zbyt głęboko jednak zanurzone, by mogły się nadawać do walki na przybrzeżnych płyciznach i rzekach, oraz mniejsze czterdziestosłowe łodzie zwane snekami (duńskie *snekke*, szwedzkie *snekkja*), w wersji budowanej przez Słowian nieco lżejsze i niższe niż u Skandynawów. Skomplikowane w budowie sneki

wymagały wyszkolonych żeglarzy–wojów, zaopatrzenia na zamorskie wyprawy i fachowej konserwacji, dlatego ich armatorami (działającymi w ramach flot królewskich albo po prostu hersztami pirackimi) bywali z reguły wielcy posiadacze ziemscy, wodzowie drużyn i panowie dużych społeczności. Na ich okrętach było trochę miejsca na niewolników, bydło i łupy, ale niewiele. Do handlu przeznaczony był *byrthing* - innego typu statek, długi, lecz i szeroki na śródokręciu, o dużym zanurzeniu, z niewielką liczbą wiosł lub w ogóle ich pozbawiony, polegający na wietrze jako siłę napędowej. Armatorami takich jednostek były najczęściej spółki dwóch lub więcej udziałowców, wspólnie pokrywających koszty i dzielących ryzyko katastrofy lub piractwa. W XII wieku podobne drobne przedsięwzięcia zaczynały się zrzeszać w gildie, aby tym lepiej się bronić w nieprzyjaznym środowisku. Mieszkańcy Gotlandii, a przynajmniej ci, którzy się wzbogacili na handlu, zarządzili wyspą przez takie właśnie stowarzyszenie, bez ingerencji ze strony króla Szwecji. W połowie stulecia kupcy i wielmoże Zelandii zabezpieczali się przed pirackimi atakami, utrzymując niewielką flotę zaczepną dowodzoną przez korsarza Wedemana. Bezbronność *byrthingów* wymuszała takie działania prewencyjne, dopóki kupcom nie udało się nakłonić książąt do przejęcia odpowiedzialności za ochronę żeglugi.

Oprócz wyżej wymienionych było w użyciu wiele typów mniejszych statków, wykorzystywanych przez rodziny lub grupy sąsiedzkie do całej gamy zajęć: han-

du, rybołówstwa, transportu czy przewozów promowych. Duńskie kilowe skeidy (*skude*) posiadały od czterech do piętnastu wiosł i mogły towarzyszyć większym okrętom jako jednostki zwiadowcze, przewozić oddziały łuczników lub wyprawiać się na samodzielne wypad; płaskodenne pramy słowiańskie, sprawdzające się zwłaszcza na jeziorach i terenach bagiennych, wkrótce stały się popularne wokół całego Bałtyku; małe łodzie kilowe, przewożące lokalne produkty między sąsiednimi osadami; *haapar*, zbudowane do szybkiej żeglugi wpadającymi do Zatoki Botnickiej rzekami, wiązane łykiem, topolowymi gałązkami i jeleńmi ścięgniemi; strugi i uszkuje z rzek ruskich; *bolskip*, *skude* i *kane* uwijające się z towarami wzdłuż Piany i Warnawy na Pomorzu Przednim. Dla każdego mieszkańca morskich wybrzeży i nadrzecznych osad łódź była podstawowym narzędziem, bez którego nie mógłby żyć. Każda zmiana w technice skutniczej czy w równowadze sił na morzu miała doniosłe skutki.

Mówiąc o morskiej potędze, ryzykujemy tu pewne nieporozumienie. Przywykliśmy rozumieć przez to pojęcie siłę i sprawność marynarki wojennej państwa; na średniowiecznej Północy należałoby właściwie zdefiniować je jako zdolność danej jednostki społecznej, od indywidualnych właścicieli przez gildie kupieckie po książąt i królów, do osiągnięcia całej gamy celów dzięki posiadaniu odpowiedniego rodzaju statków lub kontroli nad nimi. Nie zdarzyło się ani razu, aby jakakolwiek flota dużych okrętów zdominowała wszystkie drogi wodne regionu. W najlepszym razie mogły one patro-

lować wybrane akweny, szlaki i porty - jak wtedy, gdy Kanut Wielki i Waldemar Wielki utrzymywali prawo i porządek w Cieśninach Duńskich - ale takie przejawy potęgi morskiej w dzisiejszym rozumieniu były czymś wyjątkowym. Na ogół piraci, straż przybrzeżna, handlarze niewolników, kupcy, rybacy i śródlądowi żeglarze, spławiający towary rzekami, parali się swoimi zawodami w stanie chwiejnej i czujnej koegzystencji, w zależności od potrzeby chwili raz dobijając targu, kiedy indziej przeciwnika. W latach siedemdziesiątych XI wieku król duński zawarł układ z piratami buszującymi w Wielkim Bełcie: oni rabowali, on pobierał od nich swój procent i udawał, że nie widzi, co się dzieje na podległych mu wodach. Nie lepiej było pod koniec XIV wieku: królowa duńska Małgorzata wydała wprawdzie jawną wojnę pirackiej konfraterni z północnego wybrzeża Rzeszy, tak zwanym Braciom Witalijskim (*Vitalienbrüder*), ale duńscy, szwedzcy i niemieccy wielmoże przymykali oko na ich działalność i spokojnie z nimi handlowali. Nie było potęgi, która mogłaby rościć sobie prawa do panowania na morzu, skoro każdy z zainteresowanych potrafił zapanować tylko nad swoim niewielkim, wtłoczonym między sąsiadów odcinkiem wybrzeża czy rzeki.

W taki oto sposób kombinacja umiarkowanego morza z nieprzebytymi puszciami, górami i moczarami interioru, łagodnego lata i ostrej zimy, rolników i nomadów, dała wczesnośredniowiecznemu światu bałtyckiemu i północno-wschodniemu im tylko właściwy charakter, odróżniający je od innych regionów i skła-

niający zamieszkałe tam ludy do pracy, walki, odżywiania się, a nawet myślenia na tę samą modłę. Był to świat do pewnego stopnia oddzielony od reszty Europy naturalnymi barierami, choć nawet na jego najdalszych rubieżach o brutalnie ostrym klimacie istniały przejścia otwarte dla tych, którzy poznali odpowiednie reguły gry. Na południu, wschodzie i zachodzie dostęp był nieco łatwiejszy, ale wciąż utrudniony, zwłaszcza jeżeli ktoś z miejscowych był zainteresowany trzymaniem intruzów na dystans.

Weźmy na przykład nadbrzeżne obszary Niziny Środkowoeuropejskiej, odleglejsze od płynących przez nią wielkich rzek i pocięte mniejszymi rzeczkami wpadającymi bezpośrednio do morza z podmokłych, nienadających się pod uprawę równin: Pojezierza Meklemburskiego, Pomorza Przedniego czy Pojezierza Mazurskiego. Kronikarz Sakso Gramatyk tak opisuje próbę przedarcia się Duńczyków przez „szerokie, utrudniające marsz i nieczyste mokradła” na północ od Demmin w 1171 roku:

Pokrywa je cienka warstwa torfu, porośnięta wprawdzie trawą, ale tak miękka pod stopą, że połykała każdego, kto by na nią wstąpił. Wpadając głęboko w grząski muł, niknęli w obrzydliwej topieli (...) Aby marsz sobie ułatwić i sił nad miarę nie wyczerpać, jazda zbroje zdjęwszy, zsiadła z koni i wiodła je za uździenice. Kiedy wierzchowce grzęzły głębiej, trzeba było je siłą wywlekać, a gdy który z ludzi zapadł się w grzęzawisko, ratował się końskiej grzywy chwytając. Niejeden kontu-

zję odniósł od kopyt, kiedy zwierzę wydobywało się z zapadliska. Przychodziło też w bród pokonywać strugi rozliczne, przez moczary się wijące i trzciną porośnięte. Sam król, zrzuciwszy z siebie wszystko prócz koszuli, choć przez dwóch wojów na ramionach niesiony, ledwo zbrukania mułem uniknął. Zaprawdę, nigdy chyba rycerstwo duńskie takiej nie przeżywało mitręgi jak w onej wyprawie!

Na południe od tych bagien i jałowych płaskowyzów Pomorza Przedniego, od Morza Północnego po Wisłę ciągnie się piaszczysty pas borów sosnowych i wrzosowisk, także upstrzony jeziorami i moczarami, pełen insektów i pijawek, nieprzyjazny dla podróżnych i aż do czasów nowożytnych opierający się zakusom rolników. Misjonarz Otto z Bambergu przecinał go podczas wypraw na wybrzeże w 1124 i 1127 roku. Za pierwszym razem, wędrując z Poznania do Pyrzyc, jego uczeń Herbord narzekał, że:

...droga jest tak trudna do opisania, jak była do przebycia. Żaden śmiertelnik nie mógł bowiem przeдрzeć się przez te puszcze, dopóki całkiem niedawno (...) [polski] książę nie kazał wyrąbać szlaku dla swojej drużyny, dobrze go znakując. Podążaliśmy tedy za owymi markami, ale sześć dni upłynęło, zanim się z lasów wychynęli i na popas stanęli na brzegu rzeki, która granicę Pomorza wyznacza. Zaiste znojny był to marsz, ustawiczną walką z wężami i dzikim zwierzemznaczony, przez teren często podmokły, w którym grzę-

zły nasze wozy, a wszystko przy nieznośnym kłokocie i wrzasku ptactwa po drzewach gniazdującego.

Sześciu dni mozolnej wędrówki trzeba było na pokonanie około stu pięćdziesięciu kilometrów. W 1127 roku dotarcie z Hobolina (Havelbergu) nad odległe o pięćdziesiąt kilka kilometrów jezioro Morzyce (Müritz) zajęło Ottonowi pięć dni. Nic dziwnego, że większość ówczesnych podróźnych wolała się trzymać brzegów rzek lub po prostu płynęła do celu łodziami.

To był kraj słowiański, a jego zachodnia granica była wyraźnie zaznaczona, przynajmniej od IX do połowy XII wieku, przez gęsty macecznik ziemi niczyjej rozciągnięty stukilometrowym pasem między Zatoką Kilońską a Lauenburgiem nad Łabą, zwany *limes Saxoniae*. Mniej nieprzebytych odcinków łatwo było z pobliskich osad bronić przed najeźdźcami, a choć karawany kupieckie i zorganizowane armie mogły się przedostać w głąb kraju, to jednak i dla nich droga nie była bezpieczna - dopóki *limes* pozostawał granicą także polityczną.

Dalej na zachodzie wiódł inny szlak, prowadzący z Saksonii po kraniec Jutlandii nad Limfjordem i nazywany *Haervejen* lub *Ochsenweg* (wolim traktem), którym niejedną raz wdzierali się na Północ agresorzy z południa. Od VIII stulecia przegradzał go jednak wał ziemny, wysunięty na zachód ze Szlezwiku, z którego można było blokować to przejście, ścieśnione na tym odcinku do wąskiego suchego przesmyku. Po krótkim najeździe Henryka Lwa w 1157 roku król duński Wal-

demar zaczął prace przy przedłużaniu i umacnianiu wału solidną konstrukcją murowaną, a pod koniec wieku jego synowie przejęli kontrolę nad prowadzącymi do niego drogami aż po Hamburg i Lubekę.

Zachodnich podejść morskich - Skagerraku, Kattegatu, Bełtów i Sundu - przegrodzić się nie dało, nawet za pomocą zbudowanych za panowania Waldemara fortalicji w Nybörgu, Sprogø i Kopenhadze, ale we wczesnym średniowieczu żywioł Morza Północnego i zdradzieckie piaszczyste ławice wokół północnego wybrzeża Jutlandii wciąż skutecznie odstraszały większość angielskich, francuskich i flamandzkich żeglarzy. Woleli oni przeładowywać towary na kotwiczowisku pod Ribe, na zachodnim brzegu półwyspu, lub w Hollingstedt nad rzeką Eider. Norwegowie poczynali sobie śmieiej i z dawien dawna regularnie zaglądali na Bałtyk niekoniernie w celach handlowych; wiele wikińskich fortun wyrosło z grabieżczych napadów na duńskie wyspy. Władcy Danii za wszelką cenę starali się im zapobiegać - i w XII wieku, jak się wydaje, w pełni im się to udało.

Od wschodu główną przeszkodą dla zmierzających nad Bałtyk były przede wszystkim puszcze pokrywające nieprzebytym matecznikiem dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych od Wisły po Zatokę Fińską. Szwedzcy wikingowie przenikali na te tereny korytami rzek, a ich wpływy sięgały aż po ukraińskie stepy; podporządkowali sobie miejscowe plemiona, zmuszając je do danin lennych, i założyli tam całą sieć kolonii, z których później wyrosły ruskie miasta-państwa. Pod koniec XI wieku Rusowie nie przepuszczali już ze Skan-

dynawii na wschód nikogo poza kupcami i najemnikami, sami zaś zapuszczali się grabieżczymi zagonami nad Bałtyk. Ruscy kupcy odwiedzali Gotlandię, Wolin i Szlezwik, ale mimo całych stuleci takich kontaktów nie nastąpiła żadna większa migracja z ich ziem na zachód.

Sama natura rzucała więc dosłownie i w przenośni kłody pod nogi potencjalnym intruzom. Nie były to przeszkody niepokonane; ich przewyciężenie wymagało jednak wysiłku i dobrej organizacji. Przez sześć stuleci, aż do początków XII wieku, żaden najeźdźca ani kolonizator nie zdołał utrzymać nad Bałtykiem stałego przyczółka. Od czasów rzymskich nieodmiennie więcej ludzi opuszczało europejską Północ, niż tam napływało.

Ludy

Mieszkańców północno-wschodniej Europy z przełomu XI i XII wieku można podzielić na cztery główne grupy językowe: nordycką, słowiańską, bałtycką i ugrofińską. Pierwsze trzy należą do pnia indoeuropejskiego, ostatnia jest zaklasyfikowana do rodziny języków uralskich. Różnice w mowie występujące wewnątrz każdej z tych grup nigdy nie były barierą między poszczególnymi ludami, podobieństwa zaś nie przyczyniły się do ich integracji. Jeżeli dzieliły je kwestie polityczne lub gospodarcze, nie miało to specjalnie wpływu na wspólnotę ich kultur. Wszystkie te grupy miały swoje cechy charakterystyczne dotyczące religii, organizacji społecznej, sposobu ubierania się i odży-

wiania - na tyle odmienne od sąsiadów, że można je przyjąć za odpowiednie kryteria podziału. Czyniąc to, idziemy śladami pierwszego wielkiego geografą Północy, Adama z Bremy, który w latach siedemdziesiątych XI wieku pisał *Gesta Hammaburgensis ecclesiae pontificum* („Historię Kościoła hamburskiego”), większość materiałów zbierając z pierwszej ręki - w tym od króla duńskiego Swena II.

Pierwsza grupa (inaczej zwana skandynawską) składała się ze Szwedów, Gotów (Götar) i Duńczyków, którzy posługiwali się szeregiem języków zazwyczaj wrzucanych do jednego worka jako „wschodnionordyckie”, oraz z Norwegów używających „zachodnionordyckiego”. W tamtych czasach ci ostatni zasiedlali wyłącznie wybrzeża dzisiejszej Norwegii aż po Lofoty, na południu zaś ich ziemie sięgały w głąb Kattegatu aż do okolic dzisiejszego Göteborga. Pojawiali się też w regionie bałtyckim; na północy lądem przedostawali się przez góry do Laponii, od zachodu zaś wpływali przez Cieśniny Duńskie; jednakże większość ich populacji żyła z dala od tego zamkniętego morza, po atlantyckiej stronie grzbietu Gór Skandynawskich, które nazywali Stępką, i bardziej się interesowała Islandią, Grenlandią, Wyspami Brytyjskimi i Owczymi niż północnym wschodem Europy. Wydarzenia następnych trzystu lat miały jednak coraz bardziej odwracać ich uwagę od zachodu i zbliżać do polityki duńskiej, szwedzkiej i niemieckiej, na razie możemy ich jednak zostawić na boku.

Szwedzi i Goci, od wieków połączeni w jedną wspólnotę, byli z kolei zorientowani niemal wyłącznie na wschód; aż do XIII wieku nie zasiedlili zachodniego wybrzeża i jedyny dostęp do Morza Północnego stanowił położony w głębi lądu rzeczny port Gamla Lödöse, podczas gdy nad Bałtykiem ich włości zaczynały się koło Kalmaru i ciągnęły w głąb Zatoki Botnickiej. W interiorze najgęściej zaludnione były okolice dzisiejszego Sztokholmu i jeziora Mälaren (Szwedzi) oraz nad wielkimi jeziorami Wener i Wetter (Goci). Dalej na południe rozciągała się górzysta i lesista Smalandia, skąpo zasiedlona, o niezbyt jasnych afiliacjach politycznych, oraz nadbrzeżna prowincja Blekinge, nad którą od czasów „Starego Kanuta” (jak zazwyczaj nazywano Kanuta Wielkiego) do pewnego stopnia zwierzchność sprawowali królowie duńscy. Jeszcze dalej, w żyznych dolinach wybrzeża Skanii i Hallandii (dzisiejszej południowo–zachodniej Szwecji) zaczynała się domena Duńczyków, których właściwą ojczyzną były wyspy w cieśninach oraz Półwysep Jutlandzki na północ od linii łączącej Zatokę Kilońską z ujściem rzeki Eider.

Większość Szwedów i Duńczyków trudniła się rolnictwem lub hodowlą i żyła w niewielkich osadach. Podstawowym uprawianym zbożem był jęczmień, trafiała się też pszenica, żyto i owies. Typy gospodarki bywały różne, przeważał jednak system podziału zasobów podobny do spotykanego w ówczesnej południowej Anglii: dwu– lub trójpolowa rotacja upraw, wspólne pastwiska, odpowiedzialność za ochronę granic i przestrzeganie miejscowych zwyczajów. Poza tak

zorganizowanymi społecznościami bytowały rodziny „z obrzeży”, żyjące z lasu, morza i bogactw ziemi: rybacy, myśliwi, górnicy, a także ludzie zawodów „miejskich” - rzemieślnicy, kupcy, karczmarze zamieszkujący podgrodzia i porty. To byli, jak byśmy dziś powiedzieli, „ludzie pracy”.

Cudzoziemcy, jak Adam z Bremy, z podziwem opisywali widoczne - przynajmniej w Danii - oznaki dobrobytu: obfitość zbóż, bydła, koni i masła, oraz tężyznę miejscowej ludności (choć raczej nieokrzęsanej i skłonnej do wypitki). Średniowieczni kronikarze na ogół jednak oceniali zamożność społeczeństwa według poziomu i rodzaju konsumpcji jego warstwy rządzącej i ich wnioski należy weryfikować przez odniesienie do innych norm. Archeolodzy badający duńskie osady z tej epoki nie znajdują dowodów dostatniego życia: wieśniacy wegetowali na granicy głodu, w cieniu trzech podstawowych zagrożeń ich czasów: nieurodzajnych lat, chorób i chciwości panów. Mało kto cieszył się pełnią wolności; większość to byli niewolnicy, chłopci pańszczyźniani lub ubodzy najmici.

Wsie wraz z mieszkańcami należały czasem do jednego człowieka, czasem ich zasoby były podzielone na działki, które miały odrębnych właścicieli lub współdziałowców, ale na pewno wyznacznikiem statusu była własność ziemska. We wszystkich żyznych rejonach Danii i Szwecji nad osadami rolniczymi górowały okolone palisadą dwory możnych, którzy zabierali część plonów dla siebie, oraz niewiele się od nich różniące wyglądem kościoły, również ściągające dani-

ny. W niektórych wsiach większość udziałów w gruncie należała do miejscowych wolnych chłopów, którzy do pracy na roli mieli niewolników lub zatrudniali najemnych robotników. W lasach (zwłaszcza szwedzkich) żyło wiele społeczności wolnych chłopów, własnoręcznie uprawiających swą ziemię, ale i noszących miecze; na ogół jednak wolność osobista jednych szła w parze z niewolą innych. Mimo wielkich czasem różnic majątkowych między biednymi i zamożnymi posiadaczami wszyscy byli równi wobec prawa: czy ktoś był właścicielem pięciuset, czy tylko ułamka pojedynczej działki, zaliczał się do *bönder* (wolnych chłopów), stanowiących polityczną tkankę społeczeństwa, warstwę uprzywilejowanych, których przodkowie dorobili się na wojnie, handlu, piractwie lub po prostu dobrze gospodarząc.

Większość duńskich i szwedzkich *bönder* podlegała zwierzchności potężnych dynastii królewskich - rodów, które uosabiały dany lud i sprawowały władzę, oczywiście wyróżniały się także statusem materialnym. Byli to nuworysze przystrajający się w szaty dawnych tradycji sięgających legendarnej przeszłości; Kanut i jego następcy w Danii na przykład naśladowali władców angielskich i niemieckich. Jednakże mimo wielkiego znaczenia władzy centralnej, na co dzień *bönder* zarządzili się sami - przynajmniej w czasie pokoju. Każdym okręgiem (zwanym w Danii *herred*, w Szwecji *härad*) kierowała rada właścicieli ziemskich (*ting* lub *thing*), zbierająca się czasem nawet co tydzień; każda prowincja, grupa okręgów czy wyspa podlegały jurys-

dykcji większych zgromadzeń zwoływanych raz lub dwa razy do roku (*landsting*).

Wolne wiece były wykorzystywane przez królów jako rady polityczne i ośrodki mobilizacji wojennej. Od pomniejszych zgromadzeń oczekiwano, że wysłuchają przedstawiciela monarchy i pod jego komendą podążą na wojnę lub operację pokojową, ale decyzja należała do lokalnej społeczności i wielmożów („czcigodnych”). Na tych instytucjach opierała się społeczna stabilizacja: pokój między klanami, utrzymywanie w ryzach niewolnych, ściganie przestępców, uczciwy handel, kształt granic i obrona przed intruzami. Kiedy umierał król, zbierano się, by zatwierdzić lub odrzucić roszczenia do tronu wysuwane przez potencjalnych następców - choć czasem ich rola sprowadzała się do uznania lub przewidywania wyniku batalii między pretendencjami. Na początku XII wieku ludzie wolni i ich feudalni panowie wciąż rządili Danią i Szwecją bez większej ingerencji władców, a monarchowie, którzy się im narazili, bywali traktowani zgoła nie po królewsku. W 1131 roku syn i dziedzic duńskiego króla Mikołaja został oskarżony o morderstwo i publicznie skazany na infamię przez ting w Ringsted; aby zapobiec rozlewowi krwi, jego ojciec był zmuszony zesłać go do Szwecji. W 1153 roku Swen III został wygwizdany i obrzucony kamieniami podczas zebrania landstingu Skanii. W Szwecji koronowanym głowom bywało jeszcze gorzej: jeżeli miłościwie panujący życzył sobie wziąć udział w zgromadzeniu Gotów, musiał uzyskać oficjalne pozwolenie; kiedy w końcu lat dwudziestych XII wieku król Swe-

nów Ragnwald Okrągłogłowy bez zaproszenia zjawił się na posiedzeniu tingu w Karleby, spotkała go „hanniebna śmierć”. Czasy się już jednak zmieniały, władza monarsza rosła w siłę i znaczenie.

Przed wszystkim królowie byli o wiele bogatsi od wielmożów. W obu krajach do Korony należały nie tylko liczne posiadłości ziemskie, ale i wymierne przywileje: każdy okręg zobowiązany był dostarczać władcy określoną ilość żywności, napitków, srebra i podwód. Monarcha mógł jeździć ze swą drużyną i dworem z miejsca na miejsce, „objadając swe królestwo”; w bardziej uroczyste święta podejmował ucztami co znacniejszych poddanych. Obżarstwo i pijaństwo, o które często oskarżano tak skandynawskich, jak i słowiańskich władców, musiało po części być logiczną konsekwencją takiej formy władzy. Królowie duńscy mieli też rozliczne dochody dodatkowe: opłaty z mennic, *midsommer geld* (rodzaj podatku od nieruchomości), myto, podatek od gildii kupieckich i obco-krajowców, grzywny wymierzane za określone wykroczenia, prawo do wraków i mienia wyrzucanego przez morze na brzeg oraz do różnych bogactw naturalnych. Na rzecz skarbu królewskiego przechodził też majątek zmarłych, którzy nie mieli spadkobierców. Wszystko to sprzyjało szybkiemu gromadzeniu fortun; pozycję władcy umacniało też warunkowe prawo zwierzchności nad dwiema instytucjami, którym wszyscy mieszkańcy byli winni posłuszeństwo: obowiązkową służbą wojskową (*lething*) oraz Kościołem. Organizacja kościelna powstawała długo (w latach ok. 815–1020), ale w 1070

roku Dania miała już siedmiu biskupów sprawujących urząd pod królewską protekcją. Do ich obowiązków należało uczestnictwo w lokalnych zgromadzeniach i wspomaganie obrony swoich biskupstw oraz służenie królowi radą, gościnnością, modlitwą i pomocą w sprawach kancelaryjnych. Do 1103 roku biskupi duńscy podlegali duchowemu przewodnictwemu arcybiskupa bremeńsko–hamburskiego, mimo że infuły otrzymywali z rąk monarchy; później metropolitą Kościołów Skandynawii został arcybiskup Lund - wyłączony spod jego zwierzchnictwa był tylko własny kościół króla duńskiego, na wzór cesarskiego *Reichskirche*.

Dania coraz bardziej przypominała pozostałe, starsze królestwa chrześcijaństwa łacińskiego, co jeszcze bardziej uwidocznilo się za panowania Mikołaja (1104–1134) i Waldemara I (1157–1182). Pierwsze nadania i murowane kościoły pojawiły się w latach siedemdziesiątych XI wieku, krótko potem wzniesiono pierwszy klasztor. Papież Grzegorz VII pisywał do królów Północy jak do pełnoprawnych członków wspólnoty chrześcijańskiej, a Paschalis II kanonizował zamordowanego w 1086 roku Kanuta IV, uznając go za męczennika wiary. Brat św. Kanuta, Eryk I, udał się na pielgrzymkę do Bizancjum; za przykładem władcy wielmoże obsypywali Kościół darowiznami, a czasem sami zdobywali godność biskupią. Najwyższych dostojników kościelnych nie trzeba już było sprowadzać z Saksonii czy Anglii. W X wieku monarchowie skandynawscy w imieniu swych poddanych przybrali miano „królów

chrześcijańskich”; sto lat później zaszczerpiona wtedy idea zaczynała wydawać owoce.

Proces asymilacji modelu zachodniego nieco dłużej - mniej więcej o pięćdziesiąt lat - trwał wśród Szwedów, ale zmiany zdążyły w tym samym kierunku. Ostatni z otwarcie pogańskich władców zmarł pod koniec XI wieku i do tego czasu czynny był chram boga Frejra w Uppsali; puszcząskie ludy Smalandii nie znały chrześcijaństwa jeszcze w latach dwudziestych XII wieku, a w bardziej niedostępnych zakątkach kraju poganie opierali się nowej wierze znacznie dłużej. Niemniej około 1120 roku papieski skryba mógł zapisać siedem z dziewięciu szwedzkich prowincji jako biskupstwa, a w 1164 roku królestwo zyskało własnego arcybiskupa, choć podlegał on jeszcze metropolii z Lund. Również konsolidacja władzy świeckiej postępowała wolniej niż w Danii - po części wskutek słabości Kościoła, ale i ze względu na stuletnią rywalizację między konkurencyjnymi dynastiami (w latach 1156–1250), a z początku także z powodu niezatartej jeszcze odrębności Szwedów i Gotów. Skąpe zaludnienie, gorsza komunikacja, ostrzejsze zimy i nieprzebyte puszcze sprawiały, że przejęcie i utrzymanie kontroli nad całym krajem było trudniejsze niż w Danii - podstawowe przesłanki jednak istniały.

Przyjęcie chrześcijaństwa nie oznaczało, że bitne ludy Północy zaczęły stosować zasadę nadstawiania drugiego policzka. Wśród książąt, wielmożów i rycerzy wciąż dominował etos wojownika gotowego zabijać lub samemu zginąć; od reszty społeczeństwa dzieliła ten

stan bariera urodzenia, wychowania i przekonań utwierdzonych przez historię i tradycję. Hasłem dnia było „budować państwo na prawie” - ale to prawo tworzyli, przechowywali w pamięci i egzekwowali możnowładcy; w oczach cudzoziemców jawiło się ono jako brutalne i niechrześcijańskie. Kiedy w latach osiemdziesiątych XI wieku Kanut IV usiłował je nieco złagodzić, natknął się na mur wrogości; musiał minąć niemal wiek, zanim zostało spisane i do pewnego stopnia zhumanizowane. Nie było już li tylko zalegalizowaną formą ucisku; za drastyczny występki nawet bogacza mogła spotkać banicja, jak to się przytrafiło synowi króla Mikołaja. Władca był zainteresowany ferowaniem wyroków w sprawach aktów przemocy i rodowych waśni, czerpał bowiem zyski z wymierzanych grzywien. Także w kwestiach materialnych, jak zabór mienia lub dziedziczenie, procedury prawne przynajmniej oscyływały wokół pojęć zła i dobra. Do lat trzydziestych XII wieku w Skandynawii nie było miast zamkniętych za murami, prywatnych warowni ani jurysdykcji jeszcze bardziej faworyzujących możnych. Również prawo kościelne musiało zostać odpowiednio skorygowane, zanim zaczęło obowiązywać w sądach: Skandynawowie przyjęli wiarę w Chrystusa, nie wyrzekając się posłuchu dla głosu ich praocjów, i okazywali to na różne sposoby. Uparcie trzymali się na przykład dawnych imion: wśród Duńczyków o wiele łatwiej było spotkać Swena, Eryka, Haralda, Akiego, Tokiego czy Boviego niż Nigelsa, Petera lub Christoffera. Ludzie słuchali starych sag, płacąc islandzkim skaldom za recytację.

Wciąż praktykowano rozwody, a przede wszystkim krwawo mszczono się za krzywdy czy zniewagi. W krótkim okresie między 1131 a 1135 rokiem liczny duński ród królewski niemal wyginał wskutek waśni rodzinnych; o Eryku II („Niezapomnianym”) mówiono, że kazał zgładzić ośmioro dzieci własnego brata, którego wcześniej sam zabił. W wojnie z tym samym władcą zginęło sześciu duńskich biskupów - a przecież hojnie obdarował on kanoników z Lund i mnichów z Ringsted, cieszył się opinią „króla z Bożej łaski”, a pod koniec stulecia Sakso Gramatyk uznał go za człowieka sprawiedliwego. Dla takich ludzi liczył się tylko sukces; Chrystus miał im go zesłać, a po śmierci przygarnąć splamione krwią dusze, w zamian oczekując chrztu, dobrego traktowania kapłanów, pokuty i pochówków w poświęconej ziemi - i niewiele więcej.

Wielmoże i najemni rycerze żyjący według takich zasad byli niemniejszym zagrożeniem dla nadbałtyckich sąsiadów niż ich wikińscy przodkowie, ale z końcem XI wieku charakter ich zamorskich przedsięwzięć się znacząco zmienił. Na Wschodzie wciąż było łatwo o zatrudnienie dla wojowników - potrzebowali ich przede wszystkim ruscy i bizantyjscy władcy, i najemne drużyny często wybierały tę drogę - ale możliwości zdobycia ziemi i hegemonii było coraz mniej. W latach 1050–1140 żaden szwedzki król nie najeżdżał na Finlandię; Rusini żelazną ręką dzierżyli szlaki handlowe i podporządkowane im myśliwskie ludy dostarczające cennych futer. Jeśli Szwedowi marzyła się fortuna, musiał się jej dorabiać jako kupiec albo zaciągnąć się do

gwardii wareskiej, w której służył ramię w ramię z Duńczykami, Norwegami, Islandczykami, a nawet Anglikami. Pieniądze wciąż były do zdobycia, ale i konkurencja silniejsza.

Na Zachodzie pokusy, które w latach 800–1075 tak wielu Duńczyków ciągnęły za morze, znacznie straciły na atrakcyjności. Swen II, a później Kanut IV trzykrotnie - w 1069, 1075 i 1086 roku - próbowali na nowo podbić Anglię, ale każda kolejna wyprawa kończyła się większym fiaskiem; ostatnia nawet nie wypłynęła z portu. Załogi się zbuntowały i nie czekając na nieuniknioną karę, podniosły oręż na króla; zginął ścigany przez własnych wojów. Według słów angielskiego kronikarza, „na Duńczykach, ongiś uważanych za najbardziej lojalny z ludów, dziś zaciążył najbardziej zdraziecki postępek, jaki można sobie wyobrazić”. Przyczyn mogło być wiele, ale dość będzie rozważyć trzy z nich.

Po pierwsze, kapitanowie statków najpewniej mogli liczyć na nie mniejszy zysk, zostając w domach i zajmując się zwykłymi interesami, niż ryzykując niebezpieczny wypad na dobrze bronioną wyspę. Wielkie rody zgromadziły już zbyt duży majątek w kraju, by się porywać na podobne przygody; ten, kto zdobył znaczenie w tingu, czerpał korzyści z pracy licznych chłopów lub mógł sobie pozwolić na finansowanie rejsów handlowych, nie musiał szukać fortuny w Anglii, a na duńskich wodach kręciło się tyle kupieckich statków, by i głodny wojak znalazł dość łupów blisko domu. Nawet flotylle, które dopłynęły do Anglii w 1069 i 1075 roku,

poczynają sobie raczej jak szukający szybkiej zdobyczy i bezpiecznego powrotu piraci niż dumni zdobywcy z 1016 roku.

Po drugie, królowie duńscy nie byli już dostatecznie bogaci, żeby udźwignąć rosnące koszty skutecznego prowadzenia wojny na Zachodzie. Swen Widłobrody i Kanut Wielki utrzymywali jeszcze dużą armię zaciężną, ale kiedy następcy tego drugiego utracili Anglię, a wraz z nią główne źródło dochodu, stać ich już było tylko na skromną zawodową drużynę. Swen II w 1052 roku błagał Edwarda Wyznawcę o wypożyczenie pięćdziesięciu załóg, ale spotkał się z odmową. Gdy jego syn Kanut IV poległ pod Odense w 1086 roku, miał u boku zaledwie dwudziestu wojów. Przygotowana na kampanię angielską armada była źle obsadzona: załogom okrętów brakowało wyszkolenia i wyposażenia do oblegania grodów lub walki konnej. Takich błędów nie popełniali inni królowie: brat Kanuta, Harald III Miękki, czy norweski Olaf II Święty.

Po trzecie, w samej Danii dość było problemów natury militarnej. Wybrzeża i pogranicze lądowe regularnie nękali bałtyccy Słowianie; duński „naród panów” został zepchnięty do defensywy.

Z pozostałych trzech grup mieszkańców Północy najbliższymi sąsiadami Skandynawów byli Słowianie, zwłaszcza połabscy, zajmujący wybrzeża i interior od Zatoki Kilońskiej po Wisłę, w tym wyspy Fehmarn, Poel, Rugię, Uznam i Wolin. Słowianie byli podzieleni na liczne grupy o charakterze plemiennym. Między Zatoką Kilońską i rzeką Trawną żyli Wagrowie, tereny

nad górną Warnawą zajmowali Warnowie - dwa pokrewne ludy, luźno powiązane z Połabianami z dorzecza Łaby należące do Związku Obodrzyckiego. Ziemię od Warnawy po Rugię, Pianę i ujście Odry zamieszkiwały odrębne plemiona znane pod wspólną nazwą Lutyków („luty”, czyli srogich) lub Wioletów. Najdalej na północy - na samej Rugii i położonym naprzeciw niej odcinku wybrzeża - żyli Rugianie, inaczej nazywani Ranami. Mowa, którą się posługiwali Obodrzycki i Wieleci, różniła się nieco od języków ich sąsiadów z południa, Serbołużyczan. Oba dialekty zalicza się do grupy zachodniosłowiańskiej; pierwszy do zachodnio-, drugi do wschodniolechickiej. W piśmiennictwie niemieckim i skandynawskim ludy zachodniosłowiańskie nazywane są Wendami. W omawianym tu okresie pod pewnymi względami różnili się od wszystkich sąsiadów, zarazem jednak mieli z nimi wiele wspólnego, co warto podkreślić.

Bałtowie pojawili się w regionie najpóźniej. Przybyli z południowego wschodu, zajmując tereny opuszczone między I a VI wiekiem przez migrujące plemiona germańskie. Ich granice ustaliły się w VIII stuleciu, choć skutek toczących się w łonie poszczególnych grup walk o dominację bywały później korygowane. Adam z Bremy dostrzegł ich pokrewieństwo z Polakami i Czechami, umieszczając we wspólnej geograficzno-etnicznej krainie, którą nazwał Sławią. Pisarze łacińscy nazywali ich po prostu Słowianami, odróżniając jednak od wyżej wspomnianych ludów i od Rusinów.

Słowianie połabscy byli przede wszystkim rolnikami; żyli w małych opolach, uprawiali zboże i len, hodowali drób i bydło, uzupełniając to rybołówstwem, pszczelarstwem i łowiectwem. Powszechnie stosowaną jednostką powierzchni gruntu był tzw. pręt (po łacinie *uncus*, w odróżnieniu od łanu, *mansus*); od ich ilości zależał płacony przez chłopów podatek zbożowy oraz dodatkowe opłaty od innej uprawianej działalności. We wczesnych dokumentach przeciętny kmieć figurował jako przypisany do ziemi lub jako współpłatnik różnych należności nakładanych na jego osadę; według niektórych źródeł często był nim po prostu pojmany na wojnie lub kupiony niewolnik.

Podobnie jak w Skandynawii, nadwyżki produkcji rolnej były źródłem utrzymania warstwy posiadaczy: wielmożów żyjących z drużynami w leśnych warunkach lub osiadłych w grodach grup wojów oraz rzemieślników i kupców. Społeczności słowiańskie były silnie zmilitaryzowane; ta organizacja wytworzyła się w IX i X wieku wskutek ciągłego życia między wikińskim młotem a cesarskim kowadłem, nie wspominając o duńskich królach i niemieckich biskupach, którym Obodrzyci i Wagrowie przez długie okresy musieli płacić daniny. Wyrosła w tym czasie warstwa dominująca utrzymała swoje terytoria i chłopów, ucząc się od wrogów i tworząc własne drużyny, floty i fortalicje. Kraje Słowian były podzielone na małe jednostki z centralnie położoną fortecą otoczoną wałem, częstokołem i fosą, zazwyczaj podlegające wyznaczonemu przez władcę wojewodzie, który egzekwował służbę wojskową od

drużynników oraz świadczenia i daniny od chłopów tudzież zapewniał księciu gościnę podczas objazdów dokonywanych przy okazji świąt czy w celu sprawowania sądów. Książę, czyli kneź, był przywódcą całego ludu i głową rodu panującego, którego wszyscy członkowie mieli określone prawa do ziemi i jurysdykcję, ale zakres jego rzeczywistej władzy nie był wielki.

Jednostki terytorialne były bowiem różne: niektóre obejmowały tereny leśne, gdzie kneź posiadał własne ziemie i jego wojewodowie cieszyli się niekwestionowanym posłuchem; inne leżały nad ważnymi drogami wodnymi czy dogodnymi dla żeglugi zatokami morskimi, tworząc dobrze prosperujące organizmy typu miejskiego z własną wolą i środkami jej narzucania. Już w X wieku połabskie plemiona miały tendencję do skupiania się wokół małych okrągłych warowni, w tekstach źródłowych zwanych *civitates*. Zmienne koleje wojny i kaprysy rynku niektóre z nich faworyzowały kosztem innych i w rezultacie w XI wieku szereg takich dufnych grodzkich społeczności obsiadło ujścia niemal wszystkich rzek między Danią a Wisłą. Stopień ich rozwoju znajdował odbicie w rozroście urbanistycznym. Najpierw na najwyższym punkcie terenu powstawał *gard*, gród, z łacińska zwany *palatium*: koszary dla drużyny, warownia i rezydencja wojewody, zazwyczaj ufortyfikowane. Poniżej, w obrębie muru zewnętrznego, sadowiło się *suburbium*, podgrodzie - początkowo przeznaczone na schronienie dla okolicznych mieszkańców, później przeobrażone w skupisko domów rycerzy, kupców i rzemieślników, gdzie zawsze spłacheć

gruntu zarezerwowany był dla małych drewnianych chramów. Poza murami przycupnęły sadyby chłopów, rybaków i drobniejszych przekupniów; tam też znajdował się plac targowy. Układ architektoniczny wyznaczała topografia terenu (na przykład trzy wzgórza Szczecina) i aktualne stadium rozwoju grodu, ale ogólny plan był wszędzie podobny, a zdecydowanie odmienny od kwadratowej zabudowy miast duńskich.

Żaden z tych grodów nie wyrósł bezpośrednio na brzegu morza; zawsze były one usytuowane na końcu wciętych w ląd zatok, nad rzekami i zalewami - lub na szczycie klifu, jak rugijska Arkona - gdzie pozwalała im prosperować delikatna równowaga między łatwością dostępu a bezpieczeństwem. Posuwając się z zachodu na wschód od duńskiej i saskiej granicy, pierwszy taki ośrodek znajdziemy po około pięćdziesięciu kilometrach: Stargard, czyli „stary gród” Wągrów, po duńsku Brandehuse, po niemiecku Oldenburg. Tamtejsze wybrzeże było zbyt wystawione na groźbę najazdów, aby można się tam osiedlać. Od strony morza do Stargardu można się było dostać tylko okrężną drogą - najpierw żeglując na wschód, a potem cofając się przez system połączonych jezior; był to jednak dość duży port, a jego mieszkańcy szybko się wzbogacili na handlu i piractwie. W X wieku rezydował tam biskup saski, tubylcy jednak odrzucili chrześcijaństwo; zbudowany wówczas kościół jeszcze w XII wieku był ruiną poza murami miasta, a duchowe życie Wągrów koncentrowało się wokół pogańskiej świątyni.

Dalej trakt odbija kolejne pięćdziesiąt kilometrów na południe - nie brzegiem morza, lecz w głąb lądu, przez gęsty las - gdzie pod protekcją lokalnego knezia zaczęły się rozwijać Libice (Stara Lubeka), podówczas zaledwie mała warownia z rozrzuconymi wokoło kilkoma chatami i pobliskie kotwiczowisko; głównym grodem połabskim był wtedy Racibórz, rozłożony nad jeziorem połączonym z Bałtykiem przez dopływ Trawny. Rolę „stolicy” Obodrzyców pełnił Mechlin (Mecklenburg), leżący osiem kilometrów w górę rzeki od Zatoki Wismarskiej i kontrolujący rozległą sieć dróg wodnych i jezior. Na wschód od niego, dwanaście kilometrów w głąb lejkowatego ujścia Warnawy, kiełkował Roztok: na razie stała tam świątynia i osada kupiecka z własnym portem, która wkrótce miała przerosnąć pobliski duży warowny gród plemienia Chyżan. Tam kończyły się ziemie Obodrzyców, a zaczynały Rugian. Podróżnicy daremnie szukałby na tych lesistych, podmokłych terenach osad większych niż opola i niewielkie strażnice, za to na samej Rugii istniały dwa znaczące grody: położona na północno-wschodnim cyplu Arkona i Gardziec (dzisiejsze Garz) nad jeziorem w południowej części wyspy. Arkona zdawała się łamać powszechną zasadę niebudowania osad na brzegu morza, ale była to przemyślana decyzja: dostępu skutecznie bronił wysoki, urwisty brzeg oraz niebezpieczne podejście morskie; żeglarze musieli albo okrążyć wyniosły cypel i wpływać w płytkie zatoczki wcinające się w środkową część wybrzeża, albo ryzykować lądowanie dalej na południe, gdzie klif jest trochę niższy. Miejsce, gdzie leżało mia-

sto, do dziś uległo znacznej erozji, ale to, co o nim wiemy z wykopalisk, zgadza się z opisem podanym przez Saksona Gramatyka. Dzięki wysokiemu położeniu arkończykom nie była potrzebna twierdza, ale drogę do miasta przegradzał gigantyczny, trzydziestometrowej wysokości ziemno – drewniany wał z jedną tylko bramą strzeżoną przez jeszcze wyższą basztę. Za nim rozpościerał się łukowaty obszar zabudowy, dalej otwarty majdan i (przypuszczalnie na terenie zabranym później przez morze) chram boga Swantewita, wówczas główny ośrodek jego kultu, cel pielgrzymek i zarazem skarbiec gromadzący datki od wyznawców. Do Arkony ciągnęli kupcy z całego regionu bałtyckiego; rugijscy wojowie zbierali się tam na rady i przyjmowali rozkazy od najwyższego kapłana i jego świętego rumaka, którego nie mógł dosięść żaden śmiertelnik. Dostępu do Gardźca broniły jezioro, rzeka i moczary, lecz i on był otoczony zwykłym pierścieniowym wałem. Do 1168 roku ze zwykłego miejsca schronienia przerodził się w ludną osadę; Sakso opisuje jego gęstą zabudowę i bijący z niej pod niebo smród, a w górnych partiach miasta archeolodzy odsłoniли trzy place przeznaczone pod świątynie.

Wieleci zamieszkujący nad Pianą mieli kilka obronnych grodów, z których najważniejszy był położony najdalej od morza Demmin (Dymin, od dymu). Spotykały się tam nurty trzech rzek; był to dogodny port, z którego towary zwożone lądem z Meklemburgii i Holsztynu transportowano łodziami na Bałtyk. Dymin pierwotnie był głównym ośrodkiem plemienia Redarów

i kultu boga Radgosta; zdobyty na początku XII wieku przez książąt pomorskich, stanowił ważne ogniwo w ich systemie warowni.

Nad ujściem Odry usadowił się Szczecin (przez Duńczyków zwany Burstaborgiem), „matka miast pomorskich”, rozłożony na otoczonych wałem trzech wzgórzach zwieńczonych pogańskimi świątyniami (istniejącymi do 1127 roku), uważany za niezdobytą twierdzę, co według Saksona Gramatyka znalazło nawet odbicie w powiedzeniu: „bezpieczny jak szczeciński mur”. Misjonarz Otto z Bambergu zastał tam społeczność złożoną z dziewięciuset rodzin; jeden z miejscowych wielmożów, niejaki Domisław, utrzymywał pięciuset czeladzi i ustanawiał prawo dla mieszkańców. Inny lokalny krezus dysponował flotą sześciu statków. Liczba niewolników sprowadzanych do miasta przez im podobnych panów feudalnych musiała rozdać jego populację do kilku tysięcy. Najbardziej liczącą się grupą byli kapłani. W Szczecinie można się było dorobić majątku: zbiegały się tam cztery szlaki handlowe, rzeczne łodzie i szkuty spotykały się z pełnomorskimi statkami. O sile grodu może świadczyć to, że w 1127 roku mógł nie tylko stoczyć, ale i wygrać wojnę z Rugianami.

Córkami „matki pomorskich miast” były Wołogoszcz (Wolgast), Uznam, Lubin (Lebbin), Wolin i Kamień. Wszystkie one leżały nad porośniętymi trzciną kanałami łączącymi Zalew Szczeciński z Bałtykiem - obronne grody z placami targowymi i przystaniami, rywalizujące w handlu i zdolne w razie potrzeby wy-

stawić wojsko i flotę do obrony. Najznamienitszym z nich był początkowo Wolin, przez wikingów zwany Jomsborgiem, panujący nad wszystkimi odrzańskimi wyspami, ale stracił na znaczeniu, kiedy Dziwna uległa zamuleni, pod bokiem wyrosła mu konkurencja w postaci Kamienia (na początku XII wieku), a główny nurt wymiany towarowej przejął Szczecin. Mimo to w 1124 roku żyło tam jeszcze co najmniej dwa tysiące stu pięćdziesięciu sześciu mieszkańców (tylu przyjęło wtedy chrzest z rąk pierwszych misjonarzy), na których potrzeby zbudowano w obrębie miasta dwa kościoły. Wołoszczanie nałożyli myto na przewozy Pianą i kontrolowali okoliczne okręgi na stałym lądzie i wyspie Uznam. W 1127 roku tamtejszy kasztelan miał piętrowy zamek; gród mógł się pochwalić własną świątynią, a niebawem także ratuszem, nie mówiąc o obficie wypełnionym skarbcu.

Wędrując pustym przeważnie pomorskim wybrzeżem na wschód od Odry, docierało się w końcu do położonego nad Parsętą Kołobrzegu - miasta o dużym znaczeniu, które zawdzięczało żupom solnym - a nieco dalej w górę rzeki trafiało się do Białogardu, gdzie później swą główną siedzibę mieli książęta pomorscy. Między Parsętą a Wisłą znów rozciągał się pas pustego wybrzeża z jedną drogą prowadzącą przez wzgórza morenowe do Gdańska, wówczas już ważnego portu, nad którym straż dźwżył gród z *suburbium* na przybrzeżnej wyspie, zarządzany przez namiestnika polskiego księcia.

Na tym można zakończyć listę najważniejszych skupisk ludzkich na Pomorzu. Choć populacją nie dorównywały ówczesnym miastom Nadrenii czy Flandrii, jak na warunki basenu bałtyckiego były wręcz imponujące. W całej Skandynawii mógł się z nimi równać jedynie duński Szlezwik; zupełnie inny też wywierały wpływ na żyjące w nich i wokół nich społeczności.

Rozważmy raz jeszcze kwestię władzy książęcej. Kim był słowiański książę? Wielkim posiadaczem ziemskim, wodzem najliczniejszej konnej drużyny w kraju, poborcą trybutów i danin, a przy tym obiektem czci większej, niż Duńczyk lub Szwed okazywał swemu królowi: przed książętami bito pokłony, całowano ich stopy, wysławiano ich. Krew władyków była traktowana jak święta, a wiele panujących rodów, na przykład u Obodrzyców, sięgało korzeniami co najmniej początków IX wieku. Mimo to możni ludzie, którzy uznawali ich zwierzchność i służyli im własnymi pocztami, często byli mieszkańcami miast, spotykali się z ogółem grodzian na walnych zgromadzeniach bądź w „senatach” i „magistratach” opisywanych przez łacińskich autorów i nawykli do różnych form samorządu, włącznie z decydowaniem o wojnie i pokoju. Tacy wielmoże często wypuszczali się na samodzielne wyprawy grabieżcze przeciwko konkurencyjnym miastom lub na obce wybrzeża, co mogło prowadzić do wybuchu wojny obejmującej cały kraj. W takich wypadkach wzywano na pomoc knezia, oddając mu funkcję głównodowodzącego, w normalnej sytuacji jednak, jak się wydaje, stosunki między społecznościami miejskimi

a książętami - zwłaszcza gdy mowa o grodach Wieleckich i władcach Pomorza - były dość luźne. Kneź osadził w mieście swego kasztelana, powierzając mu warownię i rolę poborcy; wpływowi mieszkańcy grodu zajmowali się własnym interesem i do niego dostosowywali bieżącą politykę.

U Obodrzyców panujący w latach 1093–1127 książę Henryk Gotszalkowic, wykształcony na Zachodzie chrześcijanin, dysponował tak silną osobistą drużyną, w tym najemnikami z Danii i Saksonii, że jego władza nad miastami była znacznie mocniejsza. Po jego śmierci doszło do wojny domowej i najazdów sasko-duńskich; dynastia została odsunięta od władzy, ale zarazem wskutek poniesionych w Wagrii poważnych strat terytorialnych postać silnego księcia–wodza stała się politycznie niezbędną. Inaczej rzecz się miała wśród Rugian, gdzie kneź był tylko możnowładcą wyznaczonym na dowódcę drużyny i posłusznym rozkazom rady zdominowanej przez kapłanów.

Pogaństwo było bowiem u Połabian nierozzerwalnie wplecione w osnowę organizacji społecznej. Świat słowiański zaludniały niezliczone bóstwa podległe jednemu niebieskiemu patriarsze. Cały kraj usiany był świętymi miejscami - gajami, dębami, górami, źródłami - gdzie składano ofiary i odprawiano błagalne bądź świąteczne rytuały. Podobne wiejskie świątynki można było spotkać także w Skandynawii i Saksonii, zwłaszcza w odleglejszych rejonach, i przez całe wieki koegzystowały one z parafialną organizacją kościelną; dawne wierzenia były zbyt głęboko zakorzenione, by zu-

pełnie zaniknąć. Pogaństwo słowiańskie miało jednak inny wymiar, nadawany przez kastę kapłanów: potrafili oni rozwinąć i wzmocnić kult, tworząc boskie wizerunki, obiekty czci i wznosząc świątynie z prawdziwego zdarzenia także w grodach, gdzie tajemna wiedza, znajomość rytuałów i wróżbiarstwa czyniła ich przywódcami miejscowych społeczności. W głębi puszczy nie wiodło się im najlepiej; Otto z Bambergu napotkał kapłana żywiącego się wyłącznie orzechami ze świętego drzewa, którym się opiekował. Życie świętych mężów było jednak prawdziwym *dolce vita*. Mieszkańcy Gützkow (Choćków) wydali na budowę chramu lokalnego bóstwa trzysta marek i uważali go za tak piękny, że nie chcieli go zburzyć nawet po przyjęciu chrztu. W Szczecinie były cztery kąciny, a przy nich budynki sakralne, w których dobrze urodzeni spotykali się na wystawnych ucztach, jedząc ze złotej i srebrnej zastawy. Arkońska świątynia Swantewita bogaciła się na podatku obowiązkowo płaconym przez wszystkich Rugian oraz dobrowolnych darach od miejscowych i obcych wyznawców. Szczególnie uroczyście celebrowano zakończenie żniw; przed posągiem boga o czterech twarzach gromadził się cały lud, składano bydło w ofierze, a najwyższy kapłan - jedyny człowiek wśród Słowian, któremu wolno było nie ścinać włosów - podejmował decyzję, czy poprowadzić plemię na wojnę, czy zachować pokój. Dysponował on własną drużyną z trzystu jeźdźców, przejmował całe zdobycie na wrogu złoto i posiadał własną ziemię.

Bałwochwalczą, politeistyczną religię Słowian spotkał jednak druzgocący cios, kiedy pomorscy książęta zaczęli przechodzić na chrześcijaństwo i upoważniali niemieckich misjonarzy do niszczenia świątyń i budowania kościołów. Przedsięwzięcia misyjne z 1124 i 1127 roku były wstrząsem, po którym pogaństwo w nadodrzańskich miastach już się nie odrodziło. W tym samym czasie władca obodrzycki Henryk Gotzalkowic pozwalał saskim księżom toporem i ogniem tępić przybytki starej wiary; jednakże po jego śmierci rosnący w siłę wódz Niklot identyfikował się z nią w pełni i pozostał poganinem po kres życia (zmarł w 1160 roku). Silni i niezawisli Rugianie trzymali się swego kultu jeszcze osiem lat później. Nie zdarzyło się, aby którekolwiek z grodów porzuciły dawnych bogów bez presji ze strony księcia; częściej tego rodzaju naciski spotykały się z zaciętym oporem.

Dlaczego więc jedni władcy atakowali pogaństwo, a inni je faworyzowali? Każdemu zależało na jak największym umocnieniu swej władzy; zastąpienie podporządkowanych grodom świątyń i niezależnej kasty kapłańskiej przez książęcy Kościół i posłusznych jego woli księży musiało się oczywiście niektórym kneziom wydawać korzystne. Była jednak i druga strona medalu. W Szczecinie na przykład mówiono, że nowy bóg jest bogiem niemieckim i tamtejszy książę, nawykły do obrony granic przed germańskimi sąsiadami, mógł nie chcieć takiej innowacji. Wagrowie i Obodrzyci przypuszczalnie pamiętali mroczne czasy X wieku, kiedy podporządkowani biskupom z Saksonii musieli im pła-

cić „słowiańską dziesięcinę”. Za stosunkowo miękkiem i skromnym misjonarzem Vizelinem (działał na ziemiach Obodrzyców w latach 1125–1154) kroczyła hurma łasych na ziemię Sasów z pogranicza, którzy chcieli nie tylko obłożyć kraj daniną, ale po prostu go zagarnąć. Zamieszkujący go od wieków pradawni bogowie mogli okazać się raczej sprzymierzeńcami niż wrogami dla knezia z determinacją walczącego o zachowanie niezależności. Sytuacja militarna czyniła pogaństwo atrakcyjnym dla Niklota; na Rugii pozycja księcia była za słaba, by miał występować przeciwko religii swego ludu. Dopiero gdy w latach 1168–1169 Duńczycy zniszczyli wizerunki Swantewita i innych bóstw, Ranowie i Redarowie niechętnie uznali jedynowładztwo świeckiego wodza i jego rodu.

Na początku XII wieku zachodni Słowianie zamieszkujący wybrzeże Bałtyku byli więc żywotnym, dobrze prosperującym ludem z dziwną dla przybyszów formą organizacji politycznej, stanowiącej kompromis między interesami społeczności grodzkich i panujących na danym terytorium książąt. Kompromis, dodajmy, dobrze się sprawdzający: obie strony rosły w siłę i aż do lat czterdziestych potrafiły się obronić przed agresją z zewnątrz. Władcykom potrzebne były statki mieszczan, bez których nie mogliby prowadzić wojen, miasta zaś były zdane na ich zbrojną ochronę na lądzie. Kiedy te dwie potęgi, lądowa i morska, łączyły się we współdziałaniu, inne ludy Północy miały się czego bać. Słowiańska flota wojenna przypominała wikińską; bywało, jak w 1135 roku, że zapuszczała się aż pod norweskie

miasto Konghelle, gdzie wzięto ją za armadę duńską. Dopiero kiedy okręty podpłynęły bliżej, rozpoznano krótkie fryzury i charakterystyczne okrzyki bojowe Połabian; obrońcom pozostawało umykać albo mężnie giąć. Na ładzie słowiańscy wojowie byli dobrymi kawalerzystami, sprawnie manewrującymi i nieoczekiwanie szarżującymi na drobnych konikach, jakie dziś uznano by za kucyki; bogaci panowie oprócz okrętów utrzymywali całe stajnie tych zwierząt, aby w razie wojny móc posadzić w siodłach swoje poczty. Jeźdźcy nie nosili ciężkich zbroi jak saska czy duńska konnica i polegali bardziej na szybkości i zaskoczeniu niż kunszcie szermierczym w bezpośrednim starciu. Brak ciężkiej jazdy i większych koni był ułomnością połabskiej armii, ale do szybkich najazdów, zasadzek i łupieżczych wypraw taka taktyka wystarczała w zupełności.

Kilkaset kilometrów na wschód od Gdańska osiedliła się inna słowiańska grupa, wyrastając na ważną siłę polityczną i gospodarczą. „Wschodni Słowianie” z Połocka i Nowogrodu przybyli w ten rejon przed IX wiekiem, wycięli sobie w puszczy i nad rzekami miejsca na osady, a w X i XI stuleciu przyjęli dynastyczną władzę i chrześcijańskie misje z Kijowa. Przyłgnęła do nich wtedy nazwa Rusów (Adam z Bremy mówił o nich „Ruzzi”), choć dla nich samych Rusią był kraj na południu, ojczyzna wielkiego księcia i biskupów. To właśnie odróżniało ich od Słowian bałtyckich i innych ludów regionu: byli chrześcijanami, czego widocznym symbolem stały się sobory św. Zofii zbudowane w Nowogrodzie (1045–1052) i Połocku (ok. 1100) oraz

cerkiew Św. Trójcy w Pskowie (ok. 1137). Jako wyznawcy Chrystusa, mieszczanie z natury i poddani kniazia, reprezentowali bizantyjski model cywilizacji; w handlu i rolnictwie żyli z tego, co mogli wycisnąć od okolicznych leśnych ludów i sprzedawać dalej: niewolników, futer, wosku i miodu. Społeczność nowogrodzka z tego okresu była bardziej złożona niż u zamieszkujących ten sam region Finów i Bałtów: cechowała ją zorganizowana praca chłopów na dużych posiadłościach, dominujące kasty możnych, nie posiadających ziemi wojów, kupców, mnichów i kapłanów. Taka złożoność sporo kosztowała i nie można by jej było utrzymać wyłącznie z przychodów z rolnictwa, które rozwijało się zbyt powoli i tylko wzdłuż rzek czy nad jeziorami. Żywność i produkty leśne trzeba było importować, Rusowie szybko więc opanowali wszystkie korzystne miejsca, gdzie przecinały się kupieckie szlaki. Nowogrodzianie znad jeziora Ilmeń kontrolowali trasę lądową do górnej Wołgi, a dzięki grodom w Ładodze i Pskowie mieli oko na jeziora Ładoga i Czudzkie (Pejpus); Połocczanie nad górną Dźwiną dzierżyli drogi prowadzące nad Dniepr. Umocniwszy panowanie nad tymi ważnymi szlakami handlowymi, zapewnili sobie kontrolę nad całym ruchem towarowym między Bałtykiem, morzami Czarnym i Kaspijskim, a na ich rynki napływały dobra z całej wschodniej Europy. Była to hegemonia monopolisty zbudowana na komunikacji: bogactwo Rusów zależało od rzecznej łodzi i sań. Na razie nie zdobyli silnej władzy politycznej nad sąsiadami, ale mocna pozycja na wschodnim progu konty-

mentu czyniła Nowogród potencjalną siłą dominującą nad wschodnim Bałtykiem, jak Polacy i Sasi nad południowym.

Na wschód od Wisły gęste liściaste lasy ciągnęły się niemal nieprzerwanie aż po zachodnie wyżyny ruskie. Przez puszcze Połabia trudno się było przedrzeć, tutaj jednak najczęściej w ogóle było to niewykonalne. Zapora z prastarego matecznika, warstw martwych drzew, bujnego podszytu, wzgórz, jezior i bagien ograniczała osadnictwo do wąskiego pasa nadbrzeżnego i dolin Wisły, Niemna i Dźwiny; między nimi rozciągało się niepodzielnie królestwo żubra, tura, niedźwiedzia i łosia.

Obszar ten, mający około siedmiuset kilometrów z północy na południe i pięciuset ze wschodu na zachód, był ojczyzną grupy ludów znanych dzisiaj pod nazwą Bałtów. Pojawili się prawdopodobnie jako pierwsi zmierzający na zachód wędrowcy z rodziny indoeuropejskiej; w interesującym nas okresie, na przełomie XI i XII wieku, żyli tam już co najmniej od trzech tysiącleci, podczas których utracili ziemie na zewnątrz puszczy na rzecz późniejszych przybyszów. Posługiwali się archaicznymi językami i dzielili na dwie grupy, zachodnią i wschodnią. Wspólnota cywilizacji i wierzeń pozwala traktować obydwie jako całość, nie wiemy jednak, czy oni sami tak o sobie myśleli. Od najdawniejszych czasów Bałtowie wschodni i zachodni żyli osobno, zajmując ściśle określone terytoria. Wyóżniamy wśród nich cztery główne grupy:

1. Prusowie (nazwa po raz pierwszy podana w *Geografie Bawarskim* w IX wieku), zamieszkujący tereny między dolną Wisłą, Narwią, Niemnem i wybrzeżem;

2. Litwini, żyjący na północ i wschód od Niemna, między działami wodnymi jego dopływów, Wilii i Niewiaży;

3. Łotysze znad dolnej Dźwiny; zajmujących część prawobrzeżną zwano Łatgalami, w lewobrzeżnej żyli Zemgalowie i Zelowie;

4. Kurowie (lub Kuronowie, *Kurir* dla Skandynawów), o których pierwsza wzmianka w piśmiennictwie łacińskim pojawiła się w IX wieku, roztrasowani na półwyspie dzielącym Zatokę Ryską od Bałtyku i mówiący językiem pokrewnym łotewskiemu; z biegiem wieków, wymieszani z napływowymi grupami fińskimi, przejęli od nich niektóre obyczaje.

Te większe społeczeństwa były czymś w rodzaju federacji małych grup, które można nazwać plemionami, aż do czasów historycznych stanowiących odrębne jednostki polityczne. Każde plemię mogło się zmobilizować jako armia (*karya* po prusku, *karias* po litewsku) i zwoływać zgromadzenia (*wayde*); wszystkie miały własne warownie służące za schronienie w razie najeźdu, a ich członkowie wspólnie odpowiadali za ochronę granic. Niektóre grupy miały wyjątkowo długi byt historyczny - Ptolemeusz już w II stuleciu n.e. wymienia dwa plemiona pruskie, Galindów i Sudowów (zwanych też później Jaćwingami), które przetrwały do XIII wieku - ale ich siła, liczebność i zdolność do

utrzymania autonomii były bardzo zróżnicowane. Jedne plemiona wyróżniały się lepszą strategią i infrastrukturą militarną; niektóre łączyły się w większe związki, jak Żmudzini i Aukstoci, którzy utworzyli jeden lud litewski; część prosperowała kosztem sąsiadów, inne traciły ziemię na rzecz agresorów: w XI wieku Pomezanie i Pogeianie zostali odepchnięci od Wisły przez Polaków, a Łotysze z Jersiki wpadli w zależność od Rusów. Poszczególne plemiona czasami tworzyły sojusze wojenne, nie ma jednak dowodów przemawiających za tym, że jakaś ich większa grupa, do której można by zastosować pojęcie „naród”, kiedykolwiek się zjednoczyła dla wspólnego celu - przynajmniej do końca XII wieku. Być może przyczyną tego stanu rzeczy było to, że aż do czasów krucjat każde z osobna lub wspólnie z jednym sąsiadem potrafiło sobie radzić z zewnętrznymi wrogami i dopiero z początkiem XIII stulecia silni władcy litewscy zdołali zespoić podległe sobie grupy w jeden zwarty lud. Wcześniej o tożsamości plemiennych stanowiły inne czynniki, jak eksploatacja jednolitych w charakterze obszarów osadnictwa, wspólny język i religia. Widoczne oznaki rozwoju społecznego z lat 1000-1200, jak militaryzacja, seniorat, rozwarstwienie, gromadzenie dziedzicznych majątków, niekoniecznie prowadziły do większego zespolenia lub solidarności między plemionami. Z pięciu „jurysdykcji”, jakie istniały wśród Kurów w IX wieku, czterysta lat później wyłonilo się osiem; jeszcze w 1219 roku Litwini mieli pięciu książąt „starszych” i szesnastu „młodszych”.

Podobnie jak Słowianie, Bałtowie byli ludem rolniczym. Grunty orne uzyskiwali przez karczowanie i wypalanie lasów, stosowali drewniane sochy i okute żelazem pługi oraz dwu- lub trójpolówkę. Do najczęstszych upraw należały żyto, orkisz i proso, znano też jednak rośliny strączkowe, owies i jęczmień, a także konopie i len. Żęto zboże zarówno sierpami, jak i kosami. Powszechna była hodowla bydła i koni. Bałtowie byli tak długo zasiedzali na swoich terenach, że zdążyli się nauczyć wydobywania z nich niemal wszystkiego, co potrzebne do życia i handlu. Las dawał im miód, wosk, smołę i futra. Morze oprócz ryb oferowało bursztyn, którego największe złoża znajdowały się u brzegów Sambii; od czasów neolitycznych był to cenny towar eksportowy, poszukiwany przez mieszkańców całej południowej Europy, i przez wiele wieków pozostawał najbardziej intratnym produktem regionu bałtyckiego. Po wyczerpaniu się konkurencyjnych złóż w zachodniej Jutlandii Prusowie stali się monopolistami w jego pozyskiwaniu; bursztyn stał się głównym - obok skór i niewolników - magnesem przyciągającym na wschodnie wybrzeże kupców skandynewskich, którzy się nawet osiedlali na miejscu - jak w Truso i Wiskiauten w latach 700–900; wikingowie mogli nawet w tym okresie zdobyć nad niektórymi pruskimi plemionami podobną władzę, jaką nieco później mieli nad Słowianami i innymi ludami Wschodu, dowody na to są jednak nader skąpe. Informator angielskiego króla (Wesseksu) Alfreda Wielkiego, podróżnik i kupiec Wulfstan, określił Prusów jako lud silny i nie-

zawisły. Kurowie byli przypuszczalnie lennikami Szwedów w IX wieku, ale na długo przed 1100 rokiem dali się poznać jako wytrawni żeglarze, prowadzący handel i dokonujący napadów z morza na własny rachunek, a ich okręty niewiele ustępowały wikińskim.

Ku morzu obracali uwagę wodzowie plemion z wybrzeża, ale wszystkie umacniały obronę, budując wysokie wały zwieńczone drewnianymi blankami i basztami oraz przyjmując system władzy przypominający księżęcą, z wodzami dysponującymi własnymi drużynami. Od takich „królów”, „wodzów” i „książąt”, jak ich nazywali kronikarze zachodni, wywodzi się plemienna arystokracja: wojowie posiadający konie i broń, biegli w sztuce wojennej. Do tej warstwy, przynajmniej przed XIII wiekiem, należała prawdopodobnie większość zdolnych do walki mężczyzn, a zatem także drobni kmiecie, jacy wśród Duńczyków lub Słowian mieli status chłopów niewolnych, a w każdym razie wyłączonych z organizacji militarnej. Do boju szli w wełnianej lub lnianej odzieży, za jedyną osłonę mając tarcze i hełmy; znali również strzemiona i ostrogi. Wodzowie mogli się zaopatrywać w bardziej wymyślny ekwipunek, umacniali też swoją pozycję przez gromadzenie łupów i niewolników, ale do 1200 roku raczej nie spotykało się u nich rozbudowanej własności ziemskiej. Według Wulfstana majątek po zmarłych nie był dziedziczony; ówczesni Bałtowie rozgrywali o schedę wyścigi konne. Jeszcze w XIII wieku właścicielami ziemi były tam raczej całe klany niż indywidualni posiadacze.

Najważniejszymi wyróżnikami stanu majątkowego byli niewolnicy i srebro, a niewykluczone, że również żony. Ze znalezisk archeologicznych w grobach kurskich wodzów wynika, że wiedli oni życie na równie wysokim poziomie jak we wszystkich ówczesnych społecznościach Północy; z całą pewnością stać ich było na tyle żelaza, cennych metali, ozdób, kobiet i siły roboczej, co wielmożów skandynawskich, z którymi się bili i handlowali jak z równymi. Rozmiary obwałowań ziemnych w Impiltis (obejmujących powierzchnię pięciu hektarów) i Apuole dobitnie świadczą o wysokim potencjale militarnym. Cenę za tę zamożność Prusów płacili przede wszystkim chłopci ze Szwecji i Kurlandii, którzy ze strachu przed nimi nie mogli żyć na swych żyznych wybrzeżach, oraz niewolnicy chwytni przez Kurów dla okupu, do pracy lub na sprzedaż.

Łotewscy wodzowie zapewniali sobie panowanie nad doliną Dźwiny, budując podobne wielkie warownie, służące przy tym ich rodom za osady i ośrodki handlowe; ich pozostałości można dziś obejrzeć między innymi nad Lelupą, w Tervie, Daugmale i Jersice. Łotyże nauczyli się wtedy oszczędzać paliwo, przechodząc od otwartych palenisk do glinianych lub kamiennych pieców; doskonała droga wodna, jaką była Dźwina, zapewniała stały napływ nabywców ich towarów, za które otrzymywali srebro, wełnę i broń. W Jersice i Kauguru znajdowały się ruskie punkty poboru należności lennych, ale nie oznaczało to zruszczenia tamtejszych plemion, które najczęściej potrafiły się obronić przed każdym agresorem. Można o nich powiedzieć to

samo, co o Litwinach pisał w latach dwudziestych XIII wieku Bartłomiej Anglik:

Są to mężowie rośli, dobrzy wojowie (...) Ich ziemia rodzi dobre zboże i owoc, pełno na niej zwierza dzikiego i domowego, jak i bagien, lasów potężnych, rzek i jezior, które mocną i bodaj jedyną są ich obroną. Dlatego też kraju owego nie da się najechać inaczej jak zimą, gdy rzeki i wody w okowach lodu staną.

Ta tendencja Bałtów do zaciętego oporu i bogacenia się nie mogła być miła światu chrześcijańskiemu. W 997 roku władca polski Bolesław Chrobry wyprawił do Prus praskiego biskupa Wojciecha, co się skończyło męczeńską śmiercią misjonarza; duński władca Swen II opowiedział Adamowi z Bremy o zbudowaniu na ziemi Kurów kościoła, o którym jednak nigdy więcej nie usłyszano. Kult świętych miejsc, roślin i zwierząt, zmarłych przodków i bogów był dla Bałtów gwarancją zdrowia i powodzenia, a także wyznacznikiem tożsamości rodziny, wioski i plemienia; kapłanów i kapłanki, strażników świętych rytuałów, otaczano powszechną czcią. Najważniejsze święta w roku dotyczyły płodności i urodzaju; także pogrzeby odprawiano bardzo uroczyście, ze składaniem ludzi i koni w ofierze. Pewne mniej znaczące, domowe zwyczaje religijne miały na niektórych obszarach przetrwać aż po XVIII wiek. I tak samo jak pogaństwo zachodniosłowiańskie zdawało się umacniać pod presją zagrożenia z zewnątrz, u Bałtów wręcz rozkwitało wszędzie tam, gdzie zdeterminowani wodzowie zdołali się obronić przed zakusami Kościoła

wojującego. Ofiarne palenisko i posąg o czterech twarzach odkryte pod cmentarzem katedralnym w Rydze nie były ani jedynym, ani ostatnim świadectwem potęgi starej religii.

Na północ od biegu Dźwiny krajobraz się zmienia. Najpierw ze stosunkowo płaskiego wybrzeża wyrastają podmokłe wyżyny i skaliste wybrzeże Estonii, i zarazem kończy się dominacja drzew liściastych, a zaczyna królestwo sosny. Jak pisał Bartłomiej Anglik, „wód tam mnogość i ziemia wydaje zdrowe zboże. Ryb jest pod dostatkiem i morskich, i rzecznych, a i zwierza stada nieprzeliczone”. Na wschód od jeziora Pejpus, gdzie „ostatnie gniazdują łabędzie”, i dalej na północ ciągną się gęste iglaste lasy przecinane w północno-zachodniej Rusi szerokimi rzekami, a w Finlandii zawiąła sieć moczarów, strumieni i jezior. Zbliżamy się do granicy klimatycznej, gdzie ornej gleby jest coraz mniej, a kalendarz nie sprzyja rolnikom; niedostatek mąki uzupełnia namiastka z mielonej kory, nie ma barci ani sadów, a kurze jajka są rzadkim rarytasem. Mieszkańcy tych ziem muszą się utrzymywać bardziej z łowiectwa i zbieractwa, niż z uprawy. Słońce, choć potrafi przygrzać, jest tylko przelotnym gościem; stałym mieszkańcem jest raczej ostra zima.

W tym regionie Szwedzi i Norwegowie pojawiali się i znikali, Słowianie nawet się osiedlali, ale prawdziwymi tubylcami były ludy mówiące językami ugrofińskimi, najmniej liczne wśród mieszkańców Północy, choć rozprzestrzenione na największym obszarze: w ośmiusetkilometrowej szerokości pasie ciągnącym

się od Zatoki Botnickiej aż po daleki Ural, przerwany tylko przez słowiański korytarz biegnący z Połocka na północ do Pskowa i Nowogrodu. Ugrofinowie przypuszczalnie migrowali na zachód przed XIV wiekiem p.n.e. i dotarli przez Estonię do Finlandii w czasach rzymskich. Część powędrowała na południe do ujścia Dźwiny (Liwowie), Estowie zaś trzymali się wyżyn i południowego brzegu Zatoki Fińskiej, zasiedlając też wyspy Dago i Ösel (dzisiejsze Hiiumaa i Saaremaa). Podobnie jak Bałtowie, podzielili się na plemiona żyjące w wyraźnie określonych granicach (trzy u Liwów, piętnaście lub szesnaście u Estów). Poszczególne terytoria obejmowały zespoły osad zwane *kilegunde*; słowo *kilegund* oznaczało później parafię.

Na krańcu Zatoki Fińskiej, między Nowogrodem a rzeką Narwą, leżał kraj Wotów. Dalej na północ rozciągały się domeny czterech ludów, w późniejszych źródłach zachodnich najczęściej nazywanych Finami. Nad brzegami Zatoki Botnickiej mieszkali Kainulaisetowie. Południowo–zachodnią część dzisiejszej Finlandii zajmowali Suomi, czyli właściwi Finowie (przez Adama z Bremy zwani *Turci*), częściowo ochrzczeni dobrzy rolnicy i rybacy, trzymający się na skraju porastającej interior puszczy. Ich wschodnimi sąsiadami byli mieszkańcy Häme (Tawastianie dla Szwedów, dla Rusów Jamowie), mieszkańcy środkowo–fińskiego jeziora, latem polujący na pustym odcinku południowego wybrzeża. Ostatnią grupę stanowili Karelowie, myśliwi osiedleni wzdłuż szerokiego pasa od jeziora Ładoga po Morze Białe i północny skraj Zatoki Botnic-

kiej. W porze letniej zapuszczali się jeszcze dalej na północ, na połowy ryb i pobór daniny w futrach od podległych im Lapończyków, by później zimą handlować z Rusami.

Byli to najdalej na zachód wysunięci członkowie wielkiej rodziny ludów ugrofińskich; już Adam z Bremy wiedział jednak, że daleko na Wschodzie istnieje cały, niepoznany jeszcze fiński świat; późniejsi pisarze ruscy uważali go za przynależny Rusi. Nazwy żyjących tam plemion znamy z *Powieści minionych lat*, pierwszej ruskiej kroniki, przypisywanej mnichowi z Kijowa Nestorowi (ok. 1056–1113). Wymienia on między innymi Wesów, Czudów Wschodnich, Pieczyngów, Permów, Maryjczyków i Mordwinów; wszystkie te ludy miały być wasalami Nowogrodu, podobnie jak na zachodzie Wotowie, Estowie i Karelowie. Są dowody, że istotnie czasem składały daniny, ale bywało też, że poborcy ginęli z ich rąk. Na pewno jednak były związane z Rusami przez handel: nowogrodzki rynek futer był dla nich bardzo atrakcyjny z uwagi na obfitość towarów na wymianę, jakie można było tam znaleźć. Była to swoista wzajemna zależność, która jednak wręcz zmuszała obie strony, by sobie nie przeszkadzały żyć według własnych zasad. Większość plemion ugrofińskich godziła się na podobne stosunki z obcymi lub między sobą; nie zdarzało się, aby ucierpiała na tym ich autonomia albo by dochodziło do kulturowych konfliktów.

Weźmy pod rozwagę życie ludów zamieszkujących samą Finlandię. Mieszkańcy Tavastland i Suomi wypracowali model osady z dużą chatą z bali otoczoną

mniejszymi zabudowaniami i chronioną przez palisadę, gdzie żyła jedna, lecz rozgałęziona rodzina wraz z niewolnikami, kierowana przez patriarchę (*talonpoika*). Zespół takich wsi zamieszkanymi przez spokrewnione rody miał wspólną tożsamość typu klanowego (*suka*), grupa klanów zaś, tworząca plemię, dzieliła usytuowaną najczęściej na wzgórzu warownię – schronienie i nazywała się *heimo*; było to słowo zapożyczone od Bałtów i nie oznaczało tak spójnej jedności jak u Łotyszów czy nawet Estów, lecz wspólnotę utworzoną dla określonych celów, w tym na potrzeby wojen. Organizacja ta dobrze się sprawdzała, o czym mogą świadczyć choćby niepowodzenia ruskich i szwedzkich najazdów aż do XII wieku. Finowie nie mieli królów czy wodzów plemiennych; w każdej *suka* o podziale gruntów ornych i praw łowieckich na przynależnych terenach decydowała rada talonpoików. Bogatszy ojciec rodziny, posiadający konia i zbroję, mógł być na czas wojny mianowany wodzem drużyny wystawionej przez całe plemię. Podobną nadrzędną funkcję pełnił *isanta*, przywódca grupy myśliwych udających się na północ na polowanie i w poszukiwaniu niewolników. Cały ten system przypominał trochę opisaną wcześniej organizację lapońskich nomadów, co jeszcze wyraźniej uwiadczało się u Karelów (ci nawet budowali podobne chaty kryte skórą lub korą). Nie była to jednak oznaka prymitywizmu, lecz przejaw zmyślnej adaptacji społecznej ludu rolniczego, niezbędnej do stawienia czoła wyjątkowym trudnościom, ale i do wykorzystania niezwykłych możliwości tej krainy, gdzie nie było mowy

o stałej nadwyżce plonów potrzebnej do utrzymania kasty zawodowych wojowników.

I Suomi, i Estowie byli nękani przez szwedzkich wikingów, z czasem jednak nauczyli się nie tylko bronić, ale i samym atakować, a także handlować. XII-wieczni biografowie norweskiego króla i bohatera Olafa Tryggvasona twierdzą, że za młodu był w Estonii niewolnikiem: wraz z innym chłopcem i starszym mężczyzną wpadł w ręce tamtejszego wikinga Klerkona:

Klerkon osądził, że Thorolf jest za stary na niewolnika i do pracy niezdolny, więc go zabił. Chłopców jednak zabrał i sprzedał później człowiekowi o imieniu Klerk za dorodną kozę. Później jeszcze inny mąż nabył odeń Olafa, płacąc dobrą sztuką materii bądź też gotowym ubraniem.

XIII-wieczny kronikarz Henryk Łotysz, opisując wyspiarzy z Ösel, wspomniał, że „zwykli wielkiej udręki nie szczędzić pojmanym brankom, tak młodym kobietom, jak i dziewicom, ustawicznie je gwałcąc i biorąc za żony, każdy po dwie lub trzy”.

Niewolników i futra przywożono na targ do Rewia (dziś Tallin) lub położonego w głębi lądu Tartu (Dorpatu); obie te miejscowości wymienia jako ważne ośrodki handlowe arabski podróżnik i kartograf Al-Idrisi w napisanej w 1154 roku dla króla Sycylii *Księdze Rogera*. Bardziej przedsiębiorczy kupcy wybierali się też za morze, do Visby na Gotlandii; również w Finlandii istniało kilka tego rodzaju targowisk, z których jedno zwróciło uwagę Al-Idrisiego jako „miasto ludne i bo-

gate”. Arabski geograf i kartograf nie był jednak zachwycony poziomem życia ludności regionu; był przekonany, że Estowie zimy spędzają w jaskiniach. Nie była to prawda, ale niektóre plemiona rzeczywiście budowały ziemianki; na pewno zaś niełatwo było z nimi walczyć. Nie lepszą opinię wyrobił sobie o nich Bartłomiej Anglik: „Ludzie ci bywają dziwni, porywczy, okrutni i szpetni, i daleko im do dobrej wiary”. Większość mieszkańców Estonii opierała się zachodniej chrystianizacji aż po XII wiek, otaczając kultem drzewa, przodków i całe zastępy duchów, które w ich wierzeniach zasiedlały puszcze. W każdej rodzinie był obeznany z tym niewidzialnym światem „mąż mądry”, a w plemienu odpowiadali za te sprawy szamani.

Wzajemne oddziaływania

Między wszystkimi tymi ludami istniały powiązania - przede wszystkim handlowe: wymiana towarów i niewolników, tranzyt do dalej położonych regionów. Ilość dóbr, jaką opłacało się przewozić, zależała do pewnego stopnia od miejscowego popytu i konsumpcji, ale też od apetytu znacznie większych połaci świata - na tym fundamencie wyrosła potęga Duńczyków, Słowian połabskich i Rusów, którzy dzierżyli bramy do zachodniej, środkowej i wschodniej Europy. To ich kupcy transportowali produkty leśne, suszone ryby i niewolników na rynki pogranicza lub przyciągali do swoich siedzib kolegów po fachu z obcych stron, oni też gromadzili najwięcej srebra i importowanych dóbr luksusowych. Wzajemne kontakty siłą rzeczy musiały

być pokojowe - przynajmniej do chwili, gdy kończył się handel, a zaczynała rywalizacja o dostęp do towarów lub rynków. Dlatego też były faktorie, w których kupcy i ludzie innych zawodów zgodnie żyli i współpracowali na ustalonych warunkach, choć w podróży musieli mieć broń na podorędziu i bystrym okiem wypatrywać nieproszonych amatorów ich ładunku. W Szlezwiku na przykład mieszkały społeczności Duńczyków i Fryzów, stale też przewijali się tam Sasi, Rusowie, Połabianie i Norwegowie. Na szczecińskim lub wolińskim rynku nietrudno było spotkać Polaka, Niemca, wyspiarza z Rugii, a nawet Greka (czyli Bizantyjczyka), o czym pisał Adam z Bremy; nie inaczej rzecz się miała w Visby, szwedzkiej Sigtunie i Nowogrodzie. W każdym z tych miast targowiska były otwarte dla każdego przybysza; regulowały to porozumienia kupieckie, jak w wypadku szwedzkiego „prawa Birki” (nazwanego tak od ośrodka handlowego, opuszczonego po 1060 roku), traktaty z miejscowymi władcami (prawo Szlezwiku lub część handlowa wczesnych kodeksów ruskich). W Szlezwiku działał przedstawiciel królewski, do którego należało pobieranie grzywien, myta i dorocznych danin od osiadłych rzemieślników; w zamian za to mieszkańcy grodu mogli manipulować wagą swych monet i otwierać rynki i porty dla cudzoziemców (pod warunkiem że nie pochodzili z krajów wojujących z królem), a kapitanowie statków zachowywali pełną jurysdykcję nad swoimi załogami i ładunkiem.

Rola interwencyjna monarchy była tu czynnikiem bardzo istotnym. Władcy czerpali zyski z rozwoju ob-

rotu towarowego i w XII wieku mieli w nim coraz większy udział. Dzięki kupcom pomnażali majątek, zyskiwali informacje, wiedzę (także militarną) i rozrywkę, starali się więc oferować im - tak swoim, jak i obcym - możliwie najatrakcyjniejsze warunki. Poszukiwacz fortuny z Islandii, Norwegii czy Saksonii był zazwyczaj mile widzianym gościem na dworze duńskim; u knezia obodrzyckiego zawsze można było spotkać kupców saskich; książęta ruscy wprowadzili zasadę, że gdy któryś z miejscowych handlowców bankrutował, w pierwszej kolejności zaspokajano z masy upadłościowej roszczenia cudzoziemskich wierzycieli; nalegali też, by kredyty dla prowadzących interesy z odległymi regionami były nisko oprocentowane z uwagi na długi czas realizacji zysków przez dłużników. Jeżeli kupiec tracił towar wskutek katastrofy morskiej, wolno mu było spłacać należności w ratach; takie wypadki musiały zaś zdarzać się często, skoro już w 1117 roku król Danii wolał zastrzec sobie prawo do mienia z wraków wyrzucanych na jego wybrzeże, niż pozwalać zarabiać na nim mieszkańcom nadmorskich wsi, jak to bywało od niepamiętnych czasów.

Ten uniwersalny pęd do bogacenia się był przywilejem tylko nielicznej wyspecjalizowanej warstwy, międzynarodowej elity kupieckiej, która dysponowała środkami transportu, dostępem do towaru, znajomością języków i niezbędnym uzbrojeniem. Między nimi a mniej uprzywilejowaną grupą dostawców dóbr panowała wieczna podejrzliwość, a nawet wrogość, powściągnięta koniecznością kompromisu. Takie stosunki

łączyły na przykład Skandynawów i Rusów z dostarczającymi im futer łowcami z Dalekiej Północy. W Norwegii było to sformalizowane przez prawo zwane *Finnkaup* - monopol przyznany przez króla jednemu z pogranicznych wielmożów, który był upoważniony do zapuszczania się zimą na czele niewielkiego oddziału głęboko na ziemie lapońskie i pobierania w imieniu Korony podatków (*skatt*) od nomadów, którym z kolei sprzedawał poszukiwane towary zachodnie. Zbrojna drużyna była mu potrzebna, aby karać Lapończyków uchylających się od płatności i odpierać Karelów usiłujących penetrować ten sam region z nadzieją na zyski na rynkach Nowogrodu i Finlandii.

Norwegowie czerpali podobno z takiego układu nadzwyczajne korzyści, ale zarazem tego rodzaju interesy wiązały się z ustawiczną grabieżą i przemocą z obu stron. Nierzadko zachodziła konieczność organizowania karnych ekspedycji, czasem nawet osobiście prowadzonych przez króla. Podobnie było w Nowogrodzie: aby umacniać ruski monopol na handel z sąsiednimi plemionami fińskimi, książę musiał od czasu do czasu ogniem i mieczem przypomnieć wodzom, kto tu rządzi i kogo warto przebłagać wiązkami cennych futer. Na północnych szlakach nie kwitła wzajemna miłość i ufność. W kronice z 1193 roku czytamy o wyprawie dowódcy Jadreja, który dotarł aż do żyjącego nad dolnym Obem plemienia Jugrów, zdobył warownię i stanął obozem pod inną osadą, czekając na ich kapitulację. Jeden z jego ludzi, niejaki Sawko, wszedł jednak

w konszachty z wodzem i odwiódł swego dowódcę od ataku.

„Zbieramy srebro, skóry sobole i inne cenne dobra. Nie rujnujcie wasali waszych i daniny nie traćcie”, rzekł Jugra, gdy tymczasem zbierali nie daninę, lecz armię. Później zaś powiedzieli: „Wybierzcie znaczniejszych spośród was i wejdźcie do miasta”. I dowódca postuchał, zabrawszy z sobą popa i Iwanę Legena, i innych znamienitych mężów. Tam ich wycięli w wilię św. Barbary, po czym posłali po trzydziestu innych wojów i ich także zgładzili; a po nich jeszcze pięćdziesięciu.

Rzeź trwała dalej na życzenie samego Sawki; Jugrowie wyszli z warowni i przypuścili otwarty atak na tak osłabioną drużynę, z której zaledwie osiemdziesięciu ludzi wiosną wróciło do Nowogrodu, ale nie-szczęście zwróciło ich przeciwko sobie:

Zbyszka Wołosowica, Zawida Niegoczewica i Mojstawa Popowica zabili własni towarzysze, inni zaś wykupili się od śmierci pieniędzmi; podejrzewano ich bowiem, że zmówili się z Jugrami przeciw braciom swoim, to jednak Bóg niech rozsądzi.

Na Bałtyku i jego wybrzeżach rywalizacja między największymi kupcami i handlarzami niewolników z Danii, Szwecji, Słowiańszczyzny i Estonii prowadziła do nie mniej krwawych incydentów, a w latach 1100–1250 dochodziło nawet do regularnych działań wojennych z wykorzystaniem całej militarnej siły poszcze-

gólnych państw, a w ich rezultacie do trwałego podporządkowania różnych ludów. Przyczyny tej eskalacji nie są jasne, ale w wypadku Duńczyków i Słowian połabskich wiele wspólnego miała z tym nierówna dystrybucja zasobów. Słowianie przeżywali wyż demograficzny, o czym świadczy wielkość ich grodów, potrzebowali zatem albo lepszych plonów, albo większego terytorium; ich ziemie były jednak wyraźnie gorszej jakości niż w krajach ościennych, granic zaś nie dało się poszerzyć bez nieustannych, wyczerpujących wojen z Sasami i Polakami. Aby uprawiać większy areał, Połabianie potrzebowali najtańszej siły roboczej, czyli jeńców; podaż żywności w miastach mogli zwiększyć tylko dzięki zyskom z handlu i grabieży (rabowali zaś nie tylko kruszce i niewolników, ale i bydło, owce czy zboże). Musieli też uzupełniać braki we własnych zasobach spowodowane przez najazdy Duńczyków. Coraz częściej przychodziło im wspierać wędną gospodarkę zamorskimi najezdami; Duńczycy, zajmujący urodzajne, a przy tym bardziej równomiernie zasiedlone obszary, dostrzegali, że równowaga sił zmienia się na ich niekorzyść. Mogli skutecznie konkurować ze słowiańskimi kupcami na rynkach, nie udawało się im jednak ochronić własnych wybrzeży; do tego potrzebne było zorganizowane działanie króla i wielmożów, najlepiej z pomocą Sasów, to się zaś wiązało z wymogiem większego politycznego zespojenia niż w XI wieku.

Tak oto handel prowadził do nowego rodzaju wojny; na Północy jednak wojowano zawsze i z reguły według określonego wzorca, a nawet zasad. Tą tendencją

wypada się więc teraz zająć jako drugim najważniejszym przejawem interakcji między ludami regionu bałtyckiego.

Wojna, podobnie jak handel, była domeną elity, a w najprostszej formie mogła być zwykłym rozszerzeniem rodowej waśni. Na początku lat czterdziestych XI wieku książę obodrzycki wysłał dwóch swoich synów na łupieżczą wyprawę do Danii, ponieśli jednak porażkę i obaj zginęli. Aby ich pomścić, kneź zmobilizował armię i pomaszerował spustoszyć Jutlandię. Najeźdźcom zastąpił drogę król Magnus Dobry; w walnej bitwie na wrzosowych polach Lürschau, na północ od Szlezwiku, poległy tysiące słowiańskich wojów. Około osiemdziesięciu lat później inny władca obodrzycki, Henryk, stracił syna z rąk Rugian. Zorganizował przeciwko nim karną ekspedycję połączonych sił słowiańsko-saskich, do walki jednak nie doszło - zadowolili się daniną i wrócił do domu. W 1152 roku syn króla szwedzkiego porwał żonę duńskiego rycerza i jej siostrę i obie uczynił kochankami. Duński monarcha Swen III uznał to za plamę na honorze całego ludu i poprowadził inwazję na wielką skalę z zamiarem podbicia całej Szwecji, mimo że ojciec jurnego królewicza błagał o pokój, sam zaś winowajca już nie żył. Te przykłady wskazują, jak zwykle podówczas poczynania możnowładców - prywatne najazdy, *raptus puellarum*, wendety - mogły w pewnych okolicznościach, choć nie było to regułą, wytworzyć tyle tarcia, że następował zapłon prawdziwej wojny. Aby osobisty spór przerodził się w publiczną, polityczną wrogość, musiała istnieć

wspólnota interesów między wojennym przywódcą ludu, podległymi mu wielmożami i dostępnymi wyszkolonymi wojownikami - a nie zawsze tak było - choćby w 1086 roku, kiedy król duński Kanut IV chciał zaatakować Anglię, lub pokolenie później, gdy król Mikołaj wyruszył na Obodrzyców, a jego jarl Elef stanął ze swą jazdą pod Szlezwikiem i palcem nie kiwnął, gdy słowiańska drużyna gromiła najeźdźcę. Przy tak luźnej organizacji państwowej wojny na ogół bywały li tylko przelotnym rozděciem ciągłych, acz mało istotnych zadrażnień między pogranicznymi władcykami i rzadko kiedy prowadziły do długotrwałych zmian status quo.

Jeśli nawet władcy mogli mobilizować armie dla osiągnięcia celów politycznych, najczęściej nie kończyło się to zdobyciami terytorialnymi ani podporządkowaniem zaatakowanego ludu. Kanut Wielki przed śmiercią musiał znieść utratę Norwegii, a jego synowi Kanutowi Surowemu najpierw wysliznęła się z ręki Anglia, a później i sama Dania. Brutalne kampanie prowadzone w latach 1090–1128 przez polskich władców na Pomorzu doprowadziły zaledwie do chwiejnego pokoju i rezygnacji z dalszych prób podboju. Nie lepiej się im wiodło na prawym brzegu Wisły; „Zostawmy Prusów dzikim bestiom”, napisał pierwszy polski kronikarz.

Ta wyraźna nieskuteczność północnych wojen wynikała po części z niezbyt ambitnych celów, jakie sobie stawiały walczące strony. Władców zadowalały pokazowe hołdy i daniny; jeśli nie udawało się tego dopiąć, grabili, co się dało, i wracali do domów, pozwalając

pieśniarzom słać to jako wielką wiktoryę. Nikt nie starał się zmieniać geografii politycznej regionu.

Drugim tego powodem były naturalne przeszkody, ograniczające stosowanie różnych technik walki, wykluczające wielkie kampanie i podboje. Na całej Północy przyjęte były tylko dwa typy strategii. Pierwszą były letnie najazdy, najczęściej dokonywane tuż przed lub tuż po żniwach: od maja do czerwca i od sierpnia do września. Ponieważ komunikacja lądowa była najgorsza w miesiącach wiosennych i jesiennych - podczas roztopów i w porze szarug - wszystkim zależało, by działania nie przeciągały się poza dogodne sezony. Ulubioną letnią metodą walki były wtedy ataki z morza; zimą toczono boje na lądzie, korzystając z zamrzniętych bagien i rzek, i rozjeżdżano się do domów w okolicach Bożego Narodzenia czy u pogan święta przesilenia zimowego. Z powodu mrozu i niedostatku żywności zazwyczaj były to krótkie wojny i stosunkowo niewielkie potyczki.

Ta konwencja miała swoje dobre uzasadnienie. *Powieść minionych lat* opowiada, jak w 1103 roku drużownicy księcia kijowskiego wyperswadowali mu projekt walnej wiosennej ekspedycji, ponieważ wymagała ona rekwirowania chłopskich koni, potrzebnych przecież w tym czasie do orki. W Nowogrodzie, gdzie o wierzchowce było jeszcze trudniej, taka rada mogła się przerodzić w opór. Zbyt liczna lub odcięta od dostaw zimowa armia stawała w obliczu klęski, jak wtedy, gdy Duńczycy najechali Szwecję w 1152 roku, celowo czekając na mróz, aby móc maszerować na skróty

przez zamarznięte jeziora. Kiedy zagłębili się w interior, pisze Sakso Gramatyk,

niezwyczajnie gruba warstwa śniegu pokryła cały kraj, zimno zaś było tak straszliwe, że zziębnięte niemowlęta umierały pijąc mleko matek, które same ledwo się życia trzymały. Duńscy woje także cierpieli od okrutnej pogody niechając rozbijania obozów i nocnego strażowania. Jedni grzać się próbowali przy ogniskach, inni pod dachem, więcej myśląc o skóry ratowaniu niżli o wojnie i baczniej się w niebo niż we wroga wpatrując.

Po kilku potyczkach król chciał nacierać dalej,

jednakowoż zimno okrutne i brak koni, wykruszonych przez drogi podłe i niedostatek paszy, mu na to nie pozwoliły. Spieszni z konieczności jeźdźcy ładowali swój ekwipunek na konie druhów, ale te przeciążone same się do domu wykradały bez króla wiedzy.

W takich kampaniach lepiej wypadali Karelowie, dobrze też sobie radzili stronnicy norweskiego pretendentą do tronu Sverre Sigurdssona w latach 1175–1184, działający w małych grupach doborowych wojowników zaopatrzonych w narty i wykorzystujących nieprzeciętne umiejętności myśliwskie; takie siły niewiele jednak mogły zdziałać na gęściej zaludnionych nizinach, gdzie ważna była liczebność - a tylko na kraje nizinne opłacało się napadać.

Wojna morska także w dużym stopniu była uzależniona od pory roku i pogody. Otwartopokładowe okręty

przeciwny wiatr unieruchamiał, a sztormy je topiły. Zebranie większej floty wymagało wiele czasu i sprawnego planowania; ponadto, żeby taka armada zdążyła wyruszyć we właściwym kierunku, zanim przejadła zapasy, trzeba było zwykłego łutu szczęścia. To właśnie skłoniło duńskiego króla Waldemara I do wypuszczenia się na morze przy niesprzyjającym wietrze latem 1159 roku; tak długo czekał na lepszą pogodę, że w końcu nie miał innego wyjścia, jak zaryzykować utonięcie albo zrezygnować z wyprawy. Jego okręty tak ucierpiały, że większość musiała zawrócić; sam król przeskakował na kolejne jednostki z mieczem w jednej dłoni i sztandarem w drugiej, a nieliczne załogi, które uparcie płynęły dalej, posilały się, nie przerywając wiosłowania. Był to zaiste heroiczny wyczyn, ale związany z ogromnym ryzykiem, jakiego większość kapitanów wolała nie ponosić.

Im dłużej trwała kampania, tym większe było prawdopodobieństwo natrafienia na złą pogodę. Najbardziej chyba ryzykownymi operacjami były morskie desanty dużych sił, podczas których kumulowały się zagrożenia typowe dla morza i lądu. Dopiero po 1130 roku duńskie i słowiańskie floty zaczęły przewozić także konie, co zwiększało szanse powodzenia działań lądowych. I wcześniej, i potem starano się unikać wyruszenia na morze ze zbyt dużą częścią sił zbrojnych naraz; jak się przekonał Waldemar, zapędziwszy się ze swoją armadą między bagniste brzegi Dziwnej, królestwo mogło za jednym zamachem stracić całą elitę.

Skuteczność tak letnich, jak i zimowych wojen zależała od pokonania problemów transportowych, których nie dało się rozwiązać, jak w innych regionach Europy, przez zgromadzenie wozów, zwierząt pociągowych i zapasów. Podboje, jakich dokonali w Anglii Kanut i Wilhelm I, nie były możliwe do realizacji na średniowiecznej Północy: duże armie nie mogły przetrwać całej zimy na terytorium nieprzyjaciela, ich wodzowie przedkładali więc szybką korzyść z okupu i bezpieczny powrót z łupem do domu nad długoterminowe zyski z zagarniętych ziem.

Handel i wzajemne najazdy nie były oczywiście jedynymi rodzajami wzajemnych oddziaływań między ludami Północy: już od początku XII wieku zdarzały się pertraktacje między władcami, działały chrześcijańskie misje, zawierano sojusze przez małżeństwa, wszystko to jednak może poczekać do następnych rozdziałów. Żadna z tych działalności nie wywoływała tak silnych zadrażnień jak dwie tu omówione - a takie właśnie konflikty miały w przyszłości doprowadzić do zjawiska, jakie nazywamy krucjatami północnymi.

Krucjaty połabskie w teorii i praktyce (1147–1185)

Krucjata z 1147 roku

Wyprawy krzyżowe są trudne do zdefiniowania, ponieważ wojny prowadzone w imię chrześcijaństwa miały zróżnicowany charakter, a żadnej z nich ówczesne osoby dramatu nie nazywały krucjata. „Podjęcie krzyża” stało się wstępem do wzięcia udziału w ogłoszonej przez papieża „świętej wojnie” lub jej wspomnienia; średniowieczni prawnicy i teolodzy nie spieszyli się jednak z ustaleniem, na czym ta „świętość” miałyby polegać. Bestia zrodziła się nie z ideologicznego rozwoju, ale z politycznej awantury w wykonaniu żarliwych duchownych i rycerzy, w chwili gdy „etatowi” obrońcy wiary, czyli cesarz i królowie, wojowali między sobą albo i z papieżem. Ten brak zainteresowania sprawami Kościoła wojującego był tylko tymczasową anomalią i wkrótce wielu monarchów miało „podjąć krzyż”, tak się jednak złożyło, że w ostatnim dziesięcioleciu XI wieku żaden z wielkich władców nie palił się do walki w imię Chrystusa w dalekiej Palestynie.

Inicjatywę przejął więc sam papież Urban II i doprowadził do rozpoczęcia żywiołowej europejskiej wyprawy w latach 1096–1099, którą później nazwano pierwszą wyprawą krzyżową. W jej wyniku odbito z rąk Saracenów Jerozolimę i założono nowe chrześcijańskie kolonie na Wschodzie. Prócz celów i skutków

ta wojna wyróżniała się także sposobem rekrutacji i dowodzenia armią, ale nie warunkami służby. Żołnierze szli do walki, złożywszy śluby wierności uwalniające ich od świeckich trosk i problemów, i uzyskali odpust zupełny - podobnie jak pielgrzymi i uczestnicy mniej ważnych kampanii w obronie Kościoła lub w innej godnej sprawie. Kiedy już Jerozolima znalazła się w rękach chrześcijańskich, aż do końca XII wieku nie było potrzeby ani organizowania akcji na taką skalę, ani ściślejszego zdefiniowania czy zinstytucjonalizowania świętej wojny. Wszyscy zgodnie uznali, że pierwsza krucjata, jak ją dzisiaj zwiemy, wykraczała poza normalne ramy ludzkich przedsięwzięć - była wynikiem *Gesta Dei*, dziełem samego Boga.

Na żadnym etapie nie było jednak konsensu co do tego, jakie właściwie religijne cele mogą być uzasadnieniem tak pierwszej, jak i następnych wypraw krzyżowych. Ich uczestnicy niezależnie od rangi wierzyli, że biorą udział w swego rodzaju pielgrzymce; trudno było jednak tym samym hasłem objąć ataki na Aleksandrię, Tunis czy Konstantynopol. Obrona wspólnot chrześcijańskich żyjących na pograniczu świata islamu lub pod muzułmańskimi rządami była stałą koniecznością, ale zazwyczaj łatwiej było ten cel zrealizować w drodze rokowań niż wojny - co miał udowodnić w 1229 roku Fryderyk II. Chrześcijanie z Lewantu rzadko kiedy tak tęsknie wyglądali interwencji z Zachodu, jak to się wydawało krzyżowcom; kiedy zaś zdobywano nowe tereny lub odbijano utracone ziemie, osiągnięcia te na ogół stały w sprzeczności z tradycyjną doktryną wyż-

szości celów duchowych nad doczesnymi. Po utracie Jerozolimy w 1187 roku wola odzyskania Świętego Miasta i powrotu dni chwały sprzed dziewięćdziesięciu lat doprowadziła do wypracowania bardziej określonej koncepcji krucjaty oraz logistycznej maszyny, która by ją wprowadziła w życie. Idea walki o Grób Pański stała się sposobem zdobywania duchowych zasług. Propagowali go papieże poprzez system perswazji, grózb i nagród, nastawiony na werbowanie rycerzy chrześcijaństwa do obrony zagrożonej wiary. Retoryka, prawo, rytuały i finanse dotyczące krucjat zostały ujęte w oficjalne ramy - zanim to jednak nastąpiło, święta wojna pozostawała pojęciem mało precyzyjnym.

Dlaczego więc papieństwo zdecydowało się w 1147 roku użyć tej broni przeciwko poganom z północno-wschodniej Europy? Ten region doświadczył już wielu inwazji chrześcijańskich armii, zazwyczaj pod sztandarami wielkich imperiów. Karolingowie, Ludolfingowie, cesarze z dynastii salickiej podporządkowywali sobie Duńczyków i Słowian, zmuszając ich do przyjmowania chrztu i posłuszeństwa wobec biskupów. Pod koniec XI wieku ten napór stracił impet. Dania stała się niezależnym chrześcijańskim królestwem; ci ze Słowian, którzy odtrącili nową wiarę, przestali przyciągać uwagę cesarza, który zajęty był wtedy Nadrenią, południową Rzeszą i Italią. Ważne arcybiskupstwa w Bremie - Hamburgu oraz Magdeburgu, zdane na łaskę Opatrzności, organizowały pokojowe misje, jak Vizelina, Norberta czy Ottona z Bambergu w latach dwudziestych XII wieku. Sascy książęta i margrabiowie, niegdyś nieźle

prosperujący dzięki wschodnim przedsięwzięciom cesarstwa, stracili dobre układy z późniejszymi władcami salickimi, nie mogli zaś prowadzić wojen zaborczych na własną rękę. Nie zapomnieli o swoim „imperialnym przeznaczeniu” ani o roszczeniach terytorialnych wobec Połabian, ale ich wojowniczość znajdowała teraz ujście tylko w przygranicznych utarczkach między równymi i niezbyt skutecznie działającymi przeciwnikami. W 1108 roku archidiecezja magdeburska wezwała ludzi Zachodu do zajmowania ziem Wendów, jak z niemiecka nazywano Słowian połabskich. W latach 1110–1124 książę saski Lotar próbował tego co najmniej trzykrotnie, raz zapuszczając się aż pod Rugię, ale jego kampanie nie zaowocowały ani zdobyczami terytorialnymi, ani rozszerzeniem wpływów Kościoła. Lotar osadził w Holsztynie swego głównodowodzącego, Adolfa z Schauenburga, który miał sam zadbać o utrzymanie się w zajętej prowincji, co było możliwe tylko dzięki sojuszowi z silnym władzą obodrzyckim Henrykiem. Sam Lotar III z Supplinburga został w 1125 roku królem Niemiec i całą uwagę obrócił na południe, północno–wschodnie pogranicze pozostawiając własnemu losowi i inicjatywie miejscowych. Zmarł w 1137 roku, a spór o schedę spowodował, że Saksonia przez kilka lat pozbawiona była tradycyjnego książęcego przywództwa.

Mówiąc o ludziach z pogranicza, mam na myśli Sasów żyjących nad Łabą, w tak zwanej Holzacji i Nordalbingii - zachodniej połowie Holsztynu za chaszczami i lasami *limes Saxoniae*. Sasi cieszyli się

starannie podtrzymywaną opinią mężów rośliwych, bitnych i brutalnych; Holzatowie nawet wśród nich byli uważani za warchołów i nieustraszonych zabijaków. Jak to często bywa na kresach, wielu z nich było ludźmi wolnymi, nominalnie należącymi do warstwy możnych, dobrze władającymi bronią i skłonni do uzupełniania skąpych dochodów z narażonych na wojenne szkody gospodarstw służbą zaciężną lub po prostu z rabunku. Królowie i księżęta ich zatrudniali, ale nie darzyli zaufaniem; trzymała ich w ryzach tylko perspektywa udziału w łupach i groźba słowiańskich najazdów. Z jakiegoś powodu - być może z chęci zemsty za grabież Segebergu albo też w wyniku rywalizacji między lokalnymi watażkami - grupa Holzatów nagle postanowiła zająć ziemie po wschodniej stronie odwiecznej granicy. W latach 1140–1143 kilkanaście rodów wdarło się do Wagrii, wyparło połabskich wodzów, zbudowało warownie i dwory - krótko mówiąc, osiedliło się tam na stałe. Ich przywódca, hrabia Adolf II Holsztyński, oraz jego rywal Henryk von Badewide zapuścili się jeszcze głębiej na tereny Słowian, zagarniając grody Lubice (Lubeke) i Racibórz (Ratzeburg). Po trzystu latach istnienia *limes Saxoniae* przestała być granicą polityczną. Była to czysta aneksja, a nie wojna w imię krzyża, ale ponieważ teraz można było ustanowić pracującego na tym terytorium od kilkunastu lat misjonarza Vizelina biskupem - najpierw z siedzibą w Stargardzie (Oldenburgu), a później w Lubece - rezultatem tych działań był zysk Kościoła. Metody zastosowane przez agresorów wskazywały, jak mogą w przyszłości wyglądać

„święte” wojny. Niewielkie oddziały ciężkozbrojnego rycerstwa i kilka małych, ale dobrze umocnionych strażnic wystarczało do opanowania i podporządkowania nowych terenów; w dalszej kolejności osadzano tam kolonistów, którzy zagospodarowywali dotychczasowe nieużytki i tym samym zwiększali dochody nowych właścicieli ziemi, a w ślad za osadnikami pojawiali się misjonarze z zadaniem „poskromienia” Słowian i obłożenia ich daninami. Takie rozsadzanie tradycyjnych słowiańskich systemów polityczno-społecznych było czymś nowym; germańscy zdobywcy z X wieku zadowalali się tylko ściąganiem kontrybucji i egzekwowaniem służby wojskowej, sami zaś żyli niemal tak jak pokonani przez nich słowiańscy wodzowie. Ich biskupi nie wymagali od podbitego ludu nawrócenia się i chrztu, jeśli mogli w zamian uzyskać okup, życie więc mogło się toczyć utartym torem. Teraz słowiańscy kmiecie zostawali odcięci od swoich panów i dawnych wierzeń, musieli też oddawać pastwiska i lasy osadnikom. Do 1145 roku połabski kneź Niklot utracił na zawsze swoje zachodnie prowincje, a dalej na południu część Słowian ze starego Nordmarku (Marchii Północnej) przyjęła zwierzchność saskiego margrabiego Albrechta Niedźwiedzia.

W tym właśnie czasie do zachodniej Europy dotarła wieść o podbiciu przez muzułmanów chrześcijańskiego hrabstwa Edessy i papież Eugeniusz III wezwał do wyprawy dla ratowania Ziemi Świętej. Głównym animatorem krucjaty stał się wpływowy opat cysterski, Bernard z Clairvaux. W 1146 roku zdołał nakłonić wie-

lu rycerzy z Francji i południowej Rzeszy do podjęcia krzyża i gotowania się do wymarszu na Wschód pod wodzą ich królów, Ludwika VII i Konrada III, ale poza tymi dwoma krajami odzew był mniej zadowalający: ani kazania złotoustego zakonnika, ani dobitny język jego listów nie porwały tylu rycerzy iberyjskich i Niemców z północy, na ilu obecność liczył. Eugeniusz III uratował sytuację, zalecając Alfonsowi VII Kastylijskiemu zaatakowanie Maurów na Półwyspie Iberyjskim, zamiast Saracenów w Syrii. Podobny sposób przyszedł do głowy Bernardowi 13 marca 1147 roku, gdy podczas obrad Reichstagu we Frankfurcie usłyszał, jak saskie rycerstwo domaga się, by mu pozwolono uderzyć na pogańskich Słowian na wschodnim pograniczu. Przekazał sprawę papieżowi i dokładnie miesiąc później wydana została bulla *Divina dispensatione*, zwalniająca chrześcijan z północnej Europy z obowiązku marszu na Jerozolimę, jeśli wydadzą świętą wojnę pogaństwu na swoim terenie. Przywileje, zasługi i insygnia tych krzyżowców miały być takie same jak wszystkich innych, ale cele odmienne. Dla Bernarda krucjatę określał nie kierunek wyprawy, lecz jej wynik. Zagrzewał więc do walki z poganami „dopóty, dopóki z Bożą pomocą albo się nawrócą, albo sczezną” - bez rozejmów, bez okupów od nieprzejednanych. Chrzest albo śmierć - tylko taki miał być dla nich wybór.

Idee krucjaty lub przymusowego chrztu nie były nowością dla Duńczyków, Sasów i Polaków, którzy odpowiedzieli na ten apel. Rycerze z tych trzech nacji bywali już w Ziemi Świętej w roli krzyżowców i piel-

grzymów, otrzymując odpusty i inne nagrody związane z takimi wyprawami. Ich przodkowie sami bywali nawracani pod groźbą śmierci. Duńczycy zastosowali tę metodę jeszcze w 1135 roku, kiedy zdobyli Arkonę i hurtowo ochrzczili załogę grodu, choć rezultaty okazały się dalekie od zadowalających. Polacy usiłowali w ten sam sposób przywieść na łono Kościoła Pomorzan, nie nawykli jednak do wojowania z sąsiadami dla zasług duchowych ani do odrzucania propozycji okupu. Kiedy Sasi zażądali zezwolenia na ofensywę przeciwko Słowianom, kierowali się odwiecznymi motywami: chęcią zdobycia nowych ziem albo nowych wasali. Dla Duńczyków była to okazja do odwetu przeciwko piratom i łapaczom niewolników, a dla Polaków szansa pokromienia uciążliwych sąsiadów, Prusów. Fakt, że kneź Niklot i jego plemię byli zagorzałymi poganami, miał drugorzędne znaczenie; determinację szykujących się do walki z nim wojsk podsyciała raczej pamięć jego niedawnej (z czerwca 1147 roku) inwazji na Wagrię, podczas której spustoszył nowe saskie osady i nie krył się z zamiarem odbicia utraconych wcześniej ziem.

Późnym latem 1147 roku do natarcia na Obodryców gotowe były dwie duńskie floty i dwie saskie armie. Pretendenci do duńskiego tronu, Kanut V i Swen III, zaniechali na ten czas wzajemnych waśni i wraz z bremeńskim arcybiskupem Adalberonem oraz młodym księciem saskim Henrykiem Lwem wzięli w dwa ognie nową połabską warownię w Dobinie; druga armia Sasów pod wodzą legata Anzelma z Havel-

bergu pociągnęła z Magdeburga na odległą o ponad dwieście kilometrów wielecką opokę w Dyminie.

Niklot rozgrywał swoje karty bardzo sprytnie. Dobin był małą miejscowością położoną z dala od utartych szlaków, przyległą do Jeziora Skwierzyńskiego i otoczoną bagnami, i dopiero on zwrócił na nią uwagę nieprzyjaciół, fortyfikując ją tego właśnie lata - ale dzięki temu związał dwie armie najeźdźców, podczas gdy trzeci oddział musiał ubezpieczać duńską flotę w Zatoce Wismarskiej. Niklot nakłonił Rugian, by zaatakowali ją od strony morza; załoga Dobina śmiałym kontratakem zdziesiątkowała duńskie siły lądowe, wykorzystując to, że jezioro przegradzało drogę ewentualnej saskiej odsieczy; wkrótce potem obaj pretendenci wycofali się do Danii, by tam podjąć zawieszoną wojnę domową. Książę Henryk z arcybiskupem zostali pod warunkiem dopóty, dopóki jej obrońcy nie zgodzili się przyjąć chrztu, po czym szybko się wycofali, nie czyniąc już Słowianom żadnych szkód. Kiedy bardziej fanatyczni krzyżowcy chcieli obrócić kraj połabski w zgliszcza i w ten sposób wymusić kapitulację, sascy rycerze zaprotestowali: „Czyż ta ziemia, którą niszczymy, i lud, z którym walczymy, nie są nasze?” Nikt nie chciał zabijać kury znoszącej złote jajka - nawet dla dobra własnych dusz.

W armii, która pomaszerowała na Dymin, poza legatem Anzelmem było aż sześciu książąt Kościoła (Moguncji, Halberstadtu, Münsteru, Merseburga, Brandenburga i Olmutz), ale jedynym jej prawdziwym osiągnięciem było spalenie pogańskiej świątyni w Male-

chowie; wśród rycerstwa byli tam jednak dwaj żądni zdobywcy margrabiowie, Konrad i Albrecht Niedźwiedź, i za ich poduszczeniem cała siła skręciła na wschód i obiegła chrześcijański Szczecin. Zaskoczeni mieszkańcy wystawili na mury krzyże, a tamtejszy książę Racibor z pomorskim biskupem Albertem wyszli na przedpole, by wyjaśnić krzyżowcom niestosowność ich poczynań. Starszyzna poobradowała, rycerze pomarudzili, ale w końcu radzi nieradzi wrócili, skąd przyszli.

Pierwsza północna krucjata nie przyniosła zatem ani wielkich sukcesów ideowych, ani militarnych. Kneź Niklot utrzymał i panowanie, i stare wierzenia na ziemiach Obodrzyców na wschód od Lubeki za cenę symbolicznej tylko uległości wobec Sasów; przymusowy chrzest jego wojów niczego w tej mierze nie zmienił i świątynie pogańskich bóstw miały się świetnie jak dawniej. Eksperyment ze współdziałaniem chrześcijańskich władców zakończył się fiaskiem, a granice wpływów Kościoła nie poszerzyły się ani o piędź. „Zrobiliśmy, co nam kazano, ale nic z tego nie wyszło”, zapisał opat Wibald z Corvey, który wziął udział w krucjacie z nadzieją na przejęcie Rugii. Chrzty były „fałszywe”, orzekł kronikarz Helmold z Bozowa, a choć Słowianie zgodnie z umową uwolnili część duńskich brańców, to tylko tych, którzy nie nadawali się do pracy. Niepowodzenie przyczyniło się do narastania zdrażnień między sprzymierzeńcami: Sasi uważali, że Duńczycy są fatalnymi sojusznikami, ich zaś z kolei podejrzewano, że przekupieni przez Słowian celowo nie ruszyli na po-

moc, dopuszczając do masakry sił duńskich. Nie było zgody między biskupami, którzy pragnęli ziemi, ale i dusz, a świeckimi wielmożami łaknącymi przede wszystkim zysku i skłonnyimi zostawić pogan w spokoju w zamian za okup. Do rozdźwięku dochodziło nawet między dowódcami a wojskiem: starszyzna zawróciła do domów, gdy tylko zawarty został pokój, a prości rycerze chcieli bić się dalej, zapewne już tylko dla większej zdobyczy.

Gdyby jednak wyprawa nie została podjęta jako święta wojna, uznano by ją za wcale niemały sukces. W jej wyniku Sasi umocnili się w zajętej Wagrii i na Połabiu, a kneź Niklot został ich lennikiem i sojusznikiem; zdobyto niemało łupów, wyzwolono pewną liczbę niewolników, a w całej kampanii agresorzy ponieśli tylko jedną poważniejszą porażkę pod Dobinem - w sumie całkiem nieźle jak na jeden letni wypad za słowiańską granicę. Była to zarazem demonstracja siły chrześcijaństwa w dobrym starym stylu: spłonęła bałwochwalcza świątynia, pogan skąpano w święconej wodzie i pokazano im, jak wiele nacji jednoczy znak krzyża. Wymuszona przez Sasów wojna z Połabianami przyciągnęła rycerstwo z Niemiec, Danii, Polski, Moraw, a nawet z Burgundii; czeski kronikarz nazwał ją *commotio christianorum*, ruchem wiernych. Następnego roku pomorski książę Racibor na wszelki wypadek przybył do Rzeszy, aby publicznie zapewnić o swej przynależności do wspólnoty chrześcijańskiej...

Tylko z punktu widzenia Bernarda z Clairvaux i misjonarzy krucjata połabska była przedsięwzięciem

zupełnie nieudanym, ponieważ za jej główny cel uważali trwałe nawrócenie Słowian; warto jednak postawić pytanie, dlaczego sądzili, że da się to osiągnąć środkami militarnymi. Z pozoru był to pomysł niedorzeczny; biskup pomorski po zażegnaniu niefortunnego ataku na Szczecin powiedział: „Jeśli przybyli umacniać wiarę chrześcijańską (...) powinni byli to robić słowem, a nie orężem”.

Odpowiedzi są dwie. Po pierwsze, według ówczesnych przekonań, zanim kaznodzieja mógł zacząć głosić Słowo i otworzyć serca pogańskich słuchaczy, trzeba było fizycznie pokonać diabła i posłać go... do wszystkich diabłów. Szatan miał bowiem na tym świecie wykonawców swej woli: demony bytujące w posągach bóstw czy świętych gajach i unoszące się wszędzie duchy powietrza, skrzydłami osłaniające pogańskie armie i wspierające je w boju. Obiekty kultu nie były bowiem puste: od czasów rzymskich niszczący je chrześcijańscy misjonarze „widywali” ich złowrogich mieszkańców wymykających się z powrotem do piekła: czasem pod postacią dzikiego zwierza, jak w Arkonie w 1168 roku, kiedy indziej jako rój much (w Gützkow, 1127 r.). Znaczniejsze demony dowodziły miriadami drobnych czarcików zasiedziały w duszach niewiernych i niewołących ich zmysły i rozum. Zwycięskie akty, jak obalenie posągu bóstwa czy wycięcie w pień pogańskiego oddziału, można było interpretować jako cios zadany tym czarnym siłom wiodącym ludzkość na manowce. Trzeba je było zadawać, inaczej paganie nigdy by nie dostrzegli prawdy.

Chrzest musiały poprzedzać egzorcyzmy, a jeśli ten rytuał znaczył cokolwiek, to właśnie to, że według Kościoła każdy zatwardziały poganin musi być opętany. Biografie świętych pełne są opisów demonów widocznych dla widzów (a przynajmniej dla egzorcysty) pod postacią małych czarnych ludzików, przez usta umykających z ciał nawróconych. Jak wszelkie wytłumaczenia ludzkich zachowań, teoria opętania rościła sobie prawa do rangi nauki; i jak większość naukowych hipotez miała swoją komiczną stronę. Źródła literackie dowodzą jednak niezbicie, że aż po wiek XVIII wielu uczonych traktowało podobne zjawiska z całą powagą, śmiech i drwiny zostawiając dla błędzących w nieświadomości pogan czczących martwą materię i złe duchy, choć mogliby oddawać cześć prawdziwemu Bogu.

Sam pomysł skierowania części krzyżowców do walki z północnymi „barbarzyńcami”, podczas gdy reszta szła bić się o Ziemię Świętą, wynikał z globalnej strategii wojny z siłami ciemności. Bernard z Clairvaux wiedział, że jeśli nawet udało się upokorzyć szatana, pokonując zastępy jego saraceńskich sług, nie odda on ziemskich rządów, dopóki ostatnie plemię nie porzuci pogaństwa i nie przejdzie pod sztandar krzyża. Bój o Północ był niezbędnym preludium do ostatecznego triumfu Królestwa Bożego. Skąd to przekonanie? Bernard miał w odwodzie rozległą, zgromadzoną w chrześcijańskich bibliotekach wiedzę o bałwochwalstwie, nawracaniu i eschatologii; wcielanie doktryny w życie dodawało mu wiarygodności i pewności siebie.

Ta doktryna w pełni przystawała do przeświadczenia, że pogan należy przekonać do prawdziwej wiary przez nauczanie i przykład osobisty - „wykarmić mlekiem objawienia”. Kiedy już nadnaturalne siły zostaną pokonane, ludzie otworzą się na łagodną perswazję - ale najpierw trzeba było swoje zrobić. Nie było na ziemiach słowiańskich czy pruskich misjonarza tak łagodnego, by się wzdragał ogniem lub toporem potraktować święty dąb, kęcinę czy rozglądający się na cztery strony świata posąg, mimo najgorętszych protestów miejscowej ludności. Każdy chwyt był dobry, żeby zdyskredytować lub przerazić pogańskiego kapłana. Z szatanem nie da się wygrać dobrocią; nałożone przez niego więzy trzeba było zerwać siłą, jeśli się chciało nauczyć zniewolonych właściwego posługiwania rękami. Fragment opisu misji Ottona z Bambergu w Szczecinie (1127 r.) jest doskonałym przykładem metody pracy ówczesnych krzewicieli chrześcijaństwa:

Pewnego dnia [Otton] napotkał bawiących się na ulicy chłopców, których pozdrowiwszy w ich barbarzyńskiej mowie i pobłogosławiwszy w imię Pańskie znakiem krzyża, okiem łaskawym przypatrywał się ich rozrywkom. Oni zaś wkrótce porzucili grę i otoczyli go kręgiem, po pacholęcemu dziwując się jego cudzoziemskiej szacie i postawie. Sługa Boży zatrzymał się i przemówił do nich łagodnie, pytając, czy są wśród nich ochrzczeni. Popatrzywszy po sobie, malcy wskazali tych, którzy chrzest przyjęli. Biskup wziął ich na stronę i spytał, czy chcą trwać przy wierze, na którą się na-

wrócili; gdy zaś wolę taką potwierdzili, rzekł: „Jeśli chcecie być chrześcijanami i wiary swojej dotrzymać, nie powinniście pozwalać tym niewiernym poganom przyłączać się do waszej zabawy”. Podzielili się tedy zaraz, stając z podobnymi sobie i ci, co do Kościoła należeli, odtręcili tych drugich, do zabawy ich nie dopuszczając. Zaiste piękny był to widok, jak owi chłopcy radowali się swym przywiązaniem do imienia Chrystusowego, ochoczo słuchając nauczyciela nawet przy swawoli, podczas gdy inni trzymali się z dala jakoby skonfundowani i wystraszeni niewiernością swoją.

Odtręceni malcy, jak mówi narrator (Herbord z Michelsbergu), w końcu sami błagali, aby im chrztu udzielono. Jak z tego epizodu wynika, sumienny misjonarz nie cofał się nawet przed mało szlachetną manipulacją wobec dzieci, aby przeciągnąć je na stronę Kościoła; jeżeli taka przemiana u dorosłych wymagała terapii *igni et ferro*, to pochodnia i miecz stawały się uświęconymi środkami osiągnięcia celu. Przy takim nastawieniu pobożny łowca dusz i szukający łupu wojak mogli być dla siebie wymarzonymi partnerami.

I właśnie te misje dostarczyły podstawowego uzasadnienia dla wojen o nawracanie. Do 1147 roku misjonarze odnosili pewne sukcesy na Pomorzu, działali też aktywnie wśród Obodrzyców, Wągrów i Połabian, ale ich dzieło dalekie było od ukończenia: w kraju Niklota i Wieleckich grodach pogaństwo trzymało się krzepko, a lud był wrogo nastawiony. Oba te regiony były jednak kiedyś lennem cesarstwa Ludolfingów,

a pamięć dawniejszych prób ich chrystianizacji była żywa w tradycji kościelnej i utrwalona w *Gesta Hammaburgensis...* Adama z Bremy. Autor celowo akcentował ten aspekt historii - zburzone lub popadłe w ruinę kościoły z lat 930–985, męczeństwo i prześladowania misjonarzy i nawróconych - aby obudzić we współczesnych poczucie odpowiedzialności; aż kusiło, aby interpretować ten wątek jako podstawę do roszczeń terytorialnych wobec krajów pogańskich. Rekonkwista marzyła się części hiszpańskich krzyżowców z XII wieku, choć terytoria, które atakowali, były w rękach Maurów już ponad pięćset lat; na Północy wśród duchowieństwa szeroko rozpowszechnione było przekonanie, że ziemia zroszona krwią męczenników jest przeznaczona chrześcijaństwu, a ich śmierć woła o pomstę. Z tego punktu widzenia zamieszkujący ją niewierni nie mieli do niej żadnych praw: byli uzurpatorami, których należało ukarać i to zupełnie niezależnie od ich służby w armii szatana. Wielu z nich zostało już przecież ochrzczonych, a mimo to wróciło do dawnych błędów - nie była to więc zwyczajna nieświadomość, ale tym większa wina. Wojna przeciwko nim była *ex definitione* wojną w obronie dawnych interesów chrześcijaństwa - a kto się broni, po tego stronie jest sprawiedliwość.

Te idee sprawiły, że pewna grupa hierarchów kościelnych wiele oczekiwała po krucjacie z 1147 roku i jej częściowa porażka przyniosła im równie wielkie rozczarowanie. Wydarzenia pokazały, że nie wystarczy zwerbować armii, dać jej krzyża za sztandar i posłać do boju, ponieważ tylko nieliczni z uczestników kampanii

gotowi byli przedłożyć nawracanie i poszerzanie granic chrześcijaństwa nad inne możliwe zyski z takiej wojny. Wśród niezadowolonych byli przede wszystkim sam inicjator, Bernard z Clairvaux, papież Eugeniusz III i legat Anzelm z Havelbergu, oraz co świątlejsi biskupi nmsascy, a także niższej rangi duchowni zaangażowani w misje na Słowiańszczyźnie. Żeby myśleć o wznowieniu działań i odnoszeniu sukcesów, trzeba było najpierw powiększyć szeregi tej grupy i szerzej spopularyzować głoszone przez nią hasła. Niezbędna też się wydawała modyfikacja systemu werbowania krzyżowców i kierowania wyprawami.

Zwolennicy i kronikarze

Bernard zmarł w 1153 roku rozczarowany, nie doczekawszy się ziszczenia swych nadziei. Później jednak jego nauka zaczęła znajdować zwolenników, zwłaszcza wraz z usadowieniem się cystersów i innych zakonów na Północy, gdzie mnichów i mniszek do tej pory niemal nie znano, oraz wskutek mianowania biskupów wywodzących się z ich kręgów lub przyjaźnie do nich ustosunkowanych. W drugiej połowie XII wieku Danią, Szwecją, położoną za Łabą częścią Saksonii i ziemiami Słowian połabskich wstrząsnęła fala zakonnej kolonizacji, błyskawicznej w porównaniu z basenem śródziemnomorskim i zachodnią Europą, gdzie proces ten przebiegał stopniowo na przestrzeni stuleci. Północne społeczeństwa szybko i w dużym stopniu przyswajały cywilizacyjne nowości przywiezione przez mnichów: nowe kanony modlitewne i edukacyjne, odmienne pi-

śmiennictwo, architekturę, sposób rozumowania. W tych nowych regionach cystersi i norbertanie nie musieli walczyć o swoje miejsce w dawno ustalonych ramach zakonnej hierarchii, jak w Anglii czy Francji; mieli tu dużą swobodę działania i kształtowania od podstaw własnego stylu klasztornego życia, jak również śmiałego ingerowania w sprawy doczesne i „chodzenia na skróty”. Mnisi i ich miejscowi zwolennicy zgadzali się też co do tego, że wojna z pogaństwem należy do podstawowych obowiązków chrześcijańskich władców i ich poddanych, a szerzenie prawdziwej wiary jest najbardziej chwalebnyim zadaniem każdego zakonnika.

Za przykład mogą nam tu posłużyć trzy postacie. Największe wpływy zdobył Eskil, szlachcic duński, który przejął mitrę arcybiskupa Lund po swoim wuju w 1138 roku i nosił ją przez następne czterdzieści lat. Z jednej strony należał do duchownych ze starej szkoły: był kiedyś żonaty, budował zamki, dowodził drużynami, wynosił na tron królów, próbował ich też obalać, zgromadził ogromny majątek i walczył o przywileje swojej kurii i rodu z zaciekłością godną lepszej sprawy. Miał też jednak i drugie oblicze. Poznał osobiście Bernarda z Clairvaux, odwiedził cysterską kolebkę w Citeaux i był pod tak wielkim wrażeniem zakonu oraz jego czołowej postaci, że przysiągł wstąpić przed śmiercią w jego szeregi. Tak odmieniony, większość swej posługi biskupiej przeżył w cieniu tej decyzji o przyszłym wyrzeczeniu się świata, zrealizowanej ostatecznie w 1177 roku. Zachęcał cystersów do osiedlania się

w jego diecezji i choć był poróżniony z królem Waldemarem I, potrafił odłożyć animozje na bok, gdy tylko monarcha ze swej strony gotów był popierać jego sprawę - szczególnie gdy chodziło o wojnę z poganami. Podczas krucjat był nieocenionym sojusznikiem, potrafił bowiem mówić żołnierskim językiem i miał za sobą cały klan krewnych wśród rycerstwa, a że wszystko robił z głęboką wiarą w słuszność swego działania, umiał trafiać do ludzkich serc. To właśnie on groźbą klątwy i osobistym przykładem skłonił Waldemara I do podjęcia wyprawy na Rugię w 1159 roku; podczas pościgu za Rugianami w 1160 roku szyderczą reprimendą nie pozwolił Duńczykom odpoczywać w cieniu rozciągniętych nad pokładami okrętów płacht („Cóż to? Pochowaliście się, zanimeście szczęśli?”); on też osiem lat później wymógł na Waldemarze, by powstrzymał swe wojsko od splądrowania Arkony, kiedy już jej mieszkańcy zgodzili się przyjąć chrzest i zapłacić daninę. Prawdopodobnie przyłożył też rękę do wyekspediowania mnichów za Bałtyk, do Kołbacza i Dargun, co nastąpiło w latach siedemdziesiątych, a z całą pewnością wspierał nominację pierwszego misyjnego biskupa w Estonii, Fulka, w 1167 roku.

Następcą Eskila i partnerem, choć niezbyt serdecznym, w wojnie i popieraniu budowy klasztorów był inny wysoko urodzony biskup, Absalon, fanatyczny wróg pogaństwa, któremu powierzono biskupstwo w Roskilde (1158–1192) i arcybiskupstwo Lund (1178–1201). I on gorliwie patronował nowym zakonom, jego polityka była jednak mniej skomplikowana: wychował się ra-

zem z Waldemarem i wierzył, że w najlepszym interesie Kościoła jest popieranie króla i działanie w imię rozszerzania jego władzy. Oznaczało to udział we wszystkich jego wojnach - nie tylko przeciw poganom - i nieustanne życie w siodle lub na okręcie. Taktyka, dyscyplina, rozpoznanie przeciwnika, najazdy, patrole przybrzeżne, szpiegostwo, dywersja i akty terroru - wszystko to było w pojęciu Absalona częścią jego służby publicznej. Od samego początku, według Saksona Gramatyka (który mu służył i opisywał znaczną część życia biskupa), „uważał za daremne pielęgnować wiarę w jej łonie, gdy się pozwala jej niszczyć na zewnątrz, poczynął więc sobie bardziej jak pirat niżli kapłan. Zwalczanie nieprzyjaciół religii jest bowiem nie mniej pobożne niż sprawowanie jej obrzędów”. Pogląd raczej daleki od cysterskich ideałów; zresztą Absalon mnichem nie był i nigdy się świata nie wyrzekał, ale obsesja gromienia i nawracania pogan czyniła go niezastąpionym rzecznikiem idei krucjat, a w parze z możliwością wykorzystania całej militarnej maszyny królestwa przydawała jej złowrogiej realności. Biskup nie był wrogiem Słowian: jak się zdaje, pozostawał w przyjaznych stosunkach z Połabianami (to jest tymi, którzy przeciwko niemu nie walczyli) i z własnej woli pełnił rolę mediatora i łącznika między nimi a dworem duńskim. Kiedy już jednak przychodziło się bić, potrafił prześcignąć świeckich towarzyszy broni; zdarzało się nawet, że nie pozwalał tłumaczyć monarsze propozycji pokojowych, jeśli uznał je za niewarte wysłuchania lub mogące udaremnić rokujący powodzenie atak.

Wśród Niemców także trafiali się równie bojowi duchowni, ale na ziemiach słowiańskich już okupowanych przez Sasów problem nawracania był nie mniej palący niż kwestie militarne na pograniczu. Po śmierci Vizelina jego pracę kontynuowało kilku uczniów, ale najbardziej godnym jego następcą okazał się Berno, cysters z Amelungsborn w Saksonii, który w 1158 roku został biskupem misyjnym w kraju Obodrzyców, najpierw w Mechlinie, a potem w Szwerynie. Berno przekonał miejscowego władcy Przybysława, syna Niklota, że więcej zyska on, wspierając Kościół i przyłączając się do walki z pogaństwem, niż za przykładem ojcowskim uparcie się przeciwstawiając nowej wierze. Było to osiągnięcie tym większe, że w latach 1160–1167 Przybysław został wyparty z ziemi przodków przez protektora Bernona, księcia Henryka Lwa; kiedy w końcu przywrócono mu utracone dziedzictwo, nadając też tytuł księcia Meklemburgii, zawdzięczał to tylko własnej uporczywej walce i politycznemu sprytowi - w żadnym razie nie była to nagroda za nawrócenie się na chrześcijaństwo (co uczynił już w 1160 roku, zanim uległ Henrykowi). Przybysław został więc sojusznikiem saskiego księcia, wrogiem pogańskich Rugian, przyjacielem cystersów (ich klasztor powstał w Doberanie, gdzie w 1172 roku pochowana została jego żona) oraz aktywnym pomocnikiem Bernona w dziele krzewienia wiary. Można by powiedzieć, że zakonnik dyplomacją i siłą perswazji uzyskał więcej, niż krzyżowcy zamierzali (a nie osiągnęli) zbrojną ręką, ale nie byłaby to cała prawda. Berno tak samo jak inni był zwolenni-

kiem walki za wiarę i rugowania pogaństwa przemocą, czego dowodzi jego udział w kampanii przeciwko Rugii; prestiż, jakim się cieszył między Obodrzycami, nie wynikał jednak tylko ze świadomości, że stoi za nim armia saskiego władcy. Wiedział z gorzkiego doświadczenia, że nawracanie jest o wiele łatwiejsze, gdy się ma po swojej stronie przywódcę nawracanych, robił więc wszystko, aby do tego doprowadzić. Słuszności tej zasady dowodzi sam jego życiorys: „biskup bez ziemi” wysłany w 1158 roku na misję przez papieża Adriana IV, zmarł trzydzieści trzy lata później jako książę Kościoła zawiadujący świetnie prosperującą i rozwijającą się diecezją, obejmującą wszystkie ziemie Obodrzyców i Rugian (poza samą Rugią). W Szwerynie miał siedzibę saski margrabia Gunzelin, który dorobił się fortuny na niewielkim skrawku podbitego słowiańskiego terytorium, ale biskupowi Bernonowi powiodło się lepiej i w kategoriach czysto finansowych, i politycznych. Mógł być najlepszą reklamą dla idei szerzenia chrześcijaństwa - jako żywy dowód, że duchowy trud misjonarza może się po prostu bardzo opłacać także materialnie.

Te trzy przykłady wystarczą, aby dać czytelnikowi pojęcie, jakiego rodzaju przywódcy kościelni nieśli sztandar idei krucjat połabskich po 1147 roku. Sama wiara, że wojna z pogaństwem jest dobroczynna dla duszy, była znacznie starsza: przebijała z apelu magdeburskiego z 1108 roku, wyraźnie jest też dostrzegalna w *Pieśni o Rolandzie* (ok. 1135 r.). U Saksona Gramatyka znajdujemy historię starego niemieckiego rycerza,

który około 1166 roku skrytykował Henryka Lwa za zbytnią opieszałość w kampanii słowiańskiej; przypomniał księciu, że już jako dziecko został „poświęcony” tej wojnie przez opiekunów i ściągnie na siebie gniew Boży, jeśli nie wypełni ich przysięgi. „Ja sam”, miał dodać, „trzy rany już odniosłem w tej dawno przyrzeczonej walce, a jeśli jeszcze dwie się przydarzą w tej samej potrzebie, będę mógł na Sądzie Ostatecznym śmiało spojrzeć na rany Chrystusa, tyle samo ich bowiem wycierpiał co ja”. Nie ulega wątpliwości, że to wymysł kronikarza, pokazuje jednak, jakiego nastawienia oczekiwano wtedy od weteranów wypraw krzyżowych. Niejeden z autorów opisujących tamte wojny uciekał się do okraszania narracji cudownymi zdarzeniami, które dowodziły duchowej wartości zbrojnych zmagania z pogaństwem.

Najważniejszym z tych kronikarzy oprócz Gramatyka był Helmold, saski ksiądz z pogranicznej parafii Bosau (Bozowo) w Wagrii. Swoją *Chronica Slavorum* (*Kronikę Słowian*) pisał w dwóch etapach w latach 1167–1172, jako kontynuację dzieła Adama z Bremy. Wykształcony pod wpływem Vizelina w jego klasztorze kanoników regularnych w Neumünster (Faldera), zajmował się przede wszystkim tropieniem historii przechodzenia Słowian na chrześcijaństwo. Posługiwał się czarno-białym systemem ocen: wszystko, co służyło sprawie nawracania pogan, było dobre, a cokolwiek stało na drodze krzyża, złe i godne potępienia. Wojny połabskie nie zawsze były mu w smak, ale tylko dlatego, że okazywały się mało skuteczne w kategoriach za-

sadniczego celu, to jest zdobywania dusz. Twierdził, że to dlatego, iż nie prowadzono ich przede wszystkim z myślą o szerzeniu chrześcijaństwa, lecz dla „samolubnych” politycznych celów poszczególnych władców. W dawnych czasach cesarze zaniedbywali swe obowiązki na Północy („cesarscy Henrykowie w ten sposób z pewnością przyczynili się do opóźnienia dzieła nawracania”); w bardziej współczesnych książęta chrześcijańscy albo zbyt się przyjaźnili z pogańskimi kneziami, albo powodowani chciwością zapominali o własnej duszy - „chronić przywykli Słowian, aby tylko zwiększać swe zyski” - i do 1167 roku we wszystkich cesarskich kampaniach słowiańskich „nikt nawet nie wspominał o wierze prawdziwej, jeno o mamonie”. Helmold nie był jednak przeciwnikiem wojny, lecz musiała to być wojna „właściwa”, toczona w imię słusznej sprawy z odpowiednio wybranym przeciwnikiem. Gdyby tylko Henryk i Waldemar zechcieli połączyć siły, zaatakować pogan, a zwycięstwo ukoronować krzewieniem prawdziwej wiary, w niebie zapanowałaby radość. Helmold, idealista i niezachwiany wyznawca koncepcji krucjaty, jaka nigdy się nie urzeczywistniła, jest postacią ciekawą przede wszystkim z powodu jego zainteresowania samymi Słowianami, ich wierzeniami i reakcją na chrześcijaństwo; niemal wszystkie uogólnienia dotyczące pogaństwa na Połabiu mają źródło w jego kronice.

Duński historyk Sakso Gramatyk spisał dzieje Danii (*Gesta Danorum seu Historiae Danicae*) w latach 1185–1215, a w opisie czasów mniej więcej od 1150

roku posłużył się wspomnieniami Absalona. O samym kronikarzu nie wiemy nic poza tym, że był duchownym o literackich pretensjach, sługą i piewcą zasług biskupa; jego ojciec i dziadek walczyli w służbie duńskich królów. Dla Gramatyka krucjata połabska była wojną punicką Bałtyku: wspaniałym zrywem wojowniczej nacji pod przewodem dwóch herosów, Absalona i Waldemara. Pragnął duchowego odrodzenia dla Słowian, ale o wiele bardziej był zainteresowany politycznym odrodzeniem Danii; wygląda na to, że w jego przekonaniu oba te cele były jednakowo miłe Bogu. Swą historię pisał w epoce, gdy jego kraj był silnym i bogatym królestwem, i starał się dać mu równie chwalebny przeszłość. Jego dzieło jest zatem silnie tendencyjne i wybiórcze, ale dzięki jego ślepej wierze w sprawiedliwość wojny krzyżowej i polityki króla może być dobrym świadectwem jeśli nie przebiegu kampanii, to na pewno postawy jej uczestników; w przeciwieństwie do Helmolda Sakso Gramatyk nie czuł się skrępowany duchowymi wątpliwościami.

Jako dwie główne przyczyny ataku na Słowian połabskich podaje chęć odwetu i dążenia imperialne; nie ma powodu, by z tą interpretacją polemizować. W 1158 roku Dania była wyczerpana nękającymi ją przez całe pokolenie najezdami pirackimi:

Morscy zbóje tak się rozpanoszyli, że wszystkie osady na wschodnim wybrzeżu, od Vendsyssel po Eider, całkiem się wyludniły, a ziemia leżała odłogiem. Zelandia zjałowiła na wschodzie i południu, pogrążając się

w martwocie. Opuszczona przez kmieci, domem się stała dla rabusiów. Pirackie napady zniszczyły Funen, gdzie paru ledwie ludzi pozostało. Falster, gród mały acz dzielny, odwagą mieszkańców nadrabia skromność murów swoich. Albowiem nie zaznało jarzma daniny, nieprzyjaciół zaś siłą lub układami z daleka trzyma. Lolland wszelako, choć od Falster większe, o pokój jednak prosiło i dań zapłaciło, a inne miejscowości jak wymarłe stoją. Nie masz więc pewności w broni ani watach; zatoki morskie palami przegradzano, aby piratów nie dopuścić.

Helmold zaświadcza, że na połabskich targach niewolników pełno było wówczas jeńców z Danii, i potępia duńskich monarchów za bierność w tej sprawie. Zrozumiałe pragnienie odbicia swoich musiało przyciągnąć pod sztandar Waldemara wielu Duńczyków, zarówno przed, jak i po zajęciu Rugii w latach 1168–1169; samemu królowi coraz bardziej jednak zależało na zdobywaniu nowych terytoriów i lenników wzdłuż bałtyckiego wybrzeża i wolał być Słowianom raczej suwerenem niż biczem Bożym. Sakso a próbował obie te ambicje, ale przywiązywał wagę do duchowych skutków wojny, całkowicie przekonany, że Duńczycy walczą w niej z diabłem, nie tylko z widzialnym przeciwnikiem. Niszczenie idoli i wykorzenianie „próżnego przesądu” były tylko produktem ubocznym duńskiego najazdu, ale nie mniej przez to chwalebny; dziejopis usprawiedliwiał kontynuację wojny przeciwko chrześcijańskim książętom Pomorza w latach 1170–1185

twierdzeniem, że ich poddani mimo chrztu nie wyrzekli się zupełnie pogaństwa. Argument jest oczywiście naciągany, ale ciekawi już to, że według Gramatyka był konieczny lub chociaż przydatny. Nawet upadek Henryka Lwa w 1181 roku przedstawił on jako skutek braku szacunku dla Kościoła w kraju i woli nawracania Słowian. Dzieło duńskiego kronikarza pokazuje, jak noszenie owczej skóry krzewiciela wiary weszło w modę nawet u najbardziej zadufanych wilków. Sam Waldemar umieścił pielgrzymią palmę na jednej z monet, a za sztandar wojenny przyjął flagę kawalerów maltańskich z białym krzyżem.

Słowiańskie wojny Henryka Lwa i Waldemara Wielkiego

Po 1147 roku wojnę ze Słowianami prowadzono już bez papieskiego upoważnienia oraz jakichkolwiek atrybutów oficjalnej krucjaty: nie było przysięgi, udzielonego ad hoc błogosławieństwa legata, płomiennych kazań ani obietnicy związanych z wyprawami krzyżowymi duchowych nagród. Papież Aleksander III pogratulował Absalonowi podboju Rugii, ale wieść o tym sukcesie spadła nań nieoczekiwanie - kampania nie była częścią papieskiej strategii. W końcu posłał chrześcijanom z Północy bullę krzyżową, ale z jej treści wynika, że wojny słowiańskie uważał za zakończone i jako nowy cel wskazywał Estonię. Następnym wezwaniem do podjęcia krzyża była ogłoszona w Boże Narodzenie 1187 roku *Audita tremendi*, nawołująca wszystkich wiernych do obrony Ziemi Świętej i odbicia

z rąk saraceńskich Jerozolimy; nie było w niej ani słowa o równoczesnej akcji nad Bałtykiem, przyciągnęła za to do Palestyny oddział Duńczyków i Norwegów. Jednakże przeprowadzone z powodzeniem kampanie połabskie Henryka Lwa i Waldemara można postrzegać jako dalszy ciąg nieudanej krucjaty z 1147 roku.

Religijności obu władców nikt nie mógłby zakwestionować. Książę saski odbył uciążliwą pielgrzymkę do Jerozolimy w latach 1172–1173, duński monarcha zaś przekazał Kościołowi połowę swej ojcowizny. Wojowali dla zysku i chwały - raz między sobą, kiedy indziej ze Słowianami, także tymi już ochrzczoneymi. Przez dziesięć lat po krucjacie połabskiej Henryk wraz z saskimi wasalami, Adolfem II Holsztyńskim i grafem raciborskim Henrykiem, pozostawali w dość przyjaznych stosunkach z obodrzyckim kneziem Niklotem i pomorskim Raciborem I, podczas gdy piraci z obu księstw bogacili się, łupiąc wybrzeża Danii. Część profitów trafiała w ręce Sasów jako danina lub okup. Ta sytuacja się zmieniła, odkąd król Waldemar zaczął płacić Henrykowi za wsparcie, a Niklot wymknął się spod kontroli. Zorganizowana przez księcia krótka karna ekspedycja nie zdołała go poskromić; powodzenie duńskiej wyprawy na Rugię w 1158 roku musiało Henrykowi uzmysłwić, że współdziałanie może przynieść lepsze rezultaty - i tak doszło do operacji sojuszniczej w 1160 roku: Waldemar nacierał wzdłuż obodrzyckiego wybrzeża, wiążąc siły rugijskie, Sasi natomiast wbili się klinem w głąb kraju; Niklot poległ, a jego synowie zostali wyparci za Warnawę. „Większość ziem Ob-

odrzyców została rozdzielona między książęcych siepaczy i biskupów.

Po raz drugi dwaj władcy stanęli w jednym szeregu w 1164 roku, kiedy po powstaniu Obodrzyców syn Niklota, Przybysław, na krótko odzyskał ojcowiznę, gromiąc saską armię pod Verchen nieopodal Dymina. Tym razem Henryk pociągnął na Dymin, Duńczycy zaś wpłynęli na Pianę, aby zastraszyć Wieleckich sprzymierzeńców Przybysława, i próbowali zająć i skolonizować tamtejszy port w Wolgast (Wołogoszczy). Wódz obodrzycki musiał się wycofać, ale żaden ze zwycięzców nie zdołał utrzymać zagarniętych ziem: Wieleci po staremu zaczęli nękać duńskie wybrzeże, a kolejne powstanie obodrzyckie - jak podaje Sakso, sprowokowane przez Absalona - wyparło Sasów z powrotem na zachód. Traktat zawarty przez Waldemara i Henryka stanowił, że będą się dzielić przyszłymi zdobyczami; kiedy w 1168 lub 1169 roku Duńczyk podbił tereny Rugian, zniszczył pogańskie świątynie, ich księcia uczynił wasalem i wywiózł pokaźny skarb, Sas domagał się połowy łupu. Doszło do wojny między niedawnymi sojusznikami, którą za Henryka toczyli namówieni przez Wągrowie, Obodrzyci i Wieleci - dopóki ostatecznie Waldemar go nie spłacił latem 1171 roku.

Teraz Duńczycy mogli swobodnie operować w ujściu Odry i usunąć Wioletów z morza. W 1177 roku Henryk po raz ostatni przyłączył się do Waldemara, nie chcąc tracić udziału w łupach, jakie zgarniał rywal; rok później zmusili ochraniających Wioletów pomorskich książąt Kazimierza i Bogusława do zawarcia pokoju.

Wskutek upadku Henryka Lwa i podziału jego księstwa w 1181 roku Pomorzanie i Obodrzycki zostali pozbawieni - zmiennego wprawdzie i groźnego - protektora przeciwko duńskiej agresji. W rezultacie władcy obu ludów stali się lennikami synów Waldemara I - podobnie zresztą jak margrabiowie sascy z Holsztynu, Szwerynu i Raciborza, którzy dobrze wyszli na tej wojnie i utrzymali zachodnie ziemie obodrzyckie zaanektowane w latach czterdziestych, obsadzając je niemieckimi kolonistami i germanizując. Szans na dalsze podboje na wschodzie raczej już jednak nie mieli.

W latach 1159–1168 Duńczycy nauczyli się innego sposobu wojowania. Dla realizacji celów strategicznych stosowali starą technikę wikingów: zaskakujący desant na brzegu lub w górze rzeki, szybki wypad na ląd po jeńców i łup i równie spieszny odwrót, zanim napadnięci zdążyli ochłonąć i przystąpić do kontrataku. W kampaniach z 1160 i 1164 roku cele te wyznaczał Henryk Lew, którego siły lądowe potrzebowały takich akcji dywersyjnych na tyłach przeciwnika, jak również transportu; jednocześnie jednak Waldemar z Absalodem ścigali słowiańskie okręty na wodach duńskich i pustoszyli ziemie Rugian i Wołogoszczan, chcąc ich zmusić do zawarcia pokoju. Duńczycy nie mieli wielkiego doświadczenia w taktyce oblężniczej i każdy warowny gród zdolny odeprzeć frontalny atak sprawiał im kłopot; brakowało im też jazdy, ponieważ na każdy okręt mogli zabrać nie więcej niż cztery konie. Radzili więc sobie inaczej: regularnie palili bezbronne podgrodzia i zboże na pniu (kampania odbywała się w czasie

źniw), wyrządzając na tyle duże szkody, by zmusić grody do uległości. W przeszłości Słowianie odbijali sobie takie straty najazdami na osady w Danii; Helmold pisał, że „za nic sobie mają duńskie ataki i wygląda nawet na to, że zabawę czynią z możliwości skrzyżowania mieczy z napastnikami”. W 1170 roku Danię chronił jednak łańcuch murowanych z cegieł i kamienia twierdz (Nyborg, Sprogo, Kalundborg, Tarnborg, Vordingborg i Kopenhaga) i ciągłe patrole przybrzeżne - z początku organizowane przez Absalona i jego krewnych, później narzucone prawnie kawalerom zobowiązanym do służby wojskowej w ramach lethingu. Po klęsce pod Falster 6 grudnia 1172 roku słowiańskie flotyle więcej się już na wody duńskie nie zapuszczały, natomiast u własnych brzegów niewiele mogły zdziałać dla odparcia większych i silniejszych, a przy tym niewiele głębiej zanurzonych sniek. Jedynym środkiem obronnym wydawał się ostrzał z łuków; Henryk Lew posłał nawet w latach siedemdziesiątych księżętom pomorskim dwóch swoich najznakomitszych łuczników, aby przeszkolili słowiańskich wojów w tej sztuce walki. I na to znalazła się jednak rada: z okrętów odpowiadano strzałami z kusz i długich norweskich łuków. Mosty, jazy i podwodne przeszkody mogły chwilowo zatrzymać napastników, ale łatwo je było zniszczyć lub zdemontować; solidniejsze, stałe przegrody byłyby z as utrudnieniem dla samych obrońców. Co więcej, nadbrzeżne warownie wzniesione przez Pomorzan u ujścia Świny zostały zmyte przez sztormy. Kiedy więc duńskie i rugijskie okręty zaczęły wspólnie nę-

kać grody wieleckie, wojska księstw pomorskich niewiele mogły zdziałać w ich obronie.

Na tym etapie wojny ataki z morza przeplatały się z przybyciem duńskich mnichów, którzy zajmowali pomorskie opactwa. Cystersi z Esrum przybyli do Dargun nad Pianą (1172) i Kołbacza pod Szczecinem (1175), a norbertanie z Lund do Białoboków (1177) i Grobi. Ta zakonna inwazja oznaczała, że z duńskim duchowieństwem musieli współpracować słowiańscy książęta, co jednak nie wpływało łagodząco na okrucieństwo morskich napastników. Mnisi śpiewali swoje chorały, a wojsko tak doszczętnie spustoszyło tereny wokół ujścia Odry, że Wołogoszcz, Uznam, Wolin i Kamień przez jakiś czas nie nadawały się do zamieszkania. Połączona flota wielecko – pomorska próbowała odzyskać kontrolę nad połabskim wybrzeżem, lecz 19 maja 1184 roku sromotnie przegrała bitwę na Zatoce Gryfijskiej, pozostawiając Pomorze i Pomorze Przednie bez obrony. Książę Bogusław poprowadził pojedynczą szarżę pod Kamieniem w 1185 roku, ale zmuszony do odwrotu przez niespodziewany kontratak spadł z konia i salwował się ucieczką na piechotę. To go ostatecznie zraziło do dalszej walki; następnego dnia rozpoczął pertraktacje z arcybiskupem Absalonem, a wieczorem - kompletnie pijany - został zanieiony na jego okręt. Nie pozostało mu nic innego jak poddać Pomorze Kanutowi VI i mieć nadzieję, że król pozwoli mu nadal rządzić księstwem w roli wasala. A przecież ani razu nie doszło do walnej bitwy z Duńczykami; nie odnieśli oni też żadnego sukcesu przy obleganiu książęcych warowni.

Późniejsze stadia wojny pokazały, że wyrugowanie pogaństwa i zainstalowanie chrześcijańskich kościołów i klasztorów było tylko jedną z dróg politycznego podporządkowania ludów słowiańskich najeźdźcom z Zachodu. Miejscowi przywódcy też jednak potrafili chwycić się tej samej metody, żeby przetrwać i zachować władzę na swoich terytoriach. Pomorski książę Warcisław I rozumiał wagę problemu już w latach dwudziestych XII wieku, kiedy wysłał Ottona z Bambergu, aby udzielił chrztu jego nowym poddanym wieleckim, a w 1140 roku nakłonił papieża do ustanowienia w księstwie niezależnego biskupstwa. Jego brat Rąbko oraz synowie Kazimierz i Bogusław, meklemburski książę Przybysław i rugijski Jaromar I także trzymali się tej samej polityki, jak dalece im na to pozwalali zachodni najeźdźcy. Walka o władzę i wojna z pogaństwem były wzajemnie powiązane, ale Słowianie, Sasi i Duńczycy niezbyt się przykładali do umacniania tej relacji.

Operacje połączonych armii chrześcijaństwa dwukrotnie przyniosły zwycięstwo nad „siłami ciemności”. Po raz pierwszy stało się tak w 1160 roku, gdy zginął kneź Niklot, a pogańskie świątynie w Mechlinie, Roztoku i w licznych innych miejscach zostały zniszczone; drugi podobny sukces odnieśli wspierani przez książąt pomorskich Duńczycy, usuwając posągi bóstw z Rugii i przymusowo chrzcząc ich wyznawców. W listopadzie 1169 roku Aleksander III radosnym listem do Absalona zareagował na wiadomość, że król Waldemar

natchniony niebieskim ogniem i Chrystusowym ramieniem wzmocniony, a tarczą wiary i łaski Bożej osłonięty, zbrojną ręką pokonał tych ludzi o zatwardziałyach sercach i wielkim trudem zawrócił ich od najohydniejszych dyzgustów do wiary i prawa Bożego, zarazem do swego dominium ich włączając.

Sakso Gramatyk obrazowo opisuje owe „najohydniejsze dyzgusta”: rugijskie praktyki religijne, kult Swantewita o czterech obliczach oraz pomniejszych bóstw Rugiewita, Porewita i Porenuta. Na miejscu poświęconych im chramów stanęły ufundowane przez króla kościoły obsadzone przez duńskich księży. Cytowany list papieski dotyczył włączenia Rugii do diecezji Roskilde.

Warto tu wspomnieć, że obie te wiktorie miały inne konsekwencje polityczne. W latach 1160–1166 Henryk Lew, przypuszczalnie zgodnie z życzeniem jego saskich wasali, próbował pomniejszyć znaczenie słowiańskich dynastii, a nawet całkowicie je wyrugować i objąć ich ludy bezpośrednimi rządami. Już od 1143 roku niektórzy wielmoże z pogranicza, w tym biskup Wagrii Gerold i graf Henryk Raciborski, próbowali okiełznać swych połabskich poddanych, wysiedlając ich z najlepszych gruntów, a na ich miejsce wprowadzając osadników z Flandrii i Saksonii. Powszechny był pogląd, że Słowianie są niepoprawni i niegodni zaufania, któremu przez jakiś czas hołdował i sam książę. Dopiero wielkie powstanie z 1164 roku i wojny, jakie za sobą pociągnęło, uświadomiły mu, że polityka wywłaszczania więcej

przynosi szkody niż pożytku; poza tym w latach 1167–1168 przeciw Henrykowi buntowało się także wielu saskich feudałów i dobrze było mieć pod ręką słowiańskich sojuszników, którzy by pomagali mu utrzymać ich w ryzach. Dlatego właśnie księżę przywrócił Przybysławowi władzę jako „księciu Meklemburga, Kessina i Rostocku” (Mechlina, Chyżyna i Roztoku), tym samym praktycznie odradzając księstwo Niklota, które unicestwił w 1160 roku.

Waldemar brał z niego przykład: podbiwszy Rugię, powierzył ją dotychczasowemu władcy Jaromarowi I, pozwalając mu rządzić według własnego uznania, byleby płacił Danii ustaloną daninę i dostarczał wojska. Ziemie wcześniej przynależące do pogańskich świątyń oddał biskupowi Roskilde i nowo sprowadzonym księżom, ale żadnemu z rugijskich możliwych nie odebrał prywatnych włości. Wojna połabska była po trosze polem rywalizacji między Henrykiem i Waldemarem o słowiańskich wasali, a zwalczanie pogańskich rządów zaledwie wstępem do tworzenia bardziej pożądaných struktur politycznych.

Koncepcja wojny o nawracanie okrzepła w trakcie brutalnych zmagani o hegemonię, jakie ciągnęły się od 1147 do 1185 roku. Północni władcy zrozumieli, jak cennym jest narzędziem na drodze do bogactwa i potęgi. Od ochrzczonych społeczności napływały dziesiątki w srebrze i w naturze - sam biskup Roskilde otrzymywał rocznie siedemdziesiąt ton zboża od wiernych z Rugii - a nowi księża i opaci pobierali własne trybuty i świadczenia. Zamiast sprowadzać do pracy niewol-

nych, nawrócony kraj można było „otworzyć” dla osadników z innych państw chrześcijańskich, przybywających dobrowolnie i płacących później czynsze dzierżawne. Prym w tej działalności wiedli zakonnicy. „Jako że jest nam dobrze wiadomo”, mówi tekst przywileju księcia Bogusława, „iż większość ludu prostego pod naszym panowaniem jest nieokrzescana i nieuczona w zasadach naszej wiary chrześcijańskiej, nie mamy wątpliwości, że wspierając dobrych proboszczów i ludzi świątobliwych, przyczynimy się do tego, aby lud nasz niewierny uznał prawdziwą wiarę”. Nadając przywileje opactwu z Dargun, jego brat Kazimierz wskazywał na innej natury korzyści. Przyznał mnichom *pełną władzę i swobodę w przyzywaniu do siebie i osiedlaniu, gdzie by mieli życzenie, na ziemiach wymienionego kościoła w Dargun Niemców, Duńczyków, Słowian czy ludzi dowolnego innego pochodzenia, wszelkiego stanu i rzemiosła, tudzież w egzekwowaniu ich pracy, ustanawianiu parafii i proboszczów, jako i otwieraniu karczem, gdzie by się im podobało, czy to według naszego, czy niemieckiego lub duńskiego obyczaju.*

„Ustanawianie parafii i otwieranie karczem” było częścią tego samego procesu, który na początku XIII wieku miał objąć zakładanie nowych miast na prawie lubeckim - Wismaru, Roztoku, Greifswaldu i Stralsundu - które wszystkie wyrosły w atrakcyjnych miejscach, wcześniej nie zamieszkanych z powodu zagrożenia napadami piratów i łowców niewolników. Mając na uwadze takie perspektywy, Niemcy, Duńczycy, Szwedzi

i nawróceni Słowianie ochoczo witali możliwość kolejnych wojen krzyżowych nad wschodnim Bałtykiem.

Papiestwo także zaczynało bardziej konsekwentnie interesować się tą sprawą. Aleksander III wychwalał i nagradzał Waldemara I nie tylko jako „krzyżowca”, ale i jako nowego sprzymierzeńca w walce z cesarzem Fryderykiem I Barbarossą Hohenstaufem i jego antypapięciem. Arcybiskup Eskil i nowi opaci cysterscy wskazywali mu na trudności i zagrożenia, z jakimi musiał się borykać północny Kościół, wystawiony na niesforność krewkich wielmożów i kłopotliwych parafian, w dodatku wciąż wciśnięty między pogański świat Wschodu. Wojny między królami, piractwo na morzu, gwałtowne spory o własność ziemi, rozzuchwaleni i bezlitośni złoczyńcy - wszystko to czyniło Północ prawdziwie kamienistą glebą dla ziarna chrześcijańskiej harmonii, o jakiej marzył papież i elita skandynawskiego duchowieństwa. Lepiej by się działo, gdyby oręż świeckiego społeczeństwa udało się obrócić przeciw poganom - a w idei krucjaty papiestwo miało doskonały środek do osiągnięcia tego celu. Dlatego też w 1171 lub 1172 roku Aleksander III ogłosił ważną bullę *Non parum animus noster*, stawiającą wojnę przeciwko poganom z Północy - w tym wypadku Estom i Finom - na równi z pielgrzymkami do Ziemi Świętej:

Dajemy przeto tym, co z mocą i odwagą staną do walki z rzeczonymi poganami, rok odpustu grzechów, które na spowiedzi wyznają i za nie odpokutują, w nadziei na łaskę Bożą i wstawiennictwo apostołów Piotra

i Pawła, jako zazwyczaj dajemy tym, którzy Grób Pański odwiedzają; a jeśliby w tej walce polegli, odpust dostaną zupełny.

Walka bynajmniej nie miała być defensywna: zadaniem krzyżowców było bić się „z zamiarem szerzenia mocarną ręką wiary chrześcijańskiej”.

Na razie północni książęta byli zbyt zajęci wojowaniem między sobą, żeby zwrócić uwagę na głos z Rzymu. Dopiero w 1184 roku Duńczycy przedsięwzięli zakrojoną na szeroką skalę ofensywę w Estonii, a i wtedy odciągnął ich od celu wybuch ostatniej wojny z chrześcijańskim Pomorzem. Kiedy się skończyła, zwycięzcy i zwyciężeni z krucjat połabskich pospołu obrócili uwagę na wschód. Do natarcia na wschodnio-bałtyckich pogan ruszyli bowiem nie tylko Niemcy i Duńczycy, ale i kneziowie z ocalałych słowiańskich dynastii: książęta Rugii w 1219 i 1279, a książę Mecklemburgii w 1218 roku. Krucjata stała się integralną częścią chrześcijańskiej kultury, którą byli zmuszeni przyjąć za swoją.

Zbrojni mnisi: ideologia i skuteczność

Do tej pory mówiliśmy o podboju zachodniobałtyckich Słowian przez Sasów i Duńczyków. Z nastaniem XIII stulecia na wschód ruszyły floty z ołtarzami polowymi i obraz staje się bardziej złożony. W tym i dwóch następnych rozdziałach będziemy musieli kolejno się przyglądać wątkom i zdarzeniom równoległym. W regionie bałtyckim pojawiły się wtedy nowe siły i ludy, a zacząć wypada od elementu, który miał nadać kształt całej historii Prus, Inflant i Estonii: zakonów rycerskich.

Rycerstwo zakonne (1128–1237)

Te stowarzyszenia rycerzy – mnichów pierwotnie miały zupełnie inne zadania, niezwiązane z kolonizacją, zdominowaniem i nawracaniem pogan ani poszukiwaniem zysków. Podstawowym celem dla templariuszy było życie w ubóstwie i cnocie oraz odbicie lub obrona Bazyliki Grobu Świętego w Jerozolimie. Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego miał z początku podobny charakter, ale ciąg wydarzeń i zmian, jaki doprowadził go do roli zdobywców i władców, obejmował najgorsze występki doczesnego świata, którego się tak solennie wyrzekali jego założyciele. Zbrodnie Krzyżaków wypełniłyby nie jedną, lecz wiele ksiązek.

Religia i przemoc od wieków szły w parze, choćby tylko w metaforach. „Weź udział w trudach i przeciw-

nościach jako dobry żołnierz Chrystusa Jezusa”, pisał św. Paweł w 2. Liście do Tymoteusza, choć „oręż bojowania naszego nie jest z ciała, lecz posiada moc burzenia, dla Boga, twierdz warownych” - modlitwą, a nie mieczem. Później jednak określenie „armia Boga” czy „żołnierze Chrystusowi” stosowano wobec prawdziwych wojowników walczących o godną sprawę - jak krzyżowcy. Była to niejako kontynuacja prastarego obyczaju z czasów, gdy - według słów Edwarda Gibbona - „przywiązanie rzymskich legionistów do sztandaru było zrodzone z połączonego imperatywu religii i poczucia honoru”. I tę, i wiele innych pogańskich tradycji rzymska armia i służba cywilna zachowały w odpowiednio zaadaptowanej postaci, kiedy w IV wieku Konstantyn Wielki przyjął chrześcijaństwo. W starożytnym Rzymie cesarz był bogiem, a legiony służyły mu z bezgranicznym oddaniem. Teraz to oddanie przełane zostało poprzez osobę cesarza na Chrystusa; służba wojskowa pozostała uświęcona: walcząc pod sztandarem Rzymu, legionista służył Kościołowi i pracował na zbawienie własnej duszy. Księżom nie wolno było parać się wojaczką, albowiem jako pośrednicy między Bogiem a człowiekiem musieli być wolni od piętnej przelanej krwi; dopiero w XII wieku Bizantyjczycy uznali za możliwe do przyjęcia, żeby rycerz mimo złożenia ślubów zakonnych kontynuował służbę w cesarskiej armii.

Zasada separacji duchowieństwa od oręża była niezwykle mocno zakorzeniona. Akceptowali ją i przestrzegali jej następcy Justyniana w Konstantynopolu, na

Zachodzie Karol Wielki i niemieccy cesarze z dynastii Ludolfingów i salickiej. W XI wieku to się jednak zmieniło. Cesarz zachodni był już wtedy tylko jednym z setek wodzów utrzymujących wojsko; każdy, kogo było stać na zbroję, broń i bojowego wierzchowca, mógł uprawiać sztukę wojny bez oglądania się na stare konwencje tak zwanej „wojny publicznej” - to jest toczonej w imię cesarza. Tacy ludzie zawsze się znajdują, ale prawo rzymskie klasyfikowało ich jako rozbójników, a Kościół potępiał. Teraz jednak pojawiło się ich tak wielu, że jeśli duchowni nadal chcieli kształtować społeczeństwo według modelu chrześcijańskiego, musieli się z nimi jakoś dogadać. Biskupi i opaci mogli utrzymać swoje przywileje i posiadłości, tylko prowadząc prywatne wojenki - to zaś oznaczało konieczność najmowania żołnierzy, skąd się dało, a czasem nawet osobistego obejmowania dowództwa. Nie można już było błogosławić tylko wojsk cesarskich, a wszystkich innych wojaków potępiać. Hierarchowie nie mieli wyjścia: trzeba było podporządkować sobie uległych, krnąbrnych zaś poskromić. Koncepcja rycerstwa zakonnego wyłoniła się jako jeden z trzech sposobów osiągnięcia tego celu.

Pierwszym było promowanie dyscypliny i system zakazów. Zaczęło się od samoograniczających porozumień między książętami i kościelnymi hierarchami zatrudniającymi prywatne drużyny; przykładami takich rozwiązań są *Pax et Treuga Dei* - Pokój i Rozejm Boży lub dekrety wydawane przez poszczególnych monarchów. Przysięgami i traktatami wymuszano ogranicze-

nie akceptowalnych *casi belli* do określonych przypadków, a łamiących zasady karano ekskomuniką. Drugą metodą ujęcia w karby wojowniczego żywiołu było ogłoszenie świętych wojen, co się wiązało z werbunkiem do służby pod wspólnym sztandarem chrześcijaństwa.

Te dwie instytucje nie zdołały jednak obrócić żołnierskiego fachu w duchowe powołanie. Większość kleru zgodnie uważała, że lepiej nie walczyć wcale, niż robić to choćby i powściągliwie, z honorem. Na początku XII wieku było już oczywiste, że kościelna propaganda nie zmieniła zachodnioeuropejskiego rycerstwa; jedynie rosnące koszty ekwipunku sprawiły, że stało się ono warstwą bardziej elitarną, a ogłaszane od czasu do czasu krucjaty stanowiły wentyl bezpieczeństwa dla co bardziej żądnych przygód, winnych przestępstw lub zdesperowanych. Większość uporczywie toczonych walk nie miała nic wspólnego z jedynymi dwiema akceptowanymi kategoriami: wojny sprawiedliwej i świętej.

Metoda trzecia narodziła się dzięki naukom i popularności Bernarda z Clairvaux. Był on zwolennikiem i krucjat, i idei ograniczania wojen między swoimi, ale chciał czegoś więcej. W latach dwudziestych XII wieku znalazł, czego szukał, w postaci niewielkiego oddziału rycerzy, którzy związali się przysięgą dożywotniego służenia krzyżowemu Królestwu Jerozolimskiemu - w rezultacie narzucili sobie życie dla religii, dalej pozostając wojownikami. Na Bernardzie zrobiło to tak wielkie wrażenie, że opisał ich w traktacie *De laude novae militiae* („Pochwała nowego rycerstwa”), aby ich

jeszcze bardziej zainspirować i rozpropagować przyjęty przez nich etos.

W pojęciu zakonnika ludzie ci uosabiali połączenie walki duchowej i fizycznej. „Nowe rycerstwo” wystąpiło przeciwko obu wcieleniom szatana jednocześnie: zwalczali go w sobie jako niedoskonałość ciała i umysłu, za broń mając śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa; oraz w postaci ucieleśnionej - jako armię muzułmańską. Oba działania były uświęcone i wzajemnie się uzupełniały. Bernard z Clairvaux z jednakową troską myślał o „sprawie chrześcijaństwa” i o duszach jej poszczególnych bojowników. Gorliwie popierał warstwę rządzącą, chciał jednak, aby jej członkowie byli świadomi odpowiedzialności, jaką winni są Bogu za uprzywilejowaną pozycję, w jakiej z Jego łaski się znaleźli. Do ich obowiązków należała walka, ale tylko usprawiedliwiona. Nader często rycerz tracił duszę w bezsensownych prywatnych zatargach albo i na turnieju o charakterze czysto sportowym, jak byśmy dzisiaj powiedzieli; takich niebezpieczeństw można było jednak uniknąć, stając do walki z przeciwnikiem i samym sobą. Cystersi z pracy uczynili drugą obok modlitwy drogę ku Bogu - dlatego więc wojna nie miałyby zostać trzecią?

Był to pogląd dość wysublimowany, lecz oparty na konwencjonalnych, nieporadnych założeniach: cel uświęca środki; bój w obronie Ziemi Świętej może przynieść nagrodę duchową; muzułmanie są tylko bezwolnym narzędziem w rękach szatana. Tego typu przekonania były podówczas nie tylko popularne, ale

i uważane za szczytne - szczególnie wśród samych krzyżowców. Autor *Pieśni o Rolandzie* podsumował je, każąc arcybiskupowi Karola Wielkiego pobłogosławić armię przed bitwą z Saracenami, „a za pokutę zadać im natarcie”. „Jeśli polegniecie, staniecie się świętymi męczennikami i w raju zasiądziecie”.

Taka postawa nie miała wyraźnie określonego fundamentu teologicznego. Od czasów Grzegorza Wielkiego wielu teologów opowiadało się za łagodnym, racjonalnym i tolerancyjnym podejściem do niewiernych. Sam Bernard miał później dowodzić, że skoro przeznaczeniem Kościoła jest doprowadzić cały świat do Chrystusa przez nawracanie, lepiej pogan przekonywać niż się z nimi bić. Dla usprawiedliwienia „nowego rycerstwa” przyjął, że templariusze (nazwa wywiedziona od jerozolimskiej świątyni Salomona, w której poblizu mieli siedzibę) będą prowadzić tylko wojny defensywne, ale generalnie wolał tę rafaę po prostu omijać. Usankcjonował panującą wtedy pogardę wobec Saracenów i pozwolił zbrojnym mnichom unosić się na fali powszechnej fascynacji Jerozolimą.

Tak oto już u podstaw ruchu rycerstwa zakonnego - w *De laude* i w regule templariuszy ułożonej przez Bernarda w latach 1129–1136 - legły idee niezbyt dobrze współbrzmiające z niektórymi tradycjami chrześcijańskimi, nie przyniosło mu to jednak szkody. Pod koniec XII wieku templariusze, szpitalnicy (później występujący pod różnymi nazwami, z których najbardziej znane to joannici i kawalerowie maltańscy) i zakony iberyjskie byli już organizacjami bogatymi, sławnymi

i skutecznie działającymi, ponieważ oprócz teoretycznego wsparcia Bernarda z Clairvaux mieli w zanadrzu trzy inne ważne elementy.

Pierwszym była nieustająca pomoc ze strony zakonu cystersów i grona jego przyjaciół, dzięki której rycerze w habitach cieszyli się aprobatą i poparciem całej międzynarodowej sieci opatów, biskupów i uczonych Kościoła - dominującej siły tego stulecia, bluszczu na dębie wyrosłym z Citeaux. Równie ważny był drugi element: sprawność militarna, szczególnie cenna i zauważalna w niepewnej strategicznie sytuacji. Reguły bractw rycerskich uzbrajały je w dyscyplinę, oddanie i morale, jakich brakowało innym krzyżowcom. Mogli sobie pozwolić na selekcję kandydatów, systematycznie się szkolić, automatycznie zastępować poległych nowymi kadrami, a dożywotnia służba była wpisana w codzienność. Reguła templariuszy stanowiła istotny postęp w dziedzinie organizacji wojskowej, choć nie taki był jej cel zasadniczy. Po trzecie, nowym zakonom przekazywano ziemie i pieniądze, z których nie musiały się rozliczać przed nikim poza papieżem. Ponieważ toczyły wojnę, wiele z tych bogactw przeznaczały na budowę zamków - te zaś przynosiły im polityczną siłę na zajmowanych terytoriach.

Dysponując takimi aktywami, templariusze i szpitalnicy wyrosli na podporę sprawy chrześcijańskiej w Palestynie, a tym samym stali się zasadniczym składnikiem porządku rzeczy, jaki uważano wtedy za właściwy. Nie oznacza to, że nie podlegali krytyce; przeciwnie, narzekano na nich niemal od początku,

a ich sukcesy przysparzały im wrogów; zasadniczym zarzutem, jaki im stawiano, było jednak to, że żyli niezgodnie z ideałami, którym ślubowali wierność - nie zaś to, że one same były niewłaściwe. Wiele to zakonnikom nie zaszkodziło, nikt nie mógł bowiem zaprzeczyć, że przelewali w Palestynie krew własną i saraceńską. Jerozolimy wprawdzie nie utrzymali i nie odzyskali, ale bez ich pomocy upadłoby całe Outremer (Zamorzcie).

Kiedy więc cesarze Henryk VI i Fryderyk II (obaj z dynastii Hohenstaufów) planowali nowe krucjaty dla odbicia świętych miejsc, naturalną kolejną rzeczą inwestowali w zakony rycerskie, nikogo też nie dziwiło, że faworyzowali niewielkie bractwo niemieckich zbrojnych mnichów, zawiązane w Akce podczas trzeciej wyprawy krzyżowej. Przyjęło się, że za rekrutację narodowych kontyngentów odpowiadają monarchowie państw uczestniczących; obaj cesarze najwyraźniej mieli nadzieję, że niemiecki zakon krzyżowy pomoże zadbać o ich interesy w Ziemi Świętej.

Wpływowi księżęta Rzeszy, a także sami papieże postawili na rozwój Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w czasie, gdy mogło się wydawać, że z powodu stosunkowo późnego pojawienia się i znikomej liczebności zostanie on wchłonięty przez jeden z dwóch wielkich zakonów rycerskich. Jego działalność rozpoczęła się w 1191 roku od założenia polowego lazaretu w Akce, który przyjął nazwę po istniejącym wcześniej w Jerozolimie niemieckim szpitalu, utraconym trzy lata wcześniej po jej zdobyciu przez Sa-

ładyna. Nowi szpitalnicy otrzymali później posiadłości w obrębie i poza murami Akki i utworzyli skromny oddział, do 1210 roku złożony prawdopodobnie z kilkunastu do dwudziestu zakonników. Henryk VI wyjednał dla nich u papieża Celestyna III status pełnego zakonu rycerskiego wraz z pozwoleniem na posługiwanie się regułą templariuszy bez wymogu posłuszeństwa wobec ich wielkiego mistrza; nagła śmierć cesarza w 1197 roku spowodowała jednak wstrzymanie krucjaty i dla niemieckich szpitalników nie było już zajęcia.

W 1215 roku podjął krzyż syn i następca Henryka, Fryderyk II. Zajął się też sprawą zakonu: uzyskał dla niego potwierdzenie i rozszerzenie przywilejów, wyniósł też wielkiego mistrza, turyńskiego rycerza Hermana von Salza, do rangi księcia cesarstwa - przypuszczalnie po to, aby mógł jak równy współdziałać z książętami krwi. Obydwaj cesarze, a także ich przyjaciele obsypywali zakon darowiznami ziemi w Palestynie, Italii, Bizancjum i Rzeszy. W latach 1190–1210 odnotowano osiemnaście takich nadań; przez następne dwudziestolecie było ich już sześćdziesiąt jeden, z czego siedemnaście przyznali Fryderyk i jego syn. Około 1230 roku Zakon Niemiecki lub Krzyżacki, jak przyjęło się go skrótowo nazywać, był już okrzepłą organizacją, miniaturową, lecz silną wersją dwóch starszych braci, od których różnił go jeden istotny szczegół: prawie wszyscy należący do niego bracia–rycerze pochodzili z ziem niemieckich. Ponieważ jednak jego włości rozrzucone były wokół całego basenu śródziemnomor-

skiego i za Alpami, nadal mógł być uważany za międzynarodowy.

Dwa starsze bractwa Zakonu Niemieckiego wciąż były skłonne traktować go jako kandydata do wcielenia we własne szeregi. W 1240 roku do templariuszy przeszedł jego wielki mistrz Gerhard von Malberg; joannici usilnie namawiali papieża, aby przypisał im Krzyżaków jako podległe bractwo. Przez całe pierwsze stulecie istnienia, do 1291 roku, niemieccy rycerze zakonni pozostawali wierną kopią templariuszy i niemal bez reszty poświęcali się obronie i rozwojowi chrześcijańskich nabytków na Wschodzie. Ich kwaterą główną pozostał szpital w Akce; najważniejszą twierdzą był zamek Montfort (Starkenberk), położony około pięćdziesięciu kilometrów od wybrzeża, zbudowany w celu kontrolowania terenów zagarniętych w 1229 roku podczas krucjaty Fryderyka. Sprawa Palestyny dominowała na wszystkich zebraniach kapituły generalnej. Sam *magister generalis*, po niemiecku *Hochmeister*, czyli wielki mistrz, wiele czasu spędzał na dworach papieskim i cesarskim, gdzie kształtowała się polityka krucjat, ale jego zastępca zwany wielkim komturem praktycznie nie opuszczał Akki, zarządzając organizacją poprzez czterech wysokich urzędników: wielkiego marszałka, wielkiego szpitalnika, wielkiego skarbnika i wielkiego mincerza. Zarówno te nazwy, jak i całą strukturę administracyjną zapożyczono od templariuszy; kiedy około 1220 roku Krzyżacy uzyskali prawo do spisania własnego statutu, dokument ów był niemal niezmienną transkrypcją reguły templariuszy. Zakon wspomagał

wszystkich krzyżowców niezależnie od narodowości, przyciągał też darczyńców z całej Europy: do jego sponsorów należeli królowie Kastylii, Sycylii, Armenii, Anglii, Szwecji i Francji, nie mówiąc o książętach niemieckich. Kiedy w 1258 roku dwaj wielcy rywale ostatecznie uznali Krzyżaków za niezależną i równej rangi organizację, to nie tylko z uwagi na ich oddanie wspólnej sprawie Ziemi Świętej, ale i dlatego, że byli już dostatecznie bogaci, by jako krzyżowcy stanąć na własnych nogach. Fakt, że w tym samym okresie, lecz w innych regionach - nad Wisłą i Dźwiną - zaczynali już ewoluować w odmiennym kierunku, nie miał większego znaczenia: zasadniczo nie różnili się bowiem od templariuszy i joannitów, i być może pozostałiby tacy sami, gdyby upadek Akki w 1291 roku nie pozbawił ich palestyńskiej ojczyzny.

Ziemia Święta nie była jedynym frontem krzyżackiej walki z muzułmanami. Dzięki sojuszowi Henryka VI z królem Leonem II Zakonowi przypadły w udziale także ziemie armeńskie w okolicach Tarsu, a w 1236 roku przyjął od króla Hetuma I wielkie dobra lenne w Haronii - dar z pozoru szczodry, który jednak szybko okazał się bardziej kłopotliwy niż rentowny, zmuszając obdarowanych do czynnego włączenia się do obrony wschodnich rubieży królestwa; szczęściem dla Krzyżaków chytry władca został w 1266 roku pokonany przez sułtana Bajbarsa i abdykował, oni zaś uniknęli głębszego wplątania w tę azjatycką awanturę, choć aż do XIV wieku baliwat armeński pozostawał ich najważniejszą posiadłością poza Palestyną.

Podobnie przychylność króla Ferdynanda III Kastylijskiego (od 1219 roku żonatego z księżniczką z Hohenstaufów) przyniosła im trzy zamki i rozległe włości na północny wschód od Toledo oraz w południowej części Kastylii - w zamian musieli jednak wesprzeć go w re- konkwiście państwa Maurów na Półwyspie Iberyjskim.

Za międzynarodowe uznanie i prestiż przychodziło więc Krzyżakom płacić poważnym zaangażowaniem w ogólną politykę innych wielkich zakonów rycerskich i nieustającym oddaniem idei krucjat. Zaczynał ich już jednak pociągać innego rodzaju trend polityczny i nowa idea, stworzona przez dwie mniejsze i nie odnoszące większych sukcesów konfraternie mnichów – rycerzy.

Mowa tu o Fratres Militiae Christi de Livonia, Bractwie Rycerzy Chrystusowych z Liwonii, powszechnie znanym jako Kawalerowie Mieczowi, oraz Pruskich Rycerzach Chrystusowych, zwanych też Braciami Dobrzyńskimi. Różniły się one od zakonów Ziemi Świętej tym, że nie były związane z krucjatami, lecz z przedsięwzięciami misyjnymi. Kawalerowie Mieczowi zawiązali się około 1202 roku w Rydze, na dworze niemieckiego biskupa Alberta von Buxhövdena, który starał się nawracać Liwów. Jego misja działała na tym terenie już od dwudziestu lat, ale praca szła jak po grudzie: Liwowie chrzest przyjmowali, ale nie traktowali tego poważnie i nie zamierzali okazywać posłuszeństwa należnego biskupowi od wiernych, a poza tym obszar ujścia Dźwiny był ustawicznie nękany najazdami sąsiednich ludów, co bardzo dezorganizowało życie.

Samo głoszenie Słowa nie wystarczało i biskup potrzebował armii. Krucjaty także nie spełniały zadania: krzyżowcy przybywali i odchodzili, a ich dzieło obracało się wniwecz. Albert nakłonił więc grupkę rycerzy, aby zamienili przysięgę krzyżową na śluby religijne i wstąpili na jego służbę jako stały garnizon w Inflantach. Ich zadaniem było obsadzenie ryskiej twierdzy i ochrona bezpieczeństwa misjonarzy, podczas gdy on sam wróciłby na Zachód werbować nowych krzyżowców. Jeżeli kolejne wyprawy przyczyniłyby się do rozszerzenia kontroli nad doliną Dźwiny, mieliby zapewnić utrzymanie zdobyczy. Podobnie jak templariusze i Krzyżacy, rycerze zakonnicy Alberta nosili białe płaszcze z emblematem na lewym ramieniu: czerwonymi mieczem i krzyżem.

Kilkanaście lat później inny biskup misyjny, cysters Chrystian, prawdopodobnie szlachetnie urodzony Pomorzanie, który od 1206 roku usiłował nawracać Prusów żyjących nad dolnym biegiem Wisły, założył inną podobną grupę. Zbożne dzieło szło mu jeszcze gorzej niż Albertowi w Rydze, mimo że mógł liczyć na ochronę ze strony króla Danii i miejscowych książąt polskich. Nigdy nie udało mu się wniknąć głębiej na ziemie pruskie; wystawiony zaś na ciągłe ataki pogan potrzebował sprawnej obrony. Książę mazowiecki zgodził się na utworzenie oddziału jazdy; pospołu z misjonarzem zwerbowali kilkunastu rycerzy z północnej Rzeszy, odebrali od nich przysięgę w podobnej formie jak u Kawalerów Mieczowych i powierzyli nadwiślańską warownię w Dobrzyniu. W 1222 roku ten miniza-

kon przyjął pełną nazwę *Fratres Milites Christi de Dobrin contra Prutenos* i zbliżone do inflanckich braci godło, z tym że zamiast krzyża umieścili nad mieczem gwiazdę - zapewne na pamiątkę betlejemskiej.

Warte odnotowania są trzy podstawowe różnice dzielące te nadbałtyckie zakony od działających w Ziemi Świętej. Po pierwsze, nie miały autonomii: służyły biskupom, których miały słuchać i bronić. Po drugie, posiadały bardzo niewiele ziemi poza tym, co zdołały same wywalczyć, i nie wspierał ich żaden wpływowy patron spoza ubogiego i skąpo zaludnionego terenu ich działania. Po trzecie, ich zadaniem nie było wyrywanie świętych miejsc chrześcijaństwa z rąk pogan, tylko pomoc w ich nawracaniu.

Nie były to jednak organizacje „dzikie”: papież Innocenty III, a po nim Honoriusz III i Grzegorz IX otaczali je opieką i słali zagrzewające do czynu listy; przez pewien czas oba zakony cieszyły się poparciem w najwyższych kręgach kościelnych. Można się spierać, czy nowa funkcja, jaką pełniły, przystawała do ówczesnej ideologii rycerstwa zakonnego, Kościół jednak gotów był rozciągnąć koncepcję ślubów krzyżowych także na walkę w obronie misji na Północy. Taka była geneza bulli *Non parum animus noster*, mianowania pierwszych biskupów estońskich i fińskich oraz organizowania w ostatniej dekadzie XII wieku krucjat nad Dźwiną. Podobnie jak ekspedycja połabska z 1147 roku, nie były to operacje szczególnie skuteczne tak pod względem zdobyczy terytorialnych, jak i sukcesów duchowych. Choć prowadzili je władcy chrześcijańscy,

niewiele się różniły od napadów wikingów. Na przykład „krucjata” szwedzkiego jarla Birgera z 1195 roku miała za cel ujście Dźwiny, ale wiatr zniósł jego okręty do Estonii; kiedy po trzech dniach utarczek i negocjacji Estowie zaoferowali mu okup, jarl zapomniał, że miał ich także ochrzcić, i zadowolony z siebie odpłynął do domu. Nie lepiej się wiodło wyprawom organizowanym przez lokalnych biskupów. Ani krucjata inflancka z 1198 roku, ani wyruszające z Polski do Prus w 1222 i 1223 roku nie przyniosły żadnych trwałych rezultatów z punktu widzenia misji, które miały wesprzeć. Powodzenie towarzyszyło jedynie przedsięwzięciom Kawalerów Mieczowych.

W tym regionie nie były potrzebne okazjonalne wypadki drużyn niezdyscyplinowanych ochotników, lecz stały garnizon zawodowych żołnierzy. Świeckim wojom kampanie wschodniobałtyckie nie oferowały dostatecznie kuszących zysków, za to dużo trudów i niewygód - niestrasznych z kolei zbrojnym mnichom, którzy dobrowolnie wybrali życie pełne wyrzeczeń. Dlatego też nad Wisłą i Dźwiną z powodów czysto militarnych wprowadzono nowe formuły zakonnego rycerstwa, a koncepcja św. Bernarda musiała zostać dostosowana do nieznanymi wcześniej warunków.

Bałtycki mnich-rycerz miał do czynienia z dwoma typami ludzi, które stawiały go w obliczu problemów nie przewidzianych, a więc i nie rozwiązanych przez regułę templariuszy: poganami (a nie muzułmańskimi niewiernymi) oraz świeżo nawróconymi. W krajach pogańskiej Północy nie było ziem ani świątyń, które

Kościół mógłby uważać za swoje dziedzictwo, jak w wypadku Palestyny; ich mieszkańcy wcale nie musieli być wrogami chrześcijaństwa. Czy zatem należałoby ich zostawić w spokoju, czy atakować równie zjadle jak muzułmanów? Czy wyznawca Chrystusa mógł z nimi pertraktować albo wchodzić w sojusze? Czy przyjęcie warunkowej kapitulacji i zaofiarowanie im korzystnego pokoju byłoby grzechem, czy aktem miłosierdzia? Czy tych, którzy zgodzili się przyjąć chrzest, można wykorzystywać, kierować nimi, czy też dać im pełną swobodę? Kto za ich los odpowiadał: mnisi, którzy ich poskromili, czy księża, którzy ich ochrzcili? Nie były to li tylko kwestie akademickie, ponieważ i zakonnicy, i kapłani świeccy byli pełnomocnikami władzy kościelnej, ta zaś w XIII wieku wynikała z doktryny, a doktryna z kolei musiała być ortodoksyjna. Tymczasem rozwiązania przyjęte przez Braci Dobrzyńskich i Kawalerów Mieczowych do ortodoksyjnych nie należały, a kiedy schedę po nich przejął Zakon Niemiecki, wraz z nią odziedziczył całą gamę problemów teologicznych. Rola, jaką Krzyżakom przyszło odgrywać na Północy, była bardzo odmienna od tej, jaka im przypadła w Palestynie.

Zakonna machina wojenna (1225–1309)

W latach 1225–1229 na Zakon Krzyżacki naciskano z dwóch stron: cesarz chciał go wykorzystać w krucjacie palestyńskiej, a polski książę Konrad I Mazowiecki umyślił powierzyć mu obronę swych ziem przed Prusami. Konrad wziął udział w nieudanej wyprawie

pruskiej z lat 1222–1223, ale jego głównym celem było podporządkowanie innych polskich książąt z nadzieją na przejęcie Krakowa i władzy senioralnej. Trzymając za niego w szachu nadwiślańskich pogan, Krzyżacy zapewniliby mu swobodę działania. Zdając się na usługi zakonu rycerskiego, książę szedł za przykładem innych ówczesnych wschodnioeuropejskich władców: na wschód od Odry już się zadomowili templariusze i joannici, a w okolicach Gdańska dzierżył ziemię nawet kastylijski zakon kalatrawensów. Jednakże wszystkie te trzy organizacje niechętnie podejmowały działania wojenne poza Palestyną i Półwyspem Iberyjskim; braciszkanie wielkiego mistrza von Salzy mogli się wydawać bardziej elastyczni, ponieważ wyświadczyli już dużą przysługę monarsze węgierskiemu.

Po epizodzie karpackim Herman von Salza był jednak ostrożniejszy. W latach 1211–1225 jego ludzie na zaproszenie króla Andrzeja II bronili wschodniego pogranicza Siedmiogrodu przed Połowcami; wznieśli pięć warowni i spacyfikowali region zwany ziemią Borsa (południowo–wschodnia część Siedmiogrodu). Gdy tylko jednak zrobili swoje, król oskarżył ich o nieposłuszeństwo wobec Korony i biskupów i wydalil z Węgier. Honoriusz III oficjalnie protestował w imieniu Krzyżaków, ale nic nie wskórał. Dlatego też wielki mistrz postanowił nie zobowiązywać się do walki z Prusami, dopóki Konrad nie zagwarantuje mu autonomii. Książę zwlekał, Krzyżacy ruszyli więc z cesarzem do Ziemi Świętej; von Salza posłał nad Wisłę niewielki oddział dopiero w 1229 roku, kiedy otrzymał

od Konrada Mazowieckiego i od Fryderyka II upoważnienie do zatrzymania ziemi chełmińskiej i przyszłych zdobyczy jako feudalnej własności zakonu. Nie zamierzał przy tym porzucać jednej krucjaty dla innej: operację pruską traktował jako poligon dla przyszłych obrońców Jerozolimy.

Tak więc Krzyżacy znaleźli się pod kilkoma względami na lepszej pozycji niż ich poprzednicy. Po pierwsze, weszli do Prus z *carte blanche*. Złota Bulla z Rimini Fryderyka II, przywilej podpisany przez Konrada Mazowieckiego na moście w Kruszwicy oraz bulle Grzegorza IX zgodnie stanowiły, że zasadnicza działalność zakonu, czyli walka z poganami, leży poza jurysdykcją wszelkiej innej władzy, choć misja w Prusach miała pozostać w gestii biskupa Chrystiana. Jednakże w 1233 roku biskup został wzięty do niewoli przez pruski zagon i pozostawał w niej przez sześć lat. Nieobecny nie mógł zatem ingerować w pierwsze krzyżackie podboje; dopiero w 1243 roku zakon musiał podzielić się zdobyczami z innymi biskupami misyjnymi.

Po drugie, Krzyżakom przyznano większy limit werbunkowy. Było to bardzo ważne, ponieważ bez świeckich krzyżowców nie mogliby podejmować poważniejszych działań zaczepnych. Grzegorz IX oddał oficjalną propagandę w kwestii krucjaty pruskiej dominikanom, którzy w latach trzydziestych XIII wieku szybko się na terenie Rzeszy rozwijali. W 1245 roku Innocenty IV zagwarantował odpust zupełny wszystkim, którzy wezmą udział w wyprawie do Prus czy to na wezwanie papieża, czy bezpośrednio Krzyżaków.

W latach sześćdziesiątych przywilej ten rozszerzono także na rycerzy, którzy zamiast stawać pod sztandarem krucjaty własną osobą, wspierali ją tylko finansowo. Do współudziału w tym zbożnym dziele wzywało wiernych z papieskiego nakazu całe duchowieństwo w Europie Środkowej i Północnej, a Krzyżakom pozwolono nawet na udzielanie odpustów we własnym zakresie. Biskup ryski Albert sam musiał szukać wsparcia dla misji w Inflantach; krzyżacka krucjata w Prusach przyciągnęła więcej ochotników, niż było potrzeba. W pierwszej fali krzyżowców z 1232 roku znalazło się siedmiu polskich książąt, a rok później dołączył do nich margrabia miśnieński Henryk III Dostojny z pięciuset rycerzami. W dalszej kolejności zjawili się margrabia brandenburski, książęta austriaccy i król czeski Przemysław II Ottokar. Wszyscy już wcześniej mieli powiązania z Zakonem Krzyżackim jako donatorzy lub sprzymierzeńcy, a poza tym byli ludźmi ze Wschodu - do Prus było im bliżej niż do Palestyny i dzięki temu pełne odpuszczenie grzechów można było uzyskać raptem w kilka tygodni. Fortunne przybycie tego czy owego z wymienionych wielmożów co najmniej pięciokrotnie w ostatniej chwili ratowało Krzyżaków od katastrofy; uzbrojony w papieską bullę wielki marszałek mógł wzywać posiłki, kiedy tylko chciał. Kiedy po kapitulacji środkowej części Prus nie były już potrzebne, przestał po nie posyłać - nie życzył sobie, aby jacyś Boemundowie ściągali tam w roli krzyżowców i zakładali własne państwa.

Co więcej, Zakon Krzyżacki pozostawał w o wiele lepszych stosunkach z dworem papieskim niż Kawalerowie Mieczowi. Podczas gdy marszałek walczył z poganami, wielki mistrz trzymał rękę na pulsie w kurii rzymskiej. Za każdym razem, kiedy Krzyżacy w Prusach odchodzili od wytyczonej przez Rzym linii, zazwyczaj był pod ręką ktoś, kto dementował niewygodne pogłoski, prostował nieporozumienia i w odpowiednim momencie szepnął słówko do właściwego ucha. Przez cały XIII wiek tylko Aleksander IV i ekscentryczny Celestyn V publicznie skarcili Zakon za występki; skandalu takiego, jaki w latach 1235–1236 spadł na Kawalerów Mieczowych, udawało się unikać aż do początku następnego stulecia. Legatów papieskich nie tak łatwo było udobruchać, ale nawet oni nie mogli przebywać w dwóch miejscach naraz - Krzyżacy natomiast tę sztukę opanowali.

I po czwarte wreszcie, Zakon zdołał zgromadzić rozległą sieć posiadłości poza regionem bałtyckim. Straty terytorialne i w ludziach ponoszone na froncie nie miały poważniejszych konsekwencji ekonomicznych. W 1250 roku Krzyżacy dysponowali już dwunastoma baliwatami na terytorium samej Rzeszy, nie licząc śródziemnomorskich, a liczba komturów zbierających się w kapitule generalnej przekroczyła stu. Właśnie z księstw niemieckich werbowano najwięcej nowych członków, szczególnie z Westfalii, środkowej Nadrenii, Frankonii i Turyngii, a chociaż magia Ziemi Świętej wciąż przyciągała ochotników silniej niż Prusy, z biegiem lat straciła na atrakcyjności. Wszędzie, gdzie

zakon dzierżył ziemię, rekruci garnęli się w jego szeregi. W latach 1210–1230 łączna suma zaksięgowanych darowizn się potroiła, a przez następne sześćdziesiąt lat i ta, dostatecznie już wysoka kwota została podwojona. Nie wiemy, jak się kształtowała pełna liczebność Krzyżaków w średniowieczu, ale wydaje się prawdopodobne, że przez cały XIV wiek na liście figurowało nie mniej niż dwa tysiące braci–rycerzy i trzy tysiące kapelanów, braci i sióstr służebnych oraz półbraci.

Takie były aktywa Zakonu Krzyżackiego. Pozostaje zadać sobie pytanie, kto i dlaczego do niego wstępował.

W 1216 roku Honoriusz III wymagał, aby kandydatów dobierać spośród „osób wojskowych” - czyli wszystkich, którzy znali sztukę walki, było to jednak kryterium bardzo mgliste. W owym czasie spełniał je tak bogaty, jak i ubogi; władca księstwa i pozbawiony ziemi najemnik. Z pierwszych piętnastu wielkich mistrzów czterech było, jak się wydaje, synami ministeriałów (*ministeriales*), ludzi, których status wynikał z pełnionych w służbie władcy funkcji administracyjnych; pięciu pochodziło z rodów rycerskich posiadających dziedziczne włości; jeden urodził się w domu miejskiego notabla; jeden był księciem, a genealogii czterech pozostałych nie udało się do dzisiaj ustalić. Podobne proporcje przeważały w XIII wieku, jednak z uwagi na to, że ówczesne niemieckie społeczeństwo dalekie było od jednorodności, trudno wyciągać ogólne wnioski na temat pochodzenia, statusu majątkowego i rangi przeciętnego rycerza–zakonnika. Większość

wywodziła się z rodzin urzędniczych; kiedy jednak z biegiem lat linia podziału na szlachetnie urodzonych i całą resztę stawała się wyrazistsza, coraz większy był odsetek kandydatów napływających z warstwy wyższej. Dopiero począwszy od lat czterdziestych XIII wieku wielcy mistrzowie wymagali, aby każdy nowy brat był *volgeboren*, dobrze urodzony; wyjątki od tej reguły zdarzały się nadzwyczaj rzadko. Zawsze jednak o przyjęciu w szeregi zakonu decydowały przede wszystkim rodzinna tradycja i miejsce urodzenia. Przez dwa stulecia, od 1250 do 1450 roku, piętnastu z wyższych funkcjonariuszy w Prusach należało do jednego z pięciu zamożnych rodów rycerskich z okolic Würzburga, a od początku XIII wieku aż po 1525 rok najczęściej ochotników napływało właśnie z terenów między Wurzburgiem a Norymbergą. Dopiero od 1300 roku zaczęło się pojawiać w Prusach więcej ludzi z Hesji i Nadrenii, a w XV wieku także z pozostałej części Bawarii. Westfalczyki i mieszkańcy dolnej Nadrenii najczęściej wybierali Inflanty. Kiedy w łonie Zakonu Krzyżackiego zaczęły powstawać faksje, kryterium podziału był raczej język (czyli regionalne dialekty) niż pochodzenie społeczne - pod tym względem XIII-wieczni bracia byli towarzystwem mocno wymieszonym, choć z pewnością nie znalazłby się wśród nich żaden chłop. Prawie wszyscy jednak byli Niemcami.

Przy tym narodowościowym monopolu nie upierało się jednak w początkowej fazie istnienia zakonu. Kawalerowie Mieczowi, Bracia Dobrzyńscy i Krzyżacy to tylko trzy z wielu grup niemieckich rycerzy, którzy

nie znajdując zatrudnienia w kraju, szukali go poza ojczyzną. Sasi na przykład służyli królom duńskim, węgierskim i czeskim, książętom polskim i pomorskim. Protektorzy Krzyżaków mieli nadzieję wykorzystać zakon jako magnes dla takich wolnych strzelców, których można by wykorzystać w Palestynie, Italii czy Armenii; od początku byli zainteresowani raczej stymulacją niż ograniczaniem naboru, dlatego wśród braci trafiali się też Polacy, Szwedzi i Frankowie.

W Skandynawii nie było podobnych niezależnych grup, ponieważ walczący z północnymi poganami pozostawali na służbie swoich monarchów i nie mogli myśleć o budowaniu własnej państwowości. Ci, których pociągał etos mnicha-wojownika, mieli otwartą drogę w szeregi joannitów, zadomowionych w Danii i Szwecji jeszcze przed przybyciem Krzyżaków nad Wisłę.

Kastylijskie i portugalskie zbrojne zakony, które w latach 1150–1220 rozwinęły się z dawniejszych bractw rycerzy, księży i mieszczan, przypominały Krzyżaków oddaniem sprawie lokalnej krucjaty przeciwko niewiernym i faworyzowaniem własnej narodowości przy werbunku, ale pod innymi względami różniły się od nich znacznie. Utworzono je dlatego, że Kościół i monarchie iberyjskie były już nieodwracalnie związane ze świętą wojną; Zakon Krzyżacki powstał, ponieważ niemieccy książęta niezbyt się nią interesowali. Zakony iberyjskie służyły zatem swoim królom i biskupom, podczas gdy Krzyżacy próbowali podporządkować władców i hierarchów sprawie krzyżowej.

Ich pierwotnym celem było rozszerzanie chrześcijaństwa, a nie granic Rzeszy.

Reguła Zakonu wymagała, aby kandydat na brata-rycerza mógł zadowalająco odpowiedzieć na te same pięć pytań, jakie zadawano aspirującym do habitu templariusza. Czy należysz do jakiegokolwiek innego zakonu? Czy jesteś żonaty? Czy ukrywasz jakąkolwiek fizyczną ułomność? Czy jesteś zadłużony? Czy ciąży na tobie poddaństwo? Jeżeli wstępujący na wszystkie odpowiedział negatywnie, przychodziła kolej na pięć potwierdzeń. Czy jesteś gotów walczyć w Palestynie? A w innych regionach? Czy chcesz opiekować się chorymi? Czy będziesz służył całą swą wiedzą i umiejętnością, gdzie i kiedy ci rozkażą? Czy będziesz posłuszny regule? Następnie kandydat składał śluby:

Ja, Kuno von Hattenstein, ślubuję i obiecuję czystość zachować, własności wszelkiej się wyrzec, posłusznym być Bogu, błogostawionej Maryi Dziewicy i tobie, bracie Annonie, mistrzu Zakonu Niemieckiego, i następcom twoim, wedle reguły i praw zakonnych, i będę powolny rozkazom twoim aż do śmierci”.

Przyjętego brata czekał ostry reżim, który miał doprowadzić do jednakowo sprawnego wypełniania przezeń obydwu ról, mnicha i rycerza. Jego życie toczyło się według norm i zasad wyłożonych w statucie, na który składały się reguła zakonna (*Reguli et tituli fratrum*), zbiór ustaw i orzeczeń określających zasady postępowania mnichów (*Institutiones et iudicia*) oraz spis zwyczajów o charakterze proceduralnym (*Consuetudines*

maiores), zainspirowanych regułami templariuszy, joannitów, Zakonu Św. Ducha z Montpellier i dominikanów. Kolejne wymogi dopisywali wielcy mistrzowie, wszystko to składało się więc na pokaźną księgę, której kopie musiały być przechowywane w każdej komturii, trzy razy do roku uroczyście odczytywane w całości, a fragmentami co niedzielę.

Zakonne przepisy narzucały niezliczone rytuały religijne. Brat – rycerz powinien przez cały dzień odmawiać godzinki, tak w klasztorze, jak i podczas czynnej służby, posługując się nieco uproszczoną dominikańską formą liturgii. Nakazu tego, jak się wydaje, ściśle przestrzegano. W 1344 roku wielki mistrz Ludolf König von Wattzau uzyskał od papieża zgodę na rozpoczynanie podczas kampanii bojowych pierwszej mszy tuż przed świtem (jutrzni), ponieważ na północy zimowe dni są tak krótkie, że bracia musieli być gotowi do wymarszu jak najwcześniej. Musiał być jednak spełniony jeden warunek: Podniesienie miało przypadać dokładnie w chwili pojawienia się pierwszych promieni wschodzącego słońca. W obozie msze odprawiano w namiocie mistrza lub komtura, a pełen cykl godzinek należało odśpiewać w zasięgu słuchu wartowników przy ołtarzu polowym. U templariuszy wymagano przyjmowania sakramentu nie mniej niż trzy razy do roku; Krzyżacy musieli przystępować do komunii co najmniej siedem razy, znacznie ostrzej traktowali też nakazane posty. Oprócz Wielkiego Postu długi okres bezmięsny wyznaczono w listopadzie i grudniu (adwent), a w tygodniu „suszone” w poniedziałki, środy,

piątki i soboty oraz dodatkowo w określone dwadzieścia jeden dni w roku. Podstawą diety zakonników były jajka, mleko, owsianka i woda.

Dyscyplina zakonna szła w parze z wojskową. Od braci oczekiwano wypełniania wszystkich obowiązków rycerza z zachowaniem tylko nielicznych przywilejów tej warstwy. Wszyscy byli jednolicie wyposażeni i uzbrojeni: każdemu przysługiwały dwie koszule, dwie pary spodni i dwie butów, jeden płaszcz, rodzaj śpiworra, koc, brewiarz i nóż. Rycerz zakonny mógł mieć dwa do czterech wierzchowców, ale nie były one jego własnością. Nie wolno mu było obcować z ludźmi świeckimi; zimowe okrycie musiało być uszyte z taniej - koziej lub owczej - skóry. Spać należało w koszuli, spodniach i butach; kufer z rzeczami nie mógł być zamknięty. Podczas posiłków i w dormitorium, podczas marszu, a nawet w latrynie obowiązywało milczenie. Jedyнным dopuszczalnym hobby było snycerstwo; wszelkie rozrywki, jak również dworne obyczaje popularne wśród świeckich rycerzy, były po prostu zakazane. Braciom nie wolno też było nosić rodowych herbów: czarny krzyż na białym tle musiał wystarczyć wszystkim. Udział w turniejach był niedopuszczalny, podobnie jak polowanie na większość zwierzyny poza wilkami i niedźwiedziami, i to bez asysty psów. Broda była dozwolona, ale włosy trzeba było krótko przycinać i utrzymywać w czystości.

Pod względem militarnym naczelnym wymóg był jeden: sprawność bojowa. Oddział konnicy musiał działać jak jeden mąż pod absolutną władzą dowódcy, który

miał pełne prawo użycia wobec krnąbrnych trzciny w obozie, a w bitwie i pałki. Mobilizacja, parady, przemarsze, rozbijanie obozów, służba wartownicza i procedury bojowe - wszystko było uregulowane przepisami i ujęte w karby żelaznej rutyny, a przy tym wykonywane w milczeniu. Najważniejszą jednak różnicą między rycerzem zakonnym i świeckim było chyba to, że bracia nie tylko nie byli właścicielami koni i rynsztunku, ale nie mieli prawa do udziału w łupach ani pobieranych okupach. Mogli natomiast - i nawet było to mile widziane - zajmować się handlem na rzecz wspólnoty; w epoce, kiedy kupczenie uważano za zajęcie niegodne męża rycerskiego stanu, był to prawdziwy ewenement.

Zajęcia godne rycerza - zabijanie, zastraszanie przeciwnika, zarządzanie terytoriami - były dla Krzyżaków chlebem powszednim. Ponieważ wierzyli, że służą sprawie chrześcijaństwa, nietrudno było je pogodzić z powołaniem religijnym; natomiast mogły stać w sprzeczności ze złożonymi ślubami. Brat - rycerz często był wystawiany na próby, szczególnie w kwestii czystości. Na wojnie co rusz się zdarzało, że na jego łaskę i niełaskę zdane bywały kobiety. Powszechnie traktowano je wtedy jak zdobycz, a nadzieja na okazje do gwałtów pomagała w werbowaniu i utrzymywaniu w ryzach lokalnych sprzymierzeńców. Część zakonników musiała brać z nich przykład, jak donosili stronnicy, ale nie niewiarygodni polscy świadkowie wydarzeń na wojnie z lat 1329-1332. Pewien rycerz zeznał, że Krzyżacy zgwałcili więcej kobiet niż ich pruscy

poddani; mieszkanię jednego z grodów widział, jak kobiety wleczone są do ich namiotów. Pokusy wojennej codzienności często zapewne okazywały się nieodparte, ale to nie znaczy, że zasada celibatu była lekceważona; niektórzy zakonnicy tym bardziej poważnie ją traktowali. Kronikarz Piotr z Dusburga za przykład podawał Bertolda Bruhavena, komtura królewieckiego (1289–1302), który przed wstąpieniem do Zakonu Krzyżackiego przeszedł coś, co można by nazwać odwrotnością małżeństwa na próbę. Wybrał najładniejszą dziewczynę, jaką mógł znaleźć, i przez rok spał z nią w jednym łóżu, nawet jej nie dotykając. *Ecce, mira res et stupenda* („Rzecz zaiste przedziwna i w osłupienie wprawiająca”), napisał kronikarz. Ci, którym taka siła ducha nie była dana, jako antidotum żądzy stosowali ból, nosząc kolczugi na gołe ciało, póki metal od krwi nie zardzewiał. Byli i tacy, których tylko nadnaturalne zdarzenia ratowały przed grzechem. Straszliwy Jan von Gilbertstedt z Halle w życiu świeckim był tak jurny, że jeszcze po sakramencie namaszczenia chorych (błędnie zwanym „ostatnim namaszczeniem”) dopuścił się gwałtu na pielęgniarkę. Widać przelał tym czynem czarę niebieskiej cierpliwości, albowiem porwali go diabli i cisnęli w dalekie bagna, skąd wygramolił się jako upokorzony pokutnik i tak odmieniony wstąpił do zakonu. Można przypuszczać, że namiętność seksualna i kult czystości toczyły w sercach większości rycerzy zakonnych nieustanną walkę, której żadna strona nie mogła wygrać. Warto wszakże odnotować, że komtur Albert z Miśni ułożył na tę intencję specjalną modlitwę: „O najwyższa

radości, daj nam prawdziwie Cię pokochać, czystym obdarz sumieniem i od żądy nas obroń”.

Duchową motywacją nie tylko rycerzy zakonnych, ale i wszystkich krzyżowców, było pragnienie odkupienia grzechów służbą. Metoda może się wydać dziwaczna, zwłaszcza w zestawieniu z franciszkańską, która w tym samym celu głosiła miłość, ale Krzyżacy współpracowali z franciszkanami i mimo tak istotnych różnic mieli jedną ważną cechę wspólną: starali się osiągnąć świętość i zbawienie, nie odcinając się od świata doczesnego; w nim i dla niego działali z zakonnym poświęceniem. Oba zakony żywiołowo się rozwijały w tym samym okresie, między 1220 a 1250 rokiem, i były postrzegane jako wzajemnie się uzupełniające, a dopóki większość zachodnich chrześcijan uważała wojnę z poganami za chwalebna i świętą, dla przeciętnego kandydata na zakonnika zbroja i płaszcz krzyżacki były równie atrakcyjne jak habit franciszkanina.

W zakonie krzyżackim bracia–rycerze byli kastą dominującą, ale nie jedyną. Za wojenną machiną szła dobroczynność, edukacja i posługi religijne, a prowadzeniem szpitali i zarządzaniem parafiami zajmowali się bracia kapelani, półbracia i siostry zakonne. W końcu XIV wieku Krzyżacy utrzymywali szpital w Elblągu, gdzie opiekę nad miejscowymi chorymi (ale nie leczenie) pełniono według wzoru joannickiego, każącego szpitalnikom traktować pacjentów jako „panów naszych, ludzi ubogich”. Wiązało się to bardziej z zapewnianiem jałmużny, schronienia i mszy niż z medycyną i może z tego powodu w miastach szpitalami zarządzali

nie zakonnicy, tylko sami mieszkańcy. Niemniej służba oferowana przez Krzyżaków cieszyła się dużym uznaniem, a o sukcesie tej idei może zaświadczyć fakt, że na prośbę biskupa Winchesteru w 1229 roku regułę Zakonu przyjął angielski szpital Św. Tomasza Becketa.

Jednakże zakon nie grał tylko na uczuciach religijnych. W północnej krucjacie bardzo pomagali mu Niemcy, ściągający nad Bałtyk z czysto świeckich pobudek. Pod koniec XII wieku prym wiodła w tej materii gotlandzka gildia niemieckich kupców handlujących z Rusią, a biskup ryski Albert umacniał swoją diecezję dzięki przybyszom z Rzeszy: osadnicy założyli nowy gród i chętnie przyjmowali nadania ziemskie, co z kolei wydatnie pomagało w opanowaniu kraju. Tę samą politykę stosowali Krzyżacy od początku działalności w Prusach: na każdym świeżo zajęтым terenie błyskawicznie budowano warowne miasteczka i tworzone system włości lennych przydzielanych wasalom ze stanu rycerskiego - tym samym zapewniając sobie źródło dochodów i rekrutów.

Już w 1233 roku podczas zakładania osad w Chełmnie i Toruniu wielki mistrz Herman von Salza ustanowił polityczne warunki egzystencji miast, spisane w dokumencie *Kulm Handfeste*, zwane odtąd prawem chełmińskim (*Kulmer Recht*). Mieszkańcom lokowanych według jego zasad grodów przyznał częściową niezależność, zastrzegając jednak na rzecz Zakonu udział w zyskach z wymiaru sprawiedliwości, roczny czynsz dzierżawny i prawo bicia monet, narzucił obowiązek służby wojskowej i zachował własność terenów

wokółmiejskich. Prawo chełmińskie, oparte na magdeburskim i zatwierdzone przez wszystkich prowadzących kolonizację ksiąząt, było mniej korzystne dla grodzian niż lubeckie, przyznane nadbrzeżnym miastom Rydze, Rewlowi i Elblągowi, które samodzielnie kontrolowały swoje okręgi i mogły utrzymywać własną milicję. Dopiero około 1255 roku Krzyżacy na tyle urosli w siłę, że narzucali *Kulmer Recht* wszystkim nowo powstającym osadom typu miejskiego. Reguła ta wciąż jednak była dostatecznie atrakcyjna, by przyciągać kolejnych przybyszy, i stanowiła dobrą płaszczyznę współpracy między zakonem i jego miastami. A było to przymierze o bardzo istotnym znaczeniu, ponieważ łączyło krzyżackie podboje z najsilniejszym katalizatorem społecznym regionu wschodniobałtyckiego: niemieckim organizmem miejskim. Bogactwo, fachowość i zmysł handlowy nowych skupisk populacji czyniła je *taches d'huile* Prus i Inflant, z których jak oliwa na fale sączyły się w głąb puszczy i moczarów kultura, technologia i handel, przekształcając plemienne społeczności skuteczniej niż podboje i chrzest.

Zdobywając nowe terytoria, Kawalerowie Mieczowi i Krzyżacy mogli korzystać z wprowadzanych wtedy innowacji dostępnych dla nich przede wszystkim w wyniku bliskich związków z niemieckimi kupcami, kolonizatorami i rzemieślnikami. Ludzie ci napływali do świata bałtyckiego w coraz większej liczbie od założenia Lubeki w 1158 roku i unicestwienia zachodniosłowiańskiej potęgi morskiej przez Duńczyków, dzięki czemu dla kupieckiej żeglugi otworem stanął szlak

handlowy do Nowogrodu. Jedną z najważniejszych nowinek technicznych były pojemniejsze statki: powiększony czterokrotnie skandynawski *byrthing*, któremu dodano pokłady i ster płetwowy zamiast dawnego wiosła sterowego, oraz mocno zaokrąglona koga o wysokiej wolnej burcie. Tą nazwą pierwotnie określano każdą jednostkę o prostych stewach dziobowej i rufowej, nachylonych względem stępki, ale pod koniec XII wieku niemieccy skutnicy wynaleźli metodę wykorzystania tego kształtu do konstrukcji wyjątkowo ładownego statku, także sterowanego za pomocą poruszanej z górnego pokładu płetwy sterowej. Koga mogła zabierać pięciuset pasażerów albo zimowe zaopatrzenie dla całego miasta; nadawała się do walki morskiej, zdecydowanie przewyższała łodzie, jakimi posługiwali się w napadach na nadbrzeżne osady Bałtowie, a wkrótce stała się poważną konkurentką dla wikińskiego modelu langskipu. Świetnie się sprawdzała w transporcie wojskowym na wodach nękanym przez piratów i była niezastąpionym środkiem komunikacji między nowymi miastami a tradycyjnymi rynkami. W połączeniu ze statkami rzecznyymi - bolskipem i różnymi formami barek - dawała zakonnym rycerzom dużą przewagę logistyczną, mimo że sami weszli w posiadanie kog z dużym opóźnieniem.

Następną ważną nowością były kamienne wieże. W Palestynie Krzyżacy zdobyli doświadczenie w budowie zamków, ale na Północy musieli zaczynać bez wykwalifikowanej siły roboczej i mieli do dyspozycji bardzo niewiele lokalnych kamieniołomów; wznosząc

warownie, zmuszeni byli zadowalać się drewnianymi budynkami i otaczać je palisadą. Już Waldemar I pokazał, jak skuteczne są ceglane twierdze w obronie wybrzeża, wyrób cegieł nie był jednak jeszcze rozpowszechniony nad Bałtykiem, a zakładanie i prowadzenie cegielni wymagało wielu robotników i ustabilizowanej sytuacji - nad wschodnim Bałtykiem brakowało zaś i jednego, i drugiego. Alternatywą było kamieniarstwo - fach dobrze znany w Saksonii, odkąd margrabiowie zaczęli w XII wieku stawiać murowane zamki. Właśnie przybysze z Niemiec umożliwili Krzyżakom zastępowanie drewnianych fortów kamiennymi stołbami, a tym samym uodpornienie się na najgroźniejszą broń przeciwnika: ogień. W połowie XIII wieku było w Prusach nie więcej niż pięć takich murowanych fortec, a w Inflantach może dziesięć, ale ich znaczenie było nieocenione: niejeden raz ochroniły obleganą załogę, podczas gdy w starej warowni zostałyby niemal na pewno pokonane. W następnym stuleciu kamień zastąpiła cegła, materiał tańszy i łatwiejszy w uzyskiwaniu.

Bez nowatorskich rozwiązań nie mógł się obejść także rynek broni. W XIII wieku ulubionym orężem wędrownych niemieckich kupców stała się kusza, niezastąpiona również na wyposażeniu miejskich milicji. Broń niezbyt rycerska, i to nie Krzyżacy ani Kawalerowie Mieczowi wprowadzili ją nad Bałtykiem - ale bez niej nie mogliby wygrać wczesnego etapu walki o przetrwanie; jej celność i siła przebicia znacznie wyrównywały szanse w starciu niewielkich oddziałów

z przeważającym liczebnie nieprzyjacielem. W powiększonej wersji jako balista mogła być montowana na miejskich murach i bywało, że jeden wystrzelony pocisk kładł pokotem całą grupę szturmujących, wydatnie pomagając odeprzeć napastników od skądinąd wątkich umocnień.

Wybrałem te trzy przykłady jako najbardziej użyteczne narzędzia wojenne, ale na tym się postęp techniczny nie kończył. Nowe rozwiązania stosowano w budownictwie, wyrobie narzędzi, kowalstwie, garn-carstwie, ciesielstwie, rolnictwie i rybołówstwie, gdzie przydawały materialnych fundamentów twierdzeniom mnichów–rycerzy, którzy szczycili się tworzeniem nowych społeczności na ziemiach dotąd barbarzyńskich. Te przemiany nie brały się z mszałów ani reguł zobowiązujących do życia w ascezie; wynikały z koniecznego partnerstwa ze świeckimi Niemcami, obsesyjnie dążącymi do zysków, majątku i panowania, a przy tym zaraźliwie pomysłowymi w realizacji tych celów. Północno–wschodnia Europa miała ulec połączonym siłom religii i gospodarki, którym tubylcze społeczności nie miały jak sprostać, ale się do nich ze zmiennym powodzeniem adaptowały. Z nastaniem XIV wieku w całym regionie od Morza Północnego po Nowogród językiem interesów stał się dolnoniemiecki, a między wszystkimi bałtyckimi ludami, krzyżowcami, kolonistami i zbrojnymi zakonnikami zaczęła się rywalizacja o udział w rosnącym bogactwie Północy. W tej walce siły nie były jednak równomiernie rozłożone.

Podbój wschodnich krajów nadbałtyckich

W wyniku wojen zaborczych, jakie przetoczyły się w XIII wieku przez region wschodniego Bałtyku opisany w rozdziale 1., tamtejszy świat uległ głębokiej transformacji. Najpierw Liwowie, Estowie i Łatgalowie, a później Prusowie i Finowie zostali rozgromieni, podbici, ochrzczeni. Niektóre plemiona zostały wysiedlone lub nawet eksterminowane przez grupy Niemców, Szwedów i Duńczyków. Narodziły się cztery nowe kraje: Inflanty i Prusy oraz Estonia i Finlandia, wszystkie mocno zakotwiczone w zachodnim chrześcijaństwie i otwarte - w większym stopniu niż kiedykolwiek - dla napływu ludzi, idei, powiązań handlowych i nowości technologicznych z Zachodu. W końcu XII wieku granicę wpływów Kościoła rzymskiego można było nakreślić jako niemal prostą linię biegnącą od Gdańska ponad tysiąc sto kilometrów na północ - przez Gotlandię i Wyspy Alandzkie po ujście szwedzkiej rzeki Ume. W 1292 roku linia ta przesunęła się od dwustu pięćdziesięciu do pięciuset kilometrów dalej na wschód, obejmując nowe tereny o powierzchni równej Wielkiej Brytanii, na których żyło prawdopodobnie niewiele więcej niż milion ludzi - jedna czwarta ówczesnej pięciomilionowej populacji Wysp Brytyjskich. Wszystkie te podboje były w pewnym sensie wypełnieniem zadania nakreślonego przez Aleksandra III w bulli *Non parum animus noster*. Odpowiedzialność za dusze tych

ludzi - w większości dopiero co ochrzczonych lub jeszcze tkwiących w błędach pogaństwa - dźwigało jedno nowe arcybiskupstwo i osiem biskupstw. Na pograniczu tego nowego świata rozlokowano zastępy świeckich i zakonnych rycerzy, by strzegły go przed mrokiem dawnej wiary i zakusami Kościoła prawosławnego - tych samych, którzy wykroili te nowe biskupstwa, księstwa i grody z żywego ciała tubylczych populacji, całe Pismo Święte na ich użytek sprowadzając do jednego chwytliwego hasła: „Nakłońcie ich, by przyszli”.

Inflanty

Najlepiej udokumentowanymi podbojami były te dokonywane przez zakony rycerskie. Pierwszym takim sukcesem było podporządkowanie ludów Inflant przez biskupa ryskiego i jego zbrojne ramię, Kawalerów Mieczowych. Proces ten wprowadził na Daleką Północ nową koncepcję i technikę aneksji, usuwając w niebyt przestarzały system hegemonii. Do 1200 roku mieszkańcy dorzecza Dźwiny bywali już wasalami przybyszów z zewnątrz. Rusowie z Połocka założyli Księstwo Kukejnoskie, któremu podlegał łotewski władca z Jersiki (grodu położonego w połowie biegu rzeki między Połockiem a Bałtykiem). Książęta Nowogrodu i Pskowa odebrali hołd lenny od północnego odłamu Łotyżów i Estów z południa, a na straży tej podległości stanęły warownie w Odenpah (1116) i Dorpacie (1133). Wasalami Litwinów byli przez jakiś czas Zelowie z lewego brzegu Dźwiny. Niemieccy najeźdźcy z początku XIII wieku nie uznawali tych feudalnych zależności.

Do połowy stulecia większość książąt ruskich pogodziła się z utratą tych terenów i nawet ułożyła stosunki z ich nowymi panami, którzy może nie byli najlepszymi sąsiadami, ale za to niezłymi kupcami.

Dwa główne źródła literackie z tego regionu i epoki są wyczerpujące i reprezentatywne dla odrębnych grup niemieckich, do których należeli ich autorzy. *Kronika Liwonii* (*Chronicon Livoniae*) została spisana po łacinie w latach 1225–1229 przez Henryka Łotysza, misjonarza, który był świadkiem narodzin kolonii i żył jeszcze w 1259 roku, pracując wśród Łotyszów w założonym przez siebie kościele w Rubene (Papendorp). Henryk interesował się taktyką i szczegółowo opisywał doroczne kampanie; zarazem jednak musiał kochać miejscową ludność, która podporządkowała się jego przewodnictwu; ich spolegliwość odbierał jako akt dający nadzieję na ich lepsze życie na tym i na przyszłym świecie. Przed chrztem kradli, rabowali, zabijali, łamali przysięgi, popełniali kazirodztwo i poligamię, i w ogóle poczynali sobie jak głupcy; jako chrześcijanie nabrali rozsądku, krzywd zaczęli dochodzić przed sędziami i ogólnie po przejściowym okresie wzlotów i upadków usatkwowali się na drodze cnoty. Nie było zatem powodu, by kwestionować metody, jakimi nakłaniano ich do przyjęcia prawdziwej wiary.

Niektóre z tych metod były jak najbardziej humanitarne. Zimą 1205 roku biskup ryski wystawił misterium, aby obrazowo przekazać Liwom doktrynę chrześcijańską. Sceny bitewne były tak udatnie odegrane, że większość audytorium wpadła w panikę i usiłowała

uciec; zapewne dlatego, że najczęstszym narzędziem nawracania, z jakim się ze strony Alberta spotykali, był miecz. W 1211 roku Kawalerowie Mieczowi i łotewscy chrześcijanie obiegli estoński gród Fellin (Viljandi). Po drodze zagarnęli grupę jeńców; pokazali ich obrońcom i obiecali, że jeżeli się poddadzą i przyjmą chrzest, więźniowie zostaną oszczędzeni. Estowie odmówili, na ich oczach więc dokonano egzekucji, a ciała wrzucono do fosy. Oblężenie trwało pięć dni i kosztowało wiele ofiar po obu stronach, zanim zakonnicy ponowili ofertę. Grodzianie odrzekli: „Przyznajemy, że wasz bóg silniejszy jest od naszych. Pokonał nas i gotowi jesteśmy go czcić”. Miasto się poddało, a ocalałych mieszkańców skropiono wodą święconą i zapoznano z katechizmem. Jak skomentował Henryk, duchowni słusznie odłożyli na później właściwą ceremonię chrztu, skoro tyle krwi się przelało. Nie widział nic złego w takim podejściu do dzieła nawracania, ponieważ dla niego i dobrowolne, i wymuszone przyjęcie wiary było zgodne z wolą boską, a sposób powiększania trzódki Kościoła nie miał znaczenia.

Kronikarz był jednak zdania, że nawróconym poganom nowi władcy powinni starannie wyjaśnić zasady wiary i traktować ich sprawiedliwie. Odcinał się od kombinatorów, jakich nigdy nie brak w koloniach - skorumpowanych plemiennych sędziów, rycerzy zagarniających tubylczą ziemię, chciwych księży - ponieważ uważał, że niweczą oni boskie dzieło. Nowy porządek musi być lepszy od starego nie tylko dlatego, że jest chrześcijański, ale przede wszystkim dlatego, że

ma dawać ludności pokój, dostatek i wiarę w siebie. Henryk pisał swą kronikę we względnie spokojnym okresie, co brał za dowód, że początkowe zniszczenia i rozlew krwi nie poszły na marne.

Jak się okazało, był w błędzie. Przez następne sześćdziesiąt lat raz jeszcze przyszło zdobywać kraj, narażając się znów na męczeńską śmierć. Jeszcze za życia Henryka rozwiały się wszystkie jego iluzje o pokojowej przemianie Łotyszów, a Kawalerowie Mieczowi, których malował jako posłusznych i oddanych sprawie misji wykonawców woli biskupa, zostali zde-maskowani w skandalu na skalę międzynarodową i wchłonięci przez Zakon Krzyżacki. Armia Najświętszej Marii Panny miała dwunastokrotnie ponieść sromotną klęskę, zanim jej lud mógł wreszcie zacząć spokojne i bezpieczne życie.

Głos, który pod koniec stulecia rozbrzmiewał z Inflant, był już znacznie ostrzejszy. Przemawiał w języku średnio – wysokoniemieckim, a należał do anonimowego rycerza - niewykluczone że Krzyżaka - który napisał rymowaną historię Inflant. *Livlandische Reimchronik* przedstawia punkt widzenia raczej zakonnego rycerza niż misjonarza. Maryja Dziewica, w której Henryk Łotysz widział matkę wszystkich ludzi, tu jest boginią wojny; Bóg jest surowym panem, któremu najlepiej służyć z mieczem w dłoni. Żołdem Jego rycerza jest zbawienie, ale jedyną pewną do niego drogą jest męczeństwo - śmierć z rąk Jego wrogów. Powodzenie w boju jest dowodem boskiej dobroci, którą jednak nie zwykł On szafować. Najmilszą dlań rzeczą oprócz mę-

czeństwa wyznawców jest mordowanie pogan bez względu na płeć i wiek, dym ich płonących domostw najlepszym kadzidłem, a najpiękniejszym chorałem ich lament. Dlatego właśnie Krzyżacy nieustraszenie rzucają się do boju nawet na wielokrotnie silniejszego nieprzyjaciela, szukając bardziej śmierci niż zwycięstwa, i ruszają na niepotrzebne wyprawy przeciwko pokojowo nastawionym plemionom, ponieważ tak każe im żądny władzy Bóg objawiony we krwi i ogniu. Rymopis podaje nawet, że w tego rodzaju misjach do braci-rycerzy przyłączali się członkowie zakonów żebraczych:

*Pierwsze, co tę ziemię paliły płomienie,
Brata kaznodziei niesione ramieniem,
A za nim brat szary podązał z pochodnią.*

Boga wprawdzie cieszyło, gdy poganie z własnej woli przyjmowali wiarę, ale jedynym sposobem upewnienia się, że są naprawdę nawróceni, było według autora kroniki zmuszenie ich do bezwarunkowej kapitulacji, albo jak w wypadku Zemgalów w 1290 roku, wyrzucenie z ich ziemi wszystkich, którzy się poddać nie chcieli. Rozejm nigdy nie popłacał; zawsze lepiej było walczyć, choćby bez powodzenia. Na pracy nieuzbrojonego misjonarza nie można polegać - dowiodły tego na przykład wydarzenia na Litwie, gdzie król przyjął chrzest, a potem pozwolił swoim ludziom atakować oddziały zakonne. *Livlandische Reimchronik* nie przedstawia Krzyżaków jako kaznodziejów; autor niedwuznacznie twierdzi, że ich gotowość na męczeństwo jest

dla Kościoła cenniejsza niż tysiące słów najbardziej złotoustych misjonarzy.

Do miejscowej ludności kronikarz ma stosunek zdecydowanie mniej ojcowski niż Henryk Łotysz, ale nie pozbawiony sympatii. Jeżeli poganie stawiają opór Zakonowi, nie zasługują nawet na cień miłosierdzia, ale to nie umniejsza ich męstwa. Mówiąc o plemiennych wojownikach, używa takich samych określeń jak wobec chrześcijańskich rycerzy - *vromer helt, degen* (szlachetny bohater, mąż dzielny) - a ich sukcesów nie stara się bagatelizować. Jeżeli współdziałają z Zakonem, są akceptowani; gdy się sprawdzają w boju, kronikarz nie szczędzi im pochwał; gdy rejterują, gani, lecz powściągliwie. Niewiele go przy tym obchodzi, czy chodzą do kościoła, za to chętnie opisuje, jak to lojalni Kurowie wracali do domów obładowani sprawiedliwie należącymi się im łupami i świętowali zwycięstwa Krzyżaków. Chrześcijańscy sprzymierzeńcy - jak władca litewski Mendog - również w czasie pokoju są przez Rymopisa traktowani jak ludzie honoru, którym należy się szacunek. Nawet gdy Litwini zerwali rozejm, usprawiedliwia ich motywację jako racjonalną: chcieli tylko zapobiec przejęciu ich kraju przez obcych.

Wojna jest dlań jednak nieunikniona, bo jak inaczej udowodnić przeciwnikowi, że jego bogowie są słabsi? Szatan wszak także popycha niewiernych Żmudzinów do walki żarliwymi podżeganiem swoich sług, pogańskich kapłanów i wieszczków. Bój naprawdę toczy się między dwiema nadprzyrodzonymi siłami; obie jak pionkami posługują się dzielnymi i szlachetnymi

ludźmi, ale Bóg i Matka Boska są po prostu silniejsi. Chrześcijaństwo wygrywa na dwa sposoby: w porażce przez męczeństwo, w zwycięstwie przez nawracanie pokonanego nieprzyjaciela. Rymopis mógł więc spoglądać na dziewięćdziesiąt lat historii bez żalu; nie dlatego, że wojna doprowadziła do pokoju i pozyskania przez Kościół nowych owieczek - jak sądził Henryk Łotysz - ale dlatego, że jego strona wyszła z niej zwycięsko.

Te dwa źródła, podobnie jak wiele innych, przedstawiają opinię zdobywców. Podbite ludy takich głosów po sobie nie pozostawiły. Jak to traktowały, możemy się tylko domyślać po częstotliwości prób zrzućenia nałożonego im przez nowych panów jarzma i religii, ale to oczywiście nie stanowi dostatecznego dowodu. Część mieszkańców regionu pozostawała zawsze lojalna; inni, jak Estowie z Fellina, przyjmowali wynik przegranej bitwy jako sprawiedliwy werdykt losu i wstępowali na służbę zwycięzców, widząc w tym skuteczny sposób dochodzenia własnych praw w lokalnych zadawnionych sporach albo po prostu zabezpieczenia się przed innymi najeźdźcami. Brzemień wojennych ofiar i zniszczeń przychodziło im znosić na długo przed pojawieniem się zakutych w żelazo cudzoziemców; teraz przynajmniej można było zarobić, handlując z niemieckimi kupcami.

Misja w Rydze zaczęła się jako przedsięwzięcie rodzinne. Głową rodziny był Hartwig II, arcybiskup bremeńsko-hamburski (1185–1207), który spędził większość lat urzędowania, starając się odzyskać utra-

cone terytoria swojej niegdyś potężnej diecezji i własne znaczenie. Gdy się dowiedział, że stary kanonik z klasztoru Augustianów w Segebergu (należącym do diecezji bremeńsko–hamburskiej) osiedlił się nad Dźwiną, by tam głosić Słowo Boże, natychmiast ustanowił go biskupem Liwów. Nie było to niczym dziwnym; w końcu do 1103 roku kuria bremeńsko–hamburska sprawowała duchową władzę nad całą Północą. Świeżo upieczony biskup Meinhard nie odnosił dużych sukcesów. Aby nakłonić Liwów do przyjęcia chrztu, przekupił ich, instruując, jak zbudować mury warownie w Üxküll i Holm, po czym się przekonał, że ani myślą wytrwać w nowej wierze. Papież listownie doradzał mu zastosowanie przymusu, ale Meinhard nie wiedział, jak się do tego zabrać. Miejscowi kupcy niemieccy chcieli tylko handlować, a Szwedzi grabić. Sterany życiem biskup zmarł w 1196 roku i Hartwig przysłał na jego miejsce młodszego hierarchę, byłego opata cystersów Bertolda z Lokkum, ale ten po roku odpłynął z Rygi, donosząc w raporcie, że sytuacja w Inflantach jest nie do opanowania. Starał się wkupić w łaski Liwów darami i rozrywką, oni jednak nie kryli chęci pozbycia się go na dobre.

Arcybiskup bremeńsko–hamburski miał już jednak gotowe rozwiązanie: nieustającą krucjatę. W 1195 roku nakłonił papieża Celestyna III do uznania za krzyżowca każdego, kto ślubuje udać się na pielgrzymkę nad Dźwinę; trzy lata później potwierdził to Innocenty III. Dopiero wtedy biskup Bertold pożegłował z powrotem do Inflant, ale już na czele uzbrojonego po zęby zastępu

saskich krzyżowców. Rycerze wykazali się sprawnością w boju i wyprawa odniosłaby może poważny sukces, gdyby sam hierarcha nie dał się otoczyć nieprzyjaciółom, którzy go dosłownie roznieśli na mieczach. Krzyżowcy spustoszyli okolicę, zmusili grupę Liwów do przyjęcia chrztu, po czym odpłynęli do domów, zostawiając sprawy własnemu biegowi. Krucjata nie była jednak bezowocna: Inflanty zyskały w ten sposób pierwszego męczennika - warunek niemal konieczny w paradygmacie nawrócenia. Na następcę Bertolda arcybiskup Hartwig wyznaczył swego siostrzeńca, Alberta von Buxhövdena, który przez rok werbował nowych krzyżowców, po czym zjawił się nad Dźwiną z ponad pięciuset ochotnikami na dwudziestu trzech okrętach.

Pozytywna reakcja na apel Hartwiga nie wynikała tylko z poparcia dla polityki rozszerzenia wpływów jego arcybiskupstwa: miał on w Saksonii nie mniej wrogów niż przyjaciół. Jego wezwanie do podjęcia krzyża nastąpiło jednak pod koniec dziesięciolecia intensywnej propagandy krzyżowej, kiedy wielu rycerzy z północnej Europy złożyło ślub uczestnictwa w wyprawie planowanej przez cesarza Henryka VI w 1197 roku, ale spotkało ich rozczarowanie, gdyż krucjata nie doszła do skutku. Niepokoje i lokalne wojny w Rzeszy po jego śmierci sprawiły, że więcej niż zwykle ludzi miało na sumieniu zbrodnie i ziemia im się paliła pod stopami. Mieszkańcom Kolonii, Soest, Bremy czy Lubeki, którzy mieli powiązania handlowe ze Wschodem, szlak przez Gotlandię do ujścia Dźwiny kojarzył się z dobrym zarobkiem, więc teraz jako droga do zbawienia

duszy przedstawiał się nader atrakcyjnie. Hartwig i Albert musieli tylko ująć tę podaż ludzi w ramy organizacyjne i później powtarzać ten proces co roku, zgodnie z upoważnieniem od Innocentego III; kursowanie między Lubeką a Inflantami okazało się źródłem stałego dochodu dla kapitanów statków, rycerzy, kupców i książąt. Krzyżowcy „sezonowi”, którzy przybywali i wyjeżdżali, też ułatwiali życie tym, którzy pozostali za morzem na stałe - a wśród osiedleńców prym wiodli krewni arcybiskupa Hartwiga. Przewodził im oczywiście Albert von Buxhövden, który przeniósł siedzibę biskupią z leżącego w górze Dźwiny Üxküll do łatwiej dostępnego dla kog portu w Rydze, gdzie powstało nowe miasto dla niemieckich przybyszów. Przez całe ćwierć wieku rokrocznie wracał do Rzeszy, by kaptawać zwolenników i ochotników, umocnił też własną pozycję dzięki częstym kontaktom z Innocentym III i królem duńskim Waldemarem II. Swemu bratu Dytrykowi powierzył nowe cysterskie opactwo w Dyjamencie (zwanym też Dynamuntem, niem. Dünamunde), a później nakłonił go do ożenku z ruską księżniczką i objęcia kasztelanii w twierdzy Otepa, w ten sposób zabezpieczając Inflanty od wschodu. Szwagrowi Engelbertowi von Tisenhusenowi oddał w lenno ziemie wokół Rygi, a kuzyna Dytryka ze Stade zwerbował do załogi wojskowej. Kiedy krzyżowcy zdobyli Dorpat, Albert osadził tam na synekurach dwóch innych braci - Rothmara czyniąc biskupem, Rothmasa dziekanem. Wywodzące się od nich rody - von Tisenhusenowie, von Üxküllowie, von der Roppowie - miały później

zdobyć w Inflantach duże znaczenie, ale najtrwalszą schedą po Albercie była jego rodzina zakonna: Kawalerowie Mieczowi, którzy jeszcze za życia biskupa wybili się na czołową siłę polityczną w kraju.

Pod względem społecznym była to, jak się wydaje, grupa raczej mieszana. W oczach niechętnego im kronikarza Kawalerowie jawili się jako „bogaci kupcy, wygnani z Saksonii za występki, którzy chcieli żyć po swojemu, bez króla i prawa”. Część z nich należała jednak do dalszych krewnych biskupa Alberta, a wielki mistrz z Folkwin mógł być synem grafa Naumburga, ziemi w północnej Hesji; pozostali (z tych, których pochodzenie można prześledzić) wywodzili się albo stamtąd, albo z terenów między Lubeką a Bremą, czyli z obszaru, gdzie Albert miał najwięcej koneksji. Zakon prawdopodobnie nigdy nie liczył więcej niż stu dwudziestu braci–rycerzy, rozproszonych w sześciu konwentach, ale to nie znaczy, że łatwo było utrzymać nad nimi kontrolę. Folkwin objął funkcję wielkiego mistrza w 1209 roku, kiedy brat Wigbert z Soest zabił jego poprzednika Winnego von Rohrbacha toporem. Z biegiem lat spis ich występków tak się rozrósł, że nie było niemal zbrodni, o jaką nie można by ich oskarżyć; nie da się ukryć, że stanowili raczej szemrane towarzystwo. Trzeba jednak przyznać, że pod przewodem obu pierwszych wielkich mistrzów toczyli zwycięskie wojny w warunkach niepozostawiających zbyt wielkiego pola manewru, gdzie każdy błąd mógł mieć fatalne skutki.

Tajemnica ich militarnego sukcesu leżała w ograniczonej roli, jaką mieli do odegrania w generalnym

planie krucjaty opracowanym przez Alberta i jego zwierzchników. Kawalerowie Mieczowi byli ciężkozbrojną elitą krzyżowej armii i trzeba było ich w boju oszczędzać - zarówno z powodu ich niewielkiej liczby, jak i wskutek tego, że topografia regionu Dźwiny nie bardzo się nadawała do działań konnicy. Ich głównym zadaniem była organizacja letnich kampanii z udziałem krzyżowców i miejscowych lenników oraz utrzymanie placówek obronnych zimą. Biskup Albert podczas krucjaty z 1200 roku zdołał umocnić się w ryskiej bazie, osadzić tam pierwszych niemieckich feudałów i skaptować ponad połowę Liwów pod przywództwem władcy Kaupona z Turaidy; do Kawalerów Mieczowych należało przeć w górę rzeki i konsolidować to, co się udało zdobyć. Zemgalowie z lewego brzegu Dźwiny przyłączyli się do chrześcijan w 1205 roku, aby wspólnie pokonać litewskich najeźdźców; dwa lata później połowę swych ziem odstąpił biskupowi wódz z Kokenhauzy (również za pomoc przeciwko Litwinom). Jego gród i Jersika trafiły w niemieckie ręce w 1209 roku; tak więc pod panowaniem Rygi znalazła się większość ludu łotewskiego. W 1212 roku połocki książę Włodzimierz II przekazał Albertowi swoich lenników z tych ziem, płacąc w ten sposób za sojusz wojskowy i prawo swobodnej żeglugi po Dźwinie dla swoich kupców.

W latach 1209–1218 po kilku letnich kampaniach biskup zdołał podporządkować południowe prowincje estońskie - Sakkalę, Ugaunię i Rotalę - odpierając ataki Rusów i Litwinów, także zainteresowanych tymi tere-

nami. Przybycie do północnej Estonii krzyżowców duńskich powstrzymało na jakiś czas niemiecką ekspansję w tym kierunku: w 1222 roku Albert musiał zawrzeć układ terytorialny z królem Waldemarem II. Nie oznaczało to ostatecznego opanowania Estonii przez chrześcijan: przez dwa następne lata Duńczycy i Sasi musieli odzyskiwać części kraju utracone wskutek powstania miejscowych plemion; po krótkim okresie spokoju, w którym porządek zaprowadzał legat papieski Wilhelm z Modeny, przyszła kolej na poskromienie wyspiarzy z Ozylii (1127) i Kurów, którzy skapitulowali w latach 1230–1231.

W ten sposób zostały nakreślone kontury Liwonii, jak w piśmiennictwie niemieckim nazywano Inflanty. W tych zaciętych walkach Dźwina pełniła rolę linii życia, łączącej szereg ufortyfikowanych klasztorów i kamiennych warowni: Dyjament, Rygę, Kirchholm, Üxküll, Lennewarden, Ascheraden i Kokenhauzę. Kogi wyładowywały ludzi i zaopatrzenie w Rydze, skąd można było transportować posiłki dla twierdz rzeczny- mi szkutami. Lewy, południowy brzeg porastała gęsta puszcza, z której od czasu do czasu czynili grabieżcze wypadki Litwini i Kurowie; można było z nimi walczyć tylko na otwartej przestrzeni, najlepiej w drodze powrotnej, gdy byli obciążeni łupami. Pościg na ich własnym terytorium nie wchodził w rachubę jako zbyt niebezpieczny. Po stronie północnej teren był wyżynny, ale bardziej dostępny, pocięty mniejszymi rzekami i dobrze wydeptanymi wojennymi szlakami. Więcej było tam gruntów i wsi do zdobycia, a kontrolę nad okoli-

cą zapewniały wzniesione na wzgórzach forty: Sigulda, Turaida i Kieś nad Ganją; Parnawa na wybrzeżu; Fellin, Dorpat i Otepa, a później także Lihula i Paide na północy kraju. W penetracji tej krainy Kawalerowie Mieczowi wykorzystywali całą swą przewagę techniczną. Najważniejszym elementem były same warownie, zbudowane na planie kwadratu kamienne zamki, zazwyczaj usytuowane na zdobytych szczytach ziemnych i zwieńczone pojedynczą narożną basztą. We wczesnych stadiach podboju duże znaczenie miały zbroje, kusze i katapulty; w 1207 roku bracia-rycerze powstrzymali połocką inwazję dzięki zastosowaniu czteroramiennych żelaznych kolców kaleczących końskie kopyta. Wieże oblężnicze, trebusze (odmiana katapulty) i faszyna do zasypywania fosy zmusiły w 1211 roku załogę Fellina do kapitulacji i dziewięć lat później ułatwiły odbicie Kircholmu. Po porażce zadanej przez Kurów na Zatoce Ryskiej rycerze zakonni przestali używać do walki na morzu małych okrętów, zastępując je kogami, których nieprzyjaciel nie potrafił budować. Dzięki temu w 1215 roku zdołali wyprzeć z Rygi Ozylian.

Poganie zawsze jednak mieli przewagę liczebną i lepiej znali miejscowe warunki; szybko nauczyli się kopiować maszyny oblężnicze i nakładać zdobyczne pancerze lub po prostu nabywać je od kupców nie przejmujących się papieskim zakazem. Najeźdźcy nie mogli więc polegać wyłącznie na wyższości technologicznej. Prawdziwą ich siłą była umiejętność przeciągania na swoją stronę części miejscowej ludności - do

tego zaś nie wystarczyłaby ani sama polityka zastraszenia, ani perswazja słowna. Henryk Łotysz wyraźnie stwierdza, że co najwyżej pojedyncze osoby gotowe były wyrzec się starych bogów i walczyć w imię nowego bez dodatkowych środków motywujących. W wojennej praktyce chrzest stał się skutkiem, nie przyczyną przyłączenia się do armii krzyżowej - decyzję taką podejmowano z pobudek bardziej wymiernych. Na pierwsze miejsce wysuwała się ochrona przed najeźdźcami z Rusi i Litwy, którzy zarazem byli rywalami biskupa Alberta. Innym powodem była oferowana Liwom i Łotyszom pomoc krzyżowców w atakach na Estów, co dawało szansę wyrównania starych rachunków i łatwego wzbogacenia się. Najważniejsze jednak mogło być to, że biskup Rygi był partnerem najlepszych kontrahentów miejscowej elity - niemieckich kupców dostarczających broń, srebro i artykuły luksusowe w zamian za futra i wosk - i mógł w każdej chwili zamknąć port i ujście Dźwiny. Podbój Inflant odbywał się więc dwuetapowo: najpierw tamtejsze ludy były kaperowane na sojuszników lub z pomocą takowych niewolone; następnie przychodziła kolej na chrzest, zakładanie garnizonów i pełne podporządkowanie najeźdźcom - księżom i panom feudalnym. Czy jednak zawsze Liwowie i Łotysze pokornie poddawali się tej drugiej fazie? Wielu się buntowało już przed 1237 rokiem, a i później dochodziło do powstań. Następne półwiecze było ciężką próbą dla tej typowo kolonialnej nadbudowy, jaką było biskupstwo ryskie.

Odpowiedzialność za te wieloletnie niepokoje w dużej części ponosili Kawalerowie Mieczowi. To oni zdobyli większość nowych terytoriów, porozumienie z 1204 roku zastrzegało jednak, że dla siebie zatrzymają jedną trzecią, resztę zaś muszą oddać biskupowi. Lecz ziemia przynosiła niewielkie dochody, a wojny kosztują... Próba wyciśnięcia z chłopów większych danin skończyła się szeroko rozprzestrzenionym powstaniem w 1222 roku, za co braci–rycerzy spotkała reprimenda ze strony papieża Honoriusza III. Próbowali potem zrekompensować sobie straty, zagarniając estońskie posiadłości króla duńskiego, ale ugięli się pod naciskiem legata i wycofali; jednakże gdy Wilhelm z Modeny wyjechał, nie tylko wrócili do Estonii, ale zaczęli zajmować ziemie biskupa i nałożyli cło na przewozy Dźwiną. Skargi na Kawalerów Mieczowych dotarły do Rzymu; od 1230 roku zakon miał już coraz gorszą renomę; następny legat, Baldwin z Alny, uznał, że więcej z nimi kłopotów niż pożytku i zalecił ich pokromienie siłą. Kiedy jednak próbował na czele własnej drużyny odebrać im duńską warownię w Rewlu, poniósł porażkę i dostał się do niewoli. Wypuszczony, mógł tylko wrócić jak niepyszny do Italii i wytoczyć Kawalerom Mieczowym proces. Wielki mistrz Folkwin poczuł, że zaczyna się robić gorąco, i usiłował nakłonić cieszący się wtedy nieskazitelną opinią Zakon Krzyżacki, aby przyjął jego bractwo w swe szeregi. Wysłana na inspekcję grupa Krzyżaków zameldowała na zebraniu kapituły w Marburgu, że Kawalerowie Mieczowi to „ludzie folgujący własnym skłonnościom, nie docho-

wujący wierności regule; chcą tylko, aby dać im wolną rękę i nie kontrolować ich postępowania, chyba że za ich zgodą”. Inspektorzy musieli wykryć, że podczas utarczki z legatem inflanccy bracia–rycerze posunęli się nawet do aresztowania własnego mistrza.

W Rzymie zapadł werdykt niekorzystny dla Kawalerów Mieczowych, a Krzyżacy nie chcieli im pomagać bez papieskiego pozwolenia. Później do niepowodzenia na wokandzie doszła klęska militarna. Latem 1236 roku wielki mistrz za namową przybyłych z Rzeszy krzyżowców najechał na Litwę. Wspierany przez księcia pskowskiego dotarł dość daleko na południe, zanim pod Szawlami doszło do spotkania z głównymi siłami litewskimi - i tam dopiero się okazało, że krzyżowcy nie chcą się bić, bojąc się utracić konie w bagnistej okolicy. Litwini nie mieli takich problemów. Ruszyli do ataku i wycięli całą armię w pień - „niczym bezbronne kobiety”, jak to ujął Rymopis. Zginął wielki mistrz Folkwin i pięćdziesięciu braci–rycerzy. To był koniec Zakonu Kawalerów Mieczowych. Pomóc mogliby im tylko król Danii i papież - ale z obu zdążyli zrobić sobie wrogów. W maju 1237 roku niedobitki inflanckiego bractwa zostały oddane pod władzę Krzyżaków. Odpowiedzialność za obronę Inflant przejął mistrz krajowy Prus, Herman von Balk, który pospołu z legatem Wilhelmem z Modeny zabrał się do ratowania prowincji. Ogłoszono kolejną krucjatę, sprowadzono posiłki z Prus. Króla Waldemara II udobruchano, zwracając mu Estonię, arcybiskupa Rygi zaś udało się im przekonać, by zadowolili się trzecią częścią podbitych ziem.

Do 1255 roku mistrzowie inflanccy zdołali odzyskać terytoria na południe od Dźwiny, utracone w niefortunnej ostatniej kampanii Folkwina, nakłonili litewskiego króla Mendoga do przyjęcia chrztu i wejścia w sojusz z Zakonem, po czym już wspólnie przystąpili do podboju pruskiej Sambii.

Krzyżacy osiągnęli sukces dobrze wypracowaną metodą pozyskiwania sojuszników spośród pogranicznych ludów. Wobec Kurów, Zemgalów i Żmudzinów niezbędna się okazała demonstracja siły, ale warunki ich kapitulacji nie były surowe: musieli przejść na chrześcijaństwo, ale zachowali swoje warownie i daleko posuniętą niezależność; zgodzili się walczyć po stronie Zakonu, ale w zamian mogli liczyć na jego wsparcie w razie potrzeby. Jako gwarancję dochowania umowy Krzyżacy zatrzymali tylko zakładników.

Ten układ załamał się w 1259 roku, kiedy Żmudzi- ni zerwali pokój i pokonali mistrza krajowego Inflan- t Burcharda von Hornhausena w bitwie pod Schoten w Kurlandii, zabijając trzydziestu trzech rycerzy zakonnych. Przyłączyli się do nich także Zemgalowie i Litwini; kiedy Hornhausen chciał się przedrzeć na skróty do Prus po posiłki, trafił w zasadzkę nad jeziorem Durbe i cała jego armia została unicestwiona. Oprócz wicemistrza poległo wtedy stu pięćdziesięciu braci; gdy wieść o zwycięstwie się rozniosła, cała Li- twa i większość plemion pruskich odrzuciła nową reli- gię i wypowiedziała zakonowi wojnę. Wkrótce to samo uczynili Estowie z Ozylii, a Rusowie, korzystając z okazji, odbili przy litewskiej pomocy Dorpat.

Ta wojna, dziś zwana drugim powstaniem pruskim, wydaje się raczej wynikiem politycznej kalkulacji niż spontanicznym zrywem, protestem przeciwko uciskowi i dyskryminowaniu. Ludy znad Dźwiny i Wisły pod bezpośrednimi rządami Zakonu Krzyżackiego pozostały lojalne; do powstania ruszyli ci najmniej obciążeni utrzymaniem garnizonów i służbą wojskową. Jego skutki były jednak doniosłe: walne zwycięstwo Żmudzinów na długo poderwało autorytet Krzyżaków w strefie bałtyckiej i przez następne trzydzieści lat inflanccy bracia-rycerze musieli toczyć zajadłą, bezpardonową wojnę, aby osiągnąć dwa cele: po pierwsze, odzyskać niekwestionowaną przewagę militarną, a po drugie, pozbawić byłych sojuszników i lenników politycznej niezawisłości. Ten drugi cel długo nie mógł się ziścić, ponieważ z pierwszym wcale nie szło łatwo; Krzyżacy czterokrotnie ponosili poważne straty (w latach 1262, 1270, 1279 i 1287), czterech mistrzów krajowych padło na polu bitwy, a wziętego do niewoli marszałka Willekina spalono żywcem na stosie. Nieprzyjaciel miał przewagę liczebną i potrafił walczyć; jedyną strategią było zakładanie na zdobytych ziemiach stałych silnych garnizonów i ich ochrona szerokim pasem spalonej ziemi. Do 1263 roku udało się poskromić tylko Kurów. Zemgałowie nigdy się nie poddali, choć większość ich elity schwymano i ścięto, a lud musiał opuścić ojczysty kraj i schronić się na Litwie, pozostawiając za sobą pustkowie z kilkoma samotnymi zamkami. Zelowie trzymali się swojej puszczy - terenu trudnego, ale nieufortyfikowanego i narażonego na na-

jazdy tak z Inflant, jak i Litwy. Niepokonani pozostali też Żmudzini, najbitniejsi i najbardziej agresywni wrogowie Zakonu. Niemniej w 1290 roku sytuacja się ustabilizowała. Od Dyneburga do Kłajpedy ciągnęła się linia kilkunastu twierdz, za którą na południu rozciągała się „dzicz”. Była to utrwalona granica, chroniąca przed Litwinami i pozwalająca misjonarzom na swobodne działanie w Inflantach. Słowo stało się ciałem: Krzyżacy zmuszeni byli wcielić w życie wersety z Ewangelii według św. Łukasza: „Gdy mocarz uzbrojony strzeże swego dworu, bezpieczne jest jego mienie. Lecz gdy mocniejszy od niego nadejdzie i pokona go, zabierze całą broń jego, na której polegał, i łupy jego rozda”.

Prusy

Chrześcijańskie Prusy narodziły się około 1200 roku, kiedy zaczęła tam działalność misja cystersów z Łękna w Polsce. Ich duchowym patronem był Innocenty III, twórcą (przy duńskiej pomocy) biskup Chrystian z Oliwy, ale tak naprawdę wywalczył je dopiero Zakon Krzyżacki w dwóch równoczesnych wojnach: jedną z pruskimi poganami, drugą z każdym potencjalnym chrześcijańskim rywalem.

Ta druga wojna czasem bywała otwarta, jak w latach 1242–1248, kiedy przeciwnikiem Krzyżaków był gdański książę Świętopełk II Wielki, ale przeważnie były to starcia dyplomatyczne. Przez cały czas podboju Zakon musiał ostrożnie manewrować, aby jakaś inna siła nie zaczęła rościć sobie praw do ich terytorium, ani

nie zdobyła na nim przyczółka. Lubeka dążyła do założenia faktorii wzdłuż wybrzeża i udało się jej to w Elblągu. Bracia Dobrzyńscy starali się odzyskać ziemię na południowej granicy Prus. Polscy książęta domagali się udziału w zdobyczach za udzieloną pomoc, a Niemiec marzyło się panowanie nad całością. Legaci papiescy walczyli o większe przydziały ziemi dla biskupów i więcej swobód dla nawróconych pogan, niż Krzyżacy godzili się przyznać. Nawet niemieccy osadnicy nie zawsze potulnie słuchali nowych panów. Kolejni wielcy mistrzowie i kapituła dobrze wiedzieli, że bez pomocy Lubeki, Polaków, papieża i osadników o podboju nie ma co marzyć; jednakże prowadzili swoją grę z takim szczęściem i kunsztem, że cel osiągnęli z minimalnymi tylko ustępstwami na rzecz biskupów.

Zajęło to jednak całe półwiecze. Plemiona pruskie były liczniejsze i lepiej zorganizowane niż ludy znad Dźwiny; przed przybyciem Krzyżaków z powodzeniem opierały się naporowi Polaków, od dawna pragnących je uzależnić i zmusić do przyjęcia chrztu. *Tan to breviar, quanto coactor*, pisał o tych staraniach kronikarz Wincenty Kadłubek - im usilniejsze, tym krótszego żywota. Wiatach 1217–1223 Honoriusz III i biskup Chrystian próbowali zorganizować i wysłać przeciwko Prusom niezwyciężoną armię krzyżową, skończyło się jednak na bezowocnym wypadzie polskiego i niemieckiego rycerstwa w okolicy Chełmna, po którym poganie dokonali silnego uderzenia odwetowego. Dlatego właśnie książę Konrad Mazowiecki posłał po Krzyżaków.

Kluczem do sukcesu Zakonu Niemieckiego był przykład Kawalerów Mieczowych z Inflant. Trzeba było zacząć od zbudowania szeregu nadrzecznych zamków, które posłużyłyby za bazy dla krzyżowców; dopiero potem można było pomyśleć o systematycznym zdobywaniu dalszych terenów i posuwaniu się na wschód za Niemen.

Na początku była warownia w Chełmnie, wzniesiona w 1230 roku.

Wszystkie poprzednie wyprawy przeciwko Prusom kierowały się na wschód, w głąb lesistego kraju, ale dowódca pierwszej krzyżackiej armii, Herman Balk, skoncentrował działania w części zachodniej, wzdłuż Wisły. Pierwsza ekspedycja zabezpieczyła rzekę powyżej Chełmna i postawiła niewielką fortalicję w Toruniu, niedaleko ujścia Drwęcy, prawego dopływu Wisły płynącego ze środkowych Prus. Następnego roku wyruszyła wspólna wyprawa z polskimi i niemieckimi krzyżowcami. Pociągnąwszy na północny wschód od Chełmna, Krzyżacy wznieśli nowy zameczek w Kwidzynie i chroniący ziemię chełmińską od wschodu zamek Radzyń. Następna krucjata, dowodzona przez młodego margrabię miśnieńskiego, tak się dała we znaki plemieniu Pomezan, że zmuszeni zostali zawrzeć pokój i dostarczyli Balkowi dwie duże jednostki rzeczne, dzięki czemu krzyżowcy mogli popłynąć dalej na północ. Trwałym rezultatem tej wyprawy były kolejne twierdze: Elbląg i Kriszporg (Dzierzgoń, położony nad rzeką o tej samej nazwie), z którego Krzyżacy mogli kontrolować ziemię na wschód od Kwidzyna. Pomezan-

nie i Pogeżanie zostali odcięci od głównego szlaku handlowego i radzi nieradzi musieli się podporządkować zdobywcom. W 1239 roku nad Zalewem Wiślanym stanął zamek w Bałdze, około pięćdziesięciu kilometrów na północny wschód od Elbląga; teraz mistrz krajowy czekał tylko na kolejną krucjatę, żeby zamknąć pierścień okrążenia.

Do tej pory ciężar wojny spoczywał przede wszystkim na barkach krzyżowców, a Krzyżacy tylko stawiali drewniane warownie. Straty ponosili znikome i Herman Balk mógł odkomenderować część swoich rycerzy do zajęcia Inflant. Sytuacja się jednak zmieniła, kiedy nadciągnął książę brunszwicki z nową falą krzyżowców. Owszem, zrobił swoje: zmusił żyjące wokół Bałgi plemiona do uznania władzy krzyżackiej i wprowadził na zajęte ziemie kolonistów, ale gdy odjechał, Zakon został wzięty w dwa ognie. Niedawny sojusznik, książę gdański Świętopełk II Wielki, odkrył, że nowe osady handlowe w Toruniu, Kwidzynie i Elblągu coraz skuteczniej konkurują z jego kupcami, a zamek w Bałdze zagraża jego pozycji na Mierzei Wiślanej. W 1242 roku wszedł w sojusz z Prusami i zaatakowawszy ziemie krzyżackie z obu stron delty Wisły zniszczył prawie wszystkie grody (tylko trzy ocalały z pogromu) i spustoszył ziemię chełmińską.

Był to początek wojny, która ciągnęła się przez dziesięć lat. Świętopełk dysponował złożoną z ponad dwudziestu jednostek flotą rzeczną; budował warownie trzymające w szachu garnizony nieprzyjaciela i nieustannie nękał niemieckich osadników. Prusowie szyb-

ko się nauczyli przeciwdziałać zakonnym natarciom i odnieśli druzgocące zwycięstwa nad dwoma marszałkami, pod Rządzem (1244) i wsią Kruki (1249). Ciężkozbrojna jazda na dużych wierzchowcach i kusze dawały Krzyżakom przewagę na suchych równinach w zasięgu warowni; gdzie indziej jednak łatwo ich było zaskoczyć, okrążyć i wyciąć. Kłopot był tylko z zamkami: przeciwko nim nie dało się stosować taktyki podjazdowej, tylko albo je szturmować, albo oblegać. Kusze i maszyny wojenne łatwo odpierały bezpośrednie ataki; blokada też nie była skuteczna i do obrońców docierały statki zaopatrzeniowe. Sytuacja była patowa, tym bardziej że Świętopełkowi II nie udało się pokonać silnego oddziału braci-rycerzy, który wciągnął w zasadzkę pod Toruniem w 1246 roku.

Szałę na niekorzyść pomorskiego władcy przeważało wsparcie dla Zakonu ze strony legata papieskiego i polskich książąt. Polacy chcieli go wyprzeć z ujścia Wisły, legat zaś naciskał, by Świętopełk się opamiętał i obrócił oręż przeciw poganom. Zagrożony krucjatą książę zgodził się na pokój i dzielenie delty Wisły z Krzyżakami. Zakon był uratowany, ale zapłacił za to słono: w zamian za papieskie i niemieckie wsparcie musiał przyrzec, że ze swych zdobyczy wykroi trzy niezależne biskupstwa, a wszystkich nawróconych obejmie ochroną prawną. Na tym nie koniec; aby móc liczyć na pomoc w dalszych podbojach, wielki mistrz obiecał udziały Lubece i polskim książętom i zmuszony był pogodzić się z nadaniem przez papieża Półwyspu

Sambijskiego norweskiemu królowi Hakonowi IV (jeśli udałoby mu się najpierw opanować te ziemie).

Szczyście jednak Krzyżaków nie opuszczało. Gorczy spełnienia przyrzeczeń zaoszczędziło im pojawienie się trzech nieoczekiwanych sprzymierzeńców. Jednym z nich był czeski król Przemysław Ottokar II, który przybył na krucjatę w 1254 roku i sfinansował budowę twierdzy na Półwyspie Sambijskim, na jego cześć nazwaną Królewcem. Drugim okazał się król Litwy Mendog; po przyjęciu chrztu umożliwił Krzyżakom wzniesienie dwóch nowych warowni nad Niemnem: w Kłajpedzie u jego ujścia (a właściwie nad cieśniną łączącą Zalew Kuroński z Bałtykiem) oraz w Georgenburgu (Jurbork). Przyczyniło się to do kapitulacji Prusów z Sambii w 1259 roku, którzy poddali się właśnie Krzyżakom - a nie Polakom, Lubece, legatowi ani Skandynawom; czy jednak Zakonowi uda się obronić półwysep przed innymi chrześcijańskimi potęgami, dopiero przyszłość miała pokazać.

Trzeci, pozorny sojusznik, książę halicko-włodzimierski Daniel, nie zamierzał pomagać Krzyżakom: chciał zagarnąć Prusy dla siebie. Niemniej w latach 1248–1254 przedsięwziął wspólnie z polskimi książętami Siemowitem I i Bolesławem Wstydlwym skomplikowane operacje militarne, posuwając się na północny wschód Narwią, tym samym wiążąc siły najpotężniejszego z pruskich plemion, Jaćwingów, podczas gdy Zakon odnosił sukcesy na północy. Wtedy właśnie naciskany z obu stron Mendog zdecydował się na zbliżenie z Niemcami, a przez następne dziesięciole-

cie tylko ruska obecność nad Bugiem i Narwią (a bywało że i mongolska) uniemożliwiała zajęcie Prus przez jego następców.

Krzyżacki system obrony był bowiem wówczas w rozsypce: jak pamiętamy, klęska Kawalerów Mieczowych nad jeziorem Durbe pociągnęła za sobą powszechne powstanie i zniszczenie większości fortalicji i kolonii także w Prusach. Idący z odsieczą pierwszy oddział krzyżowców został rozbity w puch pod Pokarwis. Papież Urban IV, który starał się podówczas zorganizować krucjatę przeciwko Mongołom, wezwał wszystkich gotowych do podjęcia krzyża, aby spieszyli na północ, na ratunek Zakonowi Niemieckiemu, obiecując odpust zupełny za najkrótszą nawet służbę; jednakże do 1264 roku dwaj krzyżaccy mistrzowie krajowi polegli w bitwach, a stan posiadania Zakonu skurczył się do kilku najsilniejszych warowni. Padł nawet Kwidzyn, a Królewiec przetrwał tylko dzięki posiłkom z Inflant.

Tym razem ludy pruskie były dobrze zorganizowane, choć każdym plemieniem dowodził z osobna wybrany wódz. Do boju szli z kuszami i machinami oblężniczymi, a znajomość niemieckiego pozwalała im na infiltrację obozu nieprzyjaciela. Wspomagali ich syn Świętopełka II, Mściwoj II, oraz przywódcy Jaćwینگów, którzy zrzucili już ruską zwierzchność. Prusowie po mistrzowsku opanowali taktykę wojny na rzekach, znacznie lepiej walczyli w otwartych bitwach i nauczyli się skutecznie prowadzić oblężenie. Do ostatecznej klęski Krzyżaków mało brakowało, ale raz jeszcze ocaliła

ich odsiecz krzyżowców, wśród których wyróżnili się książę brunszwicki i landgraf Turynгии Henryk Raspe (1265), margrabiowie brandenburski (1266) i miśnieński (1272).

Warowne grody znów mogły odetchnąć, drogi wodne na powrót były otwarte, a zaplecze pruskich wodzów znacznie zubożało wskutek ciągłych rabunków. Całe ludy stanęły w obliczu trudnego wyboru: poddać się albo opuścić ojcowiznę. Kto się zdecydował na pierwsze wyjście, musiał się pogodzić z obecnością krzyżackich garnizonów i degradacją miejscowych władcyków do roli wasali Zakonu. Główne zamki odbudowano już jako murowane: Królewiec w latach sześćdziesiątych, Malbork i Kwidzyn w siedemdziesiątych. Tym razem żaden papieski wysłannik nie próbował powstrzymać procesu podboju, nie trzeba też było się targować z polskimi i innymi książętami; Litwini mogli się tylko przyglądać z boku i przyjmować uciekających na wschód pruskich uchodźców. Do 1277 roku poddały się wszystkie plemiona ze środkowych Prus. Część Bartów, Skalowów i wszyscy Nadrowowie przenieśli się nad Niemen. Dołączyły do nich niedobitki Pogezan, którzy tego roku po raz ostatni próbowali odzyskać niezależność. Pięć lat później nawet Jaćwintowie mieli już dosyć; jeden odłam, liczący około półtora tysiąca wojów, przyjął krzyżackie rządy, reszta plemienia wywędrowała na Litwę. Wojna trwała dalej, ale przerodziła się w podjazdową - szybkie starcia na ziemi niczyjej, do których Zakon zatrudniał już nie krzyżowców, ale grupy ochrzczonej Prusów, wyspe-

cializowane w zaskakujących atakach i podstępnych mordach. Dwukrotnie jeszcze podbite i przymusowo schryścianizowane ludy usiłowały zrzucić krzyżackie jarzmo, licząc na pomoc ze strony zewnętrznych wrogów zakonu - księcia Rugii i władców litewskich - ale ich los był już przesądzony. Krzyżacy zdążyli się mocno usadowić w siodle.

Tak zakończyła się trzecia faza podboju. Zakon Niemiecki został niekwestionowanym panem Prus, z wyłączeniem enklaw we władaniu biskupów Warmii i Pomezanii; trzecie biskupstwo, w Sambii, dzierżył infułat nominowany przez samych Krzyżaków. Uzyskanie tak silnej władzy byłoby znacznie trudniejsze, gdyby ich dwaj główni patroni, papież i cesarz, nie byli bardziej zajęci walką między sobą niż nadzorowaniem krzyżackich poczynań. I jeden, i drugi prowadził politykę, która musiałaby ostatecznie podporządkować podbite pruskie ludy razem z ich zakonnymi panami jego bezpośredniej władzy; tak jednak byli wobec siebie podejrzliwi, że woleli rywalizować o przyjaźń zakonu, niż zaryzykować, że zrażą do siebie któregoś z wielkich mistrzów, ograniczając mu swobodę działania. Dlatego właśnie Herman von Salza zdołał wyłudzić i od Grzegorza IX, i od Fryderyka II pierwsze nadania w 1226 i 1230 roku, a później pozwolenie na wchłonięcie Braci Dobrzyńskich i Kawalerów Mieczowych; dlatego bulla *Pietati proximum* z 1234 roku, ogłaszająca Prusy lennem Stolicy Piotrowej, i cesarski edykt z Werony (1245), rezerwujący dla cesarstwa Kurlandię, Semigalię i Litwę, nigdy nie weszły w życie, a układ dzierz-

goński z 1249 roku, przyznający swobody ochrzczonym pruskim poganom, wyegzekwowano tylko częściowo. Podczas gdy zwolennicy papieża i Hohenstaurowie toczyli zacięte boje, wielcy mistrzowie Zakonu Niemieckiego mogli przebierać w przywilejach, a ich zdobycze były zatwierdzane przez kolejnych cesarzy i papieży. W końcu dla jednych Krzyżacy byli „kwitnącą gałęzią cesarskiego dworu, rośliną delikatną przez imperatorów wyhodowaną” (cytat z przywileju króla Rudolfa Habsburga z 1273 roku), dla drugich zaś „synami i braćmi naszymi umiłowanymi, którzy od wielu lat myślą i ciałem poświęcają się dla wiary” (Bonifacy VIII, 1300 r.).

Estonia

Opowiedziałem już, jak królowie duńscy zreorganizowali swój system militarny, aby podbić Słowian połabskich. Po 1185 roku nie było jeszcze wiadomo, czy ich metoda rozszerzania władzy poprzez równoległe kampanie pustoszenia wybrzeży i budowania kościołów da się rozciągnąć także na bardziej oddalone kraje. Papież Aleksander III wskazał wszystkim wierzącym Skandynawom drogę na wschód; rosnąca wymiana towarowa z Nowogrodem i Połockiem sprawiała, że unicestwienie morskiej potęgi sambijskich, kurońskich i estońskich piratów stało się potrzebą chwili, a najlepszą do tego drogą wydawało się zagarnięcie ich ojczyzn. Dania była już bogatym, zjednoczonym królestwem, z liczną warstwą zamożnych kupców, rycerzy i mnichów, gotowym ponieść koszty wojny. Królowie

Kanut VI (1182–1202) i Waldemar II Zwycięski (1202–1241) organizowali niejedną sondażową wyprawę na wschód, idąc w ślady swego ojca, Waldemara I Wielkiego, który już w 1170 roku zaatakował Estonię. Duńskie flotyle szturmowały Finlandię (1191, 1202), Estonię (1194, 1197), Ozylię (1206) i Prusy (1210). Te najazdy wyrządziły pewne szkody i na jakiś czas zastraszyły grupy pogan, ale niczego więcej Duńczykom nie przyniosły. W tamtych stronach nie było książąt, których można by trwale związać podległością lenną, a na ich ziemiach osadzić duchownych; żaden duński misjonarz czy osadnik nie kwapił się do zakładania samodzielnych placówek, jak to uczynił Meinhard w Üxküll. Można też powątpiewać, czy do 1216 roku zamorskie podboje zajmowały wysoką pozycję na liście królewskich zamierzeń; wcześniej zaś Duńczycy zajęci byli realizacją znacznie intratniejszego programu przejmowania kontroli nad terenami między Łabą i Pomorzem. Dopiero gdy całe bałtyckie wybrzeże od Lubeki po Gdańsk uznało Waldemara II za suwerena, przyszedł czas na myślenie o mniej dostępnych terytoriach na wschodzie.

Tymczasem idea krucjat zyskiwała coraz więcej zwolenników. Apel Grzegorza VIII o odbicie z rąk sarraceńskich Jerozolimy zawarty w bulli *Audita tremendi* przyciągnął do Palestyny siedmiu najmożniejszych duńskich rycerzy, a wielu innych przyłączyło się do kontyngentu północnoniemieckiego, który wypłynął w 1188 roku. Norweski autor opisujący ekspedycję z 1191 roku (*De profectione Danorum in Hierosoli-*

mam) włożył w usta Esberna, brata arcybiskupa Absalona, słowa przemowy potępiającej grzeszne materialne nastawienie epoki i wojny prowadzone dla próżnej ziemskiej sławy i zagrzewającej Duńczyków do „większych i bardziej zyskowych podbojów”. „Przyjmijmy schedę po świętych i podejmijmy ich wysiłki”, nalegał Esbern - i w końcu znalazł ponoć posłuch u ponad tysiąca ochotników. Kolejne oddziały wyruszały do Palestyny w latach 1197, 1216 i 1225. Król Waldemar II i arcybiskup Anders Sunesen, krewny i następca Absalona, baczным okiem przyglądali się już jednak poczynaniom bremeńsko–hamburskiego hierarchy Hartwiga i jego misji w Inflantach, zastanawiając się, czy nie dałoby się pogodzić kontynuowania wysiłków świętych z grzesznym materializmem, i to znacznie bliżej domu.

Z tych obserwacji wyciągnęli kilka użytecznych wniosków. W 1206 roku obaj popłynęli z dobrze przygotowaną armią na Ozylię i bez większego trudu zmusili wyspiarzy do kapitulacji. Zbudowali drewniany fort, ale nie znaleźli chętnych do jego obsadzenia i w końcu przyszło im umocnienia po prostu spalić przed odpłynięciem. Flota udała się do Danii, król zaś z arcybiskupem zostali na zimę w Rydze. Wrócili lepiej obeznani z techniką podboju krajów wschodniobałtyckich i wiedzieli, że stawianiem drewnianych warowni i dorywczymi letnimi ekspedycjami niczego nie zwojują. Początek był już jednak zrobiony: od tej pory Waldemar II uważał Estonię, a być może też Inflanty, za swoje. Tego roszczenia w niczym nie umniejszyło to, że przez następne dwanaście lat niczego w tej sprawie

nie przedsięwziął, podczas gdy biskup ryski i Kawalowie Mieczowi zdecydowanie posuwali się na północ - ku „jego” domenę; miał w końcu pod kontrolą Lubeckę i zachodni Bałtyk, bez jego pozwolenia rywale nie mogli więc nic zdziałać. Sakso Gramatyk, który wtedy wciąż pisał swoją historię Danii, ożywiał narrację fantastycznymi opowieściami, jak to przodkowie króla zasiedlali Prusy i podbijali Łatgalów znad Dźwiny, Estów i Finów. Innocenty III pisywał do Waldemara zachęcające listy i traktował go jak ulubieńca i podporę Kościoła.

W 1218 roku Honoriusz III obiecał Waldemarowi II, że będzie mógł przyłączyć do Danii wszystkie ziemie, jakie uda mu się odebrać poganom. Nieco później biskup Albert, zaniepokojony najazdem Nowogrodzian, osobiście przybył prosić króla o zaatakowanie Estów. Następnej wiosny Waldemar zmobilizował flotę, połączył siły z okrętami rugijskimi i pożegłował na północne wybrzeże Estonii wraz z arcybiskupem, trzema biskupami i księciem Wisławem I, następcą Jaromara. Ekspedycja wylądowała w jedynym porządnym porcie Lyndanisse w prowincji Haria, gdzie niezwłocznie przystąpiono do budowy fortecy nazwanej przez Estów Tallinem, przez Duńczyków i Niemców Rewlem, a przez Rosjan Koływanem. Estowie oczywiście zaatakowali intruzów, lecz zostali odparci, ponosząc przy tym ciężkie straty. Kiedy gród był gotowy, król pozostawił w nim silny garnizon z księżmi i biskupami, sam zaś odpłynął do Danii. Następnego roku powrócił z posiłkami, przywiózł też grupę dominikanów. Duńczycy

i Kawalerowie Mieczowi niezależnie od siebie nękali północną Estonię, a w tym samym czasie król szwedzki Jan I Swerkersson najechał jej północno-zachodnie wybrzeże (Rotale) i wzniósł warownię w Lihuli. W tej sytuacji musiało dojść do nieprzyjemnego sporu o jurysdykcję, w którym strony odwołały się do Rzymu. Henryk Łotysz opisuje, jak Duńczycy jęli na pokaz stawiać wielkie krzyże i rozdawać pogańskim wodzom duże ilości wody święconej, aby polewali nią swych ludzi, podczas gdy misjonarze niemieccy pracowali sumiennie - ale w końcu był to kronikarz związany z Rygą. Sprawy się trochę uprościły, gdy miejscowa ludność wyparła Szwedów z Lihuli, a Waldemar II zamknął port w Lubece dla inflanckich krzyżowców; wyjednanie ponownego otwarcia kosztowało biskupa Alberta drogo: musiał oddać królowi całą północną Estonię (prowincje Haria, Wironia i Jerwa), a wyrzekłby się i Łotwy, gdyby nie nieugięty sprzeciw tamtejszych miejskich notabli. Również Kawalerowie Mieczowi uznali jego zwierzchność w południowej Estonii. Posiadanie silnej floty z nawiązką wyrównywało Duńczykom niedostatek innych atutów. Waldemar nie miał pod komendą zakonnych rycerzy, brakowało mu czasu na uporczywe wojowanie za morzem, nie miał też zbyt wielu potencjalnych kolonistów, którzy by utrzymali dla niego kraj - ale dopóki panował na Bałtyku, nie można się go było pozbyć.

Nie znaczy to, że nie próbowano. Król miał wielu wrogów i omal nie przegrał wszystkiego, kiedy wdawszy się w konflikt z księciem Henrykiem ze Schwerinu

spędził u niego w niewoli ponad dwa lata (1223–1225). Jego załoga w Jerwie została wycięta w pień przez estońskich powstańców, którzy nie szczędzili pokonanym tortur, a nawet spożyli serce królewskiego namiestnika. W 1225 roku Kawalerowie Mieczowi zajęli Harię i Wironię, a dwa lata później udało się im to, czego wcześniej przez cztery tygodnie oblężenia nie mogli dokonać Nowogrodzianie: zdobyli Rewel. Wszystkie ich zdobycze wróciły jednak do Danii, przekazane przez Krzyżaków na mocy traktatu w Stensby z 1238 roku. Papieże wciąż oczekiwali od skandynawskiej monarchii, że poprowadzi północną krucjatę, tym bardziej że była największą morską potęgą w regionie; aby Waldemar nie stracił zainteresowania tym tematem, nie było innej rady, jak tylko pozwolić mu zatrzymać estońskie lenno.

Estonia pozostała więc w jego rękach - nie dzięki oddaniu duńskich misjonarzy, poświęceniu i sprawności sił okupacyjnych ani liczebności i lojalności kolonistów, ale dlatego że król miał do dyspozycji około dwustu okrętów i mógł je rzucić do akcji w odpowiednim miejscu i czasie, a ponadto bez trudu przelicytować rywali w grze o papieską aprobatę. Większość jego estońskich posiadłości zdobyli dla niego ludzie biskupa Alberta, a skolonizowali przybysze z Saksonii, których zresztą Waldemar II wydalil po 1238 roku, zastępując bardziej godnymi zaufania przybyszami z Holsztynu i Westfalii. Nowe miasto Rewel było równie niemieckie jak Ryga, a i kontynuację wojny z „pogańskimi” Rusami zza Newy pozostawiono związkowi miej-

scowych lenników, bez większego duńskiego zaangażowania. Dopóki jednak kasztelan Waldemara dzierżył rewelską twierdzę, napływ podatków do królewskiej kiesy był zapewniony, podobnie jak dochody z jego rozległych prywatnych włości. Ta potężna cytadela górowała nad wygodnym, przestronnym portem, jakich nie ma wiele na tym skalistym, zdradliwym wybrzeżu, dlatego dzięki komunikacji morskiej pozostawała bezpieczna nawet wtedy, gdy jej lądowe zaplecze zostało utracone. Za jej murami kryły się stajnie, zbrojownia i skarbiec - trzy podstawy duńskiego panowania. W 1227 roku w arsenale rewelskim składowano czterysta kolczug, a w stajniach było miejsce dla dwustu pięćdziesięciu wierzchowców bojowych i dwustu koni pociągowych. Większość żołnierzy mieszkała w zamku tzw. mniejszym, będącym zarazem rezydencją kasztelana, zbudowanym w południowo-zachodnim rogu zamku większego, w którego obrębie mieściły się pałac biskupa, domy wasali i kościół katedralny pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Na zewnątrz okolnych fosą murów leżało podgrodzie z klasztorami dominikanów i sióstr cysterek, ośmioma kościołami, dwiema kaplicami, leprozorium, szpitalem, łaźniami, targiem i kramami - słowem, z wszystkimi udogodnieniami typowymi dla chrześcijańskiego miasta, gotowego wytrzymać oblężenie. W połowie drogi do Narwy - którą musieliby nadejść oblegający - w 1252 roku stanął zamek Wesenburg (Rakvere); sama Narwa doczekała się porządnych fortyfikacji dopiero w następnym stuleciu (1327). Tylko w tych trzech miejscach w Esto-

nii mogła bezpiecznie żyć tworząca się warstwa mieszczkańska.

Kiedy już Waldemar II ułożył stosunki z Krzyżakami, a duński arcybiskup ustalił z biskupami inflanckimi granice swej nowej sufraganii rewelskiej, jeszcze jedna kwestia pozostała otwarta: jak daleko na wschód król może próbować rozciągnąć swą władzę. Chodziło o kraj Wotów, zdominowany przez księstwo nowogrodzkie. Legat papieski nakłonił Waldemara II do współdziałania z Zakonem Krzyżackim w antyruskiej wyprawie krzyżowej w latach 1240–1242; jak się wydaje, król z początku miał nadzieję na uszczknięcie kawałka Rusi dla siebie. Do udziału w kampanii u boku estońskich wasali posłał swych synów, Abla i Kanuta, wraz z liczną gromadą mężczyzn i kobiet, „aby te ziemie przeze Tatarów spustoszone uprawiali i zasiedlali”. Według Matthew Parisa przygotowania do tej ekspedycji wywołały pogłoskę, że Duńczycy znów szykują inwazję na Anglię. Wyprawa się jednak nie powiodła i królewscy ludzie odtąd trzymali się na zachód od biegu Narwy. W 1244 roku krzyż podjął syn Waldemara II, Eryk IV, i przez całe następne dziesięciolecie w Rzymie łudzono się nadzieją, że pod jego przewodem rychło nastąpi kolejna ofensywa na wschód. Tymczasem zdobywcy Estonii ledwo zdołali utrzymać to, co do tej pory udało się zająć, a duńskie flotyle, które przyplłynęły do Rewia w latach 1268 i 1270 musiały się zająć odpieraniem groźnych najazdów ruskich i litewskich zagonów. Następcy Waldemara II Zwycięskiego mieli dość kłopotów we własnym królestwie, by myśleć

o wojnie z Rusią; zjednoczona niegdyś monarchia z wolna się rozpadała w niezliczonych konfliktach między rywalizującymi książętami, możnymi i biskupami. Chętnie się zadowalali rolą nieobecnego właściciela przynoszących nieźle zyski zamorskich terytoriów, pozostawiając problemy związane z ich utrzymaniem i nawracaniem estońskich plemion miejscowym wasalom i duchowieństwu. Tak korzystne połączenie moralnego obowiązku i politycznych korzyści, jakie doprowadziło do krucjat z lat 1219–1220, nigdy się już nie powtórzyło.

Finlandia

Dania nie była jedynym krajem posiadającym flotę z pospolitego ruszenia i zainteresowanym wschodnim wybrzeżem Bałtyku. Królowie Szwecji mieli podobny system mobilizacji, a ich poddani musieli się liczyć ze znacznie większym zagrożeniem od strony morza niż ich sąsiedzi z południa. Duńska żegluga i najdalej na wschód wysunięta prowincja Blekinge były nękane przez piratów, ale całe wschodnie wybrzeże szwedzkie żyło w nieustannym zagrożeniu napadami nieprzyjaciół z drugiego brzegu Zatoki Botnickiej, oddalonego zaledwie o sto pięćdziesiąt mil morskich, który to dystans jeszcze skracały dogodne kotwiczowiska w połowie drogi: u brzegów Gotlandii i wśród Wysp Alandzkich. Kurowie, Estowie z Ozylii i karelscy Finowie byli przez długi czas plagą tych ziem, zanim królowie szwedzcy zaczęli podejmować poważne działania odwetowe, a później i wojny zaborcze.

W rozdziale 1. wspomniałem, że ustalona przez lata swoista równowaga strat ponoszonych wskutek pirackich rabunków i zysków z handlu oraz grabieżczych kontrataków nie dawała monarchom szczególnej motywacji do jej naruszania. Jedyne trzy wschodnie wyprawy przedsięwzięte w XIII stuleciu, o których wiemy dostatecznie dużo ze źródeł, wskazują, że bardziej byli zainteresowani praktykowaniem niż wyeliminowaniem zbójckiego fachu.

Jak podaje Kronika Nowogrodzka, w 1142 roku „książę Szwedów z biskupem na sześćdziesięciu okrętach zaatakowali wracające z morza trzy nasze statki kupieckie. Broniły się, lecz daremnie; Szwedzi porwali je, a stu pięćdziesięciu ludzi z załóg zabili”.

Do opisanej utarczki mogło dojść gdziekolwiek na wschodnim Bałtyku. W 1164 roku szwedzka flota złożona z pięćdziesięciu pięciu okrętów próbowała wziąć szturmem warownię Ładoga, ale bez powodzenia, po czym sama dostała cięgi od księcia nowogrodzkiego. Trzydzieści lat później, w 1195 lub 1196 roku, Szwedzi ruszyli do Inflant w sukurs biskupowi Meinhardowi, ale wiatr zawiódł ich znów na wybrzeże estońskie, którego nie omieszkali splądrować i nekali je dopóty, dopóki mieszkańcy nie wykupili się z kłopotu haraczem. Były to napady w czysto wikińskim stylu; zresztą nie tylko szwedzcy królowie poczynali sobie w ten sposób. W 1186 roku Eryk, brat króla Norwegii Swerrira, popadł w tarapaty finansowe i „udał się na Bałtyk łupić ziemie pogańskie”. Ograbił Rotalę i ujście Dźwiny, a wracając, zawadził o Gotlandię, gdzie porwał dwie

saskie kogi i przybył do domu z niezmiernymi bogactwami.

Według późniejszych przekazów w latach 1155–1160 król szwedzki Eryk IX poprowadził rzekomo wielką wyprawę wojenną do Finlandii, zajął cały kraj i ochrzcił jego ludy, stając się tym samym bohaterem tak zwanej pierwszej szwedzkiej krucjaty. Historię tę, związaną z kręgami zwolenników krucjat i misji, podaje *Vita Sancti Erics*, prawdopodobnie autorstwa biskupa Israela Erlandsena z Vasteras, zmarłego w 1238 lub 1239 roku. Jest to oczywista literacka konfabulacja, której nie można uznać za źródło historyczne. Według autora król wyprawił się do Finlandii z biskupem Uppsali Henrykiem i zaczął kampanię od zaofiarowania tubylcom pokoju i przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Ci oczywiście odmówili i zaatakowali intruzów; Eryk pokonał ich w walnej bitwie (po której widziano go płaczącego nad śmiercią tak wielu potencjalnych chrześcijan) i wrócił do perswazji słownej - tym razem z lepszym rezultatem; kiedy odpływał do Szwecji, zostawił za sobą społeczność w pełni chrześcijańską. Legenda o biskupie Henryku podaje, że po krótkim czasie sprawowania urzędu został zamordowany przez jednego z neofitów; pewne jest tylko, że i on, i król Eryk - przynajmniej w XIII wieku - byli czczeni jako święci patroni Finlandii i Szwecji. Reszta legendy jest jednak czystą krucjatową propagandą, a nie zdarzeniem historycznym.

Nie ma za to powodów, by kategorycznie zanegować samą wyprawę Eryka za Zatokę Botnicką. Inno-

centy III w liście do jego wnuka, króla Eryka X (1210–1216), wymienia Finlandię jako „kraj, który Twojej sławnej pamięci przodkowie wyrwali z rąk pogańskich”; kilka lat wcześniej Aleksander III pisał do szwedzkiego arcybiskupa i jarla, że z żalem przyjął wieść, iż „Finowie zawsze przyrzekają wytrwać w chrześcijaństwie, gdy tylko zagraża im wroga armia, i gorąco wtedy proszą o kaznodziejów i nauczycieli prawa Chrystusowego, kiedy zaś nieprzyjaciel odchodzi, wiary się wyrzekają, kaznodziejów zaś okropnie prześladują”. Jeżeli ta wzmianka odnosi się do „krucjaty Św. Eryka”, to wynika z niej, że takich wypraw musiało być więcej i żadna nie przyniosła sukcesu; papież jednak wyraźnie oczekiwał dalszych przedsięwzięć i sugerował, aby w przyszłości zmuszono Finów do oddania krzyżowcom zamków - „jeżeli takowe mają” - albo zażądano zakładników bądź innej gwarancji. Nie ma jednak przekonującego dowodu na to, że król Szwecji rzeczywiście podporządkował sobie jakąś część Finlandii przed końcem XII wieku.

Kiedy w 1209 roku Innocenty III dziękował listownie arcybiskupowi Lund Andrzejowi za wiadomość, że „kraina zwana Finlandią (...) została ostatnio staraniem pewnych szlchetnych person nawrócona na chrześcijaństwo”, mogłoby się wydawać, że mówi o najazdach dokonanych w 1191 i 1202 roku przez flotyle duńskie, albo raczej o założonych w ich wyniku misjach. Papież pozwolił Andrzejowi konsekrować na biskupa tej „nowej plantacji” bastarda, nikt inny się bowiem nie kwapił do objęcia tego stanowiska, o któ-

rym mówiono, że jest pewniejszą drogą do męczeństwa niż do ziemskich zaszczytów. Niemniej wśród Suomi (fińskiego ludu z południowo–zachodniej części kraju) powstała wtedy społeczność chrześcijańska, a już w 1215 roku jeden z wówczas nawróconych, Petrus Kakuwalde, pracował jako ksiądz między Estami.

Królowie duńscy stracili całe zainteresowanie Finlandią, gdy zdobyli prowincje estońskie; z kolei Szwedzi z tego samego powodu obrócili na nią całą uwagę. Grupa rycerzy z chłopami osiedliła się na ziemi zwanej Satakunta i przyłączyła się do miejscowych chrześcijan, już wtedy rządzonych przez własnego biskupa. To osadnictwo nie wynikało z polityki królewskiej, ale miało polityczne konsekwencje później, kiedy podjęto próby rozszerzenia wpływów Kościoła poza tę pierwszą kolonię, na zajmujący środkową część kraju region jezior i lasów.

Motywów, jakimi się kierowali pierwsi osadnicy i nawróceni Suomi, którzy zaczęli płacić dziesięcinę swojemu biskupowi, możemy się tylko domyślać. Kraina, w której zamieszkali, była żyzna, o umiarkowanym klimacie i łatwo dostępna - przez Wyspy Alandzkie - nawet dla wieśniaków na małych łodziach. W Åbo (dzisiejsze Turku) był dogodny port, gdzie mogła powstać osada założona przez kupców z obu ludów, na zwykłych warunkach wspólnej niezależności; jak zawsze korzystny handel rybą i futrami mógł się przyczynić do wyrastania mniejszych faktorii, z początku sezonowych, później stałych. Dzikie połacie interioru oferowały dobre letnie pastwiska dla bydła osadników i obfi-

tujące w zwierzynę łowiska dla Suomi. Dla księży, a później i zakonników wyjazd między Finów być może stanowił jedyną szansę wyrwania się z nadmiernie zdominowanego przez możnowładztwo Kościoła szwedzkiego; jak stwierdził arcybiskup Andreas, „nie masz nigdzie na świecie Kościoła, który tak cierpiałby wskutek ludzkiej arogancji”, mając na myśli warstwę możnych, którzy w Szwecji finansowali budowę kościołów i zgodnie z literą prawa mogli traktować proboszczów jak pracowników najemnych. W Finlandii kapłan musiał się liczyć z męczeńską śmiercią, ale też zyskiwał swobodę. Suomi od dawna się znali ze Szwedami i niewykluczone, że przybysze byli tam nawet mile widziani jako źródło zysku niezagrażające interesom miejscowych, a tym bardziej ich niezawisłości; kto wie, czy nie upatrywano nawet w ich obecności gwarancji, że wreszcie ustaną uciążliwe najazdy szwedzkich królów.

Suomi to jednak tylko jeden lud, najbardziej rolniczy wśród mieszkańców Finlandii. Inaczej się sprawa przedstawiała z Tawastianami, plemieniem znacznie mniej podatnym na atrakcyjność szwedzkiego stylu życia, skłonny do myślistwa napadami na karelskie i ruskie osady w głębi kraju. Przyczyniło się to do nawiązania przez książąt Nowogrodu bliskich stosunków z Karelami i Wotami. Do 1200 roku przerodziły się one de facto w zależność feudalną, co było przyczyną wojen między ludami Finlandii. Gdyby Szwedzi podporządkowali sobie Tawastian, zostaliby automatycznie wciągnięci w ten konflikt; już zaś byli atako-

wani przez karelskich piratów, którzy letnią porą wypływali z północno-wschodnich wybrzeży Zatoki Botnickiej i zapuszczali się między szwedzkie szkiery. W 1227 roku książę nowogrodzki Jarosław „posłał księży, aby chrzcili Karelów, i wkrótce wszyscy mieszkańcy ich ziem chrzest przyjęli”. W ślad za tą pierwszą misją ruszyła druga, właśnie do Tawastii, pod kierownictwem Anglika, biskupa fińskiego Tomasza; jednakże w 1237 roku papież Grzegorz IX został powiadomiony, że Tawastianie odrzucili chrześcijaństwo, i wezwał wszystkich wiernych do krucjaty przeciwko nim. I Kościół, i król szwedzki nagle uznali, że użycie siły jest pożądane dla szerzenia religii i utrzymania równowagi sił w Finlandii.

Pierwszym wspólnym przedsięwzięciem była ekspedycja z 1240 roku, rozgromiona przez księcia Aleksandra Newskiego w bitwie nad Newą - od niej wziął się przydomek, pod którym rozślawił go w XX wieku film Sergiusza Eisensteina. Po tej katastrofie przyciągnięcie Finów pod skrzydła Kościoła rzymskiego musiało się wydawać tym pilniejsze. Przybyli do regionu dominikanie dopilnowali, aby apel Grzegorza IX nie poszedł w zapomnienie. Bracia kaznodzieje byli oddani pracy misyjnej i pozostawali w przyjaznych stosunkach z biskupem Tomaszem, arcybiskupem Jarlerem z Uppsali oraz wschodzącą gwiazdą szwedzkiego możnowładztwa, Birgerem Magnussonem, bratem zabitego przez Ozylian w 1220 roku jarla Karola. Te powiązania sprawiły, że udało się skłonić króla Eryka XI do zmobilizowania morskiego pospolitego ruszenia i wysłania

w 1249 roku całej floty do Finlandii pod wodzą jarla Birgera, jego szwagra.

Historia drugiej i trzeciej szwedzkiej krucjaty jest opowiedziana w rymowanej kronice *Erikskrönikan*, napisanej (prawdopodobnie w latach 1322–1332) przez anonimowego podkomendnego jednego z wnuków Birgera. Autor jest wyrazicielem opinii nowego, przywiązanego do ziemi rycerstwa, które było wtedy dominującą warstwą społeczną w Szwecji; jego postawa do żywego przypominała światopogląd przeciętnego zachodnioeuropejskiego krzyżowca, z domieszką wrogości wobec obcych. Był wyznawcą idei krucjat i wielkim szacunkiem darzył Zakon Niemiecki („rycerzy Boga”, jak go nazywał); kiedy jednak opisuje wyprawy fińskie, jasno widać, że po prostu nałożył opozycję „chrześcijanie–niewierni” na częściej spotykaną „my–wrogowie” i wrzucił Tawastian, Karelów i Rusów do jednego worka z etykietką „wyuzdani poganie”. Jarl Birger objął dowództwo ekspedycji, „ponieważ pragnął większej sławy”, ale według kronikarza nie było to nic zdrożnego, wraz z jego chwałą rosła bowiem chwała Boża. Jak się wydaje, wpływ misji dominikańskiej na świecką opinię publiczną sprowadzał się do nadania wrogom Szwecji nowego miana. *Erikskrönikan* nie nazywa wypraw z lat 1249 i 1292 krzyżowymi ani nie implikuje, jakoby ich uczestnicy spodziewali się za nie odpustu; autor ma tylko nadzieję, że kto w nich poległ, pójdzie do nieba – jak męczennicy świętych wojen Krzyżaków, choć ta analogia jest mocno naciągana. Nasuwa się wniosek, że w kręgu, do którego należał, przykład krucjaty przeciw-

ko Bałtom służył jako zachęta do walki z Finami i Rusami. W opisie ekspedycji z 1249 roku jednakową wagę mają perspektywa łupów, zew rycerskiej przygody i misja szerzenia wiary.

*Głośno za nimi damy szlochały,
Załamywały rączęta białe,
Lecz na cześć wojów wiwatowały,
Gdy w bój ruszali na Bożą chwałę.
Niejeden wtedy miecz zdjęto z ściany,
Co wisiał, śpiący, od przodków wojen.
Na morskie przyszło ruszać bałwany,
Do dawnej chwały dołożyć swoją.
Tłumy rycerzy na brzeg ściągaly,
Druh druha ujmie w uścisku bratnim;
Młodych całusem dziewczki zegnały -
Niejedna pierwszym, wiele ostatnim...*

*Poganin, wiedząc, że chrześcijany
Płyną zniszczenia dokonać dzieła,
Czekał do boju przygotowany.
Do portu flota jarla wpłynęła...
Złocą się dzioby, zliczyć ich nijak!
Patrzą niewierni w trwożnym zdziwieniu...*

Owym portem mogły być dzisiejsze Helsinki, tam bowiem Szwedzi wylądowali i niezwłocznie natarli na Finów, spychając ich w górę rzeki.

*Złoto i srebro, i liczną trzodę,
Jak się spodziewam, nasi rycerze
Wojennym prawem wzięli w nagrodę -*

*Tawastian horda za pas nogi bierze,
Poganin przegrał, górą Chrysta woje...*

*A który ugiął przed krzyżem kolano,
U źródła stanął, sakrament przyjął,
Temu i głowę, i włosć ostawiano -
I ci w pokoju, pobożnie żyją.
Kto zaś nie otworzył serca dla Boga,*

*Temu nagrodą miecz i pożoga.
Tam chrześcijańska twierdza wzniesiona,
Której Tavastehus imię nadano,
Szwedzką załogą silnie broniona,
Strachem uciska serca poganom.
Kraj lud zasiedlił wnet Chrystusowy,
W Bogu nadzieja, tam już ostanie.
Tak ziemia Finów córką Kościołowi -
A władcy Rusi rozpacz i zgrzytanie.*

Szwecji, Torgils Knutsson, krewny króla, noszący nowo wprowadzony tytuł marszałka. Żaden z oddziałów nie odniósł znaczących sukcesów, ale zanim ekspedycja wróciła do kraju, marszałek Torgils położył fundamenty pod trzeci ośrodek szwedzkiej potęgi na terytorium Finlandii.

4 marca 1295 król Birger mógł obwieścić kupcom Hanzy, że nawrócił Karelów na chrześcijaństwo i „z całą armią wysiłkiem niezmiernym wnieśliśmy na chwałę Pana naszego i Najświętszej Dziewicy zamek Wyborg, aby i granic królestwa naszego, i spokoju tudzież bezpieczeństwa żeglarzy bronił”. Wydany przezeń do-

kument przypominał, że ów spokój i bezpieczeństwo od dawna były zagrożone przez karelskich piratów, którzy nie tylko rabowali, ale i okrutną śmierć zwykli zadawać chrześcijanom płci obojga; obiecywał, że w przyszłości Zatoka Fińska będzie otwarta dla wszystkich kupców i wolna od myta, pod warunkiem że nie będą przewozić broni dla Nowogrodu, a na pokładzie nie będzie więcej niż trzech Rusinów. Innymi słowy, Birger widział siebie w roli obrońcy głównego północno-wschodniego szlaku handlowego, niezastąpionego i dla Wschodu, i dla Zachodu. Hegemonia na tym ważnym akwenie zapewniłaby mu przewagę w stosunkach z hanzeatyckimi kupcami ze szwedzkich i niemieckich miast oraz z ruskimi i karelskimi dostawcami futer z Dalekiej Północy. Dla usprawiedliwienia i zalegalizowania aneksji jako motywy działania podawał nawracanie pogan i obronę prześladowanych chrześcijan, a nawet pragnienie zjednoczenia wiary katolickiej.

Większość Szwedów niewiele miała korzyści z tego podboju, choć dla części drobnych posiadaczy była to wymarzona ucieczka od coraz dotkliwiej odczuwanego ucisku feudalnego. Tacy właśnie ludzie zasiedlali w drugiej połowie XIII wieku południowe wybrzeże Finlandii, nazywając je Nylandią, „nowym krajem”. Profity z wojny fińskiej, jeżeli w ogóle były, trafiały w ręce rycerzy, duchownych i możnowładców, za to jej koszt ponosili chłopci. Zyski z kontroli nad lądem wzdłuż głównego szlaku nowogrodzkiego są trudne do oszacowania. Tam, gdzie przybierały materialną formę, jak w nowo powstałych portach i faktoriach, najpewniej

lwią ich część przechwytywał monarcha. Poza nim na aneksji Finlandii skorzystała pewna grupa rycerstwa i duchowieństwa - w daninach lub dziesięcinie, opłatach za „opiekę nad duszami” i czynszach dzierżawnych. „Krucjata” była dziełem elit politycznych i to one zgarnęły całą śmietankę, ale przyniosła też pewne niematerialne korzyści większym i mniej uprzywilejowanym grupom społecznym, w tym także samym Finom.

Organizując wyprawę, król musiał zmobilizować i letnie pospolite ruszenie, i osadników z warstwy rycerskiej, która dotąd nie zdobyła większego doświadczenia w walkach poza krajem i zapewne perspektywa starcia z „dzikimi” Finami i Rusami na obcym i zdradliwym terenie nie napawała jej beztróskim optymizmem. Walka, jaką przyszło Szwedom toczyć - zajadłe lokalne potyczki w trudnych warunkach i przy braku dobrego zaopatrzenia - mogła być chlebem powszednim dla zakonników nawykłych do ascezy i niewygód, ale rycerze, którzy wyruszyli na podbój Finlandii, nie byli mnichami. Dotychczasowe życie przyzwyczaiało ich do dostatku; musieli mieć swoje masło i mięso, świeże łososie, jęczmienny chleb i piwo bez ograniczeń. Nie bez powodu Finowie, u których kwaterowali, nazwali ich „szwedzkimi żarłokami”. W owym czasie skandynawska warstwa wojowników—posiadaczy wiodła już życie, jakie i dzisiaj się nam potocznie kojarzy z postacią średniowiecznego rycerza: owiane legendą Aleksandra Wielkiego, króla Artura i Karolingów, wypełnione turniejami i ucztami przy stołach zastawionych sprowadzanymi delikatesami, na koszt szastają-

cych pieniędzmi wielmożów. Jeżeli ktoś czuł potrzebę opuszczenia domu w poszukiwaniu szansy odkupienia grzechów, niewiele miał powodów, by obrać kurs na Finlandię. O wiele atrakcyjniejszą i modniejszą alternatywą była pielgrzymka do Jerozolimy. W klasztorach można było dostać na ten cel pożyczkę, oczywiście pod zastaw ziemi; w ten sposób w 1257 roku wyruszył do Palestyny Gisli Petersson; po nim biskup Linköpingu z większą grupą pątników w 1282; wielu ochotników z Uppsali podjęło krzyż w 1293 roku na apel papieża Mikołaja IV. Dwóch zamożnych rycerzy wstąpiło do Zakonu Krzyżackiego: Karl Ulfsson zginął w Inflatlach w 1260 lub 1261 roku, wynoszony pod niebiosa przez autora *Erikskrönikan* za chrześcijański heroizm; Johan Elofsson, brat św. Ingrid, nosił biały płaszcz z krzyżem w latach 1281–1295. Doprawdy wiele było powodów, tak duchowych, jak i materialnych, aby nie kwapić się do udziału w królewskiej ekspedycji przeciwko Karelom i Rusom.

Dlatego też tym ważniejsze było, żeby nadać tej wojnie szczególne znaczenie religijne. Stąd się wzięło promowanie kultu św. Eryka z uroczystym przenoszeniem jego relikwii (w 1257 i 1273 roku), a niedługo potem ułożenie jego legendy. Tworząc w niej postać sprawiedliwego wojownika, skompilowaną z angielskich pierwowzorów Oswalda, Ethelberta i Edmunda, Kościół szwedzki przedstawił wzorzec do naśladowania dla wszystkich uczestników kampanii fińskiej. Eryk ruszył na wojnę o zbawienie dusz podbijanych ludów i dlatego odniósł wspaniałe zwycięstwo nad grzechem.

Jego biskup Henryk, pochowany w Nousiainen na północ od Åbo, zginął zamordowany, gdy próbował nałożyć kościelną karę za zabójstwo na jednego z nawróconych. Tak dom królewski, jak i hierarchowie z Uppsali poświęcili się więc sprawie nawrócenia Finów, a ich walka musi być kontynuowana przez wszystkich bogobojnych Szwedów. Bulle papieskie sankcjonujące wyprawy przeciwko Tawastianom i Karelom dodały wagi tej nowej tradycji, a retoryka kościelna, przedstawiająca najazdy Nowogrodzian jako ataki na chrześcijaństwo, rozciągnęła to przyzwolenie na wyniszczające wojny graniczne toczone od 1292 roku. Sama *Erikskrönikan* była elementem propagandy tej sprawy i wbrew dowodom głosiła, że w walce z Rusami dochowywano wierności tak ideałom rycerskim, jak i religijnym.

I tak to po jednej stronie jeziora Ładoga modlono się, aby Bóg „dał niebo duszom, które śmierć zabrała w tej krwawej rzezi”, po drugiej zaś błagano Go o „wieczny odpoczynek w Twoim królestwie dla dusz tych, co głowy w tej twierdzy położyli za św. Zofię”

Teokratyczny eksperyment

(1200–1273)

Papieże i legaci

Pan daje dowód dobroci wiernym sługom swoim, pozostawiając im wrogów (których jedno Jego słowo unicestwić by mogło), aby z miłości do Niego mogli iść z pomocą ludom sąsiadującym z tymi wrogami i zarazem mieli sposobność odkupienia grzechów i drogę do zbawienia przez odplacenie części tego, co On zrobił dla nich.

To zawile zdanie pochodzi z bulli datowanej 12 września 1230 roku, którą papież Grzegorz IX upoważnił Krzyżaków do zajęcia Prus, i może służyć za próbkę pokrętnej retoryki stosowanej przez instytucjonalnego pomysłodawcę idei krucjat do komunikowania się z jej wykonawcami. Każda biurokracja ma własny żargon, a elokwentni italscy prawnicy, którzy formułowali papieską politykę w XIII wieku, zapewne mogli spać spokojniej, wiedząc, że kancelaryjni skrybowie potrafią przelać na papier instrukcje w takiej właśnie rytmicznej ówczesnej nowomowie. Był to swego rodzaju kontrapunkt łączący oficjalną prozą codzienność polityczną z wieczystą prawdą wiary.

Porównanie tych dokumentów odkrywa drogę, jaką rzymska kuria parła do każdej kolejnej świętej wojny, nakładając stereotyp na stereotyp, by stworzyć para-

dygmat. Wyglądało to z grubsza tak: najpierw byli sobie misjonarze, „zarzucający sieć Słowa, by chwytać barbarzyńskie dusze”, aby „trąby świętej wiedzy mogły rozbrzmiewać w najskrytszych zakątkach umysłów tych barbarzyńców”, a „źródło wiary zrodziło strumienie płynące przez kraje otumanione bałwochwalstwem”. Później część barbarzyńców „wchodziła do domu Boga” i można było oczekiwać, że staną się oni „równymi w miłości dobra i harmonijnie będą współdziałać” z prawdziwymi chrześcijanami. Zdarzało się jednak i tak, że „bestia powstaje i pożera tłumy paszczą rozwartą, pewna, że i Jordan w jej gardzieli przepadnie; przeciw niej lud Chrystusowy musi wtedy zewrzeć siły”, ponieważ „poganie szaleją” i „młodzianków chwytają, których po mękach okrutnych ogniem piekielnym palą wraz z dziewicami dla szyderstwa kwieciami ukoronowanymi, starców szlachtują i chłopców zabijają - jednych strzałami szpikując, innych o drzewa roztraskując”. W takich sytuacjach ci, którzy na wezwanie „Stolicy Apostolskiej, wszechmacierzy chrześcijan, co na prośbę wiernych tarczą ich osłania”, „oreź podniosą przeciwko barbarzyństwu tych pogan” i „mężnie do walki z nim staną”, „chronieni pancerzem Boga od lewicy i od prawicy”, muszą pamiętać, że „w takich miejscach należy tym usilniej pobożności dochowywać, aby większej bezbożności zapobiec” i „posługę wojenną” pełnić, aby Kościół mógł objąć „każde miejsce, gdzie swoje namioty rozbijają” i „wezwać ubogich, kalekich, ślepych i kulawych na ucztę weselną króla kró-

łów”, i żeby „tam, gdzie ongiś sowy tylko żyły, pędy zielone i trzciny wyrosły”.

Takim językiem pobudzano ruch krucjatowy i nim sterowano. W całej Europie nie brakowało ludzi wykształconych, aby reagować na podobne apele i przekuć je w czyn - spełniać wolę Jego Świątobliwości nakazywał im ich zawód, wiara i własny interes. Mówiłem już, jak doszło do autoryzacji krucjat północnych przez XII-wiecznych papieży. Po Aleksandrze III kuria rzymska coraz bardziej interesowała się północno-wschodnią Europą, a za pontyfikatu Innocentego III (1198–1216) zainteresowanie to przybrało formę interwencji wszędzie, gdzie się dało, zgodnie z teorią monarchii papieskiej - w myśl której namiestnik Chrystusowy ponosi odpowiedzialność za duchowe i polityczne dobro całej ludzkości i ma obowiązek wykorzystania wszystkich potęg świata doczesnego i wiecznego dla celów zbawienia wszystkich ludzi. Następcy Innocentego kontynuowali tę linię, mimo silnego oporu ze strony części władców świeckich z cesarzami na czele. Mimo wielu dowodów na to, że realna siła Rzymu była ograniczona i nieadekwatna do zamierzeń, Honoriusz III (1216–1227), Grzegorz IX (1227–1241), Innocenty IV (1243–1254), Aleksander IV (1254–1261), Urban IV (1261–1264) i Klemens IV (1265–1268) z równą determinacją usiłowali regulować sprawy Północy, gotowi dla osiągnięcia swoich celów użyć siły, dyplomacji, propagandy, działań administracyjnych, szantażu, przekupstwa i kompromisu. Krucjaty północne były jednym z ich narzędzi, ale zastosować je mogli tylko

dzięki ustępstwom i współpracy Innym było ustanawianie nowych rządów według modelu hierokratycznego; w społecznościach opartych na indoktrynacji świeżo nawróconych i kierowanych przez biskupów lub mnichów teoretycznie łatwiej było prowadzić dusze do zbawienia.

Okrzepłe już dobrze kościoły skandynawskie były lepiej dostrojone do tej polityki niż w poprzednich stuleciach - mniej służebne wobec swoich królów, bardziej świadome doktryny kościelnych swobód. W XII wieku przybysz francuski, opat Wilhelm z Aebelholt (Eskilsoë), był zaskoczony szacunkiem duńskiego duchowieństwa dla papieża i skwapliwością, z jaką na każde żądanie słało do Rzymu pieniądze. Mieli jednak po temu ważki powód. W społecznościach wciąż niechętnym okiem patrzących na obowiązek płacenia dziesięciny i skłonnych do odrzucania i szykanowania księży papieżstwo było dla duchownych opoką, gwarantem stabilności i sprawiedliwości. Rzym znalazł ochocze sługi również w Kościele wybrzeża połabskiego. Arcybiskup bremeńsko-hamburski już nie musiał żyć w strachu przed potężnym księciem Saksonii, która rozpadła się w 1181 roku. Biskup pomorski z Kamienia był związany ze Stolicą Apostolską przez wyłączenie go spod pośredniej jurysdykcji kościelnej. W całym regionie bałtyckim powstały sądy kościelne nadzorujące dyscyplinę księży i moralność świeckiej populacji - gdzie zaś szanowano prawo kanoniczne, tam i Rzym cieszył się szacunkiem jako najwyższa instancja apelacyjna. Papieże mogli też polegać na nowych zakonach żebraczych; do

połowy XIII wieku tak franciszkanie, jak i dominikanie zdążyli się mocno usadowić na Północy i im właśnie powierzono misję nawoływania do wypraw krzyżowych i zbierania na ten cel datków.

Oprócz tych lokalnych trybików wielkiej kościelnej maszyny papieże mogli się posługiwać także emisariuszami wysyłanymi w cztery strony świata, aby przekazywać życzenia „centrali” bezpośrednio na rubież. Do XII wieku legaci wykonywali ściśle określone zadania w przydzielonej im prowincji. Od 1200 roku pojawiła się funkcja z pełnomocnictwem do reprezentowania głowy Kościoła: *legati a latere*, legaci w randze kardynałów uprawnieni do kontynuowania tej misji nawet po śmierci papieża, który im ją powierzył. Faworyzowani purpuraci mogli liczyć na dożywotnią godność legata, z władzą rozstrzygania apelacji od wyroków najwyższych sądów prowincjonalnych, ale to legaci *a latere* byli „częścią ciała” papieskiego, w jednej osobie koordynatorami, inspektorami, reformatorami, wodzami i posłami; zazwyczaj otrzymywali szczegółowe instrukcje w kwestiach dotyczących krucjat północnych i zakonów rycerskich. Czterech z nich zapisało się szczególnie wyraziście w historii europejskiej Północy tego okresu.

Wilhelm, biskup Modeny, były notariusz papieski w Italii, były kartuz, sympatyk dominikanów, który trzykrotnie przebywał nad Bałtykiem jako legat: w latach 1225–1226, 1228–1230 i 1234–1242. Cysters Baldwin z Alny działał w latach 1231–1234, najpierw

jako nuncjusz, potem legat wysłany w celu zaprowadzenia porządku w Inflantach.

Jakub Pantaleon, archidiakon Liège, późniejszy papież Urban IV reorganizował Kościół pruski w latach 1247–1249.

Albert Suerbeer, były arcybiskup Armagh i prymas Irlandii, legat w Rusi i krajach bałtyckich od 1246 do 1250 roku, później był legatem–arcybiskupem w Rydze (1254–1273).

Kiedy ci ludzie zjawiali się nad Bałtykiem, znaczyło to tyle samo, jak gdyby przybywał tam papież; nawet królowie i Krzyżacy musieli ich przynajmniej wysłuchać, a czasem i być im posłuszni. Nic nie dawało traktowanie ich jako „fałszywych legatów z fałszywymi bullami”, jak Kawalerowie Mieczowi nazwali Baldwina z Alny. Przyjeżdżali z listami uwierzytelniającymi, które biurokracja rzymska potwierdzała lokalnym władzom w osobnej korespondencji, na ogół radośnie witani przez tych, którzy mieli nieuregulowane sprawy kościelne lub polityczne.

Za pomocą takich narzędzi Stolica Apostolska potrafiła dopiąć swego na Północy nie gorzej niż w innych regionach Europy - może nawet łatwiej jej to przychodziło z uwagi na tamtejszy polityczny i ekonomiczny układ sił. Papieże mogli objąć specjalną ochroną pielgrzymów, żeglarzy i kupców, zrewidować prawo dotyczące wraków i odzyskiwania z nich towarów, nakładać embargo na handel z poganami i Rusią, skierować wpływy z dziesięciny na potrzeby krucjat i przekazywać księgi z bibliotek misjom. Wymieniłem

tu zaledwie kilka wybranych na chybił trafił przykładów interwencji papieżstwa. Cały ich zbiór równoważny jest niemal władzy absolutnej, choć najczęściej dochodziło do ingerencji na prośbę miejscowych władcyków.

Czytelnik może w tym miejscu zapytać: Czy aby na pewno papieże interesowali się tym, co się działo w północnej Europie? Dość przecież mieli kłopotów na własnym podwórku: musieli bronić swych terytoriów w środkowej Italii, walczyć z cesarzami, pilnować praw Kościoła w bardziej cywilizowanych regionach kontynentu i pobierać podatki tam, gdzie szło to łatwiej. No i czyż krucjata przeciwko islamowi nie była dla nich najważniejsza?

Odpowiem tak: papieże byli tak głęboko uwikłani w swoje italskie problemy, że nie mogli sobie pozwolić na lekceważenie niczego, co miało na nie wpływ. Szerzenia wiary nad Bałtykiem nie można było pozostawić własnemu losowi, ponieważ ci najbardziej zaangażowani, to jest książęta niemieccy, mnisi i kupcy, byli związani z cesarzem Fryderykiem albo przez zależność lenną, albo przez interesy - a od 1236 do 1250 roku cesarz był dla papieży wrogiem. W miarę powstawania nowych diecezji kuria zyskiwała nowe źródła dochodu - i to w stuleciu, gdy mogła stawiać finansowe żądania tak wielu krajom i instytucjom jak nigdy przedtem. Z nowych biskupstw płynęły pieniądze, ale równie ważne były dla Rzymu związane z nimi nowe jurysdykcje; nie mijало wiele czasu, a skarbiec papieski - a tym samym fundusz na wojnę italską - zaczynały zasilać również opłaty sądowe, skarg i apelacji nigdy bo-

wiem nie brakowało. Stosunków z chrześcijanami ob-
rządku greckiego z północnej Rusi także nie można by-
ło zostawić lokalnym układom, gdyż jeśli udałoby się
przekonać jej mieszkańców do przejścia na rzymski ka-
tolicyzm, przybliżyłoby to wyczekiwany dzień osta-
tecznego podporządkowania się Kościoła wschodniego
papieżowi - a skutecznie funkcjonujące i na powrót zla-
tynizowane imperium na Wschodzie zrewidowałoby
układ sił między papiestwem a krnąbrnym cesarstwem
zachodnim. Religijne nitki łączące Nowogród z Ki-
jowem prowadziły do Konstantynopola, wiązały się
więc z całą siecią walki o wpływy w basenie śródziem-
nomorskim. Krucjata przeciwko islamowi oczywiście
nadal miała priorytet. Honoriusz III oczekiwał od bi-
skupa ryskiego pieniędzy na odbicie Jerozolimy, zanim
jeszcze Inflanty zostały podbite. Wszyscy wiedzieli, że
walka z pogaństwem na Północy jest przedsięwzięciem
drugorzędnym, przecenionym towarem na użytek po-
kutników z ograniczonymi finansami - ale właśnie to
czyniło ją istotnym elementem ruchu krzyżowego: wy-
pełniała ziejącą przepaść między środkami dostępnymi
większości niemieckich *crucesignati* a kosztem i uciąż-
liwością podróży do Ziemi Świętej.

Z tych właśnie powodów Stolica Apostolska w ła-
tach 1198–1268 zabiegała o przechwycenie władzy nad
światem nadbałtyckim. Zaangażowanie kolejnych pa-
pieży wyraźnie się koncentrowało na dwóch kwestiach:
próbach podporządkowania podbitych ziem modelowi
teokratycznemu oraz nacisku na Rusów, aby przecho-
dzili do Kościoła zachodniego.

Bój o nawracanie

Innocenty III wypowiedział się jednoznacznie: w Inflantach i na wszystkich okolicznych ziemiach, jakie zostaną w przyszłości podbite, najwyższa władza polityczna i duchowa pozostanie w ręku biskupa, a zakony rycerskie mają być posłusznymi wykonawcami jego woli, na swój użytek zatrzymując tylko jedną trzecią zdobyczy terytorialnych. Podbite ludy pogańskie miały trafić pod opiekę nieuzbrojonych misjonarzy, a ochrzczonym należy się polityczna swoboda w ramach nowego teokratycznego państwa, w którym aparat przymusu miał być stosowany tylko w służbie chrześcijańskiej nauce i prawu. W 1212 roku obwieścił, że Inflanty „zostały podbite dla nas”. Od 1224 do 1234 roku następcy Innocentego usiłowali poprzez legatów obrócić całe to terytorium, lub jego większą część, w „kraj św. Piotra” - lenno pod zarządem wasali Stolicy Apostolskiej.

Tego programu nie udało się jednak zrealizować. Kawalerowie Mieczowi już za życia biskupa Alberta zagarniali więcej ziemi, niż im przysługiwało, później zaś stali się postrachem i nieprzyjaciół, i swoich. W 1234 roku Grzegorz IX został poinformowany, że do długiej listy ich występków doszło zabicie stu ludzi zwerbowanych przez legata w celu egzekwowania papieskiej polityki:

Ciała ich zrzucili na stos, a jednego, który szczególnie był oddany Kościołowi, na szczycie ustawili, jako Jego Świątobliwość przedstawiając, i jakby tego by-

ło mało, nie pozwolili swemu mistrzowi wydać ich do pochówku - aby nawróceni i poganie, Rusowie i heretycy mogli ich oglądać, i takim sposobem Braci Mieczowych za większych od Kościoła uznawać.

Zakon ryski posunął się nawet do tego, że sam najął owych Rusów i pogan, aby przeciwko biskupowi Lihuli bronili zamku w Dorpacie. Rycerze zakonni zabili czterystu jeden nawróconych, poturbowali cystersów z Dyjamentu, splądrowali dobra biskupa i nie dopuścili do ochrzczenia nawróconych z jego ręki, innych zaś obrócili w niewolników. W sumie szkody wyrządzone przez nich chrześcijańskim sąsiadom i samemu papieżowi sięgnęły wartości czterdziestu i pół tysiąca marek. Nigdy nie zostali za to pociągnięci do odpowiedzialności, nie mówiąc o ukaraniu, a skutków ich niesubordynacji nie dało się usunąć, nawet gdy na ich miejsce przyszli Krzyżacy. W Inflantach długo jeszcze rozbrzmiewał kakofoniczny koncert na kłótnie panów i jęki poddanych.

W 1253 roku diecezja ryska została wyniesiona do rangi arcybiskupstwa i powierzona Albertowi Suerbeerowi, który jako legat i arcybiskup pruski wcześniej przez sześć lat walczył o ukrócenie potęgi Zakonu. Próbował to kontynuować w nowej roli, ale bez pomocy z zewnątrz nie mógł niczego wskórać. W 1267 roku zawarł sojusz z grafem Gunzelinem ze Schwerinu przeciwko poganom, ale i Krzyżakom, nie mogąc patrzeć, jak Zakon nieustępliwie podkopyje jego pozycję najwyższego autorytetu duchowego w regionie wschod-

niobałtyckim; najwyraźniej wolał dzielić władzę ze świeckim sprzymierzeńcem z własnego wyboru niż z mnichami–rycerzami. Sojusznicy szykowali się do wojny, ale następnego roku na Inflanty spadł najazd Nowogrodzian pod wodzą syna Aleksandra Newskiego, Dymitra. Mistrz krajowy odparł atak i kraj ocalił, dzięki czemu mógł użyć nowo uzyskanych wpływów wśród kupców z Gotlandii do ograbienia Gunzelina z rekrutów i statków niezbędnych do planowanej kampanii. Graf wrócił do domu z niczym, a mistrz aresztował arcybiskupa i uwolnił dopiero po wymuszeniu na nim rezygnacji z wniesienia skargi do Rzymu i obietnicy nieszkodzenia Zakonowi w przyszłości. Suerbeer zaczynał posługę arcybiskupią jako zagorzały zwolennik papieskiej potęgi, immunitetu biskupów i praw nawróconych; zakończył swą misję w 1273 roku wyczerpany i niezdolny do utrzymania kontroli nawet nad własnym zamkiem i kapitułą, nie mówiąc o Krzyżakach. Ryga pozostała cierniem w boku Zakonu, ale arcybiskupstwo nie mogło już służyć za filar budowli papieskiej władzy w prowincjach bałtyckich.

Prusy stały się „dziedzictwem Piotrowym” w 1234 roku, ale Innocenty IV dał Krzyżakom więcej, niżby zaaprobował Grzegorz IX. W drugiej połowie stulecia Zakon uniezależnił się od dwóch miejscowych biskupów, a nad trzecim sprawował kontrolę. Narzucił obowiązek służby wojskowej i pracy pańszczyźnianej oraz własną jurysdykcję wszystkim nawróconym poganom, a zalecane przez papieża swobody polityczne przyznawał tylko faworyzowanym elitom. Dążył do zatrzyma-

nia dwóch trzecich podbijanych ziem, był też oskarżany o odrzucanie wszystkich metod nawracania poza zbrojnym przymusem. Coś się ewidentnie zepsuło; nie był to już jednak zwyczajny przypadek niesforne go zakonu lekceważącego papieskie instrukcje, ponieważ ani bracia–rycerze, ani misjonarze, ani sami kolejni papieże nie mogli się trzymać czystej doktryny Innocentego III. Zarówno lokalne warunki, jak i polityczny realizm kurii rzymskiej doprowadziły do modyfikacji polityki Kościoła.

Program Innocentego dla Inflant w latach 1198–1268 nie rozwiązał problemu utrzymania niechcianej misji. Zakładał, że siły można użyć tylko w jej obronie, odrzucając dawną ideę nawracania mieczem. Nad Dźwiną i Wisłą misjonarze znaleźli się jednak wśród ludów, dla których najazdy i grabieże były składnikiem codzienności, stałym fragmentem gry. Mieli do wyboru albo okopać się, otoczyć murem i zbrojną eskortą i żyć nadzieją, że kandydaci na nawróconych sami do nich się zwrócą (co, jak się przekonał biskup pruski Christian, było procesem nad wyraz powolnym), albo włączyć się w miejscowe życie, opowiedzieć się po jednej ze stron, oferując wraz z chrztem broń i wsparcie militarne, i ustanowić tą drogą zwierzchność feudalną - a wtedy postępy mogły być błyskawiczne, jak w wypadku biskupa Alberta w Rydze. Jeżeli jednak misja obrała drugi kurs, niewielkie były potem szanse na powstanie państwa mającego na uwadze korzyści nawracanych; ci stawali się rekrutami w społeczności nastawionej na wojnę, gdzie pierwszeństwo przed sprawie-

dliwością czy indoktrynacją miało po prostu zwycięstwo.

Niemniej Stolica Apostolska starała się pilnować, aby nawet w tego rodzaju organizmach państwowych miejscowe populacje mogły się do pewnego stopnia cieszyć wolnością. W 1225 roku Wilhelm z Modeny objechał Inflanty, uświadamiając nawróconym ich prawa, a Kawalerom Mieczowym przypominając o granicach, jakich nie powinni przekraczać w wyzysku poddanych: dziesięcina jak najbardziej, ale żadnych innych podatków; zdobywcy mają prawo sądzić, ale nie nakładać kary tortur lub śmierci; pańszczyzna jest dopuszczalna, ale bez nadmiernego obciążania. W ten sposób Wilhelm zinterpretował instrukcje udzielone mu przez Honoriusza III: „Masz chronić wszystkich pozyskanych dla wiary szczególną opieką Kościoła, a tym, co by się wahali, przyrzekać pewną miarę swobód”. Podtrzymał te zalecenia również Grzegorz IX: „Jeśli ktokolwiek z niewolnych lub w inny sposób podległych władcom chrzest przyjmie (...) musisz zyskać dla nich zmniejszenie obciążeń i zapewnić swobodę spowiedzi i uczestnictwa we mszy”. Zalecając taki minimalny program, Rzym zyskiwał poparcie kierujących się własnymi interesami elit rządzących; jeżeli miały one utrzymać pozycję w warunkach liczebnej przewagi pogan, musiały zapewnić sobie lojalność, a przynajmniej bierność poddanych. Jak pisał Grzegorz IX do Wilhelma w 1239 roku, „ludzie naznaczeni znakiem Chrystusa nie mogą mieć się gorzej, niż gdy byli sługami szatana”.

Taki właśnie wniosek wyciągnął legat Jakub z buntowniczego wrzenia wśród pruskich nawróconych w latach czterdziestych XIII wieku. Nakłonił Zakon Krzyżacki do zabezpieczenia się na przyszłość przez przyznanie im „karty praw” na mocy traktatu dierzgońskiego z 1249 roku. Pruscy chrześcijanie mieli odtąd przywilej nabywania i dziedziczenia ziemi oraz w braku męskiego potomka przekazywania jej w testamencie najbliższemu krewnym, zamiast cedować na całe plemię, jak to bywało za czasów pogańskich. Mogli prowadzić handel, wytaczać procesy i uczestniczyć w życiu Kościoła na równych prawach z Niemcami i Polakami, mieli też prawo wstępu do stanu rycerskiego i kapłańskiego. Jeżeli decydowali się na budowę kościoła, Zakon miał obowiązek wspierać takie inicjatywy subsydiami. W rezultacie nawracanie szło coraz lepiej aż do 1259 roku. Krzyżacy zyskali sojuszników wśród nie podbitych dotąd Bałtów, a od franciszkanów i dominikanów napływały wieści o sukcesach w nauczaniu potencjalnych nawróconych. Kościoły wznoszono nie tylko na wybrzeżu i nad rzekami, ale i w głębi kraju. Nie powiodła się wprawdzie próba ustanowienia arcybiskupstwa w Prusach, ale w 1251 roku sąd papieski w Lyonie doprowadził do układu między Zakonem a biskupami, dzięki któremu strony mogły w przyszłości współpracować w dziele nawracania bez sporów o granice wpływów. Było to ostatnie osiągnięcie poprzedniego legata, Wilhelma z Modeny.

Jednakże powstania, które wstrząsnęły Prusami i Inflantami w latach 1259–1263, a później dwudziesto-

letnia walka o przetrwanie, położyły kres aktywnej interwencji papieskich legatów w obronie miejscowych nowych chrześcijan. Efekt był do przewidzenia: Zakon Niemiecki przyznał dzierzgońskie prawa mniejszej liczbie autochtonów niż z początku było w zamierzeniu - tylko najbardziej lojalnym i najsilniejszym rodom, a nie całym plemionom. Tym faworytom chrześcijaństwo przyniosło wielkie korzyści materialne: prawo własności dziedzicznej, wyjęcie spod plemiennej i lokalnej dyscypliny; trzeba jednak powiedzieć, że jeśli danemu ludowi nie żyło się lepiej pod krzyżackimi rządami, to nie tylko dlatego, że bracia-rycerze celowo je uciskali. Z biegiem lat wojny ludom bałtyckim pozostawał już tylko jeden wybór: nie między Zakonem i wolnością, lecz między dwiema formami podległości: wobec Krzyżaków lub Litwy. W obu wypadkach musieli albo walczyć, albo współdziałać z militarną machiną, którą niewiele obchodziły ich dusze.

Dlatego też papieskie starania, aby nawracanie pogan w tym zakątku Europy odbywało się w sposób uregulowany i pod nadzorem Rzymu, nie mogły się zakończyć sukcesem. Chrzest zazwyczaj pozostał rezultatem porażki w bitwie, a przyjęcie na łono Kościoła było równoznaczne z poddaniem się zwycięzcom. Inflanty i Prusy nie stały się „krajem św. Piotra”, ale też nie przeszły na wyłączną własność Zakonu. Nie dało się już cofnąć tego, co Stolica Apostolska uczyniła dla zachowania niezawisłości arcybiskupstwa ryskiego i jego sufraganii oraz osadzenia w tym regionie dominikanów (w Chełmnie, Elblągu, Rydze i Rewlu) i franciszkanów

(w Toruniu, Chełmnie i Braniewie). Dopóki te kościoły i klasztory funkcjonowały, Rzym miał pewną kontrolę nad poczynaniami Krzyżaków wobec ich nowo ochrzczonych poddanych.

Walka ze schizmą

Do końca XII wieku różnice w obrządku i doktrynie między Kościołem wschodnim i zachodnim zdawały się nie mieć większego znaczenia w północno-wschodniej Europie. Nie wykluczały małżeństw między panującymi dynastiami Rusi, Skandynawii, Rzeszy i Polski ani koegzystencji świątyni w mieszanych społecznościach Gotlandii i Nowogrodu, nie powstrzymały też ruskiego księcia przed wyrażeniem zgody na założenie przez biskupa Meinharda rzymskokatolickiej misji nad dolną Dźwiną.

Dopiero przerodzenie się tej misji w zmilitaryzowaną posiadłość feudalną Rusom z Północy otworzyło oczy na zagrożenie ekspansją obrządku łacińskiego. Nowogród nagle utracił dotychczasową hegemonię nad Łotyszami i Estami, a narzucenie tym ludom obowiązku płacenia dziesięciny biskupowi ryskiemu uniemożliwiło Kościołowi wschodniemu aktywny udział w ich nawracaniu. Co prawda nie ma dowodów na to, iż ruskie duchowieństwo zdążyło wiele na tym polu zdziałać, a kapłani z Rygi usprawiedliwiali swoją zaborczość, kpiąc z jego beczynności: w ich opinii Konstantynopol „zawsze był bezpłodną matką”. Ten brak rywalizacji o nawracanie powodował, że biskup Albert i Kawalerowie Mieczowi nie byli bezpośrednio zainte-

resowani przeobrażeniem doraźnych wojen z ruskimi książętami w walkę z Kościołem wschodnim. Rusowie byli zbyt wartościowi jako kupcy i zbyt uciążliwi jako najeźdźcy, aby antagonizować ich bardziej niż potrzeba; dopóki dawali sobie wyperswadować, by się trzymali z dala od Bałtów, Rydze to wystarczało. Ruscy władcy z kolei bardziej się przejmowali sporami we własnym gronie niż utratą i tak niepewnych wasali na zachodnich rubieżach - straty z tego tytułu wyrównywał im z nawiązką handel z nowo przybyłymi - a zresztą żadnej ze stron nie było stać na utrzymanie należytej obrony granicy.

Tymczasem Konstantynopol został zajęty przez zachodnich krzyżowców, a Innocenty III usiłował narzucić wschodniemu Kościołowi swą władzę i łaciński obrządek. Zamiar się nie powiódł, jego następcy jednak tym gorliwiej szli za jego przykładem, zwłaszcza na zachodnich obrzeżach świata bizantyjskiego i właśnie na granicy arcybiskupstw ryskiego i nowogrodzkiego.

W 1222 roku Honoriusz III zdecydował o wprowadzeniu zakazu funkcjonowania Kościoła prawosławnego w całej strefie wpływów papieskich. Dwa lata później został zdobyty Dorpat, gdzie niezwłocznie ustanowiono biskupstwo ze świętym Piotrem jako patronem; legat Wilhelm polecił nowo mianowanemu biskupowi rozpocząć działania na, jak uważał, wielce obiecującym polu misyjnym Rusi. Nowogrodzianie jednak uparcie odrzucali wszelkie namowy i ani myśleli przechodzić na rzymski katolicyzm. W 1234 roku książę Jarosław obrócił w perzynę Dorpat i zaczął

wchodzić w paradę misji w Finlandii. Kiedy trzy lata później Wilhelm powrócił nad Bałtyk jako legat Grzegorza IX, uznał, że czas perswazji się skończył, pora pokazać zęby. Przystąpił do organizowania krucjaty połączonych sił zachodniego chrześcijaństwa przeciwko północnym Rusom.

Niektórzy badacze twierdzą, że zachęcił go do tego niepowstrzymany napór mongolskiej Złotej Ordy, która w 1236 roku dotarła nad Wołgę i w ciągu następnych dwóch lat powoli zbliżała się do ziem nowogrodzkich. Ten argument zakłada jednak, że kuria rzymska lepiej od samych Rusów wiedziała, co się dzieje w głębi Rusi. Po zupełnym braku przygotowania książąt włodzimierskiego i rizańskiego widać jednak, że nie mieli pojęcia o ruchach Ordy; mogła się w każdej chwili skierować na Kijów - i tego, że uczyniła to dopiero sto kilometrów przed samym Nowogrodem, nikt nie potrafił przewidzieć. Aleksander Newski do tego stopnia nie przejmował się Mongołami, że palcem nie kiwnął, aby im wyjść naprzeciw. Jak podaje nowogrodzka kronika, miasto uratowały modlitwy, a nie książę. W 1239 roku się okazało, że Orda skręciła na południe i opuściła ziemie ruskie; tymczasem krucjata Grzegorza rozpoczęła się dopiero kilkanaście miesięcy później od natarcia Szwedów w górę Newy i zajęcia Izborska oraz Pskowa przez Duńczyków i Zakon Niemiecki, na czym porzeczono. Kiedy wiosną 1242 roku Aleksander Newski poprowadził wojsko do Inflant, sytuacja się odwróciła: Złota Orda zapuściła się głęboko na ziemie

polskie i węgierskie, a Rzym błagał Krzyżaków, aby pociągnęli na południe z odsieczą.

Nie byłoby błędem przyjąć, że organizując krucjatę w latach 1241–1242, Wilhelm z Modeny świadomie wybrał czas osłabienia Nowogrodu, ale słabość ta wynikała z waśni Aleksandra z innymi książętami ruskimi i z własnymi poddanymi, którzy zdetronizowali go i przepędzili, gdy już się uporał ze Szwedami. Te problemy bardziej zaprzętały mu głowę niż niemożliwe do oszacowania zagrożenie ze strony Mongołów, dzięki czemu plan Grzegorza IX miał przynajmniej szansę powodzenia. Innym sprzyjającym czynnikiem było dążenie i Krzyżaków, i króla Waldemara II do zajęcia całości lub części Inflant i Estonii po upadku Kawalerów Mieczowych w 1237 roku. Rozwiązać ten okryty nieślawą zakon i rozdysponować jego majątek mógł tylko papież; przyznając połowę Estonii Duńczykom, a Łotwę Krzyżakom, zaspokoił apetyt obu stron, czyniąc je zarazem swymi dłużnikami. Wsparcie krucjaty przeciwko Nowogrodowi najwyraźniej było częścią tej umowy, chociaż ani wielki mistrz, ani król Danii nie bardzo mogli sobie na to pozwolić. Zakon był całkowicie zaangażowany w inną świętą wojnę w Prusach i z trudem wygospodarował dość sił na utrzymanie Inflant; główną troską króla zaś było odbudowanie władzy w Estonii przez wywłaszczanie niepewnych wasali, a nie parcie dalej na wschód.

Kampania jednak się rozpoczęła. W lipcu 1240 roku Szwedzi po płynęli Newą ku Ładodze, ale zostali odparci. We wrześniu armia pod przewodem Krzyża-

ków zdobyła Izborsk, a potem Psków, gdzie osadzono sprzyjającego Niemcom ruskiego namiestnika. Na początku następnego roku krzyżowcy zajęli Ingrię (zamieszkane przez Wotów ziemie pomiędzy Nowogrodem i wybrzeżem Zatoki Fińskiej). Wtedy Nowogrodzianie przywrócili księcia na tron i koło fortuny się obróciło. Jesienią wyparli najeźdźców z kraju Wotów; następnej wiosny, jak podaje Pierwsza Kronika Nowogrodu:

Książę Aleksander opanował wszystkie drogi aż po Psków i sam gród wyzwolił, chwytając w niewolę Niemców i Estończyków, których w kajdanach odesłał do więzienia w Nowogrodzie; sam zaś ruszył przeciwko Estończykom. Przybywszy na ich ziemie, dał swym wojskom wolną rękę (...) Książę zawrócił nad jezioro [Pejpus, inaczej Czudzkie], a wróg za nim pociągnął. Co widząc, Nowogrodzianie zwarli siły pod Uzmeniem, przy Kruczej Skale; Niemcy i Estończycy ruszyli do ataku, klinem się w siły nasze wbijając. I nastąpiła rzeź ich wielka, albowiem Bóg sam i św. Zofia, i święci męczennicy Borys i Gleb Aleksandrowi dopomogli. Mnóstwo Niemców tam padło, Estończycy zaś ucieczką salwować się starali, książę ich jednak ścigał siedem wiorst po lodzie, niemal pod subolski [północno–zachodni] brzeg. Nieprzebrane mrowie ich tam głowy położyło, a Niemców czterystu; pięćdziesięciu zaś w łańcuchy wzięto i do Nowogrodu zawiedziono. Bój ten sławny na chwałę Najświętszej Matki Bożej piątego dnia kwietnia,

w sobotę, dzień świętego męczennika Teodulosa stoczono.

Inflancki Rymopis widział to nieco inaczej. Według niego Zakon pozostawił tylko dwóch braci-rycerzy do obrony Pskowa, Aleksander zaś zatriumfował nad Pejpusiem tylko dzięki ogromnej, sześćdziesięciokrotnej przewadze liczebnej. Z pogromu uszła duża część kontyngentu estońskiego - najprawdopodobniej z Dorpatu, nie z terenów duńskich - a ogólne straty nie były wielkie: zginęło tylko dwudziestu braci, a sześciu dostało się do niewoli. Wynik bitwy był katastrofalny, ale nie z powodu zdziesiątkowania Zakonu, tylko dlatego, że oznaczał utratę Pskowa. Ofensywa krzyżowa utknęła w miejscu. Jeżeli celem legata było zajęcie samego Nowogrodu, to zwerbował zdecydowanie za mało ludzi, nie doceniwszy potencjału militarnego nieprzyjaciela.

Niebawem po pontyfikacie Grzegorza IX na Stolicę Piotrową wstąpił Innocenty IV, który nie podejmował wojen zaborczych z Rusami, żywiąc nadzieję, że uda mu się przeciągnąć ich pod skrzydła Kościoła innymi środkami. Od 1245 roku zaangażował się w dziwny taniec dyplomatyczny z władcą ziem nadbużańskich, księciem halicko-włodzimierskim Danielem, którego starał się nakłonić do zmiany wyznania ofertą korony i wsparcia przeciwko Ordzie. Daniel jednak niezbyt się przejmował akurat Tatarami; na jego księstwo oskome mieli również Litwini, Polacy i Węgrzy, nie mówiąc o innych władcach ruskich. Nie zamierzał

jednak odrzucać żadnej szansy i pozwalał się prowadzić przez taneczne figury; dopiero w 1257 roku stało się oczywiste, że koronę wprawdzie chętnie przyjął, ale obrządku greckiego wyrzekać się nie zamierza. Do tej pory wydawało się, że cała zachodnia Ruś dostanie się Rzymowi bez walki, papież zostawił więc Nowogród w spokoju.

Po śmierci Innocentego nastąpiła próba powrotu do strategii agresywnej. 19 marca Aleksander IV nakazał nowemu arcybiskupowi–legatowi Suerbeerowi ochrzcić pogan żyjących na wschód od biegu Narwy i ustanowić biskupstwo obejmujące nowogrodzkie prowincje Ingrię i Karelię. Dwaj estońscy wasale Waldemara II poinformowali go, że te ludy chętnie przyjmą chrześcijaństwo, i Suerbeer odpisał, że wyraża zgodę. Biskupem karelskim mianowano kanonika Fryderyka Hazeldorfa, a w 1256 roku dominikanie otrzymali polecenie głoszenia nowej krucjaty w Prusach i Inflantach. Kampania ruszyła, rychło się jednak okazało, że papiejskie informacje mijają się z prawdą. „Poganie” niczym nie zdradzali ochoty na przyłączenie się do wspólnoty rzymskokatolickiej, a na wezwanie do podjęcia krzyża stawiała się tylko nieliczna grupa Szwedów, Finów i Estów pod dowództwem jednego z miejscowych wielmożów - Dytryka z Kiwla, autora listu, który skłonił kurię do zorganizowania krucjaty. Jego włości leżały na wschodnim pograniczu Estonii, był więc zainteresowany trzymaniem w szachu Wotów zza Narwy. Nie miał zamiaru najeżdzać i nawracać schizmatyków; wykorzystał wojsko do budowy twierdzy na prawym

brzegu rzeki i przed zimą wrócił do domu. Kiedy Aleksander Newski przybył z odsieczą, nie miał już z kim się bić; wzgardziwszy Estonią, pomaszerował dalej, do szwedzkich prowincji w Finlandii. Papieska bulla, propaganda i sama krucjata - wszystko to wyniknęło z manipulacji jednego zachłannego kresowego wielmoży, który miał dość czelności, by zagrać na strunie papieskiego zauroczenia ideą latynizacji Rusi.

Nauczona tym doświadczeniem kuria rzymska zwracała się odtąd o pomoc w jej realizacji do królów szwedzkich. W 1257 roku Aleksander IV powierzył im podbój Karelii, co częściowo zostało zrealizowane w ciągu następnego stulecia. Między Nowogrodem i osadnikami w Inflantach istniały zbyt mocne powiązania handlowe, żeby któraś ze stron zbyt długo chciała wojować z drugą; interwencje papieskie miały tylko ten skutek, że dały zachodnim chrześcijanom pretekst do najazdów, które jednak rzadko ośmielali się lub chcieli przedsięwziąć, i że jeszcze umocniły więzi Nowogrodu z Kościołem wschodnim. Zaprzepaściwszy szansę podbicia buńczuczności księstwa, papieżstwo straciło wszelkie szanse nawrócenia go drogą pokojową. Krucjata z lat 1240–1242 trwale wryła się w pamięć Nowogrodzian, uświadamiając im, że niezawisłość polityczna powinna iść w parze z religijną. Inflantczycy także nie mieli ochoty ponieść krzyża głębiej na południe, do Połocka; obawa przed zakłóceniem ruchu towarów na Dźwinie sprawiła, że pokój panował tam przez większość XIII wieku, a w 1307 roku księstwo połockie popadło w zależność od Litwy.

Nie znaczy to bynajmniej, że papieństwo czy cesarstwo straciły zainteresowanie północno-wschodnią rubieżą chrześcijaństwa. Przez dwa następne stulecia obie potęgi nadal poczuwały się do odpowiedzialności za szerzenie wiary na Rusi i Litwie, ale środki, jakimi w tym celu mogły się posłużyć, zostały w praktyce ograniczone albo do wspierania Zakonu Niemieckiego, albo hamowania jego poczynań; nawet na tak ograniczonym polu działania tym mniej można było osiągnąć, że papież i cesarze nieodmiennie ze sobą rywalizowali, wzajemnie się przelicytowując i sprzeciwiając sobie. Niemniej póki wszystko szło w miarę dobrze, Rzym zdążył wprowadzić nad Bałtykiem trzy instytucje, które ukształtowały przyszłość regionu: krucjatę przeciwko poganom, krucjatę przeciwko Rusi i monastyczne państwa krzyżowe. Na brzegach tego pozbawionego pływów morza leżały wyrzucone przez sztorm dziejowy resztki papieskiej ideologii - trochę zasuszone, częściowo podgniłe, ale jeszcze płodne.

Krucjata litewska (1283–1410)

Takim to sposobem pod koniec XIII wieku Bałtyk stał się chrześcijańskim Mare Nostrum i wytyczona została nowa granica między wyznaniem. Równowaga sił między cywilizacjami Północy opisana w rozdziale 1. zachwiała się pod wpływem nowych idei, nowych osadników, form rządzenia i wynalazków, napływających dogodnymi morskimi szlakami i żeglownymi rzekami, łączącymi ten region ze środkową i zachodnią Europą. Morze Północne, Ren, Łaba, Odra, Wisła - wszystkie przyczyniły się do tej zmiany. Teraz jednak nowe bałtyckie prowincje graniczyły z gęstą puszcza porastającą dorzecza wielkich cieków wodnych na wschodzie: Niemna i Dźwiny, i całej sieci rzek zasilających jeziora Pejpus, Ilmeń i Ładoga. Oprócz przyrodniczej bariery była jeszcze inna: odporne, obce plemienne kultury stojące na drodze dalszej ekspansji. Zasoby ludzkie i naturalne czerpane z tego rejonu i umiejętnie wykorzystane umożliwiły powstanie potęg nowogrodzkiej i litewskiej. Oba te państwa grawitowały z kolei ku Bałtykowi, przyciągane łatwością dostępu drogami rzeczynymi i zyskowością handlu, który dzięki nim mógł się rozwijać. Z ich punktu widzenia nie można było pozwolić zachodnim chrześcijanom cieszyć się zdobyczami w spokoju; ci z kolei nie zamierzali biernie patrzeć, jak rosna w siłę mocarstwa z głębi lądu. Ciśnienie na granicy narastało po części samoistnie, po

części wskutek planowego działania po obu stronach - i święta wojna trwała jak przedtem.

W tym i następnym rozdziale opisuję, jak zachodnie potęgi starały się w XIV wieku ożywić ideę wypraw krzyżowych i dostosować ją do warunków konfliktu na pograniczu: najpierw przeciwko Litwinom, później Rusom. Nie będę dokładniej omawiał wojen i sojuszy krzyżackiego państwa w Prusach w tym okresie ani jego przeciągającego się sporu z Polską czy stosunków Zakonu z Hanzą i władcami skandynawskimi. Te kwestie miały wpływ na krucjaty, ale zasługują na znacznie pełniejsze potraktowanie, niż to jest możliwe w tej książce.

Narastanie konfliktu (1203–1309)

W 1283 roku kronikarz Zakonu Niemieckiego Piotr z Dusburga zanotował, że zakończony został podbój Prus i zaczęła się wojna z Litwą. Toczyła się jeszcze, gdy pisał kronikę, w latach dwudziestych XIV wieku, i miała trwać z przerwami aż do zawarcia pokoju melneńskiego w 1422 roku, kiedy Krzyżacy zostali zmuszeni do wyrzeczenia się raz na zawsze roszczeń do Żmudzi i północnej Litwy. Podana przez kronikarza data nie jest dokładna: Kawalerowie Mieczowi z Rygi po raz pierwszy skrzyżowali broń z Litwinami już w 1203 roku, a do podobnych potyczek dochodziło wielokrotnie podczas podboju Prus i Inflant. Przez dwa stulecia zatem albo z Litwą wojowano, albo o tym mówiono; w pewnych kręgach uważano ją za mocarstwo oparte na fundamencie zaprzeczenia religii Chrystuso-

wej i przez większość tego okresu nie było trudno o krzyżowców z Rzeszy i zachodniej Europy, gotowych bić się pod sztandarem Zakonu Niemieckiego za sprawę, jak wierzyli, chrześcijaństwa.

Kim jednak są Litwini? Należą, jak wspomniałem w rozdziale 1., do Bałtów - członków tej samej grupy językowej co Prusowie i Łotysze - i na początku XIII wieku niewiele się od nich różnili stylem życia i znaczeniem politycznym. Był to lud złożony z kmieci żyjących pod panowaniem warstwy wojowników na leśnistych terenach nad Niemnem, Szeszupą i Wilią, rozciągających się na wschód od Prus. Pięć do ośmiu gospodarstw wraz z przynależną każdej rodzinie ziemią tworzyło społeczność sioła - ściśle egzogamiczną, jak się wydaje - zobowiązaną płacić właścicielowi gruntów (później zwanemu bojarem) daninę w naturze i służbie. Bojarzy ze swych krewnych i co zamożniejszych kmieci tworzyli drużyny „przyjaciół”; pod wodzą dziedzicznego kunigasa prowincji (Litwa była podzielona na kilkanaście księstw) zgrupowania takich oddziałów co wiosną wyruszały na rabunek i wracały z bydłem, niewolnikami, srebrem i zdobyczną bronią. Jeżeli napadnięci sąsiedzi organizowali wyprawę odwetową, Litwini chronili się w warownych osadach zwanych *garadas*, od słowiańskich słów „gród”, „gorod”.

Litwa nie miała dostępu do morza, własnych złóż soli i bardzo niewiele rud żelaza; jej populacja nie była zbyt liczna - Litwinów było prawdopodobnie mniej niż Prusów i na pewno gorzej się im powodziło. Ich atutem były niedostępność kraju i konie: wypieszczone rumaki

bojowe dla elity, „awansowane” na wierzchowce szkapę od pługą dla uboższych wojów. W pierwszej połowie XIII wieku na ziemię stanowiącą tradycyjnie cele ich łupieżczych wypraw coraz głębiej wdzierały się lepiej zorganizowane potęgi: Krzyżacy i Nowogród od północy, książęta Mazowsza, Polski i Wołynia od południa. Jakby tego było mało, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych na ich własne ziemie zaczęli się zapuszczać Mongołowie ze Złotej Ordy, lepiej od Litwinów uzbrojeni i wyszkoleni. Przyszłość zapowiadała się marnie; jednakże wtedy właśnie, mimo nieustannie ponoszonych szkód i rozlewu krwi, pewna niezwykła dynastia potrafiła zewrzeć litewskie szeregi, zreorganizować system militarny i w końcu skutecznie atakować nieprzyjaciół, rozpoczynając aneksję przyległych terytoriów.

Naczelnym przedstawicielem tego rodu był Mendog (Mindaugas), panujący od wczesnych lat XIII wieku do śmierci (został zamordowany w 1263 roku). W *Kronice halicko–wołyńskiej* czytamy:

Jedynowładcą był on nad całą Litwą (...) Wstąpiwszy na tron, usiłował wybić swych braci i bratanków; innych z kraju wyżenął i samopas rządzić począł. Stał się dumny wielce i łasy próżnej chwały - nikogo za równego sobie nie uznawał.

W 1219 roku był jednym z około dwudziestu książąt litewskich; pod koniec życia - suwerenem znacznie mniejszej ich liczby. Zmobilizował cały wolny lud do walki pod swoim - i synów - sztandarem. Jego jazda

naśladowała taktykę tatarską, ale zamiast łuków posługiwała się mieczami i krótkimi włóczniami, za ochronę mając kolczugi. Piechotę Mendog uzbroił w dzidy i topory, a najemne oddziały łotewskie wprowadziły zapożyczone od Kawalerów Mieczowych kusze. Sojusz z Jaćwingami dał mu posiłki wprawione w walkach z Krzyżakami, zaprzągnął też do służby bogactwo i technikę książąt polskich i ruskich. Na przemian bił się i sprzymierzał ze wszystkimi wschodnioeuropejskimi potęgami, wciągał je do swoich sporów rodzinnych, żadnej z nich nie dając się długo cieszyć pokojem. One z kolei starały się wziąć nad nim górę - jak nie orężem, to dyplomacją lub ofertą przyjaźni - i czasem im się to nawet udawało.

W 1249 roku krewniacy Mendoga przeszli na stronę księcia halickiego Daniela, a bratanek sprzymierzył się z inflanckimi Krzyżakami i przyjął chrzest. „Teraz jest dobra pora, abyśmy ruszyli na pogan, albowiem między sobą wojują”, napisał Daniel do Polaków. Mendog jednak wysłał poselstwo do Rygi i wszczął rokowania, dzięki którym sam zawiązał sojusz z Zakonem i również przeszedł na chrześcijaństwo. Przyznał braciom-rycerzom duże nadania ziemskie i wyznaczył ich swymi spadkobiercami na wypadek bezpotomnej śmierci. Przyjął koronę od Innocentego IV i zaprosił niemieckich kupców, mnichów i osadników do osiedlania się na Litwie. Nieustanne wojny z Rusią Halicką, Polską, Tatarami i Nowogrodem sprawiły, że w 1260 roku przymierze z Krzyżakami przestało się wydawać tak atrakcyjne. W ostatnich latach panowania Mendog

nie mógł już zapobiec poczynaniom krewniaków, którzy jeśli napadać na wszystkich bez wyjątku chrześcijańskich sąsiadów Siły litewskie wyparły Krzyżaków z Kurlandii, Żmudzi i Jaćwieży, a w 1263 roku dotarły nawet do ujścia Dźwiny. Siostrzeniec Mendoga, książę Treniota, pokonał tam w nocnej bitwie armię krzyżacką wspieraną przez ryskich mieszczan, po czym zawrócił na południe i spustoszył Prusy oraz Mazowsze. Królewska polityka zastraszania i likwidacji krewnych obróciła przeciwko niemu większość tych, którzy przeżyli; tego samego roku Mendog zginął z ręki szwagra Dowmunta, a rok później zabito w łaźni Treniotę.

Kariera Mendoga rozwijała się znajomym torem „nowoczesnej” autokracji. Eliminacja rywali Litwy, przyswajanie obcych wzorców, wykorzystywanie sojuszników i nieustanne dążenie do powiększania terytorium - ta polityka przyczyniła się do zjednoczenia kraju i pozostawiła niezatarty ślad na litewskim społeczeństwie. Kontynuowali ją jego następcy, posuwając się w dół wielkich rzek biorących początek w głębi ich terytorium, aby skonstruować rozległy system zależności feudalnej, który wessał bogactwo wszystkich zachodnich księstw ruskich. W XIV wieku zamożne i stosunkowo zurbanizowane społeczności Pskowa, Potocka, Pińska, Kijowa, Wołynia i Rusi Halickiej zostały zaprzęgnięte w feudalne jarzmo puszczańskiej Litwy i zmuszone do utrzymywania rozrastającej się i zhierarchizowanej warstwy rządzącej: wielkiego księcia z synami i książętami-wasalami, warowniami i drużynami, bojarów z pocztami, cudzoziemskich techników

i urzędników dworskich. Wielki książę kierował całą wojenną machiną, miał rozległe prywatne włości i absolutną władzę nad ufortyfikowanymi grodami: Trokami i Wilnem. Lojalność kunigasów zapewniało mu szafowanie „chlebem i igrzyskami” - szczodrymi nadaniami i męskimi rozrywkami: gargantuicznymi dwunastogodzinnymi ucztami i polowaniami, podczas których łupem myśliwych padało czasem nawet sto turów. Wojowie z jego drużyny kwaterowali u chłopów; twierdze obsadzano zmianami rekrutów. W czasie wojny prowadzone przez niego lub wyznaczonych członków rodu mobilne i dobrze wyposażone oddziały szybko przesuwały się ku granicy i zapuszczały głęboko na terytorium nieprzyjaciela, grabiąc, co się dało, i nie pozostawiając za sobą ani jednego całego domostwa czy zboża na pniu. Samo zagrożenie takimi najazdami przynosiło księstwu stały dochód w postaci haraczu w srebrze, wosku i futrach, w zamian za co zhołdowany lud mógł żyć we względnym spokoju i po swojemu. Mile widziano na Litwie osadników wszelkich narodowości, dzięki którym połacie lasu zamieniały się w ziemię uprawne, a książęce grody rozrastały się i coraz lepiej prosperowały. Sukcesy wojenne bogaciły bojarów i zaostrzały ich apetyt; jako konsumenci wina, soli, ryb morskich, wełny i świeżej żywności przyczyniali się do zwiększania ruchu towarowego na rzekach i szlakach lądowych, zwracając przy tym uwagę swych władców na najbliższe źródła importu - jako partnerów handlowych lub kandydatów do aneksji.

Z punktu widzenia Zakonu Niemieckiego i jego poddanych rosnąca w siłę Litwa była zjawiskiem i dobrym, i złym. Z jednej strony zapewniała rynek zbytu dla ich własnych produktów i towarów sprowadzanych z Bałtyku. Około 1275 roku syn Mendoga Wojsielk (Vaišelga) zawarł układ handlowy z mieszczanami i rycerzami zakonnymi z Rygi; od tamtej pory notuje się ożywiona wymiana między obu stronami. Litwini dostarczali tradycyjnych produktów leśnych i srebra (uzyskiwanego ze sprzedaży niewolników Tatarom), za które Niemcy płacili końmi, solą, bronią, chlebem, tkaninami, warzywami i owocami. Ta wymiana barterowa trwała przez cały XIV wiek, tak podczas pokoju, jak i wojen, w dużym stopniu opanowana przez kupców niemieckich, którym sprzyjające warunki stworzyła Hanza na Zachodzie i Złota Orda na Wschodzie.

Militarna potęga Litwy nigdy jednak nie przestała być zagrożeniem, ponieważ i Zakon, i wielcy książęta dążyli do wchłonięcia i skolonizowania ziem, przez które przebiegały szlaki handlowe. Odkąd litewscy najeźdźcy dotarli do morza w Prusach i Inflantach, zrodziła się szansa na opanowanie obu krain - a w miarę rozrostu imperium coraz wyraźniej rzucało się w oczy, że istnienie państwa krzyżackiego staje się wyjątkiem od reguły, obcym elementem w politycznym porządku wschodniej Europy. Kraj Mendoga obejmował kolistą obszar o promieniu około dwustu kilometrów, ze środkiem w Wilnie. Sto lat później jego potomek Olgierd panował nad południowo-wschodnim półkolem o podstawie ponad tysiąc dwustu kilometrów, któ-

regu dopełnieniem od północy i zachodu były ziemie krzyżackie i polskie leżące w bezpośredniej bliskości od kolebki Litwy. Obie strony urosły w siłę przez aneksję pogranicznych plemion i księstw i rywalizowały o podbój Żmudzinów, Jaćwingów, Kurów i Zemgalów. Rywalizacja zakończyła się wprawdzie u schyłku XIII wieku powstaniem martwego pasa zniszczeń, ale i wtedy każdy z protagonistów mógł jeszcze zebrać dostateczne siły, aby zawłaszczyć polityczne centrum przeciwnika i przejąć po nim całą schedę.

Co więcej, wielcy książęta i ich drużynnicy wciąż pozostawali poganami. Już Mendog przyjął wprawdzie chrześcijaństwo, ale na kronikarzu halickim nie zrobiło to wielkiego wrażenia: „Ów chrzest był tylko dla pozoru. [Mendog] potajemnie nadal cześć oddawał dawnym bogom - Nonadiejowi, Telawelowi, zajęczemu bogu Diwiriksowi i Mejdejnowi. Kiedy wyruszał w pole, a zając przebiegł mu drogę, wzbraniał się wjeżdżać do gaju i gałązki nawet nie śmiał złamać. Ofiary bóstwom składał, zwłoki palił i pogańskie gusła publicznie odprawiał”. Niemniej wielu jego krewnym i poddanym nawet ta nominalna zmiana wyznania się nie podobała; jak twierdzi Rymopis, pod koniec życia Mendog przyjął poselstwo od Trenioty i Żmudzinów, od którego usłyszał:

Żmudź cała boleje nad tobą i twą sławą; przyjmij ich radę, a zyskasz na tym (...) Wszystko, czego cię Bracia nauczyli, odkąd cię odciągnęli od twoich bogów, jest kłamstwem. Ojciec twój wielkim był władyką

i w swoim czasie równego mu nie było; ty zaś chcesz teraz w jarzmo wprząc siebie i dzieci twoje, choć na zawsze mógłbyś wolnym żyć? Wielki błąd popełniasz. Jeżeli chrześcijanie Żmudź podbiją, stracisz całą cześć i bogactwo, a na koniec wraz z potomstwem w poddaństwo pójdziesz. Jakże ty jesteś ślepy! Jeśli chcesz się od chrześcijan uwolnić, stań ramię w ramię ze Żmudzinami, którzy wobec ciebie są lojalni; na to się zgodzić musisz i od chrześcijaństwa odwrócić.

W połowie XIII wieku Żmudź była wciśnięta między Prusy i Inflanty, a jej mieszkańcy coraz bardziej niechętni wobec Krzyżaków i ich wiary. Wielcy książęta litewscy musieli bardziej zważać na kwestie religijne. Zawsze znajdowały się jakieś zachęty do przyjęcia chrześcijaństwa, tym bardziej że większość ich lenników stanowili greckokatolicki mieszkańcy Rusi Białej, a i papieże co jakiś czas bywali żywiej zainteresowani przygarnięciem Litwy pod skrzydła Rzymu, na co nie szczędzili darów i dyplomatycznych zabiegów. Dopóki jednak potęga Wilna oparta była na litewskich jeźdźcach, władcy unikali opowiadania się po stronie którejkolwiek z Kościołów. Żaden z nich nigdy nie został wprawdzie wielkim kapłanem oficjalnej, zinstytucjonizowanej religii pogańskiej, ale też żaden nie przyjął chrztu - choć czynili to ich krewni, a nawet dzieci. W rezultacie byli błędnie uważani przez obserwatorów z zewnątrz za zatwardziały pogan.

Prusowie i Litwini mieli liczny panteon bóstw, uosabiających i regulujących wszystkie aspekty życia

i śmierci. Wspomniana wyżej w cytacie z *Kroniki ha-licko-wotyńskiej* czwórka - Nonadiej, Telawel, Diwiriks i Mejdejn - może posłużyć za przykład: pierwszy z nich był bogiem nieszczęścia, drugi kowalem, który słońce skował i zawiesił na niebie, trzeci władcą ptaków i zajęczym bogiem, ostatni bogiem lasu i łowów. W 1258 roku korpus litewski, któremu przeszła koło nosa szansa na złupienie grodu, „zalił się i spluwał, krzycząc *Janda!* i wzywając ich bogów Nonadieja i Diwiriksa oraz innych”. W obu krainach czczono między innymi boga piorunów i ognia Peruna (Perkunasa), władcę świata podziemnego Pykuolisa oraz boga wiosny i urodzaju Patrimpasa. XVII-wieczny łowca historii Jan Krzysztof Hartknoch doliczył się trzynastu odrębnych kategorii pomniejszych bożków i boginek, w folklorze zaś przetrwały do jego czasów szczegóły ich wyglądu, choć żadne z nich nie było przedstawiane w postaci materialnej.

Łącznikiem między światem nadprzyrodzonym i ludzkim były rozwinięte przez Bałtów publiczne rytuały ofiarne, błagalne i dziękczynne. Ich władcy skrupulatnie pilnowali, aby oni sami i ich wojska miały centralne znaczenie w tym systemie, i wykorzystywali skomplikowany układ wierzeń i obrzędów, łącząc go z ich osobistymi sukcesami politycznymi i militarnymi. O jaćwieskim wodzu Skomondzie mówiono, że był „wróźbitą i czarownikiem, szybkim jak dziki zwierz”. Ulubieńcy bogów przeznaczali sporą część - nawet jedną trzecią - łupów na rytualne całopalenie, publicznie zapraszając swych niebiańskich protektorów na ucztę

krwi i ognia. Wojownicy biesiadowali na „uczach zwycięstwa”, a władca czerpał siłę z całego systemu pogańskich wierzeń, od kultu słońca do praktyki trzymania świętych węży w obórcie. Kiedy umierał, jak Olgierd w 1377 i Kiejstut w 1382 roku, był palony wraz z ogromnym stosem przedmiotów i całym stadem koni stanowiących wyprawę na życie pozagrobowe, co utwierdzało wiarę w królestwo duchów i zapewniało boskie błogosławieństwo dla ich dynastii. Skazując na stos pojmanych dowódców krzyżackich armii (jak Gerharda Rudego w 1320, Henzela Neuensteina w 1365 i Markwarta von Raschaua w 1389 roku), można było zademonstrować społeczeństwu niższość zachodnich najeźdźców. Kiedy w obliczu klęski litewskie załogi fortów wybierały śmierć z ręki własnych szamanek (jak w Pilenai w 1336 roku) zamiast niewoli u chrześcijan, było to najdobitniejszym dowodem siły ich wiary w potęgę bogów i nadziei na nagrodę dla ich sług na tamtym świecie.

Od XIII wieku pojawiały się poglądy, że Litwinów od przyjęcia chrześcijaństwa odstraszała brutalność i chciwość Krzyżaków. Nie były one bezpodstawne, nie można jednak zapominać, że litewska religia sama w sobie była atrakcyjna, skuteczniejsza od pokrewnych wierzeń pruskich i łotewskich - przede wszystkim dlatego, że miała oparcie w doskonalszym systemie politycznym. Krzyżacy niewiele mogli zdziałać przeciwko tej organizacji, poza zapobieganiem jej rozszerzaniu się na inne tereny. Litwini nie byli małym plemieniem, nie można więc było ich zmusić do przejścia na nową wia-

rę siłą lub groźbą jej użycia; ich państwo dobrze prosperowało i było nieźle zarządzane, a więc przykład sąsiednich krajów chrześcijańskich nie był kuszący - już prędzej można by to powiedzieć o Złotej Ordzie. Pogaństwo pozwalało Litwinom bezstronnie traktować katolików, prawosławnych, Żydów i Tatarów. O ile prawdą jest, że Zakon Niemiecki upierał się przy nawracaniu przez podboje i przymus, o tyle w wypadku Litwy nie miało to większego znaczenia, gdyż jej nie udało mu się podbić. Kiedy wielki książę Jagiełło ostatecznie przyjął chrzest w 1386 roku, skłoniła go do tego perspektywa objęcia tronu polskiego i pozbawienia Krzyżaków ich *raison d'être*. Powolność misyjnego procesu chrystianizacji, jaki się z tą chwilą rozpoczął, świadczy o głębokim zakorzenieniu i witalności religii przodków, której nawrócenie elity nie zaszkodziło.

Do konfliktu między Litwą a Zakonem po raz pierwszy doszło z powodu rywalizacji; obie strony dążyły do podporządkowania tych samych ludów łotewskich i pruskich. Ta faza ich stosunków zakończyła się przed 1283 rokiem, kiedy Krzyżacy podbili bądź wyparli plemiona pruskie żyjące najdalej na wschodzie i stworzyli pas ziemi niczyjej między terytoriami swoich i litewskich wasali. W owym okresie oddziały wielkiego księcia kilkakrotnie wdzierały się do Inflant i odnosiły walne zwycięstwa (nad wielkim mistrzem Ottonem von Lutterbergiem pod Karkami (Karuze) w 1270, nad Ernstem von Ratzeburgiem pod Aizkraukle w 1279 roku) i ponosiły równie druzgocące porażki (nad Dobene w 1272 i pod nowo zbudowaną twierdzą w Dyne-

burgu sześć lat później), nie mogły jednak przeszkodzić Krzyżakom w konsolidacji zdobytych ziem. Pogranicze było jednak wciąż w ogniu; dostęp do niego zapewniał Niemen, a rzeczynymi skutkami łatwo przewieźć nawet dużą armię. Żeby zabezpieczyć Prusy, należałoby pa nować nad jego nurtem co najmniej do miejsca, gdzie wpada do niego Wilia; podobnie bezpieczeństwo Inflant zależało od takiego ruchu nad Dźwiną. Obie strony dobrze o tym wiedziały, dlatego też w latach 1283–1296 wielokrotnie dochodziło do próby sił nad tymi rzekami. Braciom – rycerzom inflanckim udało się za jąć Semigalię, pruscy zaś zbudowali dwa forty na le wym brzegu Niemna i zniszczyli kilka litewskich na prawym. Litwini najechali Kurlandię i Sambię, spro wokowali też krótkotrwały zryw buntowniczy plemion pruskich w 1295 roku. Wielcy mistrzowie nie uznali tej wojny za szczególnie ważną i nie starali się apelować o podjęcie wyprawy krzyżowej.

Sytuacja się jednak zmieniła, kiedy w latach 1297–1299 wielki książę Witenes, praprawnuk Mendoga, nawiązał sojusz z mieszczanami ryskimi. Zajął Inflanty, pokonał mistrza krajowego Brunona (który zginął w bi twie) i dokonał niszczącego najazdu na środkowe Pru sy. W 1298 roku wycięto w pień całą ludność Brodnicy (Strasburga); rok później wprowadzono dwustu pięć dziesięciu jeńców. Krzyżacy się zorientowali, że gra toczy się o przyszłość ich kolonii, wezwali więc wiel kiego mistrza i książąt Rzeszy do ogłoszenia krucjaty. Sami podbili Prusy dzięki umiejętnemu wykorzystaniu rzek; wiedzieli, że potrzebne im będą wszelkieostęp-

ne środki, aby zapobiec powtórzeniu tej strategii przez nieprzyjaciela - jedyną zaś drogą lądową łączącą Inflanty z Prusami był nowy szlak wiodący z Memla do Kurlandii przez pas ziemi wystawiony na napaści Żmudzinów.

Sprawa nie była jednak taka prosta. Napadnięte Prusy z pewnością potrzebowały pomocy, ale przed prawdziwym problemem Zakon stanął w Inflantach. Nie chodziło tylko o najazdy Witenesa, ale przede wszystkim o wojnę domową, jaka wybuchła między Krzyżakami, arcybiskupem i mieszkańcami Rygi. Był to jeden z kilku wielkich skandali w historii Zakonu Niemieckiego i jeden z największych konfliktów średniowiecza - warto więc się mu bliżej przyjrzeć.

Rozwój wydarzeń sprawił, że Inflanty stały się pentarchią: władza nad krajem była podzielona między arcybiskupa, trzech podległych mu biskupów (kurlandzkiego, ozylskiego i dorpackiego) oraz Krzyżaków. I Zakon, i biskupi nadawali lenna świeckim wasalom, którzy tworzyli coraz bardziej niezależną grupę, arcybiskup zaś obdarzył przywilejami społeczność ryskich mieszczan, którzy stopniowo zyskali takie bogactwo i wpływy, że stworzyli odrębny organ władzy. Rywalizacja o ziemię w prowincji i o udziały w handlu na Dźwinie spowodowała, że pokojowa koegzystencja między tymi grupami była wykluczona, jednocześnie zaś osłabiła strukturę militarną państwa, za którą odpowiedzialny był Zakon Niemiecki. W 1290 roku mistrz Halt von Hohembach odpisał mistrzowi pruskiemu, wzywającemu go do współdziałania w rejsie

zimowej: „Wiedzieć powinieneś, że tego lata sześćokrotnie się zwracaliśmy do panów tej prowincji, jak najusilniej ich błagając o wsparcie w organizacji wyprawy”. Po trzech dniach zabiegów przed zgromadzeniem von Hohembachowi odmówili wprost wszyscy poza arcybiskupem, który jednak mógł wystawić tylko osiemnastu niemieckich rycerzy i trzystu miejscowych wojów. „Z naszej strony cała siła, jaką dysponujemy nad Dźwiną i w Kurlandii, to tysiąc ośmiuset ludzi, Niemców i tutejszych”.

W następnych latach tarcie jeszcze się zwiększyło. Do aktów przemocy doszło, kiedy arcybiskup wyjechał z Rygi, a jego mieszczanie postanowili zbudować jaz w górze rzeki, aby zapobiec zatapianiu ich posiadłości podczas wiosennych roztopów. Przegroda miała zatrzymać krę, przepuszczając wodę, ale przeszkadzała zarazem w żegludze i dla ziem oraz handlu Zakonu oznaczała szkody. Jej budowa wiązała się też z bezprawnym wtargnięciem na ziemie arcybiskupa, który powierzył ich ochronę Krzyżakom. Bracia zniszczyli most prowadzący na plac budowy, mieszczanie wzięli na nich odwet i poląła się krew, spłonęły domy, zaskwestrowano mienie. Gdy wrócił arcybiskup, stanął po stronie Rygi. Zakon zajął jego włości i zamknął ruch na rzece.

Tego rodzaju sporów można się zawsze spodziewać między rozrastającymi się miastami i okolicznymi właścicielami ziemskimi. Ryżanom potrzeba było więcej gruntu, Krzyżacy zaś ani myśleli umniejszać swojego stanu posiadania; arcybiskupowi zależało, aby choć

do pewnego stopnia utrzymać władzę nad mieszczanami; miało mu to zapewnić udzielone im poparcie przeciwko Zakonowi. Sytuacja była tym bardziej wybuchowa, że główne siedziby wszystkich trzech stron znajdowały się w Rydze, każda więc mogła zadawać dotkliwe ciosy, nie odnosząc z tego jednak większych korzyści. Mieszczanie postanowili wezwać na pomoc wielkiego księcia Witenesa. Wojska litewskie wkroczyły do miasta i zburzyły zamek krzyżacki, a rok później (1298) wyrządziły Zakonowi dalsze szkody. Ryscy rajcy nie wypierali się odpowiedzialności za najazdy z lat 1297–1299, co nie przeszkadzało im tym głośniejsze skarżyć, gdy po odwrocie sojuszników Krzyżacy rozgromili ich pod Neuermühlen.

Pozwy od trzech stron konfliktu trafiły do papieża Bonifacego VIII i rzymskiej kurii przypadła niełatwa rola sędziego. Według mieszkańców Rygi Krzyżacy usiłowali odebrać miasto jego prawowitemu właścicielowi, czyli arcybiskupowi, a kiedy rada miejska chciała szukać sprawiedliwości w Rzymie, oznajmili: „My wam starczymy za papieża”; wymordowali wielu ryżan i spalili ich domostwa, zdewastowali podmiejskie uprawy, grozili, że zmuszą ich żony do pracy w młynach, i zamordowali ośmiu nieszczęsnych pielgrzymów. Dla sterroryzowania mieszczan wznieśli nowy zamek i próbowali przejąć cały handel z Litwą dla siebie: nie są zainteresowani walką z pogaństwem, tylko nabijaniem sobie kabzy.

Arcybiskup Jan III von Schwerin podjął ten temat. Jak stwierdził, Inflanty nadano Krzyżakom po to, aby

pomagali nawracać miejscowe plemiona i trzymali w szachu pogan; oni tymczasem uciskali tych, którzy już chrześcijaństwo przyjęli, przeszkadzali w dziele misyjnym i nie chcieli walczyć z Litwinami. To oni ponoszą odpowiedzialność za porażkę Kościoła, któremu nie udało się utrzymać w wierze króla Mendoga; oni zrazili Zemgalów do krzyża przez swą „dzikość, okrucieństwo i tyranie”. Bardziej sprzyjają cesarzowi niż papieżowi, odrzucili zwierzchność biskupów inflanckich, obiegli i uwięzili samego arcybiskupa i przez osiem miesięcy trzymali go o chlebie i wodzie, ograbili jego ziemie i wpędzili go w biedę. Biskup Ozylii skarżył się, że oddziały zakonne najechały jego wyspę, aresztowały osiemdziesięciu jego wiernych, choć chroniła ich biała flaga, a jego samego obiegły w Lihuli, zmuszając do zrzeczenia się wszystkich zamków i praw doczesnych, zniszczyły ołtarze, święte wizerunki, szpitale i domy jałmużnicze. Biskup Kurlandii przedstawił własną listę zarzutów przeciwko komturowi z Kuldygi, który zabił jego poddanych, zrabował mu zboże, garderobę, trzydzieści par obuwia i butelkę mszalnego wina; ba! podarował nawet biskupią stulę swej służebnej na czepek!

Brzmiało to źle, ale już starożytni Rzymianie mawiali, że trzeba wysłuchać i drugiej strony. Wielkiego mistrza wezwano do Rzymu, aby odpowiedział na zarzuty, i Bonifacy jął godzić zwaśnionych. Jego zdaniem Inflant należało bronić za wszelką cenę, czegokolwiek Zakon tam się dopuścił, to zaś było możliwe tylko przy pełnej współpracy miejscowych władz. W latach 1300—

1303 papież zmusił Krzyżaków do oddania tego, co bezprawnie zawłaszczyli i zrekompensowania strat pokrzywdzonym, ale procesu im nie wytoczył. Spór chwilowo przygasł, rozgorzał jednak z nową siłą, gdy Benedykt XI wysłał do Rygi nowego arcybiskupa i wkrótce do kurii nadeszło kolejne, jeszcze bardziej obciążające Zakon doniesienie. Oskarżenia nie mogły pozostać bez odpowiedzi; wersję krzyżacką poznajemy z dokumentu datowanego na połowę 1306 roku.

Zakonni rycerze twierdzili, że tylko egzekwowali prawa przyznane im w bullach papieskich przez ostatnie sześćdziesiąt lat. To Stolica Apostolska nadała im ziemie i majątki, o których chęć zagarnięcia są teraz posądzani, a przecież złożyli dań z własnej krwi - dwustu braci i dwa tysiące knechtów poległo w samej tylko Kurlandii, gdzie biskup handryczy się o worek butów. Nieobecność arcybiskupa w Rydze obciążyła Krzyżaków obowiązkiem strzeżenia jego posiadłości, a jego zamek został zajęty jako zabezpieczenie pożyczki udzielonej jednemu z jego wasali. Co się zaś tyczy zarzucanych im występków - do których doliczono w tym czasie kremację zwłok, dobijanie rannych i czarno-księstwo - to zwykłe oszczerstwa, podobnie jak oskarżenie o przeszkadzanie misjonarzom: Zakon współpracował przecież z arcybiskupem przy budowie czterdziestu kościołów. Twierdzą w Mitawie (Semigalia) wznosił własnym sumptem, a wojnę z miejscowymi plemionami rozpoczął dopiero wtedy, gdy wycięły jej załogę; zresztą wspomagali ich w walce i biskupi, i rycy mieszczanie. Ziemie arcybiskupa nad Dźwiną

Krzyżacy zajęli tylko po to, aby ich bronić przed Litwinami - i to na prośbę miejscowych nawróconych. To prawda, że handlowali z Litwą - upoważniał ich do tego przywilej papieski z 1257 roku - ale nie podczas wojny; tymczasem kupcy z Rygi dostarczali tym poganom broni i żywności niezależnie od sytuacji politycznej i militarnej, a nawet posunęli się do zawarcia z nimi sojuszu. Oskarża się Krzyżaków o zaniedbywanie dzieła nawracania? To niech ktoś spyta pierwszego lepszego Łotysza, czy wierzy w Boga - a usłyszy odpowiedź: „Wierzę w Boga, Najświętszą Marię Pannę, w nauki świętego Kościoła rzymskiego i katechizm jak każdy prawdziwy, dobry chrześcijanin”. Statystyka broni się sama: w Inflantach było ponad sto tysięcy nowych wiernych, ochrzczonych w ciągu stu lat, podczas gdy w Estonii i Semigalii, na Ozylii i ziemiach ruskich, gdzie Zakon nie ma żadnej władzy, jest tylko apostazja, schizma i pogaństwo.

Nie był to ostatni etap sporu, widać jednak wyraźnie, jak napięcia panujące w zajmowanym przez Krzyżaków kraju wymuszały na nich jak najsumienniejsze wywiązywanie się z nałożonego na nich zadania: zwalczania i nawracania pogan oraz schizmatyków. Bez papieskiej przychylności nie daliby sobie rady z chrześcijańskimi sąsiadami i nie zdołaliby powstrzymać naporu Litwinów; jedyną zaś drogą do jej zapewnienia było kontynuowanie krucjaty z udziałem jak największej liczby ochotników z zewnątrz - tak dla zdobyczy terytorialnych, jak i międzynarodowej chwały Zakonu.

Dwa ogromnej wagi wydarzenia polityczne nieodwracalnie związały Krzyżaków z wojną litewską. Pierwszym z nich był upadek Akki w 1291 roku, który uniemożliwił im dalszą walkę w Ziemi Świętej i doprowadził do przeniesienia kwatery głównej do Wenecji. Zwyczajowo wszyscy zmierzający na Bliski Wschód Niemcy wyruszali właśnie stamtąd; wybór kapituły padł na ten port, ponieważ spodziewano się rychłej wyprawy ratunkowej - do której jednak nie doszło. Tymczasem bracia-rycerze z Prus robili, co mogli, żeby Zakon skierował na Północ więcej środków. Wielki mistrz Konrad von Feuchtwangen pełnił wcześniej funkcję mistrza krajowego i w Prusach, i w Inflantach, a w 1295 roku dla podniesienia morale osobiście odwiedził te ziemie. Mistrz pruski Konrad Sack i jego jedenastu komturów wystosowali do jego następcy, Mangolda von Sternberga, petycję wzywającą, aby przestał ignorować ich meldunki o zagrożeniach dla prowincji i potraktował ich problemy poważnie, w przeciwnym razie nie biorą odpowiedzialności za rozwój wydarzeń. Kiedy wielki mistrz Godfryd von Hohenlohe udał się nad Bałtyk w 1302 roku, starał się zmusić tamtejszych braci do ściślejszego przestrzegania reguły, ale spotkał się z tak silnym oporem, że podał się do dymisji. Następny, Zygfryd von Feuchtwangen, znalazł się niczym w oblężeniu: z jednej strony Litwini, z drugiej inflanccy oskarżyciele, a kiedy Krzyżacy z Prus zagarnęli w 1308 roku Gdańsk, wyglądało na to, że do koalicji przeciwko nim dołączą Polska i Brandenburgia.

Było to szczególnie niepokojące z uwagi na zbieżność w czasie z innym wydarzeniem: rok wcześniej w Paryżu uwięziono wielkiego mistrza templariuszy Jakuba de Molay, a 22 listopada 1307 roku papież Klemens V wydał nakaz aresztowania wszystkich członków zakonu i konfiskaty jego mienia w całej Europie w oczekiwaniu na wyniki wszczętego śledztwa. Następnego maja opowiedziały się przeciwko niemu stany francuskie, a latem Klemens V przeniósł swą rezydencję do Francji, najwyraźniej w wielkiej komitywie z królem Filipem IV, prześladowcą templariuszy. Absurdalność oskarżeń i łatwość, z jaką przeciwnikom udało się unicestwić tak potężny zakon rycerski we wszystkich państwach poza Hiszpanią i niektórymi księstwami niemieckimi, przerażała Krzyżaków; jeżeli templariuszy można ścigać i palić na stosach za samo podejrzenie o współdziałanie z muzułmanami i łamanie reguły, co w takim razie czeka braci-rycerzy z całym dossier oskarżeń o wszelkie występki z zabijaniem niewinnych włącznie? Filip IV od 1305 roku zabiegał o rozwiązanie wszystkich zakonów rycerskich i ustanowienie jednego nowego - z nim samym jako wielkim mistrzem. Zygfryd von Feuchtwangen przygotował się na najgorsze: opuścił Wenecję i we wrześniu 1309 roku założył nową główną siedzibę Zakonu w Malborku na własnym terytorium w Prusach, poza zasięgiem któregokolwiek ze świeckich władców.

Zdażył w ostatniej chwili. W czerwcu 1310 roku Klemens V wydał bullę *In vinea Domini*, nakazującą arcybiskupowi bremeńsko-hamburskiemu i kanoniko-

wi Albertowi z Mediolanu zbadać wszystkie dotąd nie rozpatrzone oskarżenia przeciwko Krzyżakom, którzy

(...) naszemu Zbawicielowi zniewagę czyniąc, a wszystkim wiernym hańbę przynosząc i na szkodę wiary działając, stali się wrogami wewnętrznymi i z nieprzyjaciółmi Chrystusa się znoszą, z którym i miast w imię Jego walczyć, ku niezmiernemu naszemu zdumieniu przeciw Niemu na ich korzyść wojny toczą, różnymi chytrymi wymówkami się posługując.

W 1312 roku inkwizytor papieski obłożył ekskomuniką inflanckich Krzyżaków z Rygi i choć rok później ją zdjęto, bracia o włos tylko uniknęli rozwiązania. Nie mogło być dziełem przypadku, że po śmierci Zygryda von Feuchtwangena wybrali na jego następcę Karola z Trewiru, który „francuską mowę znał jakoby własną i mógł z papieżem i kardynałami bez tłumaczy rozmawiać; tak był przy tym elokwentny i miły w obejściu, że nawet wrogowie słuchali go z przyjemnością”. Do czasu jednak: w 1317 roku kapituła odesłała go z powrotem do Trewiru.

Prusy stały się więc głównym obiektem troski Zakonu Niemieckiego, a cały wysiłek ruchu krzyżowego nakierowano na granice z Rusią i Litwą. Wielki mistrz był teraz przede wszystkim suwerenem zajęтым trzema głównymi kwestiami politycznymi: rozciągnięciem swej hegemonii na ocalałe enklawy władzy biskupiej i miejskiej w Prusach i Inflantach; zabezpieczeniem Gdańska i Pomorza Gdańskiego przed odbiciem przez Polaków; oraz dążeniem do podporządkowania Litwy

i księstw ruskich. Równocześnie musiał toczyć boje propagandowe i sądowe w kurii rzymskiej oraz udowodniać chrześcijańskiemu światu, że Zakon wypełnia swoje rycerskie obowiązki, to jest gromi i nawraca pogan i schizmatyków. Wojna musiała trwać.

Krucjata: moralność i werbunek

Jedno pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Czy wojna jest legalnym środkiem krzewienia wiary? Uczni w Piśmie debatowali nad tą kwestią od pewnego czasu i wielu było skłonnych odpowiedzieć negatywnie. Należał do nich angielski franciszkanin i filozof Roger Bacon. W ukończonym w 1268 roku *Opus maius* argumentował, że jedyną metodą zdobywania dusz pogańskich jest nauczanie i że zakonnicy rycerze przeszkadzają w tym procesie „przez wojny, które ustawicznie wszczynają, dążąc do pełnej dominacji”. Szczególnie potępiał Krzyżaków: „Przed wielu laty oszukali Kościół subtelnymi wywodami”, a od owego czasu, jak twierdził, fałszywości tych argumentów dowiedli własnym postępowaniem. Utrzymywał (na podstawie astrologii):

Kiedy chrześcijanie dyskutują o czymś z poganami, takimi jak Prusowie i przyległe ludy, łącznie ich przekonąć mogą, że w błędzie tkwią (...) Poganie chętnie by przyjęli wiarę prawdziwą, gdyby Kościół zechciał zachować ich wolność i dał się majątkiem cieszyć w spokoju. Jednakowoż chrześcijańscy książęta, a osobliwie bracia Zakonu Niemieckiego, pragną w niewolnych ich

obrócić, o czym dominikanie i franciszkanie tudzież inni dobrzy ludzie w Rzeszy dobrze wiedzą.

W czasach II soboru lyońskiego (1274) kwestia moralności krucjat znalazła się pod ostrzałem z wielu stron. Humbert z Romans, były generał zakonu dominikanów, napisał do Grzegorza X w swoim *Opus tripartitum*, że wojnę z muzułmanami należy kontynuować.

Natomiast o bałwochwalcach, jacy wciąż są wśród nas na ziemiach północnych - na przykład o Prusach i im podobnych - należy powiedzieć, że jest jeszcze nadzieja, iż mogą się nawrócić jak wcześniej wielu ich sąsiadów: Polacy, Duńczycy, Sasi i Czesi, i wielu innych. Nie mają zwyczaju na nas napadać, a jeśli nawet zaatakują, to wiele nam zrobić nie mogą (...) Tak więc w zupełności wystarczy, gdy chrześcijanie w takich razach mężnie bronić się będą.

Takie argumenty miały w Rzymie swoją wagę, przesączały się też nad Bałtyk za pośrednictwem zakonów żebraczych i światłego duchowieństwa nie związanego z Zakonem Krzyżackim. Co można im było przeciwstawić?

Jedna z obiekcji pojawiła się w raporcie wysłanym papieżowi przez bardziej bezstronnego świadka, biskupa ołomunieckiego. Ani Litwini, ani Prusowie, wskazywał, nie są nieszkodliwi; wyrządzili wiele szkód Kościołowi polskiemu, a że tamtejsze świątynie „u drzwi naszych niemal leżą, więc gdy się ich ogień ima, to

i nasze interesy są równie zagrożone”. Książęta niemieccy byli zbyt między sobą zwaśnieni, aby brać się do obrony własnych rubieży, nie mówiąc już o Ziemi Świętej; gdyby nawet dali się namówić do wyprawy za morze, zostawiliby kraj swój narażony na niebezpieczeństwo. Był to ówczesny odpowiednik teorii kostek domina, dla żyjących w zasięgu litewskich zagonów atrakcyjniejszy i bardziej zrozumiały od rozważań Humberta z Romans o osłabionych i nieszkodliwych poganach. Według kontynuatora *Kroniki halicko-wołyńskiej* przed traktatem z 1305 roku „Litwini i Żmudzini wiele krzywd Polakom wyrządzili i takie ich oraz Mazurów tłumy w niewolę wywiedli, że na Litwie i Rusi można było Polaka za jedną grzywnę lub dziesięć litewskich groszy kupić. Litwini ich między sobą wymieniali za konie lub woły”. Krzyżacy mogliby niejedno dorzucić, mieli bowiem własną listę litewskich najazdów.

Kolejnym grzechem litewskich kunigasów był ich stosunek do misji chrześcijańskich. Bywało, że je tolerowali, a nawet im sprzyjali. W latach 1322–1324 brat i następca wielkiego księcia Witenesa, Gedymin, który dla sojuszu z Polską pozwolił na chrzest swej córki, kilkakrotnie podejmował próby nawiązania przyjaźni z zachodnimi potęgami. Rozesłał do papieża, franciszkanów i miast hanzeatyckich listy z zaproszeniem i zapewnieniem ochrony dla misjonarzy, osadników, kupców, rzemieślników i rycerzy, aby przybywali na Litwę. Nazywał papieża swoim ojcem i wyrażał wielkie pragnienie pokoju z Kościołem. Równocześnie jednak

pozostawał głuchy na wszelkie argumenty przemawiające za przyjęciem nowej religii i kiedy w końcu emisariusze papiescy w listopadzie 1324 roku oficjalnie poprosili go o przyłączenie się do Kościoła, odpowiedział tylko: „Niechże mnie diabeł ochrzci!” W styczniu następnego roku dwaj cysterscy opaci donieśli, że od tamtej pory Gedymin uśmiercił lub uwięził ponad osiem tysięcy chrześcijan zamieszkujących w jego kraju lub w pasie przygranicznym - i to w czasie, gdy akurat pozostawał na pokojowej stopie z Krzyżakami. Świeżej daty zbliżenie Gedymina z chrześcijaństwem było zwykłym oszustwem albo raczej rozsądnym manewrem dyplomatycznym. Ów epizod nie dowodzi oczywiście, że wojna była lepszą od misji metodą nawracania, wskazuje jednak, że żadna z nich nie robiła większego wrażenia na inteligentnym i potężnym pogańskim władcy.

Z punktu widzenia Krzyżaków najsilniejszym argumentem przeciwko pokojowemu podejściu do kwestii nawracania było ich własne archiwum. Ich zakon powstał i prosperował, ponieważ bulle papieskie upoważniły go do walki z pogaństwem i rządzenia nawróconymi oraz dlatego, że uczeni w Piśmie przeczesali całą Biblię i dzieła Ojców Kościoła w poszukiwaniu usprawiedliwienia krzyżackich poczynań. Cokolwiek im zarzucano, po ich stronie były tradycja i status quo. Święty Bernard usankcjonował zakonne rycerstwo, Grzegorz IX zatwierdził jego zadanie w Prusach, a znany kanonista Henryk de Segusio, kardynał Ostii, dowodził, że pogaanie nie mają prawa do wolności i nie-

zawisłości - takich zaś luminarzy nie sposób było lekceważyć. Nie bez znaczenia była też reguła i inne przepisy Zakonu tudzież przelana już dla sprawy krew i poniesione koszty. Na zarzut, że uciskając poddanych i wykorzystując sprzymierzeńców, Krzyżacy przekroczyli swoje udokumentowane prawa i obowiązki, odpowiedź była gotowa: jest wojna i trzeba ją wygrać, a taki cel uświęca wszelkie środki - w tym wymuszanie dyscypliny (czy nawet nadmiernych obciążeń fiskalno-służebnych) od całej chrześcijańskiej społeczności. Od roku 1299 bracia inflancy robili wszystko, aby skończyć z podziałem władzy w prowincji i odsunąć groźbę kolejnej wojny domowej - oczywiście przez narzucenie swej hegemonii. Była w tym swoista logika: skoro już pozwolono Zakonowi na przekształcenie się w maszynę wojenną, to wielcy mistrzowie poczytywali za swój obowiązek utrzymywać ją w maksymalnej sprawności - co najmniej takiej, z jaką robił to wielki książę litewski; on zaś bynajmniej nie kierował się w tym dziele zasadą braterstwa i miłości bliźniego...

O ewidentnych wadach tego rodzaju argumentacji nie warto nawet wspominać; jest ona jednak godna przytoczenia, ponieważ reprezentuje ówczesne przekonania i wyjaśnia motywy ludzkiego działania. Linia obrony Krzyżaków nie była mocna, ale zadowalała wielu krzyżowców, którzy przez cały XIV wiek ściągali do Prus.

Na pierwszy rzut oka może się wydać zaskakujące, że Zakonowi udawało się werbować więcej świeckich ochotników w tym stuleciu, kiedy już się umocnił

w Prusach i Inflantach, niż w poprzednim, kiedy od takiego wsparcia zależał jego byt. Po części można to tłumaczyć brakiem lepszych okazji: w XIV wieku doktryna wojen krzyżowych wciąż kwitła, podczas gdy wypraw do Ziemi Świętej organizowano mało. W każdym kościele stała skarbona na cele krucjat; w każdym królestwie pobierano specjalne podatki; księża regularnie przypominali z ambon o zaszczytnym obowiązku podejmowania krzyża; wciąż funkcjonował cały system dyspens, odpustów, listów żelaznych i specjalnych przywilejów należnych tym, którzy się z niego wywiązywali. Teraz, kiedy stało się oczywiste, że dawna metoda prowadzenia krucjat okazała się nieadekwatna, znacznie więcej na ten temat teoretyzowano i snuto wymyślniejsze plany; poza tym wskutek ciągłych wojen na terenie Francji i Rzeszy przybyło zawodowych żołnierzy, dla których każdy rozejm czy traktat pokojowy oznaczał konieczność szukania nowego zatrudnienia. Krzyżacy skrzętnie pilnowali, aby ten strumień wykwalifikowanych wojowników kierować do Prus: pielęgnowali w tym celu przyjazne stosunki z władcami i wodzami w wielu zakątkach Europy, a swoim zbrojnym „gościom” oferowali wszystkie przywileje krzyżowców.

Wielu ówczesnych władców, poczynając od samych cesarzy, kupowało sobie wówczas zasługi krzyżowe za donacje. Czyniła tak większość europejskich królów, w tym angielscy monarchowie Edward I i Edward III. Wszyscy chcieli, by ich uznawano za krzyżowców, choć żaden nie kwapił się do osobistego

udziału w krucjacie; dary dla jednego z walczących zakonów były dla koronowanych głów nader korzystnym wyjściem. Wystarczyło zresztą jakieś przyjazne posunięcie: w 1329 roku wszyscy książęta śląscy zostali przyjęci w szeregi krzyżackie jako współbracia w podzięcie za wrogość okazywaną królowi Polski. Tego rodzaju sprzymierzeńcy byli oczywiście mile widziani; wielu jednak było związanych z Zakonem niejako od urodzenia - czy to przez rodowe tradycje, czy z powodu bardziej prozaicznego, jak sąsiedztwo z ziemiami we władaniu Krzyżaków. Oczkiem w głowie każdego z kolei cesarza była Szwabia i górna Nadrenia; mocna pozycja Zakonu na tych ziemiach scementowała tę szczególną z nimi przyjaźń, zapoczątkowaną przez Henryka VI i Fryderyka II. Monarchowie czescy odziedziczyli sojusz z Krzyżakami po królu – krzyżowcu Przemysławie II Ottokarze, a żywą tego pamiątką był zakonny baliwat na terytorium Czech. Równie bliskie stosunki łączyły Zakon z innymi dynastami środkowej i wschodniej Europy, jak Jan Luksemburski (król Czech w latach 1310–1346) i jego syn, cesarz Karol IV (1347–1378). Wszyscy ci władcy korzystali z usług braci–rycerzy z klasztorów na ziemiach niemieckich, wielki mistrz zaś zatrudniał ich poddanych w Prusach.

Pierwszymi krzyżowcami przybyłymi do Malborka na początku XIV wieku - po trzydziestoletniej przerwie - byli rycerze z Nadrenii pod wodzą grafa Homberga. Ich włości położone były wokół własnego baliwatu wielkiego mistrza w Koblencji, ich pojawienie się w Prusach można więc przypisać lokalnym wpływom

Zakonu. Książęta reńscy wkrótce potem zaangażowali się w wojny Walezjuszy i Edwarda III oraz w przedsięwzięcia Jana Luksemburskiego; wraz z rozwojem tej sieci powiązań szerzyła się moda na udział w krzyżackich podbojach. Czesi dotarli do Prus w 1323 roku, Alzacy rok później, Anglicy i Walonowie w 1329 roku, Francuzi i Austriacy w 1336, Bawarczycy i Flamanowie w 1337, Węgrzy i Burgundczycy w 1344 roku, a w drugiej połowie stulecia przyszła kolej na rycerzy z Italii, Szkocji i Langwedocji.

Wśród krzyżowców prym dźwiał król czeski Jan Luksemburski, który trzykrotnie wyprawiał się do Prus i pociągnął za sobą wielu pomniejszych książąt. W latach 1328–1329 chodziło mu głównie o własny interes - wspierając Krzyżaków przeciwko królowi Władysławowi Łokietkowi, umacniał swoje roszczenia do tronu polskiego - najprawdopodobniej jednak szczerze wierzył w sprawę Zakonu. Jak to ujął w preambule jednego z dokumentów:

Ich chwalebny stan i niezapomniana świętość życia i modlitwy są nam miłe; znoszą niewypowiedziane trudy i kosztów nie szczędzą dla szerzenia prawdziwej wiary, której jak mur niepokonany bronią przed Litwinami i ich współnikami, kimkolwiek oni są - uprzykrzeni wrogowie Chrystusa! - co sami widzieliśmy; dzień w dzień nieustraszenie wystawiają się na niebezpieczeństwo i śmierci w oczy zagląдают, zewsząd otoczeni, rozdzieleni, ustawicznie nękan i bezlitośnie mordowani!

Tak właśnie bracia–rycerze z Malborka pragnęli być postrzegani; publiczne potwierdzenie tego wizerunku przez osobę takiego kalibru było dla nich manną z nieba. Król Jan Luksemburski w 1328 roku zabrał na wyprawę francuskiego poetę Guillaume’a de Machaut; jego wzmianki o podboju i nawracaniu litewskich *mescreans* (niewiernych) dawały Krzyżakom rozgłos, jakiego potrzebowali, i szansę na dotarcie do szerokiej publiczności. W 1341 roku umierający wielki mistrz Dytryk von Altenburg oddał Zakon pod protekcję Jana Luksemburskiego; odrzucony przez własnych poddanych król był już wprawdzie bliski ślepoty i znacznie zubożały, ale jego rycerska sława wciąż była tak żywa, że tego rodzaju powiązanie musiało zachęcić podobnych mu entuzjastów do udziału w pruskiej krucjacie.

Jednym z nich był książę Henryk Lancaster, kuzyn Edwarda III, który wyruszył do Prus, korzystając z rozejmu z Francją. Źle trafił, bo w wybranym przezeń 1352 roku nie było krzyżackiej *sommer–reysa* (letniej ekspedycji wojennej) i książę wycofał się ze ślubów krzyżowca po dotarciu do Szczecina. Jego wnuk, hrabia Northampton, późniejszy król Henryk IV, szedł w ślady dziadka dwukrotnie, w 1390 i 1392 roku. Szczegółowy rachunek jego wydatków związanych z wyprawami uzmysławia nam, jak ogromne sumy oszczędzał Zakon dzięki służbie wojskowej takich wielmożów. Od sierpnia 1390 do kwietnia 1391 roku Henryk utrzymywał poczet złożony z trzynastu rycerzy, osiemnastu giermków, trzech heroldów, dziesięciu inżynierów i kopaczy,

sześciu minstrelów i sześćdziesięciu szeregowych żołnierzy; w sumie ponad sto osób, ponadto prawdopodobnie do pięćdziesięciu ochotników. Kosztowało go to cztery tysiące trzysta sześćdziesiąt funtów, czyli trzynaście tysięcy marek pruskich - więcej, niż Krzyżacy mieli później zapłacić za całą Gotlandię. Z tej kwoty pięćset sześćdziesiąt cztery funty poszły na żołąd, a kolejne czterysta na podarki. Rok później w sześć tygodni earl wydał dwieście trzydzieści dziewięć funtów. Sam również otrzymywał dary i był gościnnie podejmowany, ale te przychody stanowiły zaledwie ułamek wydatków, których nie szczędził, aby uhonorować ojca, Jana z Gaunt, i kuzyna, króla Ryszarda II Plantageneta. Srebrną zastawę i inne utensylia kuchenne zamówił na miejscu (na sumę siedemdziesięciu pięciu funtów), do tego najmował łodzie i tabor do przewozu ekwipunku i zapasów. Ojciec musiał go co prawda wesprzeć finansowo, ale dobra Lancasterów mogły udźwignąć podobny ciężar.

Ten system miał jednak złą stronę: bywało, że książęta próbowali wykorzystać związki z Krzyżakami dla własnych politycznych interesów albo domagali się prawa do decydowania o przebiegu działań wojennych. To pierwsze nie stanowiło poważnego problemu, rzecz była bowiem do pertraktacji, drugie jednak nie było zakonnej kapitule w smak: feudała, który przyprowadził ze sobą pięciuset rycerzy, jak margrabia miśnieński w 1391 roku, nie można było zbyć byle czym, kiedy zaczynał forsować swoją wizję tego, co marszałek krzyżacki powinien robić - tymczasem warunki wojen

na Litwie nie pozostawiały miejsca na najmniejszy fałszywy krok. Jeśli akurat było zbyt mokro lub zimno, kampania nie mogła się rozpocząć, choćby i tuzin niecierpliwych monarchów nerwowo przemierzało malborskie krużganki. Zawsze jednak któryś gotów był próbować szczęścia, czy raczej kusić los. Kronikarz Zakonu Wigand z Marburga opisuje, jak w 1378 roku wielki mistrz Winrych von Kniprode zorganizował *winter-reysa* (kampanię zimową) „na cześć” księcia lotaryńskiego, który zjechał do Malborka z siedemdziesięcioma rycerzami. Ta wyprawa zakończyła się znaczącym sukcesem, ale gdy nieco później zjawili się książę austriacki i hrabia klivijski, von Kniprode czuł się w obowiązku i dla nich urządził specjalny wypad, choć był już początek grudnia. Skończyło się na czymś w rodzaju tygodniowego rajdu, aby dać dostojnym gościom szansę wypełnienia ślubów jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Było z tym zawsze sporo zachodu, ale Krzyżakom stokrotnie się opłacało spełniać takie kaprysy wielkich tego świata.

Oprócz królów, książąt i grafów Zakon potrzebował w Prusach również zwykłych rycerzy. W tej kwestii pomagał mu przykład, jaki dawali wielmoże, ale przede wszystkim korzystał z bezpośrednich powiązań rodzinnych w regionach, gdzie miał swoje baliwaty. W dorzeczu górnej Łaby - w Turyngii, Miśni i Vogtlandzie dotyczyło to niemal całej warstwy rycerskiej. Z tej grupy wywodziło się dziewięciu wielkich mistrzów i niezliczeni bracia zakonni; do malborskiego skarbcza zaś płynęły stamtąd nieprzerwanym strumieniem datki pie-

niężne. Jeżeli rycerze z ziem sąsiadujących z krzyżackimi mieli ochotę dawać jałmużnę czy spełniać miłosierne uczynki dla ciała, taką szansę dawały im prowadzone przez Zakon trzy szpitale; kiedy musieli zapewnić honorowy byt młodszemu synowi, mogli liczyć na ich przyjęcie w poczet braci-rycerzy w lokalnym klasztorze. Każdemu, kto zamierzał opuścić strony rodzinne, wielki mistrz mógł zaoferować dobra w Prusach: najmożniejsi świeccy wasale Zakonu, ród von Stange, który w 1285 roku własnym sumptem wybudował twierdzę Stangenburg niedaleko Dzierzgonia, pochodził z Prus. Nade wszystko zaś Krzyżacy stwarzali wszystkim chętnym łatwą okazję do udziału w krucjacie. W tak złożonej sieci powiązań krzyżacki baliwat stawał się gąbką chłonącą wszystko, co lokalne rycerstwo miało do zaoferowania. Nie inaczej działo się u zbiegu Renu i Menu: powiaty Nassau, Falkenstein i Katzenellenbogen były tak poprzetykane komturiami, że cała miejscowa społeczność automatycznie powierzała swoje sprawy duchowe Zakonowi. W innych rejonach, jak Bryzgowia, Śląsk czy północna Szwajcaria, podobną rolę pełnili joannicy, a w Brunszwiku i Halberstadt do 1309 roku z Krzyżakami współzawodniczyli templariusze; jednakże wszędzie tam, gdzie Zakon był dobrze usadowiony, miał przewagę nad konkurentami przez to, że zapewniał tak różnorodne metody odkupienia grzechów.

W rekrutacji pospółstwa Krzyżacy polegali głównie na bogatszym rycerstwie, które stać było na opłacanie własnych pocztów, ale nie bez znaczenia była po-

wszeczną dostępność ślubów krzyżowych jako środka zadośćuczynienia za winy. Posłużę się tu przykładem z wcześniejszych lat. W 1252 roku hrabia Holsztynu złupił miasto Szlezwik, a część jego wojów splądrowała kościół. W skandynawskich wojnach nie było to niczym niezwykłym; kiedy jednak jeden z nich zmarł bez widocznej przyczyny, jego druh kusznik zaczął odczuwać wyrzuty sumienia. Udał się do biskupa i ślubował, że wyjedzie do Prus na krucjatę i nigdy już nie wystrzeli do chrześcijanina. Takie przypiływy skruchy musiały być motywacją dla wielu uczestników krzyżackich rejsz; przybywali do Prus, ponieważ taka właśnie wojna była im potrzebna dla spłacenia długu wobec Boga, a tam było po prostu najbliżej.

Dla innych była to forma zastępcza. Mieszczanin Lutbert z Roztoku zapisał synowi Jordanowi w testamencie majątek i połowę udziału w statku; jeżeli potomek chciał dostać całość, musiał odbyć wyprawę do Prus lub Inflant i w ten sposób uzyskać dla ojca odpust za grzechy. Jeżeli zaś uchyliłby się od tego zadania, musiałby sprzedać swój udział i za otrzymane pieniądze opłacić kogoś, kto by pojechał za niego. Plebejskich pokutników zachęcano do wstępowania bezpośrednio do jednostek dowodzonych przez braci-rycerzy. Pierwszy regulamin takiej służby, oparty na praktyce stosowanej przez templariuszy wobec pomocniczych oddziałów tureckich, wydano w 1292 roku. Takich żołnierzy zwano po niemiecku knechtami; mogli się zaciągać za żołd lub *in caritate* - w obu wypadkach podlegali takiej samej ścisłej dyscyplinie jak

Krzyżacy, żyli w klasztorach z dala od żon i za każde złamanie zasad musieli ponieść karę. Przyjmowani do oddziału musieli złożyć przysięgę lojalności i posłuszeństwa; nie mogli oddalać się poza mury bez pozwolenia ani odwiedzać gospód, a przede wszystkim obowiązywał ich zakaz przelewania krwi bez rozkazu dowódcy. Ochotnicy *in caritate* strzygli włosy i brody do długości obowiązującej zakonnych rycerzy; za służbę otrzymywali honorarium w wysokości dwóch szylingów za pierwszy rok, zwiększone do czterech przy przedłużeniu zaciągu.

Takimi sposobami Zakon Niemiecki mógł werbować krzyżowców także z uboższych warstw społeczeństwa, nie tracąc przy tym sprawności bojowej. Jeżeli knechci – ochotnicy nie byli w danej chwili potrzebni na wojnie, można ich było zatrudniać w zamku, co także zapewniało im identyczne zasługi duchowe jak na krucjacie. Podczas przemarszów szli w straży przedniej lub osłaniali skrzydła oddziału, w bitwie zaś formowali pierścień wokół taboru pod sztandarem marszałka, zostawiając szarże braciom zakonnym. Podobnie jak półbracia, którzy wykonywali prace fizyczne, knechci nie byli w pełnym tego słowa znaczeniu zakonnikami, ale stanowili niezbędny składnik krzyżackiej maszyny wojennej.

Prusy dawały więc okazję do służby wojskowej krzyżowcom wszystkich stanów. Powody, dla których się tam udawali, były różne; twierdzenie, że wszyscy byli żarliwymi wojownikami chrześcijaństwa gotowymi oddać życie za boskie przebaczenie, byłoby bez-

podstawne. Kiedy kronikarz Jean Froissart podkreślał, że „ludzie oręza nie mogą żyć z miłosierdzia i myślą o nim tylko w obliczu śmierci”, dobrze wiedział, o czym mówi. Wielcy mistrzowie nieraz stosowali zachętę do podejmowania krzyża w postaci oferty żołdu. Jak się jednak wydaje, nikt się na wojnie z Litwą majątku nie dorobił, a większość krzyżowców więcej w nią zainwestowała niż zyskała. Pomysł czterdziestu angielskich rycerzy, którzy w 1349 roku postanowili zbudować na litewskiej granicy fort i kaplicę, aby przyciągać nawróconych i odpierać pogan, może nie należał do szczególnie fortunnych, trudno im jednak zarzucić cynizm i chciwość. Wrogo nastawiony czternastowieczny poeta karyncki Heinrich der Teichner potępiał *Preussenvart* (wojnę pruską) jako marnotrawstwo środków, które można by lepiej wykorzystać w kraju.

Wojna i polityka (1304–1409)

Dzięki pomocy krzyżowców Zakon Niemiecki zaczął robić postępy. Przybyły w 1304 roku kontyngent wziął udział w zimowej rejsie na początku następnego roku. Pociągnęli nad Niemen, spustoszyli tereny wokół Grodna i stanęli obozem pod nową twierdzą Gedymina, od świtu do południa prowokacyjnie podnosząc swój sztandar, pod którym komtur Brandenburga ceremonialnie przyjął do Zakonu hrabiego Hombergu i innych krzyżowców. Rok później zburzyli miasto przyległe do twierdzy, jej samej jednak zdobyć szturmem nie zdołali mimo zaangażowania sporych sił (stu braci–rycerzy i sześć tysięcy knechtów). W 1307 roku zjawiono się

więcej krzyżowców pod komendą nowego wielkiego mistrza krajowego Prus Henryka von Plotzke i kampania trwała dalej; w następnych latach zmuszono do kapitulacji mieszkańców Karsowii i obrócono w gruzy trzy tamtejsze warownie. Litwini dokonywali odwetowych najazdów na Prusy w 1308 i 1311 roku, ale podczas ostatniego Witenes poniósł klęskę pod Wopławkami (nieopodal Kętrzyna) i napór na jego ziemie nadniemeńskie nie zelżał. Atakowano na całej długości granicy nieprzerwanie od 1313 do 1320 roku; jeden z krzyżackich wypadów zapuścił się na pięćdziesiąt kilometrów w głąb nieprzyjacielskiego terytorium, docierając do Soleczników - miejscowości leżącej tuż na południe od Wilna.

Wówczas Gedymin, który objął wielkoksiążęcy tron po śmierci brata w 1315 roku, zaczął się przygotowywać do morderczej ofensywy. W 1322 roku, zamiast stawić czoło kolejnej pruskiej *sommer-reysa*, wysłał wojska, by spustoszyły biskupstwo dorpackie, i wszczął pertraktacje z papieżem, królem polskim i mieszczanami z Rygi - wówczas z różnych powodów skłóconymi z Zakonem. Pierwsze tygodnie stycznia 1323 roku były wyjątkowo mroźne i krzyżowcy nie mogli wyruszyć. Podczas gdy krewny Gedymina, książę pskowski Dawid zaatakował Estonię i związał siły krzyżackie z Inflant, sam wielki książę poprowadził trzon armii litewskiej do ujścia Niemna i nie niepokojony przez nieprzyjaciela zdobył Memel. W sierpniu obrócił w zgliszcza Sambie, we wrześniu ziemię dobrzyńską. To wystarczyło, by miesiąc później Zakon

wysłał do Wilna posłów z prośbą o rozejm. Historycy oceniają, że w ciągu tej półtorarocznej kampanii Litwini zabili lub wzięli do niewoli około dwudziestu tysięcy chrześcijan.

Krzyżacy zawiązali sojusz z Nowogrodem, zaczęli budowę sześciu nowych zamków dla zabezpieczenia pruskiego interioru i po przybyciu świeżych sił krzyżowców wznowili działania wojenne w pasie granicznym. Nowy wielki mistrz Werner von Orseln uwięził posła Gedymina i nakłonił Jana XXII do wydania datowanej na 20 czerwca 1325 roku bulli krzyżowej zapewniającej odpust zupełny każdemu, kto będzie walczył z Rusami, Tatarami i poganami przez następne trzy lata. W odpowiedzi litewski władca we współdziałaniu z królem polskim Władysławem Łokietkiem najechał sprzymierzone z Zakonem Brandenburgię i księstwo mazowieckie, a w 1329 roku na wezwanie ryżan ruszył im z pomocą przeciwko braciom inflanckim. W rezultacie Litwini odnieśli znaczący sukces na północy. Lecz podczas gdy wielki książę zajęty był grabieniem kraju, inflancki mistrz krajowy Eberhard von Monheim obiegł Rygę, która następnego roku padła, wielki mistrz von Orseln zaś poprowadził silną armię krzyżowców na letnią reję przeciwko Polsce. Zająwszy Rygę, Krzyżacy mogli odeprzeć Gedymina i przypuścić kontratak od północy; na południu sędziwy król Władysław Łokietek nie potrafił ich powstrzymać. Dzięki temu mogli kontynuować wojnę podjazdową na litewskim pograniczu i budować kolejne zamki, nie obawiając się silniejszego natarcia nieprzyjaciela.

W 1338 roku zdołali nawet zmusić Gedymina do podpisania rozejmu z zakonem inflanckim.

Pod koniec tej fazy wojny obie strony znów zaczęły się szykować do walnej rozprawy. Gedymin zmarł, a jego wnuk Andrzej Olgierdowie został księciem Pskowa, Inflanty znów więc stanęły w obliczu zagrożenia na całym pograniczu. Cesarz Ludwik IV Bawarski upoważnił wielkiego mistrza do podboju całej wschodniej Europy; Krzyżacy rozpoczęli budowę trzech dróg w głąb Litwy, wezwali więcej krzyżowców z Zachodu i uzyskali wsparcie syna króla czeskiego, margrabiego morawskiego Karola. W 1342 roku Olgierd najechał Inflanty, wdzierając się na terytorium krzyżackie wzdłuż Dźwiny aż po Üxküll, gdzie zatrzymała go i odparła kontrofensywa połączonych sił inflanckich i pruskich; następnego roku jednak miejscowe chłopstwo podniosło bunt przeciwko swym panom, wasalom króla duńskiego, i mistrz krajowy Burchard von Dreileben musiał wysłać im w sukurs sześciuset trzydziestu rycerzy zakonnych z Prus. Wojna domowa między synami Gedymina nie pozwoliła Litwie wykorzystać tej sposobności od razu, ale gdy tylko Olgierd z bratem Kiejstutem opanowali Wilno (1345), ruszyli do natarcia. Tym razem wielki mistrz Ludolf König von Wattzau nie mógł zapobiec ponownemu spustoszeniu Sambii i oszalał z żalu, kiedy krzyżowcy obarczyli go winą za klęskę - najeźdźcy bowiem skierowali się potem na północ, przekroczyli Dźwinę nieopodal Rygi i złupili środkowe Inflanty, uwożąc do Litwy sześciuset jeńców. W 1346 roku Litwini ponownie zaatakowali

Sambię, odczekawszy na odejście silnego obronnego patrolu wielkiego mistrza Henryka Dusemera, a rok później dwukrotnie wdzierali się do Prus (pod wodzą Kiejstuta i jego brata Narymonta), docierając na południu do Barcji. Do tego czasu liczba uprowadzonych na Litwę jeńców sięgnęła kilku tysięcy, a granica była pozbawiona obrony; gdyby ataki były kontynuowane, Krzyżacy być może musieliby skapitulować.

Uratowały ich jednak pełen zwycięstw *annus mirabilis*, cudowny rok 1348, i „czarna śmierć”. Sukcesy militarne zawdzięczali przewencyjnym natarciom w głąb Litwy; krzyżowcy przybyli wtedy z Francji i Anglii i marszałek von Kniprode mógł poprowadzić druzgocącą zimową ekspedycję, w której pokonał ścigające ich siły rusko – litewskie nad zamarzną rzeką Strawen po wschodniej stronie Niemna. W tym samym czasie mistrz inflancki Goswin von Herike spustoszył północną część Żmudzi wokół Szawli i umocnił własną linię obrony na południe od Dźwiny. Letnia wyprawa Dusemera sprowadziła tysiąc pięciuset ochrzczonych jeńców z Wielunia nad Niemnem, aby osiedlić ich w Prusach, za co Litwini zdołali wziąć odwet dopiero w 1352 roku. Wtedy obie strony były już osłabione przez epidemię i wielkiemu księciu nie udało się już dobrze wykorzystać zwycięskich najazdów z lat 1345–1347. Olgierd i Kiejstut wciąż nie rezygnowali z planów podbicia ziem Zakonu, ale Krzyżacy pod nowym wielkim mistrzem Winrychem von Kniprode byli dobrze przygotowani do obrony.

Kniprode poświęcił trzydzieści jeden lat na tym stanowisku na umocnienie granicznych i wewnętrznych komturii nowymi i przebudowanymi fortecami, werbunek coraz większej liczby krzyżowców zwłaszcza z zachodniej Europy i utrzymywanie ciągłego naporu na Litwę. Dokonane przezeń poważne inwestycje budowlane i wydatki o charakterze rozrywkowym opisywane są jako symptomatyczne dla toczącej Zakon korupcji, a jego samego potępia się za obrócenie krucjaty w rodzaj okrutnego turnieju rycerskiego. Wielki mistrz był jednak realistą; wcielał tylko w czyn lekcje wyuczone podczas pełnienia funkcji marszałka i wielkiego komtura Prus w latach czterdziestych. Prowadził wojnę wyniszczającą, w której miał dwa atuty: dysponował bardziej zaawansowaną techniką oblężniczą i budowlaną oraz rezerwą sił ludzkich, za które nie musiał płacić ani marki. Jego przeciwnik miał jednak przewagę liczebną rozłożoną na ogromnym obszarze i był zdolny wyrządzić Zakonowi proporcjonalnie do tego większe szkody - pod warunkiem że jego armie przedarłyby się przez dzielące oba państwa puszcze. Zdarzało się to nierzadko w przeszłości i trafiło się znowu w zaraniu rządów von Kniprodego jako wielkiego mistrza: w latach 1352–1354 Litwini dotarli nad Zalew Wiślany i splądrowali Warmię, zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od Malborka, a w 1356 roku zniszczyli siedemnaście osad wokół Olsztyna. Z tego właśnie powodu drogi dostępu w głąb kraju musiały zostać zablokowane, a brzegi Niemna oczyszczone z litewskich warowni aż po ujście Wilii; Pojezierze Mazurskie należało upstrzyć

zamkami wszędzie tam, gdzie wróg mógłby się przedrzeć przez labirynt jezior. Ta strategia pozostawiała szeroki na sto kilkadziesiąt kilometrów pas ziemi niczyjej między fortecami litewskimi nad górnym Niemnem a chronionymi regionami Prus. Przez moczary i lasy wypełniające ten obszar nie mogła się przedrzeć żadna większa siła, dzięki czemu Zakon mógł skoncentrować środki i energię na dolnym biegu Niemna i dokonywać na północy wypadów na Żmudź, na wschodzie na rdzenne ziemie Litwy (Auksztotę). Celem tych ataków było jak największe poszerzenie ziemi niczyjej przez wyludnienie lub chociaż spustoszenie kolejnych połaci kraju i utrzymywanie sił litewskich w szachu na ich własnym terytorium.

Winrych von Kniprode odnosił znaczące sukcesy w osłabianiu nieprzyjaciela również na niwie dyplomatycznej. Przymierze polsko – litewskie oraz trwała niezawisłość arcybiskupa ryskiego i jego sufraganów kosztowały już Zakon sporo w przeszłości, trzeba było więc się zabezpieczyć i od tej strony. Król polski Kazimierz Wielki zawarł z Litwą pokój w 1356 roku, a siedem lat wcześniej papież przyznał arcybiskupowi Rygi prawo własności całego miasta oprócz zamku. Wielki mistrz zdołał jednak zapobiec aktywnemu współdziałaniu Polaków i Litwinów, głównie przez utrzymywanie sojuszków z książętami polskimi, niechętnym okiem patrzącymi na wzrastającą potęgę króla Kazimierza; w 1366 roku doprowadził do ugody między arcybiskupem ryskim a braćmi inflanckimi (pokój

gdański, na mocy którego Krzyżacy otrzymali prawo egzekwowania służby wojskowej od mieszczan).

Władcy litewscy nie zasypiali gruszek w popiele i też próbowali von Kniprodego wymanewrować. W 1358 roku Kiejstut wysłał poselstwo do cesarza Karola IV Luksemburskiego, proponując, że przyjmie chrzest, jeżeli Krzyżacy zwrócą wszystkie ziemie odebrane jemu i jego braciom; cesarz był jednak zbyt mocno związany z Zakonem, aby potraktować tę ofertę poważnie. Niezgoda w łonie litewskiej dynastii dała wielkiemu mistrzowi sposobność skutecznego przeciwdziałania. W 1365 roku przeciągnął na swoją stronę syna Kiejstuta, który został z wielką pompą ochrzczony w Malborku, a od 1380 roku wszedł w sojusz z Jagiełłą, synem zmarłego trzy lata wcześniej Olgierda, i wspólnie z nim walczył przeciwko Kiejstutowi. Zawsze był gotów układać się z nieprzyjaciółmi, jeśli tylko upatrywał w tym korzyści - jak w 1372 roku, kiedy dogadał się z Olgierdem i Kiejstutem co do wymiany jeńców, a siedem lat później zawarł z tym ostatnim dziesięcioletni rozejm. Dobrze znał tego starego poganina, z którym walczył od trzech dziesięcioleci, a nawet przez osiem miesięcy więził go w Malborku (1361). Targowanie się z wrogami Chrystusa było stąpaniem po cienkim lodzie, jako że teoretycznie święta wojna nie miała końca, dawała się jednak usprawiedliwić jako jedyny sposób na zwycięstwo; w każdym razie von Kniprode nie mógł się wyrzec broni, jaką tak sprawnie posługiwała się strona przeciwna.

Powodzenie Winrycha von Kniprode jako wielkiego mistrza uczyniło jego kadencję złotym wiekiem Zakonu Krzyżackiego i przyniosło istotne korzyści mistrzom krajowym z Inflant - von Herikemu, von Vietinghoffowi i von Freiersheimowi - ponieważ dzięki trwającej wojnie nad Niemnem ich przeciwnik miał częściowo związane ręce. W tej sytuacji mogli zabezpieczyć swe południowo-wschodnie rubieże nowymi fortecami i zapuszczać zagony daleko w głąb Żmudzi, nierzadko we współdziałaniu z braćmi pruskimi. W 1346 roku wielki mistrz Dusemer pożyczył im dziewiętnaście tysięcy marek potrzebnych na odkupienie Estonii od króla duńskiego; von Kniprode nie naciskał na zwrot tej kwoty - po 1376 roku zwolnił ich z wierzytelności po spłaceniu czwartej części pożyczki. Inflanckie ataki na Psków, Połock i Litwę były dlań więcej warte od brzęczącej monety.

Po 1356 roku Litwini tylko raz zdołali wdrzeć się do Inflant, za to prawie pod samą Rygę (1361); podobnie terytorium Prus tylko raz znalazło się w zagrożeniu najazdem wzdłuż Niemna. Kiejstut został wtedy zmuszony do wycofania się po krwawej bitwie pod Rudawą w Sambii, w której poległo dwudziestu sześciu rycerzy zakonnych, w tym marszałek Henning Schindekopf. W roku śmierci Winrycha von Kniprode (1382) Kiejstut rozpoczął swą ostatnią ofensywę i dotarł aż do Tapiawy (dzisiejszy Gwardiejsk), czterdzieści kilometrów na wschód od Królewca; tego samego lata jednak siły zakonne zajęły leżące tylko o dwadzieścia dwa kilometry od Wilna Troki, sama litewska stolica wpadła zaś

w ręce Jagiełły, wówczas już „prawie” ochrzczonego. Kiejstut poddał się bratankowi i w sierpniu zginął zamordowany. Niekończąca się krucjata litewska zdawała się zbliżać do finału.

Pod następcami von Kniprodego tę iluzję triumfu rozwiały dwa wydarzenia. Krzyżacy podczas kampanii zimowej w 1382 roku po raz pierwszy użyli bombard, rok później przekazanych w darze Jagielle podczas chwilowego pokoju. Tę ciężką w dosłownym sensie artylerię można było transportować na większe odległości wyłącznie drogą wodną, a to oznaczało, że w razie wojny przewagę miała strona zajmująca górny bieg rzeki; Litwini mogli przerzucić swoje bombardy pod krzyżackie zamki szybciej, niż ich przeciwnikom udawało się przewieźć działa pod prąd w głąb Litwy. W 1384 roku, kiedy Jagiełło i jego kuzyn Witold znów zaczęli wojować z Zakonem, wielki mistrz Konrad Zöllner von Rotenstein strawił sezon letni na wznoszeniu ceglanego zamku Neue Marienwerder pod Kownem. Kiedy odjechał do domu, Witold rzekł do Jagiełły: „Masz ziemię, masz ludzi... Sprowadź bombardy, a w mig zdobędziemy tę twierdzę”. Jagiełło się wahał w obawie przed krzyżackim kontratakiem, na co kuzyn przekonywał, że „na pewno nie dojdzie do tego przed upływem miesiąca, a my tymczasem weźmiemy, co chcemy”. Jak się okazało, Neue Marienwerder padło po sześciu tygodniach, mimo że krzyżacki garnizon dysponował własną bombardą i tak dobrymi puszkarzami, że zdołali rozbić przeciwwagę jednej z przestarzałych armat litewskich „niczym jajko”. Von Rotenstein nie

mógł nic na to poradzić. Następnego roku, gdy próbował się przeprawić przez Wilię, zaszedł mu drogę książę Skirgiełło (brat Jagiełły) „z nieprzeliczonymi bombardami”, który trzy lata później zdołał też odeprzeć oblężenie jednej ze swych fortec właśnie za pomocą tej nowej broni. Wielka, trwająca jedenaście tygodni letnia eskapada z 1390 roku, w której brał udział Henryk Bolingbroke (earl Derby), dotarła pod samo Wilno, krzyżowcy zdołali jednak zdobyć zaledwie jeden z zewnętrznych fortów miasta, podczas gdy w tym samym roku Jagiełło odbił Grodno, zanim ktokolwiek ruszył na odsiecz tamtejszemu garnizonowi.

Drugim brzemennym w skutki wydarzeniem było zerwanie przez Jagiełłę przymierza z Zakonem w 1382 roku (kiedy się zorientował, że von Rotenstein dąży do podziału Litwy między niego i Witolda) i jego wybór na tron polski w 1386 roku. Nie doprowadziło do powstania potęgi polsko – litewskiej, ponieważ władcy obu krajów prowadzili niezależną i często antagoniścyczną politykę przez co najmniej następne pół wieku, ale zaowocowało przyjęciem chrztu przez elitę Litwy. Oficjalne nawrócenie Jagiełły (który przyjął imię Władysław) odrodziło nadzieje Polaków na odzyskanie ziem utraconych na rzecz Krzyżaków i pozwoliło na wznowienie działań zaczepnych zawieszonych przez Kazimierza Wielkiego. W 1392 roku Witold doszedł do porozumienia z Jagiełłą, który pozwolił mu zatrzymać schedę po Kiejstucie, w tym Wilno. Teraz jeżeli Zakon chciał kontynuować krucjatę przeciwko Litwie, musiał wbrew faktom udawać, że nie ma do czynienia z pań-

stwem rządzonym przez ochrzczonego członka chrześcijańskiej społeczności, który głosi, że pracuje nad nawróceniem swego ludu.

W tym samym czasie raz jeszcze rozgorzał dawny zatarg z Rygą. Arcybiskup Jan IV opuścił miasto i udał się do Lubeki, by poprosić papieża i króla Zygmunta o ochronę. Krzyżacy zajęli jego zamki, na co Zygmunt zareagował przechwyceniem dóbr zakonnych na swoim terytorium; mistrz krajowy z Inflant został wezwany do kurii rzymskiej, aby odpowiedzieć na zarzuty arcybiskupa.

Pod rządami wielkich mistrzów Konrada von Wallenroda (1391–1393) i Konrada von Jungingena (1393–1407) Krzyżacy starali się skompensować tę nieprzychylną fortunę polityką ekspansji terytorialnej: skoro dawna granica nie spełniała już swojej roli, trzeba było odsunąć ją jak najdalej, posługując się żelazem bądź złotem. W latach 1390–1395 pozyskali nabytki opolskie i dobrzyńskie, stwarzając bufory na północnej i południowo–zachodniej granicy z Polską, a na przełomie XIV i XV wieku całą brandenburską Nową Marchię, otaczając w ten sposób Władysława Jagiełłę od zachodu. Kilkakrotne kampanie przeciwko Litwie z użyciem coraz większych sił, nie tylko krzyżowych, lecz i zaciężnych, przekonały Witolda, że warto zapłacić Zakonowi okup, aby uniknąć uzależnienia od kuzyna; w 1398 roku, podpisując traktat na wyspie Salin, zgodził się oddać Krzyżakom część Żmudzi w zamian za „wieczysty” pokój i połączyć puszczy na zachodnim brzegu dolnego Niemna.

Bojarzy żmudzcy nie byli stroną tego porozumienia, nie mówiąc już o tym, że wciąż tkwili w pogaństwie. Wojna z nimi trwała przez resztę kadencji Konrada von Jungingena, czasem przy wsparciu Witolda; ostatecznie poddali się w 1406 roku, a w następnym złożyli petycję o objęcie Żmudzi pruskim prawem miejskim - czego im jednak odmówiono. Jagiełłę udo-bruchano zwrotem Dobrzynia i przez trzy lata razem z Witoldem współdziałał z Zakonem przeciwko nowo wyrosłej potędze moskiewskiej. Brat Konrada von Jungingena, Ulryk, zastąpił go na stanowisku wielkiego mistrza w chwili, gdy już się wydawało, że z nieprzyjaciół Zakonu pozostali tylko ruscy schizmatycy.

Ani Polska, ani Litwa nie wyrzekły się jednak nadziei na odzyskanie utraconych ziem, a władcy obu krajów wiedzieli, że ceną krzyżackiej ekspansji z czasów Wallenroda i Jungingena jest niezadowolenie z rządów Zakonu w samych Prusach. Mieszczan i świeckich wasali irytowały nadmierne podatki na cele wojenne i obciążenia służbą wojskową, tym bardziej że od 1396 roku niełatwo było o krzyżowców - perspektywa walki z Turkami odciągnęła rycerzy z Francji, Anglii i Rzeszy z frontu litewskiego na krucjatę zwaną nikopolitańską. W 1409 roku na Żmudzi wybuchło powstanie poparte przez jej byłego księcia, a Ulryk von Jungingen w odwecie znów zajął ziemię dobrzyńską i zaczął nękać Mazowsze. Było to działanie zgodne z polityką wyłożoną w liście jego zmarłego brata do elektorów niemieckich z 1397 roku: każdego, kto udzieli pomocy poganom, Zakon będzie traktował jak

wroga¹¹². Czy jednak Żmudź była wciąż jeszcze pogańska? Jeżeli tak, to co Krzyżacy robili przez ostatnią dekadę? W sierpniu tego roku Jagiełło i Witold ogłosili manifest przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, w którym stwierdzili, że Żmudzini przyjęli z ich rąk chrzest i są już godnymi pochwały dziećmi Kościoła, podczas gdy rdzenni Prusowie do dzisiaj, po prawie dwóch wiekach krzyżackich rządów, są na poły poganami. Dowodzili, że zakonnicy nie są zainteresowani misją nawracania, tylko wzmacnianiem własnej potęgi kosztem sąsiadów - jeżeli Bóg ich nie powstrzyma, chcieliby podporządkować sobie wszystkich książąt tego świata.

Ta retoryka miała przygotować grunt dla połączonej polsko – litewskiej ofensywy, dostatecznie silnej, aby pokonać armię, jaką Malbork mógł jej przeciwstawić. Od tego momentu charakter konfliktu się zmienił - nie była to już walka Krzyżaków z pogaństwem oparta na strategii związanej z zaborem ziem chrześcijańskich państw ościennych, ale wojna wydana przez nie Zakonowi z zamiarem odebrania tego, co im zrabował, toczona równocześnie na dwóch frontach: militarnym i intelektualnym, łącznie z atakiem na samą koncepcję i funkcje zakonu rycerskiego.

Strategia i taktyka

Wojnę Krzyżaków z pogańską Litwą nazwałem wyniszczającą, ale to pojęcie nie oddaje dobrze sposobu jej prowadzenia. Ponieważ trwała ponad sto lat, w którym to czasie obie strony stale się bogaciły i rosły

w siłę, o żadnej z nich nie można powiedzieć, że osiągnęła cel, jaki zazwyczaj przyświeca tego rodzaju strategii. Między 1283 a 1406 rokiem do utarczek i bitew dochodziło niemal rokrocznie, walczący ponosili wielkie koszty i wysiłek, ludność ustawicznie dotykały zbrodnie i zniszczenia, obie maszyny wojenne były bowiem wystarczająco sprawne, by żadna ze stron nie utraciła swoich podstawowych zasobów.

Dla wyjaśnienia tego paradoksu musimy raz jeszcze przyjrzeć się geografii regionu. W tym okresie, jak wspomniałem w rozdziale 1., większość tych terenów porastały gęste lasy mieszane ciągnące się od bałtyckiego wybrzeża po Berezynę i od bagien Prypeci po źródła Dźwiny. Pośrodku tego obszaru, w górnym biegu Niemna, Dźwiny i nad Wilią Litwini i ich ruscy lennicy wykarczowali dość ziemi, aby mogły się na niej utrzymać spore populacje; pomiędzy nimi a zasiedlonymi strefami krzyżackich Prus i Inflant pozostawał jednak stukilkudziesięciokilometrowy pas nieprzebytej puszczy i bagien, kraina jezior poprzecinana niezliczonymi dopływami wielkich rzek, przedstawiająca problemy logistyczne, z jakimi średniowieczne armie nie bardzo potrafiły sobie radzić. Zachował się opis dróg prowadzących z Prus na Litwę (*Die Litauischen Wegeberichte*, sporządzony w latach 1348–1402), który obrazowo przedstawia te trudności. Jeżeli na przykład podróżny dostał się do Betygoły w pobliżu górnej Dubisy (źmudzkiego dopływu Niemna) i chciał jechać dalej na północ do odległej o trzydzieści pięć kilometrów (w linii prostej) Wendziagoły - dzisiaj to pięćdziesiąt sześć

kilometrów szosą - miał do dyspozycji następujący szlak: najpierw traktem przez *damerow* (pas zarośli); dalej przez gęsty las (*rumen*), gdzie trzeba było się przerąbywać przez gęstwinę; później na przełaj przez wrzosowiska do kolejnego lasu „szerokiego na strzele nie z kuszy, przez który także trzeba wycinać sobie drogę”; potem znów wrzosowisko i jeszcze jedno pasmo drzew (i pięć kilometrów przedzierania się przez matecznik). Tak było na skraju prawdziwie dzikiej puszczy, przez jaką wiodła droga z pruskich nizin nad górny Niemen. Jeden z takich szlaków, odkryty przez miejscowego zwiadowcę, opisany jest w liście skopionym do *Wegeberichte*, nadanym z Wystrucia (Insterburg - dzisiejszy Czerniachowsk) nad Pregołą. Zaczyna się on od słów:

Wielce szanowny Panie Marszałku,

Zważcie w swej mądrości, że Gedutte z towarzyszami z Bożą pomocą bezpiecznie powrócił, wypełniwszy wszystkie zadania, z jakimi Wasza Miłość nas posłał, i oznaczywszy drogę aż na cztery i pół mili po tej stronie Niemna, która rzekę przecina i prowadzi prosto w głąb kraju.

Podróżni przebyli sto kilkanaście kilometrów w linii prostej dziewięcioma etapami, stając na noc obozem. Byli to doświadczeni zwiadowcy i starali się wykonać zleconą misję jak najszybciej. Donieśli, że „na bezdrożach zastali liczne domostwa i wielu ludzi”, a ponieważ spis wymienia też trasy alternatywne, nale-

ży domniemywać, że w puszczy nie brakowało „sekretnych i dobrych” szlaków, znanych miejscowym ludom - ale żadnej drogi publicznej nadającej się do celów handlowych i militarnych. Rycerzy, którzy by zboczyli z takiego szlaku lub podróżowali w małych grupkach, czekała pewna śmierć jeśli nie z rąk tubylców, to z głodu. Całe oddziały błądziły, nie mogąc nawiązać kontaktu z nieprzyjacielem. Za dobry wynik uznawano przebycie w tych warunkach do dwudziestu kilometrów w jeden dzień; na dotarcie z Kowna do Wilna (niecałe dziewięćdziesiąt kilometrów) potrzeba było całego tygodnia; podróż z Merecza do Troków (siedemdziesiąt kilometrów) zajmowała cztery, a stamtąd do odległych o osiemdziesiąt trzy kilometry Trąb sześć dni. Towary w masowych ilościach, jak również materiały wojenne - zaopatrzenie, maszyny oblężnicze, konie, broń, posiłki, cegłę na zamki - można było przez te lasy przewozić tylko Niemnem i Dźwiną, ale i tam napotymano niemałe problemy. Dźwina w górnym biegu ma stosunkowo rwący nurt i wysokie brzegi, więc płynąca pod prąd armia nie ma łatwego zadania: tylko raz się zdarzyło, że Krzyżacy z Inflant dotarli tą drogą do Połocka. Południowe dopływy z terenów Litwy są krótkie i płytkie. Niemen płynie wyjątkowo spokojnie, ale tak meandruje, że jak mawiano w XV wieku, flisak mógł cały dzień płynąć jednym z zakoli, a wieczorem rozpaść ognisko za pomocą węgla przyniesionych z poprzedniego biwaku, odległego tylko o krótki spacer. Taka powolność żeglugi nie miała znaczenia, gdy chodziło o budowę zamku albo gdy nieprzyjaciel znajdował się tylko o kil-

ka mil, jak przed 1283 rokiem; stawała się jednak prawdziwą kulą u nogi, kiedy trzeba było prowadzić kampanię daleko w górze lub w dole rzeki, a warunki pogodowe sprawiały, że szybkość liczyła się jeszcze bardziej. I Prusowie, i Litwini trzymali na Niemnie różnego rodzaju łodzie i statki; także w celach wojennych. Dla Krzyżaków niezbędne były dla zaopatrywania zamków leżących powyżej Tylży, ale niepraktyczne, gdy trzeba było przerzucić duże siły inwazyjne do ujścia lub górnego biegu rzeki w czasie dogodnym dla letnich ekspedycji. Nieraz udawało się pójść na skróty, w sensie dosłownym i w przenośni; w 1376 roku na przykład komtur z Bałgi polecił zbudować sześćoosobowe łodzie już po dotarciu nad Niemen drogą lądową, a w 1393 roku ówczesny marszałek przewiózł swój tabor pływający wozami na odległość ponad pięćdziesięciu kilometrów. Podobne rozwiązania były jednak tylko sposobem na nieznaczne zaoszczędzenie czasu przy dwóch równie powolnych i niewygodnych metodach transportu. W sumie jedyną możliwością w miarę sprawnego przedostania się na tereny nieprzyjaciela były konne ekspedycje wykorzystujące doświadczonych przewodników - jeżeli w danej okolicy istniały jakieś „sekretne i dobre” szlaki; tam, gdzie takich dróg nie było, pozostawał tylko pieszy marsz.

Dodatkowe ograniczenia stwarzał klimat. Charakterystyczne dla tego regionu silne opady deszczu i śniegu praktycznie uniemożliwiały podróżowanie. W sezonie zimowym 1322–1323 roku mróz udaremnił krzyżacki najazd na Litwę: knechci umierali w marszu

z wychłodzenia. W lutym 1376 roku śnieg był tak głęboki, że oddział braci inflanckich podczas przemarszu musiał się posuwać pojedynczym rzędem; w marcu Litwinom padło z wyczerpania ponad tysiąc koni. W 1378 roku na przykład pokrywa śnieżna była tak gruba, że nikt nawet nie próbował się przez nią przedzierać. Jednak jeszcze gorsze były łagodne zimy: dopóki ziemia nie zamarzała - obecnie średnia roczna wynosi tam sto dwadzieścia dni z ujemnymi temperaturami - nie mogła utrzymać ciężaru ludzi i koni, nie było więc mowy o wojaczce. Od intensywnych jesiennych deszczów wzbierały rzeki, a twardy latem grunt zamieniał się w grzęzawisko. Kiedy zaczynały się roztopy i pękały lody (zazwyczaj w marcu lub kwietniu), komunikacja znów stawała się niemożliwa. Wrogie armie mogły się palić do boju, ale często pogoda nie dopuszczała do ich spotkania. Dlatego kiedy w 1394 roku burgundzki książę Filip II Śmiały pytał listownie wielkiego mistrza, czy w nadchodzącym sezonie planowana jest zimowa rejsa, Konrad von Jungingen musiał mu odpisać:

Nie możemy służyć pociechą ani dawać nadziei w takich kwestiach ani Waszej Książęcej Mości, ani żadnemu śmiertelnikowi, jako że nie da się przewidzieć przyszłych warunków, tym bardziej że nasze wyprawy muszą pokonywać wielkie rzeki i ogromne pustkowia niebezpiecznymi drogami; ich powodzenie często od boskiej woli zależy tudzież od pogody.

Poważniejsze działania wojenne w sprzyjających warunkach były możliwe praktycznie tylko przez dwa miesiące. Musiała to być „porządna” zima - nie tak mroźna, by człowiek nie mógł sobie ulżyć pod gołym niebem, ani nie tak śnieżna, żeby nie dało się jeździć konno, ale dostatecznie surowa, by przykryć moczary, utwardzić ziemię i skuć lodem rzeki. Trafiła się taka między innymi w 1376 roku: „Zima była ostra i trwała trzy miesiące, mieliśmy więc kilka dobrych *reysen*. Wyprawom sprzyjały też gorące lato i osuszające ziemię wiatry, dzięki którym można było optymalnie łączyć transport lądowy z wodnym. Taka pogoda mogła nadejść w każdej chwili między kwietniem a październikiem - jeśli w ogóle - i najczęściej kończyła się przed upływem miesiąca. W obu wypadkach nagła zmiana miewała katastrofalne skutki. Letnie powodzie lub odwilż zimą mogły wpędzić armię w beznadziejną pułapkę, jak w sierpniu 1332 roku, kiedy król Władysław Łokietek utknął między dwoma wezbranymi jeziorami na Mazowszu, czy w lutym 1348 roku, kiedy topniejący lód na Strawie odciął drogę ucieczki umykającym przed marszałkiem von Kniprodem Litwinom. „Wobec takiego ryzyka wszystkie operacje militarne na dużą skalę musiały być ograniczone do obszarów położonych wzdłuż Niemna i Dźwiny, gdzie istniały wypróbowane trasy odwrotu, chyba że chodziło o budowę zamku lub oblężenie nieprzyjacielskiej twierdzy. Przy organizowaniu ambitniejszych ekspedycji uważano za roztropne rozdzielić atakujące siły na kilka oddziałów, by zredukować prawdopodobieństwo katastrofy. Krzy-

żacy wpadli na ten pomysł już we wczesnej fazie wojny, nie mogli sobie bowiem pozwolić na nadmierne straty w ludziach.

Odmienne warunki sezonowe narzucały walczącym różne style prowadzenia kampanii. Zimowe rejzy musiały być szybkimi wypadami oddziałów liczących od dwustu do dwóch tysięcy jeźdźców, wiozących prowiant i paszę na końskich grzbietach; ich celem było ograbić, spustoszyć i wyludnić wybraną okolicę w jak najkrótszym czasie. Dotarwszy na terytorium nieprzyjaciela, rycerze stawiali proste chaty (*mata*) do magazynowania zapasów i przyszłych łupów, po czym rozdzieliwszy się na podjazdy, starali się zadać Litwinom możliwie największe straty, nie próbując zdobywać ani budować warowni i nie zagrzewając miejsca zbyt długo, aby nie dać im czasu na zmontowanie poważniejszego kontrataku. Po całodziennej wyprawie wracali do obozu, by z brzaskiem ruszać na następną. Dobra zimowa rejza musiała się pojawić bez ostrzeżenia i wycofać, zanim wróg zmobilizuje siły albo zmieni się pogoda. Herman von Wartberg opisał taką udaną eskapadę z 1378 roku: Inflantczycy wtargnęli na Litwę w lutym, spędzili tam dziewięć dni i wrócili ze zdobycznymi pięćset trzydziestoma sztukami bydła i siedemset dwudziestoma trzema końmi. Także bracia z Prus mieli w tym samym czasie *una bona reisa*, jak zanotował Wigand, z której przyprowadzili stu jeńców. Zazwyczaj organizowano dwie zimowe ekspedycje: pierwszą na początku grudnia, następną w styczniu lub w lutym, z przerwą na świętowanie Bożego Narodzenia, kiedy

zresztą najkrótsze, w roku siedmiogodzinne dni nie pozostawiały dość czasu na akcję. Tak w każdym razie postępowali Krzyżacy, którzy częściej atakowali zimą niż Litwini - być może dlatego, że startowali z baz położonych bliżej Bałtyku i nie tak zasypanych śniegiem jak ziemie w głębi lądu. Oczywiście zdarzały się również wielkie litewskie najazdy, zwłaszcza gdy zima była dla Krzyżaków za ostra na wojaczkę (jak w 1322 roku), a później za Kiejstuta w latach 1356, 1370 i 1382, ale najczęściej wielcy książęta wychodzili z założenia, że ich graniczne załogi mogą w defensywie zadać większe straty niemieckim zastępom, niż gdyby same podejmowały działania zaczepne. Jak później car Mikołaj I, woleli polegać na Generale Mrozie.

Letnie wyprawy z reguły organizowano na większą skalę; mistrzowie z Prus i Inflant mobilizowali wszystkie siły do pełnej ofensywy (*hervart*), przeciwko której władca litewski wyruszał w pole na czele *karias* (dużej armii) bojarów, kasztelanów i pospolitego ruszenia. Celem letnich ataków było zdobycie kontroli nad nowymi terenami przez zburzenie nieprzyjacielskiej fortecy albo zbudowanie własnej, nigdy się jednak nie obywało bez zwykłej grabieży, niszczenia i nękania ludności. Czasami główną wyprawę poprzedzały pomniejsze natarcia dla „zmiękczenia” przeciwnika i zubożenia okolicy wybranej warowni. Marszałek Zakonu, jak się wydaje, najpierw zbierał meldunki o stanie gotowości Litwinów i na tej podstawie planował kampanię; stąd w *Wegeberichte* znajdujemy informacje o miejscowościach do siedemdziesięciu kilometrów na wschód od Grodna

(jak Dubiliszki, Wasyliszki, Zołudek i Wołkowysk), leżących „trzydzieści sześć, czterdzieści pięć i pięćdziesiąt cztery mile od siebie, między którymi pełno jest gruntów ornych, a jak nam doniesiono, ziemie te nie zaznały jeszcze obecności zbrojnych oddziałów”. Kiedy w 1362 roku von Kniprode ruszał oblegać Kowno, korzystał z wyników zwiadu dokonanego rok wcześniej.

Latem tak samo jak zimą trzeba było pokonywać pustkowia i puszcze, więc uczestnicy letniej wyprawy także musieli wozić z sobą żywność; w 1365 roku na przykład wielki mistrz nakazał zabrać miesięczne racje dla każdego człowieka. Nie było tylko problemu z koźmi: trawy po drodze miały pod dostatkiem, a wyznaczone przez zwiadowców trasy prowadziły przez miejsca, gdzie łatwo było znaleźć „dobrą wodę i paszę”. Nawet jeśli wyprawa nie kończyła się zajęciem lub zburzeniem nieprzyjacielskiego fortu, zawsze można było liczyć na zdobycz: w 1376 roku Kiejstut powrócił z Pregoi z pięćdziesięcioma kłaczami i sześćdziesięcioma ogierami z hodowli wystruckiej oraz z dziewięciuset brańcami; dwa lata później komtur z Ragnety wywiózł ze Żmudzi czterdzieści wozów z łupami. W pogoni za zyskiem można się jednak było nieco zagalopować: we wrześniu 1314 roku marszałek pruski Henryk wdarł się aż pod leżący ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Grodna Nowogródek, pozostawiając prowiant i konie juczne w budowanych po drodze *maia*, a w podróży powrotnej czekała go niemiła niespodzianka: kasztelan grodzieński Da-

wid, krewny Gedymina, zagarnął je wszystkie i Krzyżacy zmuszeni byli jeść własne konie i szukać w lesie jadalnych roślin; wielu z nich zmarło z wycieńczenia, zanim niefortunna wyprawa dobrnęła z powrotem do Prus.

O wiele bezpieczniej było najeżdzać tereny przyległe do Niemna i Dźwiny, mając w zasięgu łodzie, zamki i mosty pontonowe, i tam też toczyła się większość walk. Obie strony starały się utrzymać (w wypadku Dźwiny) lub zająć, jak nad Niemnem, odcinek rzeki, który można by ufortyfikować i obsadzić załogą, aby służył za dogodny punkt wypadowy w głąb terytorium nieprzyjaciela, poza pas puszczy Oznaczało to jednak konieczność inwestowania coraz większych środków w ziemię o niewielkiej wartości, nienadające się do zasiedlenia ani użytkowania, dopóki trwała wojna. Najazdy na okolice żyzne i zagospodarowane, jeżeli były udane, zapewniały możliwość uzupełnienia zasobów materiałowych i siły roboczej, stale wyczerpywanych przez oblężenia i budowę fortec wzdłuż rzek i granic, ale przez większość XIV stulecia przyczyniało się to raczej do przedłużania konfliktu niż do jego rozstrzygnięcia. Dopiero kiedy Winrychowi von Kniprode udało się przejąć kontrolę nad biegiem Niemna aż po Kowno, Krzyżacy znaleźli się w znacznie korzystniejszej sytuacji i mogli rozpocząć nieustanną wojnę podjazdową w celu zagarnięcia i zabezpieczenia większych połaci terytorium Litwy - ale i wtedy ich przewagę do pewnego stopnia kompensowało wprowadzenie bombard. Cały ten proces trwał tak długo - dziewięćdziesiąt

trzy lata na przesunięcie się od Ragnety do odległego o sto dwadzieścia kilometrów Kowna - gdyż walczące armie więcej sił traciły na zmagania z terenem i przyrodą niż bezpośrednio na froncie, zarazem stale je regenerując dzięki dobrze się rozwijającej, bezpiecznej na dalekim zapleczu gospodarce swych krajów.

Trudno oszacować, w jakim stopniu destrukcyjne były wzajemne najazdy, ponieważ oceny czerpiemy od kronikarzy i ze źródeł spisanych przez ludzi zainteresowanych oczernianiem przeciwnika i podkreślaniem sukcesów swojej strony. Kiedy dziejopis Zakonu Wigan z Marburga podaje, że rejsa z 1364 roku (z udziałem krzyżowców angielskich) wpadła na nieprzygotowane do walki okolice i nieludzko je spustoszyła, można przyjąć, że chłopska populacja ucierpiała bardziej niż zwykle. Jednakże ludzie żyjący na ziemiach narażonych na ataki musieli dojść do mistrzostwa w ucieczce i ukrywaniu się, a z drugiej strony agresorowi zazwyczaj bardziej się opłacało brać ich do niewoli niż po prostu wyciąć w pień. Najczęstszymi ofiarami hurtowej masakry bywały garnizony wysuniętych zamków i warowni, ale odkąd król czeski Jan Luksemburski w 1329 roku wymógł darowanie życia sześciu tysiącom Żmudzinów, którzy poddali się w Mednikach (Wornie), takie masakry zdarzały się rzadziej. Krzyżacy nie prowadzili jednak statystyk mordowanych podczas rejsz kmieci, możemy więc tylko przypuszczać, że ta liczba była dostatecznie duża, aby odstraszyć potencjalnych nowych osadników i zbilansować niemałe przecież straty zadawane przez Litwinów. Według źródeł zakonnych

wielkie najazdy księcia grodzieńskiego Dawida z lat 1322–1323 kosztowały życie lub niewolę czterech tysięcy ludzi w Estonii, dziesięciu tysięcy na ziemi dobrzyńskiej (z których co najmniej osiem tysięcy zostało zabitych) i dwa tysiące na Mazowszu. Kiejstut podobno uprowadził dwa tysiące jeńców w 1352 roku, pięciuset w następnym, a w 1376 dziewięciuset - i nie są to dane niewiarygodne, choć z pewnością niedokładne. Jak się wydaje, losem pojmanego przez najeźdźców chłopca znacznie częściej niż śmierć była niewola; był dla nich cenniejszy żywy niż martwy. Nie zmienia to faktu, że Krzyżacy zawsze byli gotowi traktować rzeź jako środek wymuszania politycznej kapitulacji, co udowodnili najpierw podczas podboju Prus i ponownie w latach dziewięćdziesiątych XIV wieku w czasie wojny o Żmudź. Nierzadko się zdarzało, że jeńców mordowano już podczas marszu powrotnego: w 1311 roku komtur Gebhard von Mansfeld wyciął wszystkich pojmanych, kiedy groziło ich odbicie przez armię litewską, a w 1377 roku komtur z Bałgi kazał stracić dwustu więźniów, ponieważ ich przeprowadzenie do kraju było zbyt utrudnione wskutek nieoczekiwanej odwilży - w przeciwieństwie do zdobycznych stu koni i tysiąca sztuk bydła. Błędem byłoby twierdzenie, że ta wojna była bardziej niehumanitarna od toczonych w tym okresie we Francji i na Półwyspie Iberyjskim; ponieważ jednak nękanie i wysiedlanie ludności cywilnej było częścią przyjętej przez obie strony strategii, można się domyślać, że nad wschodnim Bałtykiem bezbronnych mieszkańców śmierć spotykała znacznie częściej.

Organizowane centralnie rejzy nie były jedyną formą działań wojennych. Przedsiębiorczy komturowie z pogranicza czy nawet miejscowi grasanci nieustannie dokonywali drobniejszych szybkich napadów na litewskie osady. Wigand z Marburga pisze o dowódcy załogi Insterburga z 1372 roku:

Wziąwszy setkę dobranych ludzi, pojechał w puszcze łupić i gnębić pogan. Stanęli na popas nad Szeszupą i posiliwszy się, przekroczyli Niemen. Tam, wpadłszy do czterech nieświadomych zagrożenia i do snu się układających wsi, ubili każdego, kto się im pod miecz nawinął, męża czy niewiastę, dzieci nawet nie szczędząc.

Od 1260 roku Krzyżacy pozwalali także niewielkim oddziałom rdzennych Prusów, nazywanych *latrun-culi* („łotrzykowie”) lub *strutere*, na własną rękę terroryzować tereny przyległe do granicznego pasa puszczy. Ponieważ byli oni przydatni podczas rejz jak przewodnicy i pomocnicy, ich brudna wojenka była tolerowana i z aprobatą odnotowywana. Mordowanie Litwinów zaskoczonych w łaźniach, podczas uczt czy w łózkach traktowano jak sport. *Strutere* znali wszystkie leśne ścieżki i najczęściej poruszali się pieszo na przełaj przez las, żadna osiadła społeczność nie była przed nimi bezpieczna.

W miarę upływu lat wojownicy obu stron zaczęli jednak zmieniać stosunek do przeciwnika. W teorii wciąż była to walka na śmierć i życie, i zawsze znajdowali się jacyś zagorzali bohaterowie gotowi wcielić

ją w czyn, broniąc się do ostatniego człowieka i odrzucając oferowane miłosierdzie. Taki był Mikołaj Winkaym, z pochodzenia Prus, który daremnie atakując bezpiecznego w swej zbroi Kiejstuta powtarzał: „Muszę wziąć odwet na poganach!”, oraz żołnierze, którzy w 1363 roku zabili wracającego do domu litewskiego wodza Gasztołda, choć wcześniej podał mu rękę sam marszałek Schindekopf. Nie tak jednak traktowali nieprzyjaciół rycerze z zachodniej Europy; im bardziej Zakon polegał na ich pomocy, tym częściej musiał akceptować respektowane przez nich zwyczaje wojenne. W połowie XIV wieku obie strony praktykowały już zwalnianie więźniów za okupem, a za czasów von Kni-prodego dochodziło do ceremonialnych rozmów na polu bitwy i rozejmów z wymianą jeńców; Zakon zaczął nawet z góry wypłacać pieniądze za wypuszczenie pojmanych krzyżowców, nawet jeśli wpadli w ręce zwykłych zbójów w drodze do Prus. Jeżeli jednak krzyżowcy lub najemnicy schwytali jakiegoś znacznie szerszego Litwina, zobowiązani byli odsprzedać go Krzyżakom za ustaloną stawkę: taryfa uzgodniona w porozumieniu z grafami Strammelem i Manteufflem przewidywała pięćset marek pruskich za członka rodu panującego, sto za księcia i pięćdziesiąt za możnowładcę - niewiele, jeśli wziąć pod uwagę, że z zakonnego skarbcza wypłacano obu tym „wolnym strzelcom” po pięć tysięcy czterysta marek za roczną służbę z własnymi pocztami; wielki mistrz nieźle mógł zarobić na otrzymanym za odkupionych jeńców okupie.

Takie konwencje chroniły możnych, ale nie zwykłych żołnierzy i nie zmieniały losu załóg branych szturmem zamków, które często wycinano do nogi. Litwinom udawało się czasem wykupić obietnicą przyjęcia chrztu; przy jasno określonym nadrzędnym celu tej wojny zaskakuje jednak niewielka liczba zapisów o podobnych wypadkach - albo zbyt wielu było na Litwie zatwardziałych pogan, albo też za często krzyżacka żądza krwi okazywała się nie do powściągnięcia.

Krzyżowcy z Zachodu również nie cofali się przed zadawaniem poganom jak najdotkliwszych ciosów, jeżeli tylko mogło im to ująć na sucho. Rycerski obyczaj - heroldzi, rozejmy, harcownicy, okupy uczyły w zbrojach z przeciwnikiem - nierozzerwalnie łączył się z ich profesją, ale nie przeszkadzało im to zabijać, palić i niszczyć bez litości ani skruchy, czy to na Litwie, czy we Francji. Dla wielu główną zaletą krzyżackich rejsów była raczej szansa zdobycia wojennego doświadczenia niż odkupienia grzechów. Pan de Boucicaut za młodu trzykrotnie przyjeżdżał na krucjatę, „albowiem w jego mniemaniu we Francji stanowczo brakowało wojen... a dowiedział się, że tego roku w Prusiech szykuje się *belle guerre*”. W 1390 roku chciał wziąć udział w śródziemnomorskiej wyprawie tunezyjskiej diuka de Bourbon, ale król mu tego zabronił, wyrażając w zamian zgodę na *reysa*; Boucicaut musiał odczekać cały rok na pierwszą kampanię Konrada von Jungingena, ale nie żałował: był nawet zadowolony, ponieważ się przekonał, „że to godna, wielce honorowa i piękna sprawa (...) z wielkim zjazdem rycerstwa i wolnych obywateli

z Francji i innych krajów”. Dla takich błędnych rycerzy walka z Litwinami nie miała większego znaczenia duchowego; biograf Boucicauta w opisie jego wyczynów prawie nie używa retoryki świętej wojny. Dla Krzyżaków i ich poddanych była ona nie do uniknięcia, ponieważ byli organizacją religijną, której uprawnienia polityczne przyznano wyłącznie jako środek do wypełniania powierzonej im misji krzyżowej. Uznanie wojny pruskiej przez zachodnie chrześcijaństwo za zbawienną dla duszy było dla nich bardzo ważne. Kiedy więc kronikarz cysterskiego opactwa w Oliwie usłyszał o krwawej bitwie pod Crécy, skomentował to tymi słowami: „Gdybyż tylko ci wszyscy ludzie we własnej krwi skąpani wytoczyli ją od mieczy pogańskich za królestwo niebieskie i w obronie wiary katolickiej!” Wtedy ich ofiara uradowałaby mieszkańców nieba; ponieważ jednak dali głowy za sprawę ziemskiego królestwa, „należy się obawiać, że dziś radość panuje wśród mieszkańców piekła”.

Kontrast między metodami prowadzenia wojny a sposobem jej usprawiedliwiania przez Zakon Krzyżacki uwidocznił się wyraźniej po 1386 roku, a w 1409 był najsilniejszym argumentem w rękach Władysława Jagiełły i Witolda. W tym okresie Krzyżacy stosowali politykę „iluzjonistyczną”: przedstawiali Litwinów jako Saracenów, aby utrzymać napływ krzyżowców i zagarniać ziemie chrześcijańskich władców. Nie należy jednak zapominać, że iluzjami posługiwały się dla własnych celów obie strony konfliktu. W przypadku Polski było to przekonanie, że król pozostaje najwyższym su-

zereńem wszystkich ziem utraconych przez jego poprzedników i że ekspansja państwa polskiego leży w najlepszym interesie chrześcijaństwa i sprawiedliwości. Na Litwie udawano, że wielkiemu księciu bardziej zależy na duszach Żmudzinów niż na ich terytorium i że w przeszłości wcale nie współpracował z Zakonem, kiedy mu to odpowiadało. Żarliwe potępienie krzyżackiej okupacji Żmudzi przez Witolda nie mogło przysłonić faktu, że to właśnie poparcie Zakonu skłoniło Jagiełłę do uznania prawa brata stryjecznego do tronu wielkksiążęcego w 1392 roku. Prawdziwe znaczenie miało więc tylko pytanie, za którą z iluzji stoi silniejsza armia.

Krucjata przeciwko Nowogrodowi (1295–1378)

Podczas gdy Zakon Krzyżacki toczył niekończącą się wojnę na granicach Inflant i Prus, książęta i kupcy z północnej Rzeszy oraz Skandynawii uwikłani byli w skomplikowane i napięte stosunki z ruskimi „schizmatykami” z Nowogrodu i Pskowa, co przeradzało się nieraz w innego rodzaju krucjatę. W rozdziale 5. opisałem, jak XIII-wieczni papieże powierzyli jej prowadzenie królom szwedzkim; teraz opowiem, jak owi monarchowie pojmowali i wypełniali to zadanie w XIV stuleciu.

Sporne ziemie

Szwedzki podbój Finlandii przeniósł granicę katolickiej Europy na skraj strefy subarktycznej. Na wielkiej połaci ziemi od atlantyckiego wybrzeża Norwegii po Morze Białe walka o przetrwanie była ważniejsza od wszystkich międzyludzkich konfliktów, nawet od sporu między chrześcijaństwem zachodnim i wschodnim oraz rywalizacji Nowogrodu ze Szwecją i Norwecją. Nieprzyjazny klimat, ubogie gleby i skąpa szata roślinna utrudniały ekspansję struktur politycznych i religijnych niezbędnych do rozpętania się wojny na większą skalę. Nie znaczy to jednak, że takich prób nikt nie podejmował, a instytucja wypraw krzyżowych odegrała istotną rolę w zagrzewaniu wrogo nastawionych potęg do nieustannej, bezproduktywnej wojny o jedną z najuboż-

szych i najbardziej jałowych krain kontynentu europejskiego.

Zarówno Nowogród, jak i Szwecja w coraz większym stopniu bogaciły się dzięki eksploatacji zasobów Dalekiej Północy, ale ich powodzenie zależało od kontaktów z zamożnymi kupcami ze szczęśliwiej położonych regionów. Dlatego też obu krajom zależało na opanowaniu głównych szlaków transportowych. Rywalizacja przybrała na sile po założeniu przez Szwedów grodu Wyborg: teraz król mógł się pokusić o zawojowanie ziem wokół jeziora Ładoga, a nawet samego Nowogrodu. Żadna ze stron nie miała dość środków, by podbić i utrzymać interior na północ od jeziora, obie mogły jednak wycisnąć więcej z jego eksploatacji.

Chodziło przede wszystkim o pozyskiwanie produktów zwierzęcych z regionu niedostępnego dla kupców z głównych rynków bałtyckich, gdzie osiągały wysokie ceny. Cały proces był wyjątkowo trudny, wymagał kilku etapów pośrednich, ale gra była warta świeczki: im chłodniejszy klimat, tym lepszą ochronę - futro, skórę i tłuszcz - muszą mieć zwierzęta, a im mniej dany rejon jest zaludniony, tym fauna liczniejsza. Arktyczne odmiany lisów, zajęcy i łasic bytują nawet w górach Dalekiej Północy, gdzie śnieg nigdy nie topnieje, mają więc bielszą, gęstsza i po prostu piękniejszą sierść od swych kuzynów z nizin. Żyje tam rosomak, którego futro „łśni płową czernią, wzorzyste niemal jak adamszek, a zręczny kuśnierz jeszcze mu urody przydaje; zabarwić też potrafi, by harmonizowało z każdą szatą, do jakiej ma być użyte. Tylko książęta i wielmoże zi-

mowe odzienie z takich futer noszą, każąc je szyć na kształt tuniki”. Na niżej położonych terenach polowano na sobole, kuny, wydry, bobry i gronostaje - te ostatnie ceniono szczególnie jako wyznacznik statusu materialnego; ich noszenie bywało przejawem ostentacji, jak w wypadku syna św. Brygidy Szwedzkiej, Karola Ulfs-sona, który na audiencję u Ojca Świętego wystroił się w „delię od góry do dołu obszytą całymi gronostajowymi skórami i gdy kroczył, wyglądało to tak, jakby te stworzenia harcowały po nim; każde miało pozłacany dzwoneczek u szyi i złoty pierścień w pyszczku”. „Jesteś synem tego świata”, skomentował to papież - bez wątpienia słusznie, ale należy pamiętać, że w Szwecji gronostaje były zdecydowanie tańsze niż w Rzymie. Wdzięczniejszym celem dla myśliwych był bóbr - posiadacz bardziej uytylitarnego futerka, łatwy do upolowania, a przy tym... smaczniejszy; pod koniec XIII wieku w Skandynawii został niemal doszczętnie wytępiony i właśnie w poszukiwaniu nowych siedlisk tych i innych zwierząt traperzy i kupcy coraz częściej i liczniej zapuszczali się w surowe północne krainy.

Olbrzymie letnie skupiska ptaków na Inari i innych jeziorach fińskich, penetrowanych przez myśliwych co najmniej od czasów króla Alfreda, wciąż stanowiły cenne, choć drugorzędne źródło dochodu - zaspokajały rosnący popyt na pierze i puch, chętnie kupowane przez bogacących się mieszczan, małpujących arystokratyczną słabość do miękkich materaców, ciepłych kołder i wygodnych poduszek. Rosło wtedy wśród rycerstwa zapotrzebowanie na ptaki łowne, jak białożór (sokół

norweski), doskonalono też techniki sokolnictwa. Kiedy rybacy ogołocili łowiska Bałtyku i Morza Północnego, jedynym źródłem taniego oleju dla północnej Europy stały się foki i wieloryby z mórz arktycznych. Kłębiące się we wpadających do Zatoki Botnickiej rzekach i lapońskich jeziorach ławice ryb, do tej pory nie mające większego znaczenia handlowego (na eksport trafiały niewielkie ilości suszonych na wietrze, wędzonych bądź solonych), zaczęto traktować jak intratne zasoby żywności, odkąd u schyłku XIV wieku Holender Benkelszoon opracował nową metodę solenia. W następnym stuleciu w Tornea (Tornio) powstał wielki międzynarodowy ośrodek handlu rybnego, w którym spotykali się dostawcy i odbiorcy śledzia, makreli, szczupaka i łososia, zjeżdżający tam z Rzeszy, Skandynawii, Rosji, Laponii, Karelii i Finlandii.

Tak jak rybi drapieżcy polują na słabsze gatunki, również wśród ludzi, którym połów i handel owocami morza zapewniały byt, panowały stosunki niezbyt kordialne: każda grupa wyzyskiwała inną lub sama była wyzyskiwana, ku ostatecznemu zadowoleniu objadających się rybami, odzianych w futra i wylegujących się w puchowej pościeli zamożnych mieszkańców zachodniej Europy i Rusi. Na samym dole tej drabiny stali Lapończycy, podzieleni na „morskich”, „leśnych” i „górskich”, w zależności od tego, czy żyli nad Oceanem Lodowatym, lesistymi brzegami Zatoki Botnickiej czy w leżącym pośrodku paśmie górskim. Zmuszani do porzucania dawnych nadmorskich siedzib przez napływających skandynawskich osadników, coraz częściej prze-

rzucali się na hodowlę reniferów i myślistwo w głębi łądu, rozszerzając zasięg sezonowych migracji, aby docierać do zasobnych i teraz bardziej opłacalnych w eksploatacji łowisk i lasów Dalekiej Północy. Wędrowali szerokim łukiem między Dovre Fjell w środkowej Norwegii a odległym o dwa tysiące kilometrów Półwyspem Kolskim, na ziemiach o zbyt surowym klimacie dla innych ludów, gospodarczo związani byli jednak z osiadłymi społecznościami zamieszkującymi na skraju tego niegościnnego regionu. Przez stulecia płacili daniny i sprzedawali skóry zwierzęce wielmożom z północnej Norwegii, eksploatującym ich tereny na mocy królewskiego przywileju *Finnferth*, na wschodzie zaś handlowali z Nowogrodzianami. Potem, w XIII wieku, norweski monopol się skończył i na scenie pojawiła się nowa fala przedsiębiorczych kupców, wśród których dominowali Karelowie. Przybysze mogli zaofiarować Lapończykom doskonalszą technikę łowiecką i lepiej płacili za futra, co automatycznie wymuszało wyższą wydajność, ale i powodowało ściślejsze osobiste uzależnienie. Napływ obcych i rosnący w Europie popyt na produkty Dalekiej Północy zdecydowanie odmienił życie jej odwiecznych mieszkańców. Lapońskich myśliwych odwiedzających zasiedlone tereny na pograniczu Finnmarku traktowano teraz jak rodzaj inteligentnych zwierząt, płacących mięsem i skórą za prawo użytkowania przyległych pastwisk i jakąś formę ochrony. Zmienił się też sposób postrzegania tego regionu przez ludy z sąsiedztwa: nie było to już dzikie pustkowie z opisu Adama z Bremy, ale zasobne ziemie

warte trudu eksploatacji. Dla Norwegów cały ten region był wciąż „ich” Finnmarkiem, otwartym dla kupców, rybaków i osadników, a Lapończycy w pewnym sensie ich ludźmi. W XIII wieku Nowogrodzianie zaczęli jednak nazywać Półwysep Kolski swoją prowincją Ter, a jej mieszkańców uznali za podległych swoim karelskim wasalom. W następnym stuleciu zacieśniające się kontakty między *birkarlar* - właścicielami faktorii założonych u ujść botnickich rzek - a ich lapońskimi klientami skłoniły królów Szwecji do uznania wnętrza północnej Finlandii (zwanej przez nich Lappmarkiem) za swoją własność, należną im na mocy owego tajemniczego „prawa”, jakie od czasów Merowingów europejscy władcy rościli sobie do dzikich, nie zasiedlonych terenów. Finnmark, Lappmark, Karelia i Ter nie miały jednak ściśle określonych granic: były to po prostu różne nazwy nadane mniej więcej temu samemu regionowi przez konkurentów uprawiających tę samą działalność: wyzysk Lapończyków.

Na kolejnym szczeblu drabiny stali Karelowie. Umieli się oni swobodnie poruszać także po Laponii i byli nie gorszymi łowcami i hodowcami od jej mieszkańców. Podczas sezonowych wypraw na północ handlowali lub pobierali haracz od różnych grup lapońskich z całego regionu od gór Norwegii po Półwysep Kolski. Ich sadyby leżały jednak na pograniczu Nowogrodu bądź szwedzkiej Finlandii i pod koniec XIII wieku popadły w zależność lenną od jednego z tych krajów. Podobnie jak Lapończycy, Karelowie oddawali futra i inne produkty swoim suwerenom, byli jednak le-

piej zorganizowani i dość silnie uzbrojeni, by urządzać najazdy na siebie wzajemnie i na osady z sąsiednich krain, mogli też dostarczać swoje towary bezpośrednio na rynki fińskie, szwedzkie czy ruskie. W 1252 roku król Norwegii i książę Nowogrodu zawarli porozumienie udostępniające Północ poborcom i kupcom obu stron, stosunki między nimi dalekie były jednak od zażyłych: od tej pory norweskie osady narażone były na - sporadyczne wprawdzie - napady Karelów, na których ziemiach z kolei, przy ścierających się interesach szwedzkich i ruskich, większe pole do popisu mieli różnego autoramentu rozbójnicy.

Poczynając od XIII wieku, obok Karelów w tym regionie zaczęli się pojawiać typowi ludzie pogranicza, napływający z wielu krajów: głodni ziemi chłopci fińscy i szwedzcy migrujący wzdłuż wschodniego i zachodniego wybrzeża Zatoki Botnickiej; Niemcy osiedlający się w ujściach rzek na jej północnym krańcu; norwescy rybacy, rolnicy i kupcy od strony Oceanu Lodowatego (do 1307 roku dotarli oni aż na sam wschodni cypel Półwyspu Kolskiego, gdzie dziś leży miejscowość Var-do); i wreszcie ruscy wodniacy i chłopci pracy ku Morzu Białemu przez jeziora Ładoga i Onega. Głód i chciwość pchały ich ku stronom tak nieprzyjaznym życiu, że z konieczności brali się do myślistwa, rybactwa i handlu z Lapończykami. To z kolei paradoksalnie wiązało ich z cywilizacją, którą opuścili - tylko tam, w społeczności warstwowej i zorganizowanej, znajdowali zbyt na swoje towary, ta zaś skwapliwie z tego korzystała, narzucając im zależność także polityczną, poprzez system

fiskalny i obowiązek służby wojskowej. Koloniści płacili wprawdzie mniejszy *skatt* i dziesięcinę niż w ojczyźnie, przysługiwało im też prawo własności ziemi, którą udało się im pozyskać pod uprawy; podatki mogli sobie rekompensować, obciążając opłatami Lapończyków (jak wymuszany przez szwedzkich poborców *birkarlaskatt*) - ale jednak musieli je płacić, poza tym samo ich przetrwanie w wybranych siedzibach zależało od dostaw z południa (trzeba było sprowadzać stamtąd zboże, masło, sól, metale i wiele innych rzeczy).

Nowogród, Szwecja i Norwegia - państwa rządzone przez dobrze prosperujące elity, których zamożność zapewniało rolnictwo - były głównymi konsumentami produktów regionu subarktycznego, ale to nie one stały na szczycie drabiny czerpiących korzyści z Dalekiej Północy. Z końcem XIII wieku gospodarcza pomyślność całej tej trójki do pewnego stopnia stała się zależna od dobrej woli Ligi Hanzeatyckiej, stowarzyszenia kupców z miast północnej Rzeszy i południowowschodniego wybrzeża Bałtyku, które zdobyło uprzywilejowaną pozycję (w Norwegii nawet monopol) w obrocie najważniejszymi dobrami na rynku międzynarodowym. Hanza wyrosła na głównego pośrednika między Północą a konsumentami w Anglii, Francji, Rzeszy niemieckiej i Flandrii, a w XIV wieku zrzeszone w niej miasta na tyle urosły w siłę i znaczenie, że mogły strzec swoich interesów poprzez bezpośrednie działania militarne. Szwedzi i Rusowie zabiegali o jej względy, królowie Danii i Norwegii daremnie usiłowali opierać się jej wpływowi - tylko ona, władczyni bałtyc-

kich szlaków handlowych, posiadała dostateczną organizację, zasoby i zdolność kredytową, by skutecznie utrzymywać handlowe więzi między wielkimi rynkami Północy i Południa.

System ów działał sprawnie, ale bynajmniej nie gładko i spokojnie - okazji do konfliktu było wiele, od przypadkowych napadów na kupców czy poborców podatkowych za kręgiem polarnym do prawdziwych wojen z udziałem wielkich armii i flot. Dwóm głównym rejonom takich starć odpowiadały dwie zasadnicze metody walki. Zarzewiem pierwszego typu konfliktu była rywalizacja między czołowymi eksporterami, a charakteryzowały go szybkie najazdy niewielkich sił, dokonywane na terytorium całej Laponii, Karelii i wokół Zatoki Botnickiej; drugi był batalią o panowanie nad ziemiami leżącymi nad Zatoką Fińską, prowadzoną bardziej klasycznymi sposobami, znanymi nam już dobrze z kampanii nad wschodnim Bałtykiem: niszczącymi rejsami, najezdami od strony morza, obleganiem zamków nieprzyjaciela i wznoszeniem własnych. Teatrem tych działań były zamieszkiwane przez Karelów prowincje Sawonia (na północny zachód od Ładogi), Jaaski (między Ładogą a Wyborgiem) i Ayrapaa (wybrzeże między Wyborgiem a Newą); Ingria, inaczej Iżora, na południe od Newy; oraz kraj Wotów nad Ługą, nazywany też prowincją Koporje - dla Nowogrodu bramy, przez które musiał przepływać cały handel z Północą i regionem bałtyckim. W Finnmarku gra szła o dostęp do łowisk, terenów łowieckich i szlaków nomadów i nie dało się jej uprościć przez wyznaczenie

granic; walka o ujście Newy i jezioro Ładoga toczyła się właśnie o granicę między adwersarzami i o narzucenie politycznej kontroli osiadłym społecznościom.

Władza polityczna ściśle wiązała się z afiliacjami religijnymi, jako że niewiele było wtedy innych form identyfikacji kulturowej między władcami a rządzonymi. Jak opisywałem wcześniej, nawracanie Wotów, Izorów i Karelów wyznaczało zarazem zakres roszczeń politycznych i terytorialnych. Przynależność danej grupy do jednego z odłamów chrześcijaństwa świadczyła o tym, pod czyimi wpływami się znalazła; oba Kościoły kontynuowały dzieło swoich XIII-wiecznych misjonarzy, starając się wciągnąć neofitów do własnej organizacji. Duchowieństwo zachodnie osiągało to przez wiązanie jak największej liczby Karelów z nielicznymi kościołami wzniesionymi na pograniczu, poza dość zwartą społecznością południowo-zachodniej Finlandii, gdzie działało od czterdziestu do pięćdziesięciu parafii, i narzucenie im stałej daniny w naturze zamiast dziesięciny - w ramach porozumienia zwanego „prawem z Kyrö”. Jaką rolę odegrali w tej kwestii dominikanie z Åbo, możemy się tylko domyślać; ani zakonnicy, ani biskupi nie byli zbyt zainteresowani krzewieniem doktryny i egzekwowaniem władzy na diecezjalnych peryferiach, jeżeli już ustaliła się tam jakaś akceptowalna forma powiązania z kurią czy opactwem. Gdyby założono nowe biskupstwo dla Karelów i Izorów, jak to planowano w XIII wieku, sprawy mogłyby wyglądać inaczej; fiński katolicyzm skoncentrował jednak większość energii na jednym, najliczniej zasiedlonym regio-

nie kraju, kresowe przyczółki pozostawiając w dużym stopniu administracyjnej rutynie. Pierwszym większym ośrodkiem na tych ziemiach stał się klasztor franciszkanów założony w latach 1402–1403 w Wyborgu.

Inaczej do tej kwestii podchodzili prawosławni Rusowie, dla których zdobywanie nowych, słabo zaludnionych ziem stanowiło sposobność realizacji misyjnych i zakonnych powołań, stosunkowo częstych w epoce supremacji mongolskiej. W połowie XIII stulecia w Nowogrodzie i najbliższych okolicach działało już co najmniej siedemnaście klasztorów, nie licząc opactwa św. Jerzego w Starej Ładodze, a w następnych latach liczba ta się zwiększała, zwłaszcza w dalej położonych prowincjach. Przed 1329 rokiem powstała społeczność chrześcijańska na wyspie Walam (Valamo), największej na jeziorze Ładoga (u jego północnego krańca); prawosławne duchowieństwo przeniknęło też do Karelii, Izory i kraju Wotów. Pod koniec XV wieku w ruskiej części Karelii działało dziesięć monasterów i siedem parafii; łącznie zbudowano tam dwadzieścia sześć cerkwi. Wraz z rosnącą niezależnością nowogrodzkiej republiki od władzy książęcej, w coraz większym zakresie inicjatywę przejmował arcybiskup, któremu łatwo było przyłączyć nowe ziemie do swego systemu fiskalnego. Dzielące z nim władzę grupy wpływowych bojarów zainteresowane były w jednakowym stopniu gospodarczą eksploatacją pogranicza i umacnianiem własnego prestiżu przez fundowanie świątyń i hojne nadania. Tak jak na Zachodzie, nawracanie po-

gan szło tam w parze z działaniami typowo kolonialnymi.

Tak oto różnice między Kościołami grecko – i rzymskokatolickim, dotąd poniekąd arbitralnie nakładane przez papieży i krzyżowców na XIII–wieczne podziały polityczne, w następnych wiekach nabrały większego znaczenia, zwłaszcza na spornych ziemiach położonych między kasztelanią w Wyborgu a wysuniętymi placówkami nowogrodzkimi nad Ładogą i w Koporje.

Kształtowanie granicy szwedzko–ruskiej (1295–1326)

Najazdy, jakie spadały na te ziemie w latach 1295–1314, wynikały z determinacji marszałka Torgilsa Knutssona, dla którego nowy zamek Wyborg był dogodną bazą do podboju całego obszaru między Ładogą i Newą, a za cel taktyczny miały opanowanie dalszych okręgów przez budowę kolejnych twierdz.

W 1295 roku marszałek wysłał flotę w górę Newy i dalej na jezioro, gdzie na zachodnim brzegu powstał fort Keksholm (po fińsku Kakisalmi, dzisiejszy Prioziersk); szwedzki garnizon dowodzony przez Siggego Lobę nie zagrzał tam jednak długo miejsca: jeszcze przed końcem roku nowogrodzki kontratak wziął wprawdzie szturmem, a cała załoga została wycięta. Knutsson pojął, że nie da się utrzymać placówki oddalonej od Wyborga o trzysta kilkadziesiąt kilometrów wodą (choć tylko osiemdziesiąt lądem), i jego następne natarcie było lepiej przemyślane. Marszałek powiódł ponadty-

sięczny oddział nad ujście Newy i w 1299 roku wzniósł tam twierdzę Landskrona. Z następną wiosną ruszyły stamtąd wypady nad Ładogę, do Iżory i w głąb Karelii, ale znów Szwedom dały się we znaki problemy z zaopatrzeniem; w 1301 roku Landskronę obiegli i zdobyli Nowogrodzianie. Cztery lata później Torgils stracił stanowisko marszałka, a wkrótce potem został ścięty. Landskrona stała się zamkiem – widmem, niezajętym przez żadną ze stron aż po początek XVII wieku, kiedy na jej miejscu powstało szwedzkie miasto Nyen (nieopodal terenów, gdzie w XVIII wieku Piotr I założył Petersburg); Nowogród zabezpieczył się jednak po obu stronach Newy, wznosząc nowe fortyfikacje w Koporje (1297) i na miejscu Keksholmu, gdzie wyrosło nowe „karelskie miasto” (1310). Książę Dymitr Romanowicz Brański poprowadził później morską ekspedycję wzdłuż brzegu szwedzkiej kolonii w Finlandii, docierając na pół drogi między Wyborgiem a Helsinkami, grabiąc i niszcząc osady położone przy nadmorskim szlaku lądowym. W 1313 roku Szwedzi znów ruszyli z Wyborga na wschód, powracając nad Ładogę z ogniem i mieczem, a rok później antyruskie powstanie w Karelii umożliwiło im na krótko odbicie Keksholmu, rychło jednak stracili twierdzę po raz drugi i odtąd pozostała już w rękach przyjaznego Nowogrodzianom karelskiego bojara. Dzieło marszałka Torgilsa Knutssona nie zostało więc ukończone: Szwedzi zachowali wprawdzie strategicznie cenną placówkę wyborską, ale Newa pozostała otwarta dla wszystkich przybyszów, a Nowo-

gród umocnił się nad Ładogą i na przyległym wybrzeżu.

Na Dalekiej Północy rywale nie mieli takich możliwości konsolidacji sił - nie było tam dróg morskich, którymi można by dowozić zaopatrzenie dla przyczółków, a miejscowa populacja była zbyt mobilna, żeby ktokolwiek zdołał ją „przyszpilić” do ziemi, nie mówiąc już o zdominowaniu. Wojna z konieczności przybrała tam formę mało znaczących najazdów i wypraw odwetowych luźnych oddziałów karelskich, ruskich czy norweskich, jakie na przykład odnotowano w *Annales Islandici* („Rocznikach islandzkich”) w latach 1271, 1279, 1302, 1303 i 1316. I tam zaznaczył się jednak pewien terytorialny zakres działań: Karelowie lepiej sobie radzili w górzystym wnętrzu Laponii, Norwegom udawało się skutecznie bronić swoich osad na jej północnym wybrzeżu.

W 1319 roku równoczesne zmiany polityczne w Skandynawii i na Rusi zaczęły przygotowywać grunt dla dalszych konfliktów. Po śmierci króla szwedzkiego Birgera I i norweskiego Hakona V obie monarchie odziedziczył bratanek pierwszego i wnuk drugiego, Magnus II Eriksson (w Norwegii panujący jako Magnus VII). Ponieważ miał wówczas tylko dwa lata, przez następne dziesięciolecie rządy sprawowała jako regentka jego matka Ingeborga wraz z radami królewskimi. Zanim Magnus, starannie wykształcony szwedzko – norweski władca, osiągnął wiek męski, wielmoże i biskupi zapewnili sobie, jak powiedziałaby dzisiejszy ekonomista, „pakiet kontrolny” w rządach, którego król

nigdy im do końca nie odebrał. Przez całe jego panowanie dochodziło do sporów z tą wpływową grupą, ale w jednej kwestii różnica zdań była zdecydowanie najmniejsza: w sprawie wojny z Nowogrodem. Dlatego też jej kontynuacja stała się szczególnie ważnym czynnikiem stabilizującym tę podwójną monarchię.

Szwedzcy hierarchowie kościelni popierali agresję na wschodzie z kilku powodów. Głównym była idea krzyżowa: wciąż wierzono w chybioną papieską politykę z lat 1223–1257, nakazującą przyciąganie Rusów, Karelów, Izorów i Wotów pod skrzydła Rzymu. Równie ważna była perspektywa zwiększenia dochodów i rozszerzenia wpływów, w tym umocnienia diecezji w Åbo i stworzenia nowej w Karelii; możliwości te stały się szczególnie atrakcyjne po 1309 roku, kiedy papież awinioński rozpoczął serię akcji zbierania funduszy, narzucając duchowieństwu północnoeuropejskiemu dodatkową dziesięcinę na rzecz nowej krucjaty bliskowschodniej. Pieniądze te w rzeczywistości zostały wykorzystane dla rozmaitych celów politycznych, jak walka z rodem Viscontich w Italii; papieżom starczyło realizmu, aby za zdobywanie środków płacić stosowny udział władcom krajów, gdzie operowali „finansowi” nuncjusze i ich bankierzy. Papiescy przedstawiciele pracowali niezmiernie skutecznie, ściągając podatki nawet z Islandii i Grenlandii. Naturalną kolejną rzeczą bici po kieszeni biskupi zaczęli się skłaniać ku koncepcji, że skoro już łożą na szeroko pojętą ideę krucjat, to mogą i powinni zachęcać swoich monarchów i rycerstwo do podejmowania krzyża w ta-

kiej formie, jaka przyniosłaby im jakieś bezpośrednie i natychmiastowe zyski.

Możnowładztwo i pomniejsze rycerstwo szwedzkie były nie mniej zainteresowane wojną na wschodzie, która mogła przynieść korzyści w postaci nowych nadań i urzędów. Finlandia przynosiła już niezły profit i znaczenie tym, którzy się w jej podbój i eksploatację zaangażowali; utworzono tam starostwo, kasztelanie w Åbo, Tavastehus i Wyborgu, okręgi sądowe, baliwaty i pomniejsze lenna. Ludzie pokroju Lydera z Kyren, braci Sunego i Petera Jonssonów, Matthiasa Kettilmundssona, Karola Naskonungssona czy Gerharda Skytte bogacili się na ziemiach podbitych w XIII wieku, gdzie nie musieli się zanadto obawiać królewskiego nadzoru; każdy wiedział, że dalej na wschód może być jeszcze lepiej. Co więcej, latyfundiści zaczęli teraz popierać osadnictwo na terenach wciąż regularnie odwiedzanych przez podległych Rusom karelskich myśliwych i rabusiów. Za czasów regencji arcybiskup Uppsali Olof Björnsson przyznał dziedziczne zwolnienie od podatków za wszystkie nowo pozyskane grunty uprawne w Laponii, a królewski marszałek udzielił podobnego przywileju wszystkim kolonistom znad Ulei, ale tylko do chwili osiągnięcia przez króla pełnoletności.

Takie ulgi warte byłyby zachodu tylko wtedy, gdyby nowe terytoria rzeczywiście znalazły się w szwedzkim ręku - a to oznaczało działania militarne.

Norwescy osadnicy i królewscy urzędnicy na Dalekiej Północy palili się do odwetu za - jak to postrze-

gali - rusko-karelskie kłusownictwo w „ich” Finnmarku i do zrekompensowania sobie niekorzystnych warunków ekonomicznych, które od połowy XIII wieku coraz bardziej wpędzały ich kraj w ubóstwo. W latach sześćdziesiątych Norwegia straciła na rzecz Szkocji połowę terytoriów zależnych na zachodzie, a z pozostałych jej Islandii, Grenlandii i Orkadów profit był znikomy; wciąż jeszcze można było odzyskać Finnmark, tym bardziej że monopol, jaki na Bałtyku zdobyli kupcy niemieccy, tam praktycznie nie sięgał. Najpotężniejszy z wielmożów, Erling Vidkunsson, posiadał rozległe dobra i powiązania handlowe w Halogaland, najdalej na północ wysuniętej prowincji norweskiej, i zależało mu na stymulacji zainteresowania rodaków Laponią; jako marszałek w latach 1323–1332 i przyjaciel regentki oraz Magnusa VII miał wystarczająco silną pozycję, by swoje plany wcielić w czyn.

Tymczasem w Nowogrodzie zachodziły zmiany, pod wpływem których jego władcy z tym większym zdecydowaniem gotowi byli bronić stanu posiadania i w miarę możliwości go powiększać. W 1318 roku chan Złotej Ordy mianował księcia Jerzego Moskiewskiego wielkim księciem włodzimierskim. Niezwłocznie wysłał on do Nowogrodu swego brata, prawdopodobnie w celu zapewnienia lojalności miasta podczas przygotowywanej wojny o supremację z księciem Michałem Jarosławiczem Twerskim. W następnych latach Jerzy musiał się starać o względy podejrzliwych Nowogrodzian, udzielając im w potrzebie wsparcia militarnego. Dało to bojarom i arcybiskupowi do dyspozy-

cji silniejszą i lepiej wyposażoną armię niż ta, którą sami mogli wystawić - a przecież już ich własne wojsko dorównywało Szwedom na lądzie i na morzu. W 1318 roku ekspedycja nowogrodzka dotarła aż do Åbo, spustoszyła okolicę i spaliła katedrę. Szwedzi nie ruszyli z odwetem, ale było oczywiste, że żadna ze stron nie zamierza dłużej się zadowalać status quo z 1295 roku.

Pierwsze oznaki świadczące o przygotowywaniu akcji typu krucjaty pojawiły się w 1320 roku, kiedy regentka odnowiła więzi z Zakonem Krzyżackim, przyznając mu szczodre ulgi fiskalne w posiadłościach na terytorium Szwecji (zarządzanych przez komtura z Arsta, na południe od Sztokholmu). Krótco potem wystosowano petycję do papieża o pozwolenie na wykorzystanie należnego mu świętopietrza na obronę królestwa przed zakusami Rusów i ich sprzymierzeńców, a w 1321 roku podjęto kolejną nieudaną próbę odbicia Keksholmu. Wzmocnieni przez wojska księcia Jerzego Nowogrodzianie odpowiedzieli imponującą demonstracją siły. W 1322 roku stanęli pod Wyborgiem, oblegali zamek przez miesiąc, powiesili schwytanych jeńców i odeszli; rok później umocnili się nad Ładogą, budując nową twierdzę na wyspie Oreszek (nazwaną przez Szwedów Nöteborgiem, późniejszy Szlisselburg) nieopodal wypływu Newy; wysłali też z Karelii ekspedycję w głąb Laponii z zadaniem nękania Norwegów z Halogaland, zachęconych wcześniej przez papieża Jana XXII do walki z „fińskimi poganami” obietnicą pełnych przywilejów krzyżowców.

Wzniesienie zamku Oreszek położyło jednak kres walkom nad Newą. Wielki książę Jerzy uznał, że dość już zrobił dla swych nowogrodzkich sojuszników, a oni sami mieli pilniejsze sprawy na głowie (konflikt z Litwą i plemionami znad Dźwiny); szwedzka regentka i panowie rada przekonali się, że nie uda się im wpłynąć na Ładogę bez uprzedniego oblężenia nowej twierdzy, nie ma więc już szans na tani sukces. Bezskuteczny atak na Keksholm przypuścili prawdopodobnie w nadziei, że Jerzy Moskiewski jest zbyt zajęty wojną z Twerem, aby mógł wesprzeć Nowogrodzian; teraz, gdy pomyłka wyszła na jaw, nie pozostawało Szwedom nic innego, jak się wyrzec zbyt ambitnych planów. 12 sierpnia 1323 roku podpisany został traktat w Nöteborgu.

Strony zgodziły się zaprzestać dalszej walki i powrócić do pokoju „na dawnych warunkach”; wersje tych postanowień zachowały się w szwedzkich, ruskich i łacińskich transkrypcjach zagubionego oryginalnego dokumentu. Nowogrodzianie przekazali królowi Magnusowi VII trzy zachodnie prowincje karelskie: Sawonię, Jaaski i Ayrapaa. Uzgodniono też, że w całej Karelii nie będzie się budować więcej fortec, i ustalono linię demarkacyjną przebiegającą z południa na północ od Zatoki Fińskiej (w pobliżu ujścia Newy) przez środkową Finlandię do północnego krańca Zatoki Botnickiej. Nie określono jednak, co ta granica miałaby oznaczać, i do dzisiaj nie jest to jasne. Jej przebieg możemy zrekonstruować tylko u południowego końca, gdzie dzieliła Karelię na prowincje uznane za szwedzkie, nie

była jednak zgodna z istniejącymi wówczas i późniejszymi liniami podziału dalej na północy. Gdyby traktować ją jako granicę w sensie politycznym, oznaczałoby to przyznanie Nowogrodowi rozległych obszarów Karelii już dobrze spenetrowanych przez Szwedów i ich fińskich lenników. W chwili podpisania traktatu przypuszczalnie wytyczała tylko ziemie otwarte, na których ruscy i karelscy myśliwi i rybacy mieli swobodę dostępu do swych tradycyjnych łowisk i ostępów, niezależnie od przynależności terytorialnej. Do końca XV wieku Szwedzi wzniesli w Sawonii zamek Olufsborg i zawłaszczyli duże połacie tej prowincji; na razie jednak obie strony dochowywały warunków rozejmu.

W ten sposób Szwecja zakończyła wojnę. Norwegowie pod przywództwem Erlinga nieprędko poszli w jej ślady, lecz i oni w 1326 roku zawarli z Nowogrodem pokój i zobowiązali się przestrzegać „dawnych granic” - jak można przypuszczać, ustalonych w 1251 roku między Aleksandrem Newskim i królem Hakonem IV Starym. I w tym przypadku nie chodziło o linię dzielącą dwa państwa, lecz raczej o określenie zasięgu wpływów w tym samym zewnętrznym regionie, gdzie obie strony miały swoje fiskalne prawa. Między fiordem Lyngen (na wschód od Tromsø) a południowym brzegiem Półwyspu Kolskiego obu władcom należało się po pięć skórek z białych wiewiórek rocznie od „łuku”, czyli od każdego dorosłego lapońskiego mężczyzny. Na wschodnim krańcu tych ziem Norwegom przysługiwało prawo poboru podatku od Karelów zrodzonych z lapońskich matek.

Wszystko to oznacza, że żaden z traktatów nie zmieniał niczego pod względem politycznym. Jedynym nowym elementem było umocnienie nowogrodzkiego panowania nad Ładogą dzięki zbudowaniu twierdzy Oreszek, co dla Szwedów wiązało się z koniecznością wysyłania liczniejszych i silniej uzbrojonych ekspedycji, niż mogli sobie wtedy na to pozwolić. Wojna nie została więc naprawdę zakończona; na jakiś czas po prostu działania zawieszono.

Krucjaty króla Magnusa VII

Przez ponad dwadzieścia lat ani Szwecja, ani Nowogród nie były gotowe do wojny nad Newą. W 1326 roku Nowogrodzianie zmienili protektora z Moskwy na Litwę, a siedem lat później przekazali swoje zachodnie prowincje księciu Narymuntowi, synowi Gedymina. Wprawdzie w 1340 roku moskiewski książę Szymon Iwanowicz Dumny zdołał ponownie narzucić miastu swoje zwierzchnictwo, ale syn Narymunta, Aleksander, utrzymał panowanie w Koporje przez całe dziesięć lat; Litwini i Moskale nie kwapili się jednak do żadnych zaczepnych działań przeciwko Szwecji - przeszkadzała im wzajemna podejrzliwość. Ambicje terytorialne szwedzkiej regentki zaspokoilo przejęcie Skanii od Duńczyków w 1332 roku, a skandynawscy wielmoże zajęci byli walkami wewnętrznymi. Dorastającemu Magnusowi VII najbardziej zależało na odrodzeniu silnej władzy królewskiej i - do 1343 roku - na zdobywaniu kolejnych ziem duńskich. W tych warunkach kon-

flikt na szwedzko-nowogrodzkiej granicy był dla obu stron tylko irytującym utrapieniem.

Dlatego też kiedy dowódca załogi Wyborga, kapitan Sten, z własnej inicjatywy wsparł antyruskie powstanie Karelów w 1337 roku, Nowogrodzianie zachowali powściągliwość; najpierw pertraktowali z nim w Oreszku i podjęli akcję odwetową dopiero wtedy, gdy udzielił Karelom pomocy podczas najazdu na ziemie wokół Onegi i miasta Ładoga. Rusowie zaatakowali szwedzką część Karelii i pobili Stena, gdy próbował się wdrzeć do Koporje. Władze nie pozwoliły jednak, by sytuacja wymknęła się spod kontroli: ruskie poselstwo przybyło w 1339 roku do króla Magnusa VII i wynegocjowało pokój, a Sten musiał zwinąć żagle. „Jeśli nasi Karelowie umkną do was”, sugerowali Nowogrodzianie, „uśmierćcie ich, a my zrobimy to samo z waszymi, którzy by do nas uciekli, aby z ich powodu nie było między nami niezgody”. Samowola awanturników z pogranicza nie służyła niczemu - zakłócała tylko zyskowy handel, a nie przynosiła zdobyczy terytorialnych czy politycznych, które by zrekompensowały koszty wojny.

Choć jednak doraźna polityka faworyzowała pokój, węgielki krucjaty wciąż się żarzyły, gotowe na nowo zapłonąć w razie potrzeby. Papiescy legaci nadal pobierali od skandynawskich monarchów fundusze na cele wypraw krzyżowych, a w 1324 roku zawarli ze Szwecją porozumienie podobne do wcześniejszych umów z Francją i Anglią: przyznali królowi połowę udziału do wykorzystania do własnych celów. Do 1329 roku ze-

brano w ten sposób równowartość czterech tysięcy trzystu czterdziestu funtów szterlingów, z czego dwa tysiące sto pięćdziesiąt osiem otrzymała regentka Ingeborga; kiedy w następnej dekadzie wpływy do kasy papieskiej się zmniejszyły, stało się oczywiste, że do przywrócenia poprzedniego poziomu będzie potrzebne silniejsze - a więc i kosztowniejsze - poparcie królewskie. Dlatego też obciążani podatkiem miejscowi duchowni tym bardziej byli zainteresowani przeniesieniem krucjaty bliżej domu. Notatka w rejestrze Uppsali wśród kwestii, na jakie należało zwrócić uwagę wiernych podczas świąt w 1340 roku, wymienia „głoszenie krucjaty przeciwko Karelom”. W latach czterdziestych XIV wieku o tej i innych religijnych powinnościach przypominała królowi jego kuzynka i przełożona dam dworu królowej, Brygida, o której zaczynało być głośno jako o prorokini.

Zebrane pośmiertnie objawienia Brygidy Szwedzkiej zawierają kilka przemyśleń na temat krucjat, które musiała wypowiadać w latach 1344–1348. Głównym celem świętej było oczyszczenie i reformacja elity; jak ongiś Bernard z Clairvaux, w świętej wojnie upatrywała najlepszego z możliwych sposobu realizacji przez monarchów i rycerstwo danego im od Boga obowiązku wobec ludu, czyli walki. Po bezskutecznej próbie zajęcia Danii Magnus VII usłyszał od Brygidy, że jego rycerze zginęli daremnie, albowiem Bóg nie chciał, aby Szwecja zwiększyła stan posiadania kosztem innego królestwa chrześcijańskiego. O wiele lepiej byłoby „wysłać swój lud i wasali w owe pogańskie strony,

gdzie mogliby się przyczynić do szerzenia wiary i miłosierdzia”. Zamiast antagonizować poddanych ściąganiem podatków na wojny nienawistne Bogu, król powinien przeznaczać je tylko na cele obronne lub na zwalczanie niewiernych. Kiedy przyszła święta spytała Chrystusa, czy zechce nakazać Magnusowi VII rozpoczęcie krucjaty, odpowiedział jej przez swą Matkę:

Jeżeli król chce się wyprawić na pogan, radzę mu - nie zaś nakazuję - aby po pierwsze miał dobre serce i zdrowe ciało. Serce jego dobre będzie tylko wtedy, dy za jedyny motyw wyprawy weźmie miłość Boga i zbawienie dusz. Ciało zaś do zdrowia przywiedzie, jeżeli pracy i postu regularnie zażywać będzie. Po drugie, niech jak najstaranniej dopilnuje, aby tych tylko rycerzy swoich i wasali zabrał, którzy są ludźmi prawymi i z ducha ochoczego z nim wyruszą... ktokolwiek bowiem pragnie innych przywieść do Królestwa Niebieskiego, zacząć musi od naprawy własnych błędów.

Jezus radził też monarsze, aby wziął ze sobą uczonych księży, którzy potrafiliby trafić do umysłów pogańskich, nalegał też, żeby armia krzyżowa była mała i dobrana. W wielkiej sile nie obyłoby się bez grzeszników, dla tych zaś Ziemia Obiecana jest zamknięta. Według rymowanej kroniki *Förbindelsedik*t, powstałej w kręgach dworskich bliskich Brygidzie około 1452 roku, Dziewica napominała też Magnusa VII, by nie zabierał na wyprawę cudzoziemców, ale z tekstu objawień św. Brygidy wynika, że ta obiekcja dotyczyła raczej najemników niż w ogóle obcokrajowców.

Ów doborowy korpus ochotników kierujących się sumieniem miał się zebrać pod dwoma sztandarami: Męki Pańskiej, symbolizującym pokój, i Miecza Sprawiedliwości, oznaczającym wojnę. Ważne było, żeby poganom najpierw zaoferować pokój, wiarę i wolność, pokazując im pierwszy znak, a dopiero gdyby propozycję odrzucili, rzucić przeciwko nim armię pod drugim proporcem. Pokonanych można by zmusić do przyjęcia chrztu pod groźbą śmierci w razie odmowy; dla dobra ich dusz lepiej było ich zabić, niż pozwolić, by brnęli dalej przez życie w grzesznym błędzie.

Kanapowych krzyżowców nie brakowało w XIV stuleciu i ten zew wojenny z buduaru nie wydaje się głupszy od innych podobnych apeli z epoki. Poglądom Brygidy wagi dodała jej pozycja na dworze i koneksje; jej brat Israel Birgersson należał do najzdolniejszych sług królewskich; jej przyjacielem, a później orędownikiem kanonizacji był Hemming, biskup Åbo, najbardziej wśród szwedzkich hierarchów zainteresowany prowincjami wschodnimi. Decyzja o wydaniu wojny Nowogrodowi należała jednak wyłącznie do króla, a że Magnus VII nie należał do głupców i nie tak łatwo ulegał egzaltacji jak jego kuzynka, należy sądzić, że kierował się raczej polityczną kalkulacją niż religijnym zapałem.

Nowogród popadł wtedy w tarapaty. W 1346 roku litewski książę Olgierd zagarnął południowe ziemie republiki, a Szymon Iwanowicz Dumny nie interweniował. Nowogrodzianie podzieleni na facje popierające rywalizujących bojarów posunęli się do egzekucji byłe-

go burmistrza za zniewagę wyrządzoną Litwinom. W Skandynawii zaś panował pokój, Norwegowie pogodzą się ze Szwedami i królem Danii Waldemarem IV, który dał przykład wyjątkowej pobożności, udając się na pielgrzymkę do Jerozolimy. Magnus VII zabezpieczył sukcesję obu tronów, doprowadzając do wyboru syna Eryka na króla Szwecji i Skanii, a w Norwegii następcą uczynił drugiego potomka, Hakona. Udało mu się załagodzić wewnętrzne problemy królestwa i przygotowywał właśnie kodeks prawny. Administrację kraju powierzył mianowanemu urzędnikowi (*riksdrot* - odpowiednik marszałka). Teraz przydałaby mu się wygrana wojna i nowe podboje, ale zgodnie z prawną tradycją król mógł rzucić wszystkie siły królestwa na zamorską wyprawę tylko za zgodą wielmożów. Dzięki uporczywej propagandzie kleru wspieranej przez latyfundystów z interesami w Finlandii i na Dalekiej Północy wojna z Nowogrodem mogła trafić szwedzkiej elicie do przekonania; w Norwegii przedstawiony w 1347 roku projekt Magnusa spotkał się ze sprzeciwem, ale król przewyciężył go, ogłaszając planowaną ekspedycję pełnoprawną krucjatą. Jesienią pożegłował do Finlandii i pozostał tam przez zimę, podczas gdy jego wysłannicy przygotowywali grunt dla przyszłorocznej kampanii.

Z pewnym zdziwieniem czytamy w kronice nowogrodzkiej, że przesłanie przekazane Rusom przez Magnusa VII było następujące:

Przyślijcie waszych teologów na koncylium z naszymi, aby mogli dyskutować o wierze i ustalić, czyja jest lepsza; jeżeli się okaże, że wasza, przyłączę się do was, ale jeśli to nasza religia będzie górą, wówczas wy ją przyjmiecie i wszyscy będziemy jak jeden mąż. Gdybyście się jednak nie zgodzili na tę jedność, ruszę na was z całą mocą mego królestwa.

Przyjmuje się zazwyczaj, że kronikarz opacznie przedstawił treść szwedzkiej noty i że prawdziwym zadaniem poselstwa było omówienie kwestii granic i przedstawienie nowych roszczeń terytorialnych. Całkiem możliwe; nie ma jednak nic nieprawdopodobnego w zachowanym opisie tej historii - Magnus VII w oczywisty sposób zwiększyłby swoje szanse na uzyskanie zatwierdzenia wojny przez bullę krzyżową z Awinionu, gdyby publicznie ogłosił, że ma na celu szerzenie chrześcijaństwa. Tak właśnie radziła mu rozpocząć kampanię Brygida: od pokojowej perswazji; poza tym oba wyznania reprezentowały nad Newą przede wszystkim różnice między dwiema rywalizującymi potęgami kolonialnymi. Czy Magnus VII żywił nadzieję również na uznanie go przez Nowogrodzian za protektora zamiast władców litewskich i moskiewskich, nie wiadomo; z pewnością nie mógłby wybrać gorszej metody uwodzenia niż podawanie w wątpliwość przekonaniań obiektu swoich zabiegów. Rusowie odpowiedzieli, że jeśli król Szwecji naprawdę interesuje się teologią, powinien udać się do patriarchy Konstantynopola. Magnus VII oczywiście do podróży nad Bosfor się nie

kwapił, tylko wrócił do Sztokholmu i zebrał armię, w której skład weszli (według *Förbindelsedik*) także duńscy i niemieccy ochotnicy, w tym Henryk von Rendsburg, jeden z grafów Holsztynu. Henryk brał już udział, choć bardzo krótko, w krucjacie przeciwko Litwinom w 1345 roku i jak się zdaje, dla pieniędzy i łupów gotów był na wszystko; w 1355 roku poszedł na żołąd angielskiego króla Edwarda III, służąc mu jako szpieg na region bałtycki.

Wyprawa wyruszyła na morze 8 czerwca 1348 roku i dotarła do Wyborga, kiedy z Nowogrodu przybyło do Magnusa VII kolejne poselstwo, by wznowić rokowania. I znów według źródeł ruskich król miał się upierać przy swoim posłannictwie duchowym: „Nie mam do was żadnej urazy. Przyjmijcie moją religię, inaczej ruszę na was całą potęgą”.

Posłowie pospieszyli z powrotem do Oreszka, niewiele wyprzedzając krzyżowców, którzy wdarli się w górę Newy i dali mieszkańcom grodu ultimatum: przejście na rzymski katolicyzm albo śmierć. Kroniki obu stron mówią o chrzcie wielu Rusów i „goleniu bród”; załoga twierdzy znalazła się w odcięciu od kraju, a część najeźdźców podążyła na południe, do Izory i kraju Wotów. Oblężenie Oreszka zaczęło się 24 czerwca; miesiąc później nowogrodzki zagon zwyciężył Szwedów pod Koporje, ale oblegających to nie zbiło z tropu i w końcu 6 sierpnia forteca się poddała. Zdobywcy zatrzymali w niewoli kilku bojarów, reszcie rusko – litewskiego garnizonu pozwalając odejść do domów.

Sukcesy te nie byłyby możliwe, gdyby nie brak porozumienia między Nowogrodem a jego sojusznikami. Litwini, którzy powinni bronić prowincji Koporje, mieli w ojczyźnie pełne ręce roboty z Krzyżakami i nie kiwnęli palcem w obronie Oreszka. Książę Szymon Iwanowicz Dumny przybył spóźniony, zatrzymały go bowiem sprawy z suwerenem, chanem Złotej Ordy; również jego brat Iwan Iwanowicz nadciągnął po czasie. Magnus VII prawdopodobnie miał nad przeciwnikiem przewagę liczebną, posługiwał się bowiem oprócz własnej armii oddziałami cudzoziemskich pomocników, nie cieszył się nią jednak długo. Dla większości jego podkomendnych jeden sezon letniej kampanii wystarczał aż nadto; on sam powrócił do Szwecji zaraz po upadku Oreszka, pozostawiając tam załogę na tyle małą, by Nowogrodzianie z pomocą Pskowa mogli się pokusić o próbę odbicia twierdzy. Nadeszła zima i ku rozbawieniu obrońców Pskowianie porzucili oblężenie, ich główny przeciwnik wytrwał jednak pod murami i w lutym 1349 roku wziął twierdzę szturmem, wycinając w pień cały szwedzki garnizon.

Dlaczego Magnus VII na to pozwolił? Wiedział przecież, że z nastaniem mrozów nie będzie możliwości odsieczy dla Oreszka i że Nowogrodzianie nie dadzą mu zająć ziem nad Newą bez walki. Być może spodziewał się pomocy z Inflant (tej zimy tamtejsi Krzyżacy zaatakowali Izborsk). Niewykluczone, że liczył na to, iż Rusowie podejmą kolejną rundę negocjacji, zanim ruszą do kontrnatarcia. Przeliczył się; nie poszłoby mu jednak ani trochę lepiej, gdyby zwerbował na wy-

prawę samych pobożnych szwedzkich rycerzy, jak mu później wytknęła kuzynka Brygida, albo po prostu wymordował całą prawosławną populację, co sto lat później sugerował autor *Förbindelsedik*t. Jedyłą szansę powodzenia zmarnował, wracając do Szwecji, zamiast przeć dalej ku Ładodze i samemu Nowogrodowi - zrozumienie tego błędu zajęło mu jednak sporo czasu.

W 1349 roku do Szwecji dotarła czarna śmierć, co na pewien czas uniemożliwiło odwet za los załogi Oreszka - przynajmniej środkami militarnymi. Magnus VII usiłował zgromadzić fundusze na dalsze działania, apelując do poddanych o przysyłanie do swoich katedr grosza od głowy i o modlitwę do Matki Bożej o odwrócenie plagi; jednocześnie próbował osłabić przeciwnika, zakazując swym hanzeatyckim sojusznikom handlu z Nowogrodem. Można przypuszczać, że epidemię uznał za znak gniewu Bożego za zaniechanie walki z poganami i schizmatykami, i z tym większą determinacją zamierzał kontynuować wojnę, gdy tylko nadejdą lepsze czasy. Wciąż nie było zgody ani silnego przywództwa między państwami ruskimi, król wiedział też dobrze, że Nowogród nie wytrzymałby skutecznej blokady gospodarczej. Gdyby udało się nakłonić do współdziałania Krzyżaków, biskupów inflanckich i Hanzę, można by takie embargo bez trudu wprowadzić. Papież Klemens VI z pewnością poparłby takie przedsięwzięcie, a kolejna kampania zobligowałaby go do wydania bulli krzyżowej i sypnięcia dukatami z podatku na krucjaty. Magnus VII mógł też liczyć na po-

moc Norwegów, których w roku plagi dosięgnął ruski najazd (ucierpiały wówczas dobra samego kanclerza).

W sierpniu 1350 roku, kiedy już pogrzebano pierwszą falę ofiar epidemii, król zebrał nową armię krzyżowców i pożeglował w górę Newy pod Oreszek. Jego wyczyny w tej kampanii nie znalazły odbicia w zachowanych ówczesnych źródłach; poza wzmianką w *Rocznikach islandzkich* cała historia tej ekspedycji oparta jest na fikcyjnym *Testamencie króla Magnusa*, ułożonym sto lat później przez ruskiego mnicha. Współcześni historycy nie pokładają w owym dokumencie zbytniego zaufania i przyjmują po prostu, że podany w nim ciąg zdarzeń z 1350 roku nie jest bardziej mylący niż w przypadku znanej z innych źródeł kampanii o dwa lata wcześniejszej. Przy takim założeniu można wydedukować, że Magnus musiał odejść spod twierdzy bez sukcesu i skierował się na południe do Koporje. Przypuszczalnie próbował zdobyć tamtejszy zamek, ale też bezskutecznie, po czym zwrócił się na zachód ku ujściu Narwy, gdzie podczas sztormu jego flota poszła w rozsypkę. Wyprawa nie była taką porażką, jak się może wydawać, ponieważ najprawdopodobniej jej celem nie był podbój, lecz zwykłe nękanie nieprzyjaciela. Magnus VII musiał mieć pod komendą mniejszą siłę niż w 1348 roku i najwyraźniej miał nadzieję na zwycięstwo raczej przez zamknięcie szlaków handlowych niż w bezpośredniej inwazji. Utrata okrętów była w tej sytuacji poważnym problemem, ponieważ od tej pory powodzenie jego ruskiej kampanii zostało uzależnione od niemieckich sojuszników. Tym ra-

zem król nie wrócił do Szwecji na zimę; pozostał w Estonii i Inflantach, rozpaczliwie próbując nakłonić Zakon, biskupów i kupców do podtrzymania blokady; w tym samym czasie jego wysłannicy wyjednali u papieża pełne poparcie dla planowanej kolejnej wyprawy.

15 stycznia 1351 roku kupcy z Dorpatu powiadomili Lubekę, że Magnus VII spędził Boże Narodzenie w Rewlu, nalegając, aby władze inflanckie aresztowały wszystkich naruszających nałożone przezeń embargo na handel z Nowogrodem i zasekwestrowały ich towary. Kiedy rajcy rewelscy i dorpaccy odmówili, „powiedział im, że powinni dać mu satysfakcję za szkody wyrządzone mu przez kupców”. W odpowiedzi dwaj z nich zadali królowi pytanie, czy oskarża całe gremium kupieckie, czy chce pociągnąć do odpowiedzialności konkretne osoby. Magnus VII odparł na to: „Nie wiemy, cóż to takiego gremium kupieckie. Oskarżamy każdego, kto odwiedza Nowogród”. Królewskie żądania zbywano gładkimi słówkami i jest mało prawdopodobne, aby jego zakazy w jakikolwiek poważniejszy sposób zagroziły nowogrodzkiemu handlowi; zdołał się za to dać we znaki niemal każdemu. Wymusił w szwedzkich portach konfiskatę wszelkich hanzeatycznych ładunków przeznaczonych dla Nowogrodu; nie omieszkał przypomnieć inflanckim gospodarzom o swoich roszczeniach do księstwa estońskiego, które oni niedawno nabyli od duńskiego króla Waldemara III; próbował zdobywać wpływy, przyznając Rydze mało istotny przywilej i nieco sowsze nadanie dla cystersów z Padis w Estonii, którym dostały się ziemie i ło-

wiska w Finlandii wraz z królewskim patronatem. Z wiosną nadeszły dobre wieści ze Szwecji i z Awinionu. Klemens VI przyznał Magnusowi VII prawo do poboru połowy czteroletniej dziesięciny krzyżowej i zgodził się pożyczyć mu tę sumę na pokrycie kosztów przygotowywanej ekspedycji. Biskupi z Północy otrzymali polecenie podjęcia głoszenia krucjaty przeciwko Rusom, gdy tylko plaga ustąpi. Zakonowi Krzyżackiemu papież nakazał udzielenie królowi Szwecji pełnego wsparcia, a cel przedsięwzięcia został określony w retoryce obliczonej na dotarcie do serc wszystkich wiernych.

Według bulli z 14 marca 1351 roku pewne ludy zwane Karelami i Izorami poznały, że grzeszą niewiernością, i zwróciły się do króla Magnusa VII z prośbą o pomoc w przejściu na prawdziwą wiarę. Monarcha wyciągnął do nich swą silną dłoń, aby chronić ich przed uciskiem i agresją ruskich wrogów Kościoła. Kiedy jednak otrzymali chrzest i wstąpili do rzymskokatolickiej wspólnoty, a król powrócił do swej stolicy, owi dyszący żądzą mordy Rusowie nieoczekiwanie wtargnęli na ich ziemie i do innych krajów chrześcijańskich. Ścinali i wieszali dobrych katolików, szczuli ich psami i z niewiarygodnym bestialstwem torturowali; zmusili w ten sposób na nowo zniewolonych Karelów i Izorów do powrotu do dawnych błędów, korzystając z tego, że plaga czarnej śmierci nie pozwala królowi ruszyć z odsieczą. Wzywa się zatem wszystkich prawowiernych chrześcijan na ratunek tym udręczonym ludom. Tej literackiej fikcji wiarygodności dodały nadchodzące z Finlandii wieści o nowej ruskiej ofensywie: silny oddział

obiegł Wyborg i spustoszył okolicę, po czym spokojnie wrócił do domu.

Reakcja skandynawskiego duchowieństwa była szybka i nader pozytywna: zgodziwszy się na synodzie w Jonköpingu na papieską pożyczkę dla Magnusa VII, biskupi nie mogli już mu jej odmówić. W latach 1351–1352 królewscy urzędnicy działający pod egidą nuncjusza oskubali ich na dwa tysiące dziewięćset trzydzieści dziewięć funtów - więcej niż wyniosła kontrybucja na wojnę z lat 1324–1329. Nikt inny jednak nie okazał chęci wsparcia władcy w kontynuacji wojny, zakończonej w czerwcu 1351 roku wymianą jeńców; wielmoże norwescy i szwedzcy traktowali go coraz jawniej wrogo, na dobitkę w 1352 roku zmarł jego przyjaciel Klemens VI. Akurat w chwili, gdy konflikt z Nowogrodem wydawał się wyniesiony do rangi godnej i świętej sprawy, niemal wszyscy zainteresowani stwierdzili, że to przedsięwzięcie niepraktyczne, mało zyskowne i nieuczciwe. W 1355 roku papież niespodziewanie zażądał zwrotu pożyczki - być może w wyniku machinacji Waldemara IV. Rok później w Szwecji wybuchł bunt przeciwko królowi; Magnusa VII zmuszono, by dzielił tron ze swym synem Erykiem. Reszta lat panowania upłynęła królowi w nieustannym kryzysie politycznym. Za jego życia Szwecja utraciła Skanię, rozpadła się też unia z Norwegią. Ostatnie upokorzenie dopadło go jeszcze po śmierci, kiedy nieznany XV-wieczny skryba z Nowogrodu napisał wspomniany już *Testament króla Magnusa*. Według autora szwedzki monarcha dopełnił żywota pod imieniem Grzegorz -

przyjął bowiem prawosławie i wstąpił do monasteru Walam na jeziorze Ładoga, gdzie trafił po detronizacji i katastrofie statku, którym płynął. Czując nadchodzącą śmierć, eks-król zwraca się do syna i wyimaginowanego brata z surową przestrogą, aby nigdy się już nie porywali na wojnę z Rusią, puentując apel streszczeniem historii stosunków rusko-szwedzkich od 1240 roku. W katastrofach na lądzie i morzu, jakie spadały na jego lud przez ostatnie stulecie, pokutnik upatrywał wyraźnego dowodu boskiego gniewu, a własną żalosną historię przytoczył jako ostateczny argument, że z krucjat przeciwko prawosławnym Rusinom nie może wyniknąć nic dobrego. Dlatego więc jego następcy muszą

(...) żyć w pokoju i miłosierdziu, unikać wszelkiej zdrady i kłamstwa, wyrzec się luksusów, pijaństwa i diabelskich igrców, nikomu zła nie czynić ani gwałtu, nie łamać umów przypieczętowanych pocałunkiem na krzyżu złożonym i na ziemi ruskie nie jeździć, dopóki pokój nie nastanie miły Panu, albowiem inaczej radości w tym życiu nie zaznają, a i dusze zgubią na wieki.

Rada zaiste przednia; Magnus VII mógłby jej jednak udzielić tylko wtedy, gdyby rzeczywiście przeszedł na prawosławie. W jego łacińskim świecie walka z Rusami była aktem chwalebnym, a gdyby nawet żywił w tej mierze jakieś wątpliwości, wybiłaby mu je z głowy wizjonerka Brygida, która nawet po klęsce krucjaty twierdziła, że Chrystus oczekuje od króla i biskupów podboju i nawrócenia „pogan”. Pierwsza próba się nie mogła powieść, ponieważ nie wypełniono właściwie jej

instrukcji; słowa Pana były jednak wyraźne: „W wasze ręce oddaję tę część ziemi i wymagam, abyście okazali za nią odpowiedzialność”. Brygida narzucała krzyżowcom tak wysokie normy moralne, że żadna armia śmiertelników nie mogłaby jej usatysfakcjonować. Jeżeli prawo bić się w imię Chrystusa mieli wyłącznie ludzie niepokalanie czystego serca, to Nowogrodzianie mogli spać spokojnie...

Upadek znaczenia Szwecji i Norwegii po śmierci Magnusa VII oznaczał, że nie będzie dalszych prób obrócenia lokalnych granicznych sporów w wojny religijne. Meklemburscy i duńscy dynaści więcej mogli zyskać, handlując z Rusią, niż z nią walcząc. Król szwedzki Albrecht zawarł przymierze z inflanckimi Krzyżakami w 1375 roku, a trzy lata później papież Urban VI upoważnił episkopat szwedzki do udzielania odpustów wszystkim, którzy wyruszą na następną krucjatę ruską lub wyłożą na nią pieniądze, do żadnej akcji jednak nie doszło. Szwedzcy i fińscy feudałowie z pogranicza próbowali jeszcze drobnych wypadów w latach 1395, 1396 i 1411, ale niczego nie zwojowali. W latach czterdziestych XV wieku Rusowie i Karelowie toczyli potyczki z Norwegami, ale władze z Kopenhagi niewiele w tej sprawie robiły. Sytuacja się zmieniła dopiero pod koniec stulecia, kiedy grupie szwedzkich wielmożów popierających regenta Stena Sturego udało się wywalczyć niezależność od duńskiego króla. Zderzenie ekspansji Moskwy na zachodzie z ambicjami Stena, który pragnął umocnić swą pozycję przez odrodzenie szwedzkiego panowania w Finlandii,

a gdyby się dało, to i przez narzucenie go Inflantom, doprowadziły do kolejnej wojny na Północy. 22 czerwca 1496 roku papież Aleksander VI wydał ostatnią bulwę nakazującą werbunek krzyżowców w Szwecji, ale był to daremny gest: dokument przechwycił wróg regenta, król Danii Jan II Oldenburg, i Sture stracił władzę, zanim zdążył zakończyć kampanię. Nad Bałtykiem, jak i gdzie indziej, zachowanie politycznego status quo okazywało się ważniejsze od świętych wojen. W latach czterdziestych XVI wieku wygnany biskup szwedzki Olaus Magnus z nostalgią wspominał dawne dobre czasy, kiedy monarchowie jego kraju w dniu koronacji pasowali „złotych rycerzy”, zobowiązując ich do obrony Kościoła, oni zaś „tak wiernie i ściśle ową przysięgę wypełniali, że gdy tylko ogłaszano wojnę przeciw jego nieprzyjaciołom, zwłaszcza moskiewskim schizmatykom na wschodniej rubieży (...) niezwłocznie własnym sumptem ruszali z silnymi pocztami do boju w imię Pana”. Następnym szwedzkim krzyżowcem miał jednak zostać dopiero Gustaw II Adolf.

Krzyżowcy Europy Północno- Wschodniej

Systemy rządów

Trzy wypracowane przez zachodnich krzyżowców sposoby zarządzania podbitymi terytoriami nad Bałtykiem stosowane były ze zmiennym powodzeniem. Szwecja i Finlandia pozostały razem prawie na sześćset lat. Zakon Krzyżacki utrzymał Prusy i Inflanty niemal trzy wieki. Królowie duńscy byli suwerenami północnej Estonii ledwie sto lat. Nie było żadnego pojedynczego, wyodrębnionego czynnika decydującego o długości panowania zdobywców: zależało to od wielu aspektów, jak poziom logistyki, gospodarki, zagęszczenia osadnictwa i stopnia asymilacji kulturowej, składających się na ogólną sprawność administracyjną.

Najkrótszy żywot miał reżim najmniej ingerujący w życie prowincji. Monarcha duński pokazał w Estonii silną rękę tylko dwukrotnie: w 1219 roku ją podbił, a w latach 1238–1242 zbrojnie narzucił system osadnictwa. Przysłani później do Rewia królewski namiestnik i biskup mieli już sami pilnować interesów Korony i Kościoła, a wasale płacić dziesięcinę i podatek ziemski oraz składać hołd lenny nowo intronizowanym władcom. Teoretycznie Waldemar II miał w Estonii taką samą władzę jak w Danii; prawa jego następców zostały w praktyce ograniczone - rządy scedowano na gremium saskich dzierżawców

(*Ritterschaft*), a królewscy namiestnicy działali w ramach systemu prawno–konsultacyjnego. Już w 1248 roku rycerstwo i mieszczenie z Rewla przejęli częściowo rolę ciała ustawodawczego, a w 1252 roku niektórym wasalom przyznany został przywilej automatycznego dziedziczenia ziemi zgodny z niemieckim prawem feudalnym. Duński obyczaj spadkowy nigdy się tam nie zakorzenił. Do 1282 roku utarło się, że namiestnika wspomaga złożona z lenników rada, a od 1315 roku *Ritterschafti* żył, zarządzał swymi dobrami i je dziedziczył według własnego kodeksu. Estonia bezapelacyjnie była własnością Korony duńskiej i królowie bili jej monetę, ale choć przez cały okres od 1242 do 1319 roku nie szczędzili wysiłków, by utrzymać i rozszerzyć swą władzę nad tamtejszym Kościołem i warstwą latyfundystów, nie przyniosło to żadnych rezultatów. Lojalność estońskich wielmożów zasadzała się li tylko na własnym interesie i gwarancji dzierżawy.

Układ ten mógłby przetrwać dłużej, gdyby nie rozpad duńskiej monarchii w latach trzydziestych XIV wieku i finansowe kłopoty jej odnowiciela, Waldemara IV, dziesięć lat później. Przyciśnięty wewnętrznymi problemami i niezdolny przełamać monopolu Hanzy w handlu morskim, król doszedł do wniosku, że więcej zyska, sprzedając zamorską prowincję, niż upierając się przy resztkach praw suwerena. Zgodził się na zaproponowaną przez Krzyżaków cenę dziesięciu tysięcy marek - i tak Estonia stała się lennem wielkiego mistrza, skonfederowanym z Inflantami. Rewel

i organizacja wasalów zachowały swe konstytucyjne przywileje, ale rządy inflanckiego mistrza krajowego okazały się skuteczniejsze i bardziej surowe niż dalekiego hegemonu, który owych uprawnień udzielił. Powstanie estońskich chłopów, o którym będzie mowa w dalszej części rozdziału, zdążyło podkopać duńską administrację, zanim stłumili je zakonnicy rycerze.

W Finlandii podejście zdobywców było odmienne. Królowie szwedzcy próbowali doprowadzić do asymilacji nowych ziem ze starym krajem; ich władza opierała się na różnorodnych powiązaniach wytworzonych podczas znacznie dłuższego okresu podboju, ugruntowana przez bliższe kontakty. Za model społeczności kolonialnej posłużyła wspólnota szwedzkich przybyszów i fińskich nawróconych, egzystująca na południowym zachodzie, zanim jeszcze Birger narzucił w latach czterdziestych XIII wieku królewskie rządy. Jej członkowie żyli jak wolni kmiecie szwedzcy, według podobnego prawa i w posłuszeństwie wobec szwedzkiego biskupa. Monarcha i jego namiestnik w Åbo mogli budować swą władzę tak samo jak w ojczyźnie i stopniowo ją rozszerzać na inne ziemie, w miarę nawracania coraz większej liczby Tawastian i Suomi.

W przeciwieństwie do Estończyków większość miejscowych wolnych gospodarzy była wyłączona z systemu zależności feudalnej; można powiedzieć, że cała populacja Finlandii - poza niewolnikami - dzieliła się na kilka mniej lub bardziej uprzywilejowanych grup, bezpośrednio podległych królowi. Była tam

warstwa wielmożów, którzy jednak nie stanowili zwartej organizacji, a ich status zależał od ich użyteczności jako zarządców. Wzniesione na zajętych terenach zamki królewskie w Åbo, Tavastehus i Wyborgu stały się ośrodkami administracji państwowej z przypisanymi do nich posiadłościami i przywilejami fiskalnymi, i były oddawane na określony czas lennikom, którzy wówczas przejmowali obowiązki namiestników lub sędziów z prawem mianowania podległych im urzędników. W 1340 roku król Magnus II przekazał w ten sposób Danielowi Nilssonowi

(...) nasze zamki w Åbo, Tavastehus i Wyborgu wraz z gruntami, prowincjami i wszelkimi innymi przynależnościami, aby nimi w naszym imieniu zawiadywał przez cztery lata (...) pod warunkiem że przysyłać będzie sumiennie co roku naszą daninę z Finlandii i Wysp Alandzkich w futrach rozmaitych, gotowiźnie, maśle i bydle, może zaś zatrzymywać rokrocznie przychód z innych naszych praw i opłat sądowych na cele rozbudowy wspomnianych twierdz i koszty utrzymania tudzież wynagrodzenie swoje i kasztelanów.

Takie warunkowe wydzierżawianie królewskich przywilejów przywiązywało szwedzkich wielmożów do monarchii i stymulowało tworzenie się potężnej kasty magnackiej oraz proces zjednoczeniowy: szwedzcy oligarchowie mogli dzięki temu dobrze prosperować w Finlandii, a oba kraje miały tę samą elitę. Brat króla rządził

kolonią jako księżę w latach 1284–1291 i 1302–1318; w Wyborgu między 1320 a 1483 rokiem funkcję kasztelana pełnili członkowie rodów Bielke, Stålar, Grip, Vase, Bonde i Tott, zatrudniając na urzędach między innymi familiantów z rodów Sparre i Natt och Dag (dzisiaj najstarszego w Szwecji).

Rycerze z pocztów tych wielmożów – zarządców byli rozkwaterowani u wolnych chłopów; z czasem część z nich zdobyła ziemię dla siebie, żeniła się z przedstawicielkami zamożniejszych miejscowych oraz osadniczych rodzin i stworzyła warstwę *frälse* (szlachty) - ludzi na średnim szczeblu drabiny społecznej, liderów miejscowych społeczności w czasie wojny i pokoju, z dziedzicznymi zwolnieniami od podatków, obronnymi dworami, herbami i pieczęciami, ale nie stanowiących silnego ciała politycznego i niekoniecznie szwedzkiego pochodzenia. *Fräls* współpracowali z królewskimi urzędnikami w zarządzaniu prowincją i w przedsięwzięciach militarnych; wprawdzie zdominowali lokalne zgromadzenia ludowe, ale bardziej jako „udziałowcy” niż polityczni monopolisci.

Obok tych nobilów stało duchowieństwo, szczególnie liczne w południowo–zachodniej Finlandii, wywodzące się spośród zamorskich kolonizatorów oraz rdzennej ludności i cieszące się identycznymi przywilejami jak w Szwecji. W 1291 roku biskupem Åbo został Fin o imieniu Magnus; w nawracaniu pogan współdziałali z nim księża i zakonnicy pochodzenia szwedzkiego, fińskiego,

angielskiego i niemieckiego. Ich praca przyczyniała się do umacniania władzy monarszej - z początku przez przyzwyczajanie do koncepcji podatku płaconego przez wszystkich chrześcijan (który później król przejął od biskupa), a potem przez wciągnięcie obu krajów do wspólnej krucjaty antyruskiej. Kościół bogacił się głównie na dziesięcinie (narzuconej w trzech odmianach, zależnie od zaludnienia i stanu gospodarki danej społeczności); upowszechnienie tego obowiązku fiskalnego wraz z prawem kanonicznym pomogło ująć bardzo luźno zorganizowaną prowincję w ramy zunifikowanego tworu politycznego.

Z końcem XIV wieku mieszkańcy nowo założonych miast Ulfsby (Björneborg lub Pori), Rauma, Åbo, Borga (Porvoo), Wyborg i Pernå (Pernaja) stanowili kolejną uprzywilejowaną grupę zabiegającą o królewską protekcję; osadnicy z Nyland tworzyli bardziej zwarte społeczności z własnymi zgromadzeniami prawodawczymi i obyczajami społecznymi zbliżonymi do panujących w Szwecji. Ogólna populacja wolnych ludzi podlegała prawu publicznemu (według kodeksu szwedzkiego lub fińskiego): brali udział w zgromadzeniach ogólnych i poprzez system fiskalny i obowiązkową służbę wojskową byli związani bezpośrednio z władzą królewską. Różnorodność rozwiązań politycznych na tym się nie kończyła. Istotne różnice z konieczności zaistniały między kasztelaniami wschodniej i zachodniej części Finlandii. Głównym zadaniem kasztelana z Wyborga była obrona granic i nadzorowanie rzadko rozrzuconych, a skłonnych do

włóczęgostwa miejscowych grup. Musiał on radzić sobie z wodzami wojowniczych karelskich plemion, ale i z rodakami – pionierami zajmującymi się handlem futrami, których nie dało się wcisnąć w ramy modelu mieszanej społeczności jak w Åbo, a król kojarzył się im tylko z obowiązkiem podatkowym i od czasu do czasu militarnym. Finlandia zachodnia była natomiast podzielona na parafie, „setki” i *snaekke laghar* (okręgi utrzymujące okręty wojenne).

W rezultacie tych tak różnorodnych kontaktów władza królewska mogła być egzekwowana w Finlandii równie ściśle jak w samej Szwecji i pod pewnymi względami ten kraj stał się po prostu *Osterlande*, wschodnimi prowincjami, jednej monarchii. W 1362 roku miejscowego głównego sędziego wezwano wraz z gronem prawników i osób niezwiązanych z jurysdykcją do udziału w elekcji i intronizacji nowego króla - na równi z siedmioma jego odpowiednikami ze „starego kraju” - i to zaproszenie stało się wielce przez kolonistów cenionym przywilejem. Związek ten kwitł, ponieważ w rozkwicie była też skandynawska tradycja samorządu, której sprzyjała słaba komunikacja, mała gęstość zaludnienia i kulturowa odmienność. Z punktu widzenia elity politycznej oznaczało to, że Finlandia nie może, lecz i nie musi być bardzo skutecznie zarządzana. Nie upowszechnił się tam narodowy kodeks króla Magnusa II, główny sędzia nie mógł brać udziału we wszystkich zgromadzeniach prawodawczych (a więc i nadzorować ich), a kasztelanowie Wyborga byli w dużej mierze sobie panami. Za panowania króla Albrechta

Meklemburskiego szwedzki wielmoża Bo Jonsson Grip zdołał zbudować w Finlandii silną osobistą hegemonię, której przełamanie zajęło następczyni króla, duńskiej królowej Małgorzacie, całe dziesięć lat; skutkiem tej nierządności nie było jednak oderwanie prowincji od Korony, ale raczej rozrost szwedzkich instytucji jako środków ochrony lokalnych interesów. Stąd się wzięły zgromadzenia, o których mówią XV-wieczne dokumenty (*lagmansting, vinterting, sommaring, häradsting, skatting, fiskting*), oraz rada świeckich i duchownych urzędników (*landsraeth*), pełniąca rolę sądu najwyższego i zbierająca się w Abo na tydzień przed dniem św. Henryka (18 czerwca).

Szwedzkie rządy zapewniały zatem wielu, a może i większości mieszkańców Finlandii - niezależnie od pochodzenia - prawa osobiste i majątkowe, którym mocy przydawał sam charakter kraju. Ów system pozostawiał na marginesie populację niewolnych, których sytuacja ani trochę nie była lepsza niż w Szwecji, ale znakomita większość wolnych rolników nie mogła narzekać na zbytne obciążenia poza podatkiem, dziesięciną i służbą wojskową - a tingi dawały im możliwość co najmniej wyartykułowania tych skarg.

W całkiem inny sposób zarządzane były Prusy i Inflanty. Tam rząd miał formę złożonej pajęczyny administracyjnej obsadzonej przez wyszkolonych urzędników rekrutowanych w krajach odległych o dobre kilkaset kilometrów. Był to tylko tryb w maszynie Zakonu Krzyżackiego, oprócz zarządzania i walki nakierowanej również na działalność misyjną na rzecz

Kościół rzymskokatolickiego. W 1309 roku siedzibę główną Zakonu przeniesiono do Prus, ale choć nadało to tym ziemiom wyraźniejszy charakter państwowy, system się nie zmienił i wciąż zasadzał się na wyzykiwaniu tubylców, kolonistów i przybyszów z całej Europy przez jedną, cementującą organizację oddaną nie konkretnemu krajowi, lecz sprawie. Pod pewnymi względami okazało się to bardzo skuteczną metodą rządzenia.

Przede wszystkim wyróżniała ją ciągłość i spójność. Ani Prus, ani Inflant nie trapiły typowe dla średniowiecza kryzysy władzy: spory wokół sukcesji, problemy mniejszości, regencje, nieodpowiedzialni lub nieporadni władcy. Kiedy krzyżacki wielki mistrz umierał lub niedołężniał, reguła zapewniała niemal niezawodną procedurę wyszukiwania i instalowania godnego następcy. Zastępca mistrza zwoływał regionalnych komturów na wyborcze posiedzenie kapituły, na którym wyznaczano przewodniczącego; ten nominował dwunastoosobowe kolegium elektorów, złożone z siedmiu rycerzy, czterech braci służebnych i jednego księdza, dobieranych metodą kooptacji. Kiedy jeden z kandydatów otrzymywał większość głosów, pozostali głosujący uznawali ten werdykt i nowy mistrz zostawał przyjęty przez aklamację. I tak, kiedy w 1303 roku wielki mistrz pruski Gotfryd von Hohenlohe został zmuszony do złożenia urzędu (na wniosek kapituły, która uznała go za nieudolnego) i objął baliwat we Frankonii, a później próbował odzyskać pozycję, poniósł porażkę, a nowym mistrzem został jednogłośnie

wybrany Zygfryd von Feuchtwangen. Nawet po śmierci Wenera von Orselna z ręki szaleńca w 1330 roku, kiedy Zakon prowadził wojnę z Polską i został zdyskredytowany w kurii rzymskiej, a nie było pod ręką krzyżowców, którzy uratowaliby sytuację, do kryzysu nie doszło. Elektorzy wyznaczyli nowego przywódcę bez zbędnego pośpiechu - w trzy miesiące - i zakonna machina funkcjonowała jak zawsze. Piętnaście lat później, kiedy militarne niepowodzenia przyprawiły wielkiego mistrza Königa o czasowy obłęd (zasztyletował człowieka za zakłócenie mu modlitwy), jego zastępcę von Dusemer po prostu zamknął go w zamku Engelsburg, zwołał kolegium wyborcze, oficjalnie przejął obowiązki wielkiego mistrza i niezwłocznie wznowił wojnę z Litwą. König później wrócił do zmysłów i na stanowisko, nigdy jednak nie miał Dusemerowi za złe jego decyzji.

Ten system stworzył wysokie wymagania wobec przywódcy. Do 1498 roku wielkim mistrzem mógł zostać tylko człowiek ze stażem na wysokim stanowisku administracyjnym, który zdążył już udowodnić swą wartość. Luder von Braunschweig przed wyborem piastował takie funkcje przez szesnaście lat (był między innymi komturem w Dzierzgoniu); Dusemer, von Kniprode i Zöllner mieli po dziesięć lat doświadczenia w administracji zakonnej. Znaczenie i bogactwo rodów kandydatów nie miało, jak się wydaje, większego wpływu na decyzje elektorów. Braunschweig był księciem, ale nie to zagwarantowało mu najwyższą pozycję w Zakonie; równy mu rangą książę Albrecht Saski

przesłużył życie jako komtur na pograniczu i nigdy nie dochrapał się wyższej godności. W latach 1309–1525 tylko jeden wielki mistrz został usunięty za nieudolne rządy - był to Henryk von Plauen, człowiek, który uratował Zakon przed całkowitym unicestwieniem po klęsce grunwaldzkiej w 1410 roku. Nie wszyscy mistrzowie byli wzorowymi przywódcami. Kilku zasłużyło na epitety w rodzaju „wyniosły, uparty, apodyktyczny”, żadnemu nie można było jednak zarzucić gnuśności, niezdecydowania czy niegospodarności.

Było to niezwykle ważne, ponieważ zapisane w regule zakonnej konstytucyjne ograniczenia ich władzy nigdy nie weszły w pełni w życie, a po 1309 roku stały się martwym przepisem. Po przeniesieniu domu głównego do Malborka ze stanowiskiem wielkiego mistrza łączyło się osobiste zwierzchnictwo feudalne nad Prusami, prywatny majątek na Pomorzu Gdańskim, do jego komory trafiały też dochody z czterech baliwatów niemieckich. Posłuch wśród pruskich komturów zapewniał mu kontrolę nad kapitułą generalną (zbierając się w Elblągu), oficjalnie najwyższą instancją Zakonu, której rola w praktyce sprowadzała się do zatwierdzania jego decyzji administracyjnych i personalnych.

Wymienieni w rozdziale 3. najwyżsi urzędnicy zakonnici stali się głównymi administratorami Prus. Wielki komtur pełnił rolę kasztelana malborskiego; u boku wielkiego mistrza swą siedzibę miał tam również wielki skarbnik. Wielki marszałek objął twierdzę królewiecką, wielki szpitalnik elbląską, a wielkiemu szatnemu przypadł w udziale Dzierzgoń. Jako mnisi docho-

wywali posłuszeństwa wielkiemu mistrzowi w znacznie większym stopniu, niż można było tego w owym czasie oczekiwać od feudalnych panów w świeckich królestwach, zgodnie współpracowali też przy wykorzystywaniu wszelkich zasobów kraju dla dobra Zakonu - w latach dwudziestych XIV wieku krzyżacka organizacja gospodarcza zdążyła już okrzepnąć i była nad wyraz sprawna. Kwestią zboża zajmował się *Gross-Schäfer* podległy wielkiemu komturowi; do jego zadań należał nadzór nad produkcją rolną ziem nadwiślańskich (Żuławy, Prusy Górne) i nominacja przedstawicieli handlowych (*Lieger*). Pieczę nad gospodarką Prus Dolnych miał rezydujący w Królewcu zarządca u boku wielkiego marszałka i jego *Liegern* (trzech na miejscu, po jednym w Lubece i Brugii); podlegli im kupcy (*Wirte*) zajmowali się głównie bursztynem. Bieżącą politykę ekonomiczną dyktował Malbork i tam do wielkiego skarbnika trafiały doroczne rozliczenia. Inne źródła dochodu - podatek zbożowy, opłaty targowe, myta, wpływy z eksploatacji lasów, zyski z mennicy, sądownictwa, rybołówstwa i łaźni - były pod kontrolą wielkiego mistrza i poszczególnych komturów, ale przez większość XIV stulecia krzyżackie miasta nie były bezpośrednio opodatkowane. Do malborskiego skarbcza wpływała za to część narzucanych przez Hanzę opłat celnych, a sam wielki mistrz był oficjalnie członkiem Ligi.

Aby usprawnić te narzędzia administracyjne, Zakon podzielił Prusy na okręgi zwane komturiami, zarządzane przez osiadłych w zamkach funkcjonariuszy

początkowo zwanych *preceptores*, a później komturami lub adwokatami (pomocnikami), w zależności od tego, czy zawiadowali ziemiami zakonnymi czy biskupimi. Komturowie sprawowali władzę polityczną i wojskową w imieniu wielkiego mistrza i oczywiście kierowali swoimi konwentami zakonnymi. Każdy z domów krzyżackich organizacyjnie łączył funkcje wspólnoty religijnej, kadry oficerskiej i administracji publicznej. Wielu urzędników specjalizowało się w sprawach fiskalnych, rozliczając się w systemie tygodniowym przed szefami wydziałów; każdy konwent sam się finansował, lecz ich efektywność była kontrolowana w drodze comiesięcznych bilansów przekazywanych zwierzchnikom. W XIV wieku wszystkie zakony borykały się z problemami typowo świeckimi; wśród cystersów i benedyktynów stanowiska związane z zarządzaniem posiadłościami były uważane niemal za symbol moralnego rozkładu; jednakże w zakonie, który za jedno z naczelných zadań przyjął rządzenie podbitymi krajami, takie mnożenie urzędów było zjawiskiem nieuniknionym i usprawiedliwionym. Ponieważ większość Krzyżaków nie pochodziła z warstwy panującej, zdobywanie doświadczenia administracyjnego przez jak najszersze kręgi było pożądane, a hierarchia stanowisk zapewniała drabinę awansu, po której najwyżej wspinali się najzdolniejsi.

Na przestrzeni XIV wieku szeregowi rycerze zakonni z Prus i Inflant zaczęli sobie poczynać bardziej jak panowie niż zakonnicy i trzeba im było nieustannie przypominać o złożonych ślubach. Nowe rozporządze-

nia wielkich mistrzów zakazywały im noszenia drogich, ekscentrycznych lub po prostu obcisłych ubrań, przywłaszczania nadwyżek pieniężnych po zakupach na potrzeby konwentu, niepotrzebnie podróżować z nadmierną pompą; zabronione zostało posługiwanie się prywatnymi pieczęciami, gromadzenie pieniędzy, wulgarne przeklinanie, spiskowanie i zabieganie o urzędy, a nawet trzymanie stad psów. Samo wydawanie podobnych zakazów świadczy o tym, że najwidoczniej były niezbędne. Niemniej dzięki systemowi inspekcji i kar Krzyżacy na ogół dochowywali zasad życia we wspólnocie, słuchali rozkazów i wspierali ogólną politykę swej organizacji. Jako zbiorowość tworzyli prawdziwą warstwę rządzącą, dobrze przygotowaną do trzymania ludzi w ryzach i szczerze temu zadaniu oddaną.

Militarną sprawność tego systemu można ocenić na podstawie historii prowadzonych przez Zakon wojen. Trudniej oszacować jego skuteczność ekonomiczną, żadne dokumenty nie podają bowiem ówczesnych łącznych przychodów Krzyżaków w Prusach. Jak jednak można sądzić po dowodach zakupu ziemi i udzielanych pożyczek, budowie zamków i kościołów oraz podejmowanych kampanii wojennych, najwyraźniej doskonale prosperowali. Aż do końca XIV wieku nie musieli nakładać w Prusach powszechnego podatku wojennego, a pierwsze symptomy kryzysu finansowego i rosnącego zadłużenia Zakonu pojawiły się dopiero na początku następnego stulecia. Trudności, jakie wstrząsały Danią, Szwecją i północnoniemieckimi księstwami - malejące

dochody państwa, buntowniczy magnaci, rozpad terytorialny - na krzyżackie ziemie nie docierały, a jeżeli, to znacznie później.

Ta stabilizacja nie wynikała ze sztywnego scentralizowania ani politycznej jednorodności. Na pozór podobne do siebie organizacje Zakonu w Prusach, Inflantach i w Rzeszy wypełniały w istocie odmienne zadania i pozostawały w dużym stopniu odrębnymi ciałami polityczno-ekonomicznymi, choć wszystkie podlegały władzy wielkiego mistrza. W Prusach, dzięki stosunkowo słabej pozycji biskupów Sambii i Warmii, Krzyżacy mieli wolną rękę w tworzeniu państwa i rządzeniu nim. W Inflantach mistrz krajowy (wyznaczany przez wielkiego mistrza spośród dwóch kandydatów przedstawionych przez miejscowych komturów) miał głowę zawsze zaprzątniętą problemami, jakie rodziło dzielenie władzy z o wiele bardziej niezależnymi purpuratami z Rygi, Kurlandii, Dorpatu i Ozylii, a także z estońskim rycerstwem i Kościołem. Po 1330 roku, kiedy mistrz Monheim zajął cały gród ryski, Zakon kierował tą prowincją silniejszą ręką, czemu sprzyjały jego rosnące bogactwo i militarna sprawność. Inflanccy mistrzowie również mieli swoich skarbników, marszałków i wyższych urzędników, a także prywatne dobra w Rzeszy; współpracowali wprawdzie ze swym malborskim zwierzchnikiem, ale kłopoty lokalne często brały górę nad zakonną lojalnością. Wielki mistrz mógł ich utrzymywać w posłuchu tylko taktem i perswazją; oni z kolei rządy sprawowali tylko za zgodą provin-

cialnego parlamentu (*Landtag*), od 1422 roku zbierającego się corocznie.

Warunki bytowe

A. Rdzenni mieszkańcy

Zdobywcy krain nad wschodnim Bałtykiem dążyli do reorganizacji panujących tam od wieków tradycyjnych wzorców społecznych. Pragnęli uczynić je bardziej „chrześcijańskimi” - to znaczy miały przypominać albo ich ojczyznę, albo idealny model katolickiego kraju - a przede wszystkim zależało im na ujęciu zdobyczy w karby administracji. Kierowali się powszechnymi w ich epoce zachodnioeuropejskimi założeniami, musieli się jednak liczyć z całym szeregiem lokalnych utrudnień: ostrzejszym klimatem, słabszym zaludnieniem, uboższymi glebami, chwiejną ekonomią i uciążliwą komunikacją. Z końcem XIII wieku zręby nowego porządku były już wykute: w każdej prowincji rozwinęła się hierarchia duchowna i świecka, z wyraźnie zarysowanym podziałem na warstwy - panów, mieszczan i chłopów, rządzących i rządzonych. Sto lat wcześniej zastosowanie takich kategorii nie było jeszcze możliwe. Jednakże, jak wszędzie na pograniczu, żyło tam wielu ludzi, których tak sklasyfikować się nie dało, a cała ta struktura miała szczególny, wschodniobałtycki charakter.

Najbardziej widoczne było to w Finlandii, gdzie zmiany społeczne dokonywały się najwolniej i najmniej planowo. Fiński chłop posiadający ziemię orną na

zachodnim wybrzeżu mógł się wydawać równy pod względem zamożności i statusu szwedzkiemu i podlegał takim samym formom opodatkowania; jednakże i on, i cała grupa, do której należał, mogli w rzeczywistości czerpać z odziedziczonych praw łowieckich gdzieś o kilkadziesiąt kilometrów w górze rzeki najwięcej dochodów, które można było egzekwować, jedynie opuszczając gospodarstwa w określonych porach roku i pozostawiając prace rolnicze kobietom. W Karelii większość wolnej populacji tak często przebywała na wyprawach nmyśliwskich, że nawet zamożna i szanowana rodzina mogła się wydać poborcy podatkowemu koczownikami bez stałego miejsca zamieszkania. Kiedy w 1316 roku król Birger nalegał, aby kobietom karelskim przyznano takie same prawa jak Szwedkom, najwyraźniej przeoczył dość istotny fakt: Karelkom nie wolno było dziedziczyć ziemi, były za to wychowywane i szkolone tak, by polować, walczyć i pracować na równi z mężczyznami. Lapończyk własnych gruntów nie posiadał w ogóle, mógł natomiast być przywiązany do czyjegoś gospodarstwa jak niewolnik - ale bywało, że pojawiał się w nim tylko raz na rok, za to cieszył się prawem użytkowania zasobów naturalnych na obszarze większym niż angielskie hrabstwo. Z drugiej strony parafia dorównująca pod względem powierzchni italskiej diecezji z trudem mogła zapewnić utrzymanie, i to bardzo spartańskie, tylko jednemu księdzu.

Dalej na południe, gdzie społeczna granica między zdobywcami a podbitymi ludami była ostrzej

zarysowana, a system feudalnych zależności istniał na długo przed przybyciem Niemców, nowi władcy mogli w większym stopniu przekształcać społeczeństwo według własnego modelu. W XIII wieku jednym z najpilniejszych problemów była adaptacja zastanych wzorców sprawowania władzy bez wywoływania chaosu i niezadowolenia. Tubylczy nobile wiedzieli, jak to robić - jeśli więc nowy reżim miał przetrwać, musiał to wykorzystać, a popierali go w tym papież i cesarz, nakazując przyznawanie nawróconym poganom pewnych swobód.

Na ziemiach pruskich taki zestaw praw, przysługujący wszystkim wolnym Prusom, którzy przyjęli chrześcijaństwo, początkowo określał pokój w Dzierzgoniu z 1249 roku. Nawróconym wolno było zawierać małżeństwa, sporządzać testamenty, handlować, wnosić pozwy do sądu, wstępować do stanu duchownego, mogli też być pasowani na rycerzy, a pozbawić ich dziedzictwa można było tylko na drodze sądowej. Wszelkie odstępstwa od chrześcijańskiego prawa i obyczajów podlegały karze pozbawienia praw, a tym samym krzyżackie sądy kościelne stanowiły środek kontroli politycznej; poza tym jednym ograniczeniem traktat dzierzgoński dopuszczał, aby spora część dawnego porządku została zachowana w ramach nowego.

Później jednak nadeszły bunty i apostazje z lat 1260–1283, podczas których wielu Prusów straciło ziemię, przywileje i życie, a duża część nobilów opuściła ojczyste strony. Rezultatem tych procesów było

rozwarstwienie społeczności, w których faworyzowani tubylcy cieszyli się wyraźniej określonymi prawami, które wynosiły ich wysoko ponad poziom zwykłych wolnych ludzi i stawiały niemal na równi z napływającymi na ich tereny niemieckimi osadnikami. Pozycji tej nowej grupy nie ustalał żaden pojedynczy traktat, jej zarysów możemy się jednak domyślać na podstawie zachowanych w krzyżackich archiwach indywidualnie przyznawanych przywilejów. Jednym z najwcześniejszych jest dokument wydany w 1262 roku przez mistrza krajowego Rechburga niejakiemu Troponowi.

Człowiek ów otrzymał dwa majątki ziemskie z dwiema osadami, nad którymi przyznano mu pełną jurysdykcję z wieczystym prawem dziedziczenia przez potomstwo płci obojga. Zwolniony został z dziesięciny i obowiązku dostarczania siły roboczej, a na dodatek zyskał odrębny seniorat nad dziewięcioma pokrewnymi klanami w Sambii. Jedyne jego zobowiązaniem publicznym było zapewnienie niewymienionej w dokumencie liczby ludzi do trzech służb: udziału w *hervart* (wyprawach wojennych), *lantwern* (lokalnej obronie terytorialnej) i *borchbuunge* (pracach fortyfikacyjnych). Tropo najprawdopodobniej był już właścicielem owej ziemi, a przywilej określał jedynie warunki, na jakich mógł ją zatrzymać; a że najwidoczniej był lojalnym wasalem, były one na tyle szczodre, że pozwalały mu „żyć jak pan”. Inni dostawali mniej, jak na przykład sześciu braci wymienionych w nadaniu przyznanym przez mistrza krajowego Ludwika von Baldersheima w 1267 roku.

Otrzymali oni czterdzieści osiem włók z prawem zatrzymania dziesięciny, musieli jednak płacić *census*, podatek zbożowy od każdej uprawianej działki, scedować na Zakon jurysdykcję nad ich chłopami i pozwalać im na swobodną migrację. Przywilej zobowiązywał ich do wystawienia trzech ludzi do służby wojskowej oraz dostaw żywności dla krzyżackich zamków. Tylko pod takimi warunkami miał być im „wybaczony występki apostazji, jakiego się dopuścili”. Lojalność popłacała - tych sześciu z pewnością stało niżej na społecznej drabinie niż Tropo. Zachował się dokument z 1299 roku, w którym komtur sambijski wymienia imiona wszystkich miejscowych nobilów (*witingi*), którym od czasu popełnienia podobnych grzechów udało się zachować czystą „kartotekę”. W Sambii odsetek właścicieli ziemskich pochodzenia pruskiego był stosunkowo wysoki. Co zamożniejsi z czasem zaczęli przypominać niemieckich feudałów z herbami, zamkami i własnością miejską; żenili się z córkami przybyszów i mówili ich językiem. Wielu dobrze urodzonych Prusów, dzierżących z feudalnego nadania ziemię i prawa senioralne nad innymi, nie ulegało takiej asymilacji, dzieląc majątek z krewnymi według prawa plemiennego i wywiązując się z obowiązku służby wojskowej nie jako rycerze, lecz grupowo jako oddziały konnicy „zbrojne w pruski oręż” - tarcze i włócznie zamiast pełnych zbroi i kopii. Dopóki trwał konflikt z Litwą, Krzyżacy takich ludzi wysoko cenili, byli oni bowiem niezastąpionym ogniwem między

komturami a miejscowymi szeregowymi wojami; sama natura tej wojny sprawiała zaś, że *witingi* niezbyt szybko się cywilizowali.

W Inflantach, gdzie niemieckie osadnictwo było mniej liczne, niewielu miejscowych wojowników nagradzano prawami feudalnymi i statusem rycerskim, a wskutek stosunkowego zacofania prowincji lokalne społeczności dłużej pozostawały przy dawnej organizacji. W Kurlandii uznana warstwa tubylczych nobilów prosperowała jeszcze w XIV wieku, chroniona „prawem kurońskim”, zgodnie z którym dziesiątki drobnych władcyków posługiwały się tytułem „królów” aż po XVIII stulecie. W innych rejonach prowincji potomkowie niemieckich zdobywców przyjęli do swego grona niewielu takich miejscowych wodzów, całą resztę spychając do roli chłopów, werbując tylko co lepiej uzbrojonych na litewskie rejzy. W Estonii walka o władzę między królem duńskim i Kawalerami Mieczowymi doprowadziła do rozparcelowania każdego *kilegund* (rejonu osadniczego) między napływowych wasali; po 1230 roku w spisie królewskim tylko jeden posiadacz, Klemens, wymieniony jest jako Estończyk.

Za przywileje udzielane ich liderom płaciły całe miejscowe populacje. Pokój dzierzgoński pozostawił wielu Prusów w podległości przepisom prawa polskiego, a to oznaczało bardzo rygorystyczne feudalne wymogi dla chłopstwa. Kmieć winien był swemu panu służbę eskortową, podwody, rozmaite prace, udział w budowie mostów, służbę w jego domu,

dozór nad posiadłościami, w razie potrzeby zakwaterowanie i wikt; płacił mu podatek od żywego inwentarza, daninę płużną, dwa rodzaje opłat od posiadanych ruchomości, a ponadto w różnych okolicznościach miał oddawać krowę, wołu, psy, bobry i sokoły. Takie obciążenia wszędzie zostałyby uznane za nadmierne, a w kraju, w którym wymagano przede wszystkim służby wojskowej i żywej gotówki, były wręcz absurdalne; poza tym rację bytu miały jedynie w tych regionach, gdzie zdecydowana większość ziemi przypisana była do rycerskich siedzib rodowych. W latach 1250–1350 wyraźnie widoczna była tendencja do feudalnego podporządkowywania coraz większej liczby Prusów, ale na znacznie lepszych warunkach, niż dopuszczało prawo polskie. Latyfundyści poszukujący siły roboczej do zagospodarowania swych rosnących zasobów mogli tylko się starać przyciągać dzierżawców, oferując minimalne obciążenia, a rdzenna ludność korzystała z dogodnych warunków, zbliżonych do tych, jakie przysługiwały Niemcom i innym zamorskim osadnikom.

Jak się żyło mieszkańcom od dawna zasiedlonych okolic, możemy się domyślać na podstawie kodeksu praw okręgu Pomezanii, spisane go po niemiecku około 1340 roku. Wymienione są w nim dwie kategorie ludzi, wolnych i niewolnych; ci ostatni podlegali jurysdykcji swych panów według litery *Gebauersrecht*, prawa chłopskiego stanowionego przez osoby prywatne. Wolni kmiecie mieli swoje przywileje, między innymi nie mogli być skazywani na śmierć przez sądy niepublicz-

ne i przysługiwało im prawo żądania procesów według kodeksu spisanego. Żyli w swoich wspólnotach domowych, kierowanych przez głowy rodów (godność ta była dziedziczna), których zgromadzenie pełniło funkcję sądu najniższej instancji, regulującego życie gospodarcze danej wsi. Ta instytucja istniała zarówno w osadach wolnych, jak i pańszczyźnianych; w pierwszym przypadku pod przewodnictwem starosty, w drugim - pańskiego ekonoma.

Do kategorii niewolnych zaliczano różne grupy. Niektórzy byli po prostu chłopami, posiadaczami własnych gospodarstw, tylko mieli pecha: przegrali z panem proces. Nie byli jego poddanymi ani niewolnikami; mogli sami za siebie odpowiadać przed sądami. Inną grupą byli *Gerthner*, drobni dzierżawcy pól feudała, którzy musieli się liczyć z groźbą eksmisji, oraz *Knechte*, najemni robotnicy bez własnych praw, ale z zagwarantowaną stawką płacy. Z pewnością część panów w Prusach czerpała zyski z prywatnego wymiaru sprawiedliwości, ale narzucany przez nich porządek nie mógł być surowszy niż w niektórych regionach Anglii, a na pewno był łagodniejszy niż w wielu majątkach we Francji i w Rzeszy. W Pomezanii istniały na przykład samorządne wsie, a najsrozsze kary czekały tych, którzy zakłócili działanie maszyny prawa - uchylali się od stawiennictwa w sądach, fałszowali nadania lub wnosili nieuzasadnione oskarżenia przeciwko zarządcom wyznaczonym przez panów.

Mimo wszelkich prawnych udogodnień oferowanych pruskiej ludności widać wyraźnie, że Krzyżacy zdecydowanie trzymali chłopstwo w ryzach. Aneks do zbioru praw Pomezanii stwierdzał na przykład, że Prusowie biesiadujący pospołu z Niemcami mają pić pierwsi - na wypadek, gdyby wino okazało się zatrute. Tubylec skazany w myśl prawa niemieckiego nie mógł się od wyroku odwołać według własnego kodeksu. Za zabójstwo Niemca płacił dwa razy więcej niż za rodaka. Poprawić swoją pozycję prawną można było, tylko emigrując z Pomezanii - a był to dobrze prosperujący region - i przenosząc się bliżej granicy, gdzie obowiązywało łagodniejsze prawo niemieckie. Względna swoboda, jaką się mógł cieszyć członek danej grupy etnicznej, nie umniejszała związanych z tą przynależnością problemów; zakonna polityka *Lasset Preussen, Preussen bleyben* („Niech Prus Prusem pozostaje”) nie była wcale liberalna.

Wielu współczesnych, w tym Brygida Szwedzka, było zaszokowanych, że Krzyżacy tolerują u pruskich nawróconych przywiązanie do pogaństwa, nieokrzescanie i bezprawie; prawdopodobnie słuszne były domniemanie, że z militarne go punktu widzenia takie zaniedbywanie ducha tubylców jest dla Zakonu korzystne: dzięki temu byli oni lepszymi żołnierzami i rzadziej domagali się praw niż niemieccy osadnicy. Kiedy stawiali się w sądach i próbowali składać zeznania, „panowie tylko siedzieli i śmiali się”, narzekali kartuzi w 1428 roku; polscy krytycy Zakonu skwapliwie zaś podkreślali, że mimo dwóch wieków

krzyżackiego panowania Prusowie wciąż są chrześcijanami tylko z nazwy. O gorszej pozycji rdzennych mieszkańców Prus może świadczyć to, że tylko dwóch z nich wybiło się na wysokie stanowiska kościelne: biskup Sambii Jakub i kapelan wielkiego mistrza Saul.

W duńskiej Estonii przybyszom z za morza podlegało i płaciło daniny mniej więcej osiemdziesiąt procent rdzennej populacji. Kiedy właściciele ziemi zareagowali na spadek cen zboża podczas kryzysu politycznego podwyżką podatku, Estowie stracili cierpliwość. 23 kwietnia 1343 roku wybuchło powstanie, które według źródeł niemieckich (mało wiarygodnych) miało kosztować łącznie do osiemnastu tysięcy ofiar. Zamknięci w rewelskim zamku Domburg kolonizatorzy zwrócili się o pomoc do krzyżackiego mistrza krajowego z Inflant (który zresztą więził podówczas duńskiego namiestnika). Mistrz von Dreileben szybko przywrócił porządek, zabijając buntowników tysiącami. W ręce Krzyżaków wpadł jeden z wybranych przywódców rebelii; zapytany o powód tego zrywu, odpowiedział: „Od tak dawna byliśmy dręczeni i uciskani, że dłużej nie mogliśmy wytrzymać”. Dlaczego jednak zamordowali dwudziestu ośmiu niewinnych cystersów z Padise? „Dostali, na co zasłużyli, bez dwóch zdań. Każdy Niemiec wart jest śmierci, nawet gdyby miał tylko dwie stopy wzrostu”. Buntownicy obiecywali posłuszeństwo krzyżackiemu mistrzowi, jeżeli zostaną uwolnieni od „panów i możnowładztwa”, Dreileben odrzucił jednak ofertę i powywieszał prowodyrów.

Na tym przykładzie widać, do czego mógł doprowadzić nie kontrolowany „kolonializm”: nadmierny ucisk ludu z natury bitnego, uzbrojonego i wskutek obowiązku służby wojskowej nawykłego do walki był taktyką niebezpieczną i mógł się obrócić przeciwko uciskającym. Nie ma jednak dowodów świadczących o tym, że po odkupieniu Estonii przez Krzyżaków (1347) los miejscowej ludności się poprawił; prawdopodobieństwo wybuchu nowego powstania zostało zmniejszone - wszystkich potencjalnych przywódców stracono bądź upokorzono - i to nowym panom wystarczało. Do początku XV wieku większość wolnych Estów albo służyła niemieckim feudałom, albo przeniosła się do Rewia, by tam pracować dla niemieckich mieszczan. Nie mieli szans na osiągnięcie statusu *Ritterschaft*, w miastach zaś byli na ogół zwykłymi, a nie pełnoprawnymi mieszkańcami. Najczęściej byli drobnymi wolnymi kmięciami, chłopami pańszczyźnianymi lub niewolnikami; niektórym powodziło się nieźle, inni żyli w nędzy. Pierwszych wiązały na miejscu publiczne lub prywatne powinności z tytułu własności lub dzierżawy ziemi: *malewa* (chłopski odpowiednik obowiązku służby wojskowej), *census* i rozliczne zobowiązania wobec panów oraz dziesięcina kościelna; ubogim narzucono przechodzące z ojca na syna poddaństwo, przypisanie do ziemi lub rzemiosła. Trudno orzec, czy gorzej mieli za rządów krzyżackich niż pod panowaniem rodzimych władcyków, dowody świadczą jednak o tym, że dla wielu tak właśnie było. Na

przykład w 1425 roku zakonnicy z Rewia zarzucali biskupom i księżom parafialnym, że większość biednych Estów pozostawili w pogańskiej ciemności, za to kiedy któryś umarł i rodzina pogrzebała go w poświęconej ziemi bez wniesienia stosownej opłaty, kapłani potrafili wykopać ciało i trzymać je wywieszane na wrotach kościoła, dopóki nie dostali swoich pieniędzy. Podobne ekscesy nie mogły zdarzać się często - ale przed chrystianizacją nie trafiały się w ogóle.

Od połowy XIV do końca XV wieku Estonia była krainą coraz lepiej prosperującą, w której jednak przywilej bogactwa i wolności zastrzeżony był li tylko dla tych, którzy stali po niemieckiej stronie linii podziału narodowościowego. Mało prawdopodobne, aby stosunkowo nielicznej mniejszości napływowego rycerstwa, księży i mieszczan udało się utrzymać władzę bez wprowadzenia takiego dyskryminacyjnego systemu.

Łotysze i Estowie żyjący w Inflantach przeszli podobny, choć mniej drastyczny proces podporządkowania niemieckim kolonistom. Ogólnie rzecz biorąc, podbitym ludom wiodło się gorzej na północ od Memla i na południe od Zatoki Fińskiej, gdzie przybyszów było najmniej. Prusy i Finlandia, ze względu na konieczność zapewnienia dobrych warunków napływowemu chłopstwu, były krajami przyjaźniejszymi dla pokonanych.

B. Koloniści

Król szwedzki nie musiał nikogo zachęcać do kolonizacji Finlandii: głód i rosnące obciążenia na rzecz właścicieli ziemskich skłaniały tysiące Szwedów do dobrowolnej emigracji na wschód. W Prusach i Inflantach było inaczej: początkowo niedostępność terenu przy uciążliwym klimacie nie czyniły tamtejszych ziem atrakcyjnym celem dla osadników z Niemiec, tym bardziej że stała przed nimi otworem cała środkowa Europa. Krzyżakom potrzebne było i świeckie rycerstwo do utrzymania kraju w ryzach, i duży napływ rolników, aby rozwinąć w nim gospodarkę, musieli więc zabiegać o osadników, oferując korzystne warunki wszystkim Niemcom, którzy zgodziliby się zamieszkać pod ich rządami.

Rycerze mogli liczyć na szczególnie szczodre nadania ziemi. W 1236 roku Herman Balk przekazał jednemu człowiekowi warowny gród, trzysta łanów flamandzkich gruntu z przyległymi łowiskami i prawo do dziesięciny z trzech wsi w wieczystą, dziedziczną dzierżawę. W zamian za to obdarowany składał mu roczną opłatę z funta wosku, sztuki srebra i dziesiątej części zebranego zboża; z szacunku dla jego szlacheckiego pochodzenia wielki mistrz nie obciążył go żadną wymierną służbą wojskową, gdyby jednak ów człowiek zechciał otrzymany majątek sprzedać, od nabywcy żądano by wystawienia dwóch rycerzy i giermka, a służbie mieliby podlegać także wszyscy przyszli osadnicy. Tak było w Prusach. W Inflantach

niedobór ludzi tak się dawał Zakonowi we znaki, że w 1261 roku zastępca mistrza krajowego w zamian za wsparcie przeciwko Kurończykom przyobiecał wszystkim rycerzom i mieszczanom nadania po czterdzieści łanów, plus po dziesięć dla ich pocztowych oraz zwolnienie z dziesięciny na sześć lat. W 1280 roku mistrz krajowy uposażył Andreasa Knorringa ośmioma folwarkami i pozbawioną dziedzicą posiadłością należącą do godnej małżeństwa spadkobierczyni, za co ów krzyżowiec miał tylko dostarczać trzech konnych wojów rocznie. Rycerze z Estonii przydzielone im majątki spłacali służbą wojskową według stałej stawki: na każdy *hervart* jeden Niemiec i dwóch Estów od stu łanów (ok. czterech tysięcy akrów). Takie warunki - oraz tendencja do nadawania rycerstwu raczej praw fiskalnych niż własności ziemi - wynikały z konieczności jak najszybszego zajęcia kraju i po zakończeniu podboju już się nie trafiały. Jednakże te wczesne nadania przyczyniły się do powstania silnej warstwy wielmożów w Estonii i Inflantach (zwłaszcza ich części pod władaniem biskupów) tudzież w zachodnich Prusach, gdzie Zakon zachował tylko prawo do puściny - ponownego przejmowania majątków w przypadku braku spadkobierców (*Heimfallsrecht*) - oraz opcję ich wykupu na wypadek, gdyby trzeba było ukrócić nadmierną potęgę latyfundystów. W Inflantach feudał nie miał prawa obejmować kurateli majątkowej, pobierać podatków doraźnych, *scutagium* (ekwiwalentu za służbę wojskową), opłat za objęcie dziedzictwa; nie mógł też

zabronić wasalowi porzucenia nadanego mu lenna ani decydować, czy ma ono przejść na współwłasność jego synów, czy zostać między nich podzielone. Powszechne w XII-wiecznej Saksonii prawo pierworództwa nie było tam znane.

Na większości terytorium pruskiego dzierżawcy feudalni podlegali jeszcze ściślejszej kontroli. Obowiązywała ich służba wojskowa, a Zakon zatrzymywał szerszy zakres praw do przydzielanych im posiadłości. Dopiero w XV stuleciu tamtejsi wielmoże zdołali się zorganizować w bardziej zwartą warstwę i zagrać o większą polityczną niezależność, co im się udało, i to częściowo, tylko dzięki poparciu ze strony mieszczan i polskiego króla.

Większość przybyszów z Rzeszy podlegała prawu miejskiemu - lubeckiemu, chełmińskiemu bądź magdeburskiemu - i dotyczyło to nie tylko miast, lecz i wsi. Owe kodeksy oferowały osadnikowi znacznie korzystniejsze warunki, niż mógł uzyskać jako chłop na większości ziem zachodniemieckich. Dopóki karnie płacił roczny czynsz i wywiązywał się z wymaganej służby, pozostawał praktycznie właścicielem niemałego gospodarstwa czy nieruchomości w mieście. Polityczna niezawisłość jego społeczności była z natury rzeczy ograniczona, ale miał za to zagwarantowaną wolność osobistą i ekonomiczną. Wyznacznikiem jego pozycji była raczej własna wartość jako wojownika i rolnika niż urodzenie czy rzeczywisty status materialny.

Obciążenia militarne głównych miast inflanckich - Rewia i Rygi - były stosunkowo małe, ale jednak od

każdego niemal mieszczanina i chłopa oczekiwano udziału w walce, zarówno w ramach *lantwern*, jak i *hervart*. Graniczną wartością było tu czterdzieści łanów; posiadacze większych majątków zobowiązani byli stawać jako ciężkozbrojni rycerze, ci z mniejszych trafiali do szeregów lekkiej konnicy. Działki przyznawane osiedlającym się kmieciom rzadko miały poniżej jednego łana (około czterdziestu akrów), a często bywały znacznie większe. Należny podatek był niski, a dodatkowo dla zachęty do karczowania i zabudowywania stosowano system początkowych ulg i zwolnień. Dzierżawcy chłopscy podlegali jurysdykcji feudała, ale sądzeni byli według prawa chełmińskiego lub magdeburskiego, a nie prywatnego; obciążenia pracą i daniną w naturze na rzecz panów również były niewielkie. Takie warunki panowały na wszystkich kolonizowanych terenach pruskich w okresie od połowy XIII do końca XIV wieku i przysługiwały każdemu, kto zechciałby się tam osiedlić: z początku tylko Niemcom, później rdzennym Prusom, a następnie również Polakom, Rusinom i Litwinom. Przez cały czas trwania świętej wojny był to, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, rynek klienta - osadnika mającego do zaoferowania własną pracę i wojenne rzemiosło.

To, co od Zakonu otrzymywali mieszkańcy miast, sprowadzało się przede wszystkim do prawa i okazji do bogacenia się. Nie obowiązywały ich podatek gruntowy i kontrybucje, jakimi oskubywano większość grodów północnoeuropejskich; mogły prowadzić handel w Prusach i Inflantach bez myta i ceł oraz wstępować do Ligi

Hanzeatyc- kiej, zarazem konkurując z niektórymi jej członkami. Dopóki trwała pruska ekspansja, wszystkie warstwy - rycerstwo, mieszczenie i chłopstwo - czerpały korzyści z rządów zakonnych i chętnie z Krzyżakami współpracowały, niepoddawane nadmiernym rygorom organizmu państwowego. Kiedy jednak gospodarczy klimat się pogorszył i Zakon zaczął więcej od swych poddanych wymagać, miejscowa społeczność niemiecka odpowiadała coraz wyraźniejszymi oznakami niezadowolenia; rozczarowani mieszczenie zawiązywali spiski, a w 1397 roku powstała organizacja rycerstwa zachodniopruskiego zwana Związkiem Jaszczurczym (niem. *Eidechsenbund*). W XV wieku, kiedy Krzyżacy stracili przewagę militarną i polskie oddziały zaczęły się posuwać w dół Wisły, obie warstwy z powodzeniem walczyły o większą niezależność. W 1410 roku w Prusach wciąż panowały stosunki typowo feudalne: grupy społeczne i pojedyncze osoby cieszyły się przywilejami wprost proporcjonalnymi do ich użyteczności dla zwierzchników; cztery lata później rycerstwo i mieszczaństwo były już zorganizowane w stany z prawami statutowymi i udziałem w rządzeniu.

Wszystkie trzy nadbałtyckie prowincje rozwijały się więc różnymi drogami, wiodącymi jednak ku podobnym rozwiązaniom politycznym: podziałowi kompetencji między autokratyczną zwierzchność zakonną i napływowe grupy interesów, które zdołały sobie zapewnić prawo do zgromadzeń, dyskusji i targów z władzą. W Finlandii prawo to wzięło się z dawnych skandynawskich tradycji przywiezionych przez szwedzkich

osadników i dojrzewających w klimacie sprzyjającym samorządności i samopomocy. W Inflantach narodziło się z monopolu władzy małej niemieckiej elity podzielonej na półautonomiczne lenna zobowiązane do współdziałania przez wymogi wojny i zagrożenie ze strony rdzennej większości. W Prusach złożoność i różnorodność stworzonego przez Zakon Krzyżacki społeczeństwa tudzież szafowanie swobodami - cena za militarną i gospodarczą ekspansję - coraz bardziej utrudniały rządy metodami autokratycznymi, a dążenia wielkich mistrzów do utrzymania takiego charakteru władzy doprowadziły do niepokojów społecznych i wojny domowej w XV wieku. Niemniej dopóki wszystko szło dobrze, Krzyżacy zdążyli założyć w Prusach i Inflantach łącznie ponad dziewięćdziesiąt miast i tysiąc wsi.

Spółeczeństwa

Podboje i chrystianizacja zbliżyły do siebie kraje znad zachodniego i wschodniego Bałtyku, a cały region do reszty Europy. Na wszystkich podbitych ziemiach zakorzeniły się charakterystyczne formy łacińskiej cywilizacji, ale stopień ich rozkwitu był nader zróżnicowany.

Katolicka Finlandia przypominała szwedzki pierwowzór pod wieloma względami, ale oba kraje były - według ówczesnych norm zachodniego chrześcijaństwa - kulturalnie niedorozwinięte. W Szwecji brakowało szkół i wykształconych ludzi, ksiąg, kościołów, miast, dzieł i adeptów sztuki; w Finlandii było z tym jeszcze

gorzej. Ten stan rzeczy był nieunikniony, jeśli wziąć pod uwagę powierzchnię kraju i charakter tamtejszej gospodarki: większość jego mieszkańców wiodła twarde i prymitywne życie poza zasięgiem kultury kościelnej. W 1460 roku większość księży i niemal wszyscy zakonnicy skupieni byli w trzydziestu sześciu parafiach na południowym zachodzie i dwunastu innych rozrzuconych wzdłuż południowego wybrzeża; w całej szwedzkiej Karelii (poza Wyborgiem) funkcjonowały tylko cztery kościoły. Biskupstwo w Åbo obsadzali uczeni hierarchowie, jak absolwent paryskiej szkoły Hemming czy prażanin Magnus Tavast (1412–1452), chrześcijańską trzódkę z głębi kraju zaś wraz z jej prowincjonalnymi duszpasterzami można zaliczyć do ignorantów. W Szwecji XIV wiek był czasem rozkwitu literatury (nie tylko łacińskiej, lecz i pisanej w języku ojczystym, przez autorów duchownych i świeckich) i sztuk pięknych, w Finlandii nie było zaś ani mecenasów sztuki, ani jej odbiorców. Świty tamtejszego biskupa i namiestnika nie mogły się równać ze światowymi, ceniącymi wykształcenie dworami króla i szwedzkich książąt Kościoła, a większość miejscowej ludności posługiwała się językami nie posiadającymi formy pisemnej; pisma używano wyłącznie dla celów ściśle praktycznych, najczęściej administracyjnych bądź liturgicznych.

Na tym tle zadziwiający może się wydać sukces misjonarzy w pozyskiwaniu fińskich kandydatów do stanu kapłańskiego (w późnym średniowieczu miejscowym pochodzeniem mogli się legitymować wszyscy

biskupi i większość kanoników), o jakim ich koledzy z Prus i Inflant mogli tylko pomarzyć. Co prawda większość tych kleryków z trudem wiązała koniec z końcem (wyciągając od parafian małe wiązki futer, lnu lub konopi, osełki masła czy, jak na Wyspach Alandzkich, co dziesiątą upolowaną fokę); byli oni jednak łącznikami spajającymi trzy kultury: szwedzką, fińską i łacińską.

Wyników ich pracy nie należy szukać w wielkich nazwiskach, ważnych księgach czy imponujących budowlach. Edukacyjnych możliwości szkoły przykatedralnej w Åbo ledwie starczało na kształcenie proboszczów i od czasu do czasu posyłanie jakiegoś orła na Uniwersytet Paryski (którego rektorem, notabene, był w latach trzydziestych XV wieku Fin Olaus Magnus). Istniały wprawdzie też inne szkoły, ale sądząc po przestrodze biskupa Konrada Bitza z 1482 roku, były one tak biedne, że prowadzący je nauczyciele często utrzymywali się z pieniędzy, żywności i futer wymuszanych od uczniów. Kiedy Rusini spalili katedrę w Åbo i zamek biskupa w Kaarinie (1318), prawdopodobnie zniszczyli większość ksiąg i dokumentów, jakie można było wtedy znaleźć w całej Finlandii. Kolejnym biskupom udało się zgromadzić dość szacowny księgozbiór, o czym świadczą fragmenty woluminów zachowane w bibliotece uniwersytetu w Helsinkach, ale jedyne większe kodeksy, jakie przetrwały od średniowiecza, dotyczą interesów: *Registrum ecclesiae Aboensis*, zbiór zapisów diecezjalnych skompilowany w latach 1480–

1560, i *Codex Aboensis*, prywatny zeszyt prowadzony dla dziekana Sarkilahti w latach osiemdziesiątych XV wieku. Oprócz nich mamy tawastiańską *Księgę werdyktów* - zapisy z posiedzeń gremiów ustawodawczych w środkowej Finlandii z lat 1443–1510 oraz wyciąg z podatków króla Eryka XIII, spisany w 1413 roku. Kolekcji dopełniają brewiarz z Åbo i kilka tekstów religijnych; nawet jeśli wziąć pod uwagę całe stulecia pożarów i grabieży, wychodzi na to, że średniowieczna Finlandia musiała żyć na intelektualnej ścisłej diecie.

Architekci, rzeźbiarze i malarze fińscy zaspokajali tylko podstawowe potrzeby kultu i obronności: ich dziełem była katedra, dwa klasztory, osiemdziesiąt kościołów (przed reformacją), konwent brygidek w Nadendal, sześć zamków i kilka kaplic oraz fresków przedstawiających Matkę Boską i św. Henryka. W Finlandii nie było kronikarzy; dopiero w XVI wieku biskup Paulus Petri Juusten zamieścił w *Chronicon episcoporum finlandensium* kilka historycznych notatek z omawianej tu epoki. Kult św. Henryka Męczennika dał prowincji główny motyw literacki: opowieść o zamordowanym przez Fina szwedzkim biskupie, który w niebie z oddaniem orędownął za pokojem i dobrobytem dla Finlandii, uczczonym w łaciński oficjum, hymnie (*Ramus virens olivarum*) i sekwencji (*Ecce magnus presbyter*), a także w XVII-wiecznym fińskim poemacie *Piispa Henrikin surmaruno*. Niewiele, jeśli porównać to z dorobkiem, powiedzmy, średniowiecznej Irlandii; nie zapominajmy jednak, że

punktem wyjścia był dla Finlandii pogański, prymitywny i pozbawiony systemu władzy świat, który w dwa stulecia przeobraził się w niezaprzeczalnie chrześcijańską społeczność.

Również w Prusach i Inflantach zaszczepianie chrześcijaństwa stanowiło próbę odtworzenia modelu zachodniego w niesprzyjających, a czasem wręcz zniechęcających okolicznościach; jednakże dzięki naturze dokonywanych tam podbojów i osadnictwa nasiona nowego porządku miały bardziej urozmaicone pochodzenie i padały na żyzniejszą glebę. Już w 1270 roku wykształcony w Paryżu nauczyciel, Maurycy z Rewla, prowadził wykłady dla estońskich dominikanów. Ponieważ motorem rozwoju kultury byli ludzie należący do organizacji o niemieckich korzeniach - hanzeatyccy kupcy, zakonnicy, krzyżaccy bracia – rycerze, biskupi misyjni - wprowadzane przez nich innowacje naturalnie były typowo niemieckie, a że w zdecydowanej większości byli to ludzie albo żyjący w celibacie, albo wyznający zasadę endogamii, nie było mowy o przyjmowaniu przez nich elementów kultury podbijanych ludów bądź rywali polskich i ruskich. Stworzone przez nich zręby cywilizacji jeszcze długo po zakończeniu świętej wojny wyrażały dwie idee: wyższość wiary katolickiej i niemiecką tożsamość. Jej podstawowymi wyróżnikami były wojna i gromadzenie majątku; jej kolebką rycerskie zamki i grody, a środkiem wyrazu języki (niemiecki i łacina) oraz architektura i wzornictwo nawiązujące do tradycji kulturowych cesarstwa.

Pierwowzorem zamku były stołby, murowane obronne wieże, które zastąpiły pierwsze drewniane blokhauzy - i to pokrewieństwo widoczne było we wszystkich odmianach twierdz. Najbardziej skomplikowaną krzyżacką budowlą obronną był Malbork: pełnił rolę nie tylko zamku, lecz i pałacu, klasztoru, gmachu parlamentu, siedziby władzy, arsenału oraz świętego grodu, a jego monumentalna bryła oszałamiała i przerażała. W wielkiej kaplicy nieustannie odprawiano msze; wielki mistrz dysponował prawdziwie książęcą rezydencją, a i prowadzącym interesy Zakonu wielkiemu komturowi i skarbnikowi przysługiwały osobne zespoły komnat. Wewnętrzna cytadela (Zamek Wysoki i Średni) zajmowała w 1400 roku pięć akrów powierzchni; z jednej strony przylegało do niej przedzamcze (Zamek Niski), a z drugiej spore podgrodzie. Gilbert de Lannoy, który odwiedził krzyżacką stolicę w 1412 roku, zapisał, że w Malborku przechowywane są broń i prowiant w ilościach wystarczających „do utrzymania tysięcznej załogi przez dziesięć lat, lub dziesięcioletniej przez rok”. Ta niezwykła, „wielozadaniowa” konstrukcja była jednak tylko rozwinięciem podstawowej formy spotykanej w całych Prusach: baszty i czworoboku murów obronnych.

W obwodzie murów (*Stock*, jak to nazywano w Inflantach) mieściły się podstawowe elementy wojskowego i klasztornego życia: kaplica, refektarz, dormitorium i kwatera dowódcy, kuchnia, stajnie,

warsztaty, zbrojownia, a czasem także kościół parafialny. Potrzeba chronienia wszystkich komponentów religii, władzy i bogactwa prowadziła do przebudowywania i powiększania pierwotnych fortyfikacji, kiedy już dany rejon był spacyfikowany i opanowany. Pożądany rezultat można było uzyskać, zagęszczając wewnętrzną zabudowę, nadbudowując piętra i zmieniając kształt dachu, lub po prostu powiększając oryginalny kwadrat do formy prostokąta. Większość tego rodzaju inwestycji realizowano w XIV wieku pod nadzorem sprowadzanych z Rzeszy architektów; spotykana w bezpieczniejszych wówczas regionach Prus pomysłowość i prostota rozwiązań dobitnie świadczy o wysokim poziomie wiedzy inżynierów i strategicznej wyższości ich zleceniodawców. Nadjeżdżający podróżny widział od zewnątrz tylko gładkie ceglane ściany wyrastające stromo ze splantowanych tarasów (*parcbam*), najczęściej pozabawione otworów aż po samą koronę. Dostępu do wnętrza broniły masywne bramy, a w wystających poza płaszczyznę murów machikułach instalowano gdaniska (*dansker*) - latryny, które zdawały się szydzić z upokorzonego niezdobytą potęgą zamku nieprzyjaciela słowami psalmisty: „Aż do mętów wypiją, pić będą wszyscy niegodziwi na ziemi”. Niezbędne w życiu zakonnej wspólnoty refektarze były przestronne i wysoko sklezione (jak w Malborku, Olsztynie, estońskim Arensburgu czy Lidzbarku Warmińskim), jak gdyby miały służyć gigantom,

a skomplikowany kontur dachów z daleka oznajmiał przybyszom, że zbliżają się do „miasta na wzgórzu”.

Warownie na pruskim pograniczu były o wiele prościej zaprojektowane, a w Estonii, gdzie głównym budulcem był kamień, najpowszechniejsza była purytańsko prosta forma kwadratu. Nawet zamek w Rydze miał kształt pojedynczego, masywnego czworoboku z dwiema przysadzistymi basztami - doskonale jednak spełniał zadanie; wszędzie, gdzie sięgały rządy zakonnych rycerzy i biskupów misyjnych, ich potęgę i kulturę reprezentowały te same groźne, ponure militarne konstrukcje.

Na zewnątrz murów obronnych symbole tej obcej cywilizacji skupione były w miastach - sporych i licznych nad Wisłą i na wybrzeżu, gdzie indziej mniejszych i rzadziej rozrzuconych, jak w Inflantach. Tamtejsze katedry, kolegiaty, klasztory i kaplice, szpitale, ratusze, siedziby gildii i cechów wzorowano na ówczesnych typowych budowlach Westfalii i północnych krajów niemieckich, sprowadzone jednak były do uproszczonej, dopasowanej do systemu obronnego formy. Niebosiężne wieżycy kościelne były drogowskazem dla żeglarzy i wędrowców, solidne bramy przypominały im, że zawitali do ludzi, którzy wiedzą, jak się obronić; kiedy miejska społeczność się rozrastała - jak w Elblągu - każdą nową parafię otaczano murem dla zabezpieczenia przed największymi zagrożeniami epoki: pożarem i szturmem wroga. Wszystko to razem tchnęło niemieckością i świętą wojną.

Budowniczo wie zamków i kościołów zwykli opierać swe projekty na dwóch prostych figurach: trójkącie i prostokącie. W Prusach i Inflantach używano ich oszczędnie i bezpośrednio. Katedry we Fromborku i Królewcu, wielkie świątynie Gdańska, Braniewa, Ornety i Reszła, mniejsze kościoły w Sątopach czy estońskim Falkenau (Valkena, Karkna) pod Dorpatem to długie, pudełkowate budowle, masywne i dobrze zabezpieczone przed działaniem żywiołów, zarazem ich wysokie dzwonnice i dwuspadowe dachy, ozdobne wieżyczki i szczyty świadczą o zamożności fundatorów; nigdzie jednak względy estetyczne nie przeważają nad praktycznością i solidnością konstrukcji. Nie znajdzie się tam szerokich okien jak w angielskim gotyku perpendikularnym, pączkujących z głównej bryły naw i kaplic, ani koronkowych „francuskich” przypór. Zastosowany elegancki układ cegieł ma charakter raczej użytkowy niż dekoracyjny; nasuwa się skojarzenie z blachą falistą, przetłoczoną dla wzmocnienia arkusza, a nie po to, by zdobiła kryte nią dachy. Rezultat można by nazwać perfekcją od niechcenia.

Zupełnie inne wrażenie odnosimy, kiedy wstąpimy w progi tych monumentalnych budowli. Tam murarze, rzeźbiarze i snycerze napracowali się, by wchodzących powitać, olśnić, ale i pouczyć. Po surowości zewnętrznej sylwety odwiedzający spodziewa się mrocznego, posępnego pomieszczenia - tymczasem światło wlewa się tam przez liczne okna wewnętrznych kwadratów, a komnaty i sale często pyszną się

barwami, malowidłami i wzorzystymi kaflami. Z podziemnych palenisk gorące powietrze płynie wymurowanymi kanałami do ścian i podłóg, zapewniając dobre ogrzewanie. Krzyżacka architektura miała budzić w innych bojaźń, a wystrój wnętrz obliczony był na dawanie przyjemności mieszkańcom i gościom. Moda na wymyślne zdobienia trafiła z Malborka do innych co ważniejszych zamków, kościołów i miejskich budowli publicznych. Donatorzy sprowadzali rzemieślników ze Śląska, Turyngii, Polski i Prus do upiększania miejsc modlitwy wspaniałymi krucyfikami, tryptykami, reliefami, obrazami, fryzami i ornamentowymi kapitelami. Przez większość XIV stulecia artyści tworzyli tam krępe, naturalne wizerunki ludzkie dla zilustrowania scen biblijnych i legend o świętych; w ich pracy nie było zbyt wiele stylu, wyrafinowania i elegancji. Madonny o twarzach *Hausfrau* i anioły z kwadratowymi szczękami miały się kojarzyć bezpośrednio z Pismem Świętym i przemawiać do prostego człowieka, a nie odwoływać się do kanonów sztuki i ideału formy, jakie cechują współczesne im dzieła z północnej Francji i wschodniej Anglii. Nieliczne pozostałości tego stylu w malarstwie i rzeźbie zebrane w gdańskim Muzeum Narodowym sprawiają wrażenie skromnej i pobożnej kongregacji przyodzianej w najlepsze szaty. Religia ujęta w ramy mocarnych fortyfikacji jawi się patrzącemu pospolita i bliska, w pełni odpowiadająca opisowi pruskiej pobożności sporządzonemu u progu reformacji przez wybitnego XVI-wiecznego historyka, dominikanina

Simona Grunaua z Tolkmicka. Do jego czasów moda się zmieniła i artyści przepełniali swe dzieła uczuciami i emocjami.

Tak wyglądała kolebka i wizerunek chrześcijańskiej cywilizacji na ziemiach rządzonych przez Zakon Krzyżacki. Jej ośrodki można porównać do węzłów sieci dróg i wykarczowanych pól, jaką zdobywcy zarzucili na nadbałtyckie lasy, wrzosowiska i moczary. Była to sieć o nierównych, raz większych, raz mniejszych oczkach, często rozdarta tam, gdzie autochtoni wciąż wiedli dawne, półpogańskie życie w zasięgu wzroku od strzelistych wieżyc i zębatych murów ich nowych panów. Między Prusami i Inflanctami dominium chrześcijańskiej kultury ograniczało się do wąskiego pasa drogi, wciśniętego między morski brzeg a pierwotną puszcę. W samych Inflanctach sieć bardziej przypominała pajęczynę rozciągniętą do granic wytrzymałości od portowych nabrzeży Rewia do Rygi i wysuniętych placówek granicznych. Nie dziwota, że ludzie żyjący w takiej mizernej strukturze woleli się posługiwać formami kultu, literatury i sztuki, jakie łączyły ich z odległym światem katolicyzmu, zamiast iść na kompromis z miejscowym obyczajem, który mieli za barbarzyński.

Dominującym elementem był w tym regionie kult maryjny. Matka Boska była patronką Zakonu Krzyżackiego i trzech biskupstw: pruskiego, ryskiego i inflanckiego. Krzyżacy odcisnęli Jej pieczęć na wszystkim, co robili. Militarny kalendarz był dostosowany do maryjnych świąt; rejzy zimowe zaczyna-

ły się zwykle 2 lutego (dzień Oczyszczenia NMP, obecnie Matki Boskiej Gromnicznej), letnie albo w święto Wniebowzięcia (15 sierpnia), albo Narodzenia NMP (8 września). Szczególnie znany z oddania Maryi był wielki mistrz von Kniprode, który przed każdą kampanią nakazywał zdwojone modły i obrzędy Jej poświęcone. Von Feuchtwangen już w 1309 roku polecił, by każdy brat co godzinę odmawiał *Salve Regina* lub *Ave Maria*. Uroczystość Niepokalanego Poczęcia została wprowadzona jako święto przez wielkiego mistrza von Altenburga w 1340 roku, a pół wieku później Konrad III Zöllner von Rotenstein zatwierdził świętowanie Nawiedzenia w całych Prusach na dzień 2 lipca na znak lojalności wobec rzymskiego papieża w czasach wielkiej schizmy zachodniej. W XIII wieku nowo budowane warownie nazywano imieniem Maryi: Malbork (Marienburg), Frombork (Frauenburg), Kwidzyn (Marienwerder); w następnym stuleciu doszły do tego nowe Marienburg i Marienwerder nad Niemnem oraz kolejny Marienburg i Marienhäusen w Inflantach.

Dla Krzyżaków Matka Boska była przede wszystkim niczym bogini wojny. Bracia inflanccy przejęli tę tradycję od biskupa Alberta i Kawalerów Mieczowych, haftując jej wizerunek na bojowym sztandarze mistrza krajowego, ale i w Prusach odwoływano się do Maryi jako protektorki, a Jej ponaddwumetrowy mozaikowy obraz ozdobił od zewnątrz absydę kaplicy na malborskim Zamku Wysokim, aby stamtąd czuwała nad okolicą (uległ zniszczeniu w 1945 roku). Chroniła swych

czciciele skutecznie i mogła klęskę obrócić w triumf: w 1330 roku objawiła się polskiemu królowi Władysławowi Łokietkowi, pytając: „Dlaczego niszczysz mój kraj?”; Jej cudownej interwencji Krzyżacy przypisywali nieprawdopodobne zwycięstwa nad Strawą (1348) i pod Rudawą (1370). Za pierwszy z tych cudów wdzięczny von Kniprode ufundował klasztor cysterek w Królewcu, za drugi podziękował założeniem domu augustianów w Heiligenbeil (Świętej Siekierce, dzisiejszym Mamonowie w rosyjskim okręgu kaliningradzkim).

Ulubionymi męskimi świętymi Krzyżaków byli żołnierze Sebastian, Wawrzyniec, Maurycy i Jerzy oraz misjonarze Andrzej i Bartłomiej; ich kultury były odbiciem głównych zadań Zakonu, ale się do tego nie ograniczały. Święty Maurycy stał się patronem młodych kupców hanzeatyckich osiadłych w miastach Inflant; założyli oni gildię jego imienia, zwaną od przedstawiającego głowę Maura emblematu *Schwarzerhaupter*. Podobnie jak w całej Europie, szczególnie czczono nad Bałtykiem Jezusa jako ofiarę, a nie triumfatora czy sędziego, co się uwidaczniało w obchodach Bożego Ciała i święta Pięciu Ran. W latach trzydziestych XIV wieku wielki mistrz Luder von Braunschweig nalegał, by odprawiać mszę pasyjną co piątek. Wizerunek umęczonego ciała Chrystusa był także emocjonalnym symbolem ran zadawanych chrześcijaństwu przez pogan.

Były to najbardziej widoczne formy, jakie wiara katolicka przybierała na ziemiach Zakonu - poza aktami wojny. Liczba i intensywność kultów nie budzi

zdziwienia w krajach rządzonych przez mnichów i biskupów; stosunkowo bogata literatura powstała w tym regionie od 1290 roku do czasów reformacji jest także niemal wyłącznie dziełem autorów krzyżackich.

Zakonni rycerze rzadko bywali wykształceni; częściej wyśmiewano ich analfabetyzm - ale to pojęcie oznaczało wtedy nieznaną łaciny. Są dowody, że wielu braci władało literackim niemieckim, a wśród księży zawsze trafiali się dobrzy łacinnicy i nauczyciele. Potrzeba zapoznawania z wiarą nieznaną łaciny oraz czysta przyjemność rymowania we własnym języku doprowadziły pod koniec XIII wieku do rozwoju literatury niemieckiej w łonie Zakonu, ale nie w Prusach. Później i tam zaczęły się pojawiać klasztorne biblioteki, szkoły (w Elblągu i Toruniu), a także miejscowi poeci. Dominującymi motywami w ich twórczości była osoba Maryi i Stary Testament. Na początku XIV wieku powstał między innymi *Pasjonat*, zbiór żywotów świętych i scen pasyjnych adaptowanych dla potrzeb kultu maryjnego, i *Der Sunden widerstreit*, w którym Duch triumfuje nad Grzechem dzięki wsparciu Maryi. Sporo wierszy napisano później na zamówienie wielkiego mistrza Ludera von Braunschweiga, który sam był autorem rymowanej legendy o św. Barbarze (zachował się tylko jej łaciński przekład); wśród tych utworów były poetyckie wersje tekstów biblijnych: Machabeusza, Daniela, Ezdrasza, Nehemiasza i Estery. Mistrz von Altenburg dołożył do tego parafrazę księgi Hioba i *Historien der alden ê*, skrót Starego Testamentu i historii starożytnej w sześciu tysiącach wersetów Prace te były

prawdopodobnie odczytywane głośno podczas wspólnych posiłków ku natchnieniu rycerzy zakonnych przykładem biblijnych protoplastów – bohaterów.

Najbardziej znaczącym tekstem literackim za kadencji Ludera von Braunschweiga był *Von siben ingesigelen*, dzieło kanonika sambijskiego Tylona z Chełmna, poświęcone wielkiemu mistrzowi, które powstało w 1331 roku w tempie siedemdziesięciu ośmiu wersów dziennie. Był to przekład niepublikowanego łacińskiego traktatu *Libellus septem sigillorum* („Księga siedmiu pieczęci”), tłumaczącego siedem objawień Chrystusa od Wcielenia po Dzień Sądu. Jak we wszystkich takich poematach - pełno tu afektowanych epitetów sławiących Matkę Boską, symbolizowaną przez krzew gorejący, koronę Salomona, łaskę Aarona, płodny migdałowiec, runo Gedeona, arkę, drabinę, drzewo lipowe, winne grono i feniksa. Czytając o Bogu Ojcu jako „Całującym”, Duchu Świętym jako „Pocałunku” i Synu Bożym jako „Uściech wszelkie rozkosze przewyższających”, możemy zakosztować modnej wówczas przesadnej egzaltacji, jaką przesiąknięta była zakonna duchowość. Ówczesna konwencja literacka zaowocowała jednak udanymi próbami przełożenia Słowa Bożego na dynamiczną niemiecką prozę: takie właśnie były przetłumaczone w latach 1347–1359 na zamówienie marszałka pruskiego Dahnfelda przez franciszkani-
na Clausa Cranca księgi proroków, Dzieje Apostolskie i Apokalipsa prozą (oparta na rymowanej wersji komtu-
ra Heslera napisanej przed 1312 rokiem w Turyngii). Kontynuacją tego trendu był przekład *Opisania świata*

Marca Polo na średnio–wysoko–niemiecki (koniec XIV wieku) i *Leben der Seligen Frawen Dorothee* (1401–1417) - pierwszej książki wydrukowanej w Prusach (1492 rok).

Historia podbojów i krucjat również stała się kanwą wielu ciekawych dzieł zarówno łacińskich, jak i niemieckojęzycznych. We wszystkich znajdziemy zapisy heroicznych wyczynów przeplatane dziękczynieniem dla Maryi i usprawiedliwieniami zakonnych misji w kategoriach biblijnych poprzedników, zwłaszcza Machabeusza. Rej wodził na tym polu Henryk Łotysz, opisujący historię misji ryskiej; za jego przykładem poszedł łacinnik z Prus, autor zaginionej kroniki wczesnych wojen krzyżackich, którego dzieło podjął później (do 1326 roku) Piotr z Dusburga, tworzący swą *Chronicon terrae Prussiae* prawdopodobnie w Królewcu w latach 1324–1330. Roczniki toruńskie i oliwskie oraz prace historyczne proboszcza iławskiego Jana z Żuławki (1360–1405), Konrada Bitschina (1430–1464) i Wawrzyńca Blumenaua (zm. 1484) to dalsze przykłady tej dziejopisarskiej tradycji, kontynuowanej do późnych lat XV wieku; do tego czasu zapotrzebowanie na polemistów, prawników i dyplomatów uczyniło Prusy domeną najróżniejszych odmian łacińskiej nauki. Wielkiemu mistrzowi Konradowi III Zöllner von Rotensteinowi nie powiódł się zamysł przekształcenia szkoły chełmińskiej w uniwersytet, ale i tam, i w Toruniu, Elblągu i Królewcu dobrze przygotowywano uczniów do studiów na uczelniach Pragi, Lipska i nowo powstających uniwersytetach niemieckich.

Najbardziej charakterystyczną formą wybieraną przez bałtyckich dziejopisów - zarówno w Skandynawii i północnych Niemczech, jak i na ziemiach krzyżackich - była kronika rymowana, wymyślona w połowie XII wieku przez anglo-normańskiego autora Geoffreya Gaimara i świetnie nadająca się do łączenia epickich opowieści z rocznikami historycznymi ku intelektualnej rozrywce i uczonych, i pospolitaków. Pierwszą taką pozycją w interesującym nas regionie była anonimowa *Livlandische Reimchronik*, o której była już mowa w rozdziale 4., spisana w latach dziewięćdziesiątych XIII wieku przez brata-rycerza lub wojowniczo nastawionego duchownego pod wyraźnym wpływem wielkich niemieckich poematów epickich. Ta silnie emocjonalna, lecz dość prymitywna praca opisuje historię Inflant do 1291 roku; latami 1315–1348 zajął się Bartłomiej Hoeneke, tworząc w dialekcie dolnoniemieckim *Kronikę inflancką młodszą*, o której wiemy tylko z późniejszej wersji przepisanej prozą. Po tych dziełach w Rydze nie powstało już więcej wierszowanych historii, natomiast kapelan wielkiego mistrza Ludera von Braunschweiga, Mikołaj von Jeroschin, ujął w rymy dzieje Prus. Jego *Kronikę von Pruzinlant* jest obszernym rozszerzeniem dzieła Piotra z Dusburga, bardziej rozwlekłym i namiętym w tonie; po nim kronikarskie dzieło kontynuował (do 1394 roku) czołowy piewca Zakonu, Wigand z Marburga, który bardziej koncentrował się na szczegółach wypraw wojennych i oblężeń. Większość oryginału zaginęła, znamy jednak jego treść

z przekładu łacińskiego zamówionego przez polskiego kronikarza Jana Długosza w 1464 roku.

Wszystkie te kroniki miały ten sam cel: stworzyć i utrwalić poczucie historycznej misji przez zastosowanie kombinacji mitu założycielskiego, heroicznego eposu i dowodów działania boskiego przeznaczenia. Ich autorzy podbudowują potęgę Zakonu, podkreślając jego międzynarodową reputację, poniesione przezeń ofiary i zbiorowe męstwo, a z drugiej strony barbarzyństwo i okrucieństwo jego nieprzyjaciół. Stoi za tym, jak i za każdym innym przejawem chrześcijańskiej kultury nad Bałtykiem, pełne determinacji dążenie do przekształcenia podbitego świata, wykluczające jakąkolwiek asymilację miejscowych zwyczajów.

Zmiany zachodzące pod rządami Krzyżaków na niektórych obszarach były większe niż gdzie indziej. Nad dolną Wisłą w latach 1362–1394 córka przybyłego z Niderlandów kmiecia, Dorota z Mątowów, zasłynęła pobożnością niespotykaną nawet w tamtejszej w pełni germańskiej i katolickiej społeczności. Ta żona gdańskiego płatnerza, a później we wdowieństwie pustelniczka w Kwidzynie, miewała prorocze sny i wizje i służyła bliźnim radą, zdobywając szacunek ludzi wszystkich stanów, od chłopca po wielkiego mistrza. Widziano w niej kwiat pruskiej religijności, świętą Brygidę mieszczaństwa, której głos i cuda dowodziły szczególnego zainteresowania Boga i Jego Matki codziennymi sprawami tej prowincji; mimo że nieraz krytykowała Zakon, Krzyżacy robili wszystko, aby doprowadzić do jej wyniesienia na ołtarze.

Jednakże wśród dwustu sześćdziesięciu świadków przemawiających za jej świętością znalazł się tylko jeden pruski autochton, choć Dorota rzekomo wiele dobrego działała dla miejscowych neofitów. Na podstawie jej dobrze udokumentowanego życia i wypowiedzi można śmiało twierdzić, że należała niemal wyłącznie do świata zamków, katedr i miast, czyli opoki katolicyzmu, nie zaś do tego, w którym trwała konfrontacja Kościoła z dawnym pruskim „przesądem”, litewskim pogaństwem i ruskim obrządkiem prawosławnym.

Tymczasem wielu, a właściwie nawet większość poddanych Zakonu żyła w tych właśnie regionach. Puszcza na wschodzie oddzielała wprawdzie Prusy nieprzebytą barierą od wpływów pogańskich i schizmatycznych, ale na terenach wiejskich dawne wierzenia przetrwały także wewnątrz kraju, a wzdłuż Wisły napływali z południa Żydzi i husyci. W Inflantach ożywiony ruch na granicy z Rusią ułatwiał przenikanie prawosławia, z którym tak zawzięcie walczyli Krzyżacy. Ruskie społeczności w Rydze, Dorpacie, Rewlu i Narwie miały swoje cerkwie i duchownych, a choć obie strony wzajemnie obrzucały się epitetami w rodzaju „psy” i „bezbożnicy”, to jednak łączył je niejeden dogmat, przekonanie, święto czy kult (zwłaszcza Matki Boskiej, Krzyża Chrystusowego i Św. Jerzego). W 1425 roku w Rewlu biskup jedną ze stacji procesji podczas Dni błagalnych uczynił ruską cerkiew, za to pominął klasztor dominikanów, którymi gardził za „spożywanie

otrąb i plew niczym świnie”. W Dorpacie, gdzie oprócz suwerennego biskupstwa i licznych kościołów działały dwa klasztory męskie i jeden żeński, dobrze wiadano, że nadmiar katolickiej gorliwości źle służy interesom miasta tak uzależnionego od kontaktów z ruskimi kupcami, trzeba więc było iść na ustępstwa wobec ich religii i kultury. W interiorze rdzenna ludność długo pozostawała jeśli nie otwarcie wierna pogaństwu, to najwyżej tylko w połowie chrześcijańska. W Estonii stare i nowe wierzenia mieszały się ze sobą podczas popularnego święta *Hinkepeve*, kiedy oddawano cześć duchom zmarłych jako Wszystkim Świętym. W Inflantach taką schedą po przedchrześcijańskiej Sobótce było celebrowanie letniego przesilenia Słońca jako wigilii św. Jana, do dzisiaj uroczyście obchodzonej w krajach bałtyckich.

Opisywanie tego rodzaju kultów jako „jednej z form walki ideologicznej z cudzoziemskimi ciemieżcami”, lub twierdzenie, że ponieważ pogaństwo przetrwało, „nie ma podstaw, aby mówić o misji kulturowej niemieckich krzyżowców wobec miejscowej populacji” (E. Mugurevics), świadczy o ignorowaniu powszechnego w środkowej Europie, Rusi i na Bałkanach zjawiska trwającego po dziś dzie nakładania się wierzeń, niezależnego od poczynań Niemców i idei wojen krzyżowych. Synteza chrześcijaństwa z innymi religiami trwa zbyt długo, żeby przykładać większą wagę do problemu „podwójnej wiary” w krajach bałtyckich. Sam zwrot „misja kulturowa” brzmi złowieszczo zwłaszcza

w odniesieniu do Krzyżaków, a przy tym jest już mocno nadgryziony przez mole czasu; nie da się jednak zaprzeczyć, że „cudzoziemskim ciemiężcom” w pełni powiodło się założenie niedoskonałej wprawdzie, lecz skutecznie działającej organizacji kościelnej.

Schyłek epoki krucjat

(1409–1525)

Grunwald i później (1409–1414)

Zdobywca Żmudzi, wielki mistrz Konrad von Jungingen, zmarł 30 marca 1407 roku. Kronikarz Wawrzyniec Blumenau nazywa go męczennikiem i prorokiem; na pierwsze miano zasłużył, gdyż przyspieszył swą śmierć, odmawiając odbycia stosunku z kobietą, zaordynowanego mu przez lekarza jako skuteczne lekarstwo na kamice żółciową, drugie należało mu się za przestrożę udzieloną kapitule, aby nie wybierała na wielkiego mistrza jego brata Ulryka, chorobliwie nienawistnego wobec Polski. Blumenau pisał jednak półwieku po fakcie, nie ma zaś współczesnych dowodów na żadne z tych twierdzeń. Ulryk von Jungingen objął ster zakonnej nawy i dwa lata później wypowiedział Polsce wojnę - nie dlatego, że nienawidził tego kraju lub króla Władysława, ale z powodu załamania się polityki jego brata, który umiejętnie rozgrywał Polskę przeciwko Litwie. Żmudzini podnieśli bunt, wielki książę Witold udzielił im wsparcia, a Jagiełło odmówił przeciwdziałania. Polski monarcha najwyraźniej przestał się obawiać Zakonu i krzyżacki najazd na ziemię dobrzyńską i inne jego lenna w 1409 roku był logiczną, choć niezbyt mądrą, próbą zmuszenia go do zmiany stanowiska.

Ulryk się jednak przeliczył. Nie spodziewał się, że Polska i Litwa mogą skutecznie połączyć siły, oczekiwał za to aktywnego udziału w konflikcie swego sprzymierzeńca, króla Węgier Zygmunta Luksemburskiego. Tymczasem dwaj często w przeszłości skłóceni kuzyni trzymali się razem i zebrali armię liczniejszą od całych sił Zakonu w Prusach, Zygmunt zaś przyjął od nich pieniądze i palcem nie kiwnął, by wspomóc sojusznika. Po dziewięciomiesięcznym zawieszeniu broni stało się jasne, że Polacy i Litwini dążą do odbicia nie tylko Dobrzynia, lecz i ziemi chełmińskiej, a żaden z przyjaciół von Jungingena nie przyjdzie mu z pomocą; nawet mistrz krajowy Inflant Arnold von Vietinghoff zgodził się nie atakować Litwy bez trzymiesięcznego ostrzeżenia.

1 lipca 1410 roku Władysław spotkał się z Witol-dem w Czerwińsku nad Wisłą i wkrótce potem szybkim marszem pociągnął na północ na czele polskiego i litewskiego pospolitego ruszenia wzmocnionego przez czeskich, morawskich, wołoskich i tatarskich najemników. Kilkanaście kilometrów w głębi terytorium Prus drogę zastąpiły mu wojska krzyżackie i przybyli na krucjatę ochotnicy z Zachodu. Do walnej rozprawy doszło 15 lipca pod wsią Grunwald. Wielki mistrz przypuszczalnie żywił nadzieję, że Najświętsza Panna raz jeszcze uratuje swych wyznawców i ześle im wiktoryę nad przeważającymi siłami nieprzyjaciela; dzień zakończył się jednak totalną klęską Zakonu. Zginęło całe naczelne dowództwo i większość armii pruskiej: wielki mistrz, wielki marszałek, wielki komtur, skarbnik, kilku

komturów i czterystu braci; reszta dostała się do niewoli lub poszła w rozsypkę. Za jednym pociągnięciem sprzymierzeni unicestwili wroga i pozbawili Prusy wszelkiej obrony.

Zakon uratowała potęga malborskich murów i straty poniesione w bitwie przez przeciwnika. Jeden z braci Henryków von Plauen, odpowiedzialny za obronę Pomorza Gdańskiego, objął komendę nad resztkami sił krzyżackich i przez pięćdziesiąt siedem dni bronił się w oblężonej stolicy. Choć Jagielle podporządkował się już biskup pruski z kompletem wasali, von Plauen trzymał się twardo, licząc na pogorszenie się pogody, choroby, przybycie posiłków z Inflant lub jakiegokolwiek działania Zygmunta Luksemburskiego. 19 września Polacy odstąpili od oblężenia. Ich artyleria okazała się nieskuteczna, wojsko trapiła dyzenteria, krążyły słuchy o nadciągającej odsieczy, Węgrzy zaatakowali sojuszników Jagiełły na Śląsku, a w królewskim skarbcu zabrakło środków na żołd dla czeskich zaciężnych. W drodze powrotnej do polskiej niewoli trafił jeszcze nowy marszałek Zakonu, Michał Kűchmeister von Sternberg, ale szanse na zajęcie ziemi chełmińskiej w jednej kampanii się rozwiały. 1 lutego 1411 roku Władysław zgodził się podpisać pokój w Toruniu, na mocy którego Krzyżacy zatrzymali wszystko, co zdobyli do 1409 roku, z wyjątkiem Żmudzi, która miała przejść pod dożywotnie władanie jego i Witolda; musieli też zapłacić odszkodowanie w wysokości ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy funtów - dziesięciokrotność średnich rocznych dochodów króla Anglii.

Zakon Krzyżacki niejednym raz ponosił wielkie klęski, ale wówczas za nieprzyjaciół miał pogan i śmierć na polu bitwy była uważana za męczeńską. Przelewana przez braci krew przynosiła mu chwałę i owocowała napływem nowych kandydatów i krzyżowców. Grunwald nie byłby taką katastrofą, gdyby dało się go przedstawić jako cios zadany chrześcijaństwu, wtedy ochotnicy z Zachodu rzuciliby się bowiem ratować Prusy - i Krzyżacy tej sztuczki próbowali, ale bez powodzenia. Mimo że wytykali Jagielle zatrudnienie Tatarów i ruskich schizmatyków, Europa nie uniosła się świętym oburzeniem; współczesne komentarze opisują bitwę jako godną ubolewania tragedię, za którą jednak sam Zakon po części ponosił winę. Kronikarz z Lubeki twierdził, że Krzyżacy przegrali z woli Boga za swą pychę i za to, że „zbyt surowymi się pono stali panami dla swych poddanych”. Angielski autor napisał, że „król krakowski” prosił „panów pruskich” o pomoc przeciwko Saracenom, oni jednak

(...) rzucili się nań z drugiej strony, by go zniszczyć. Zważcie, jacy to z nich gorliwi chrześcijanie! Oto wybrańców, którzy ślubowali wiary bronić, dziś zachłanność stanąca przeciw niej skusiła! Król, sam nowo dzieckiem Chrystusowym zostawszy, uznał, że walczyć trzeba z tymi religijnymi renegatami. Wojnę im wydał, do ucieczki zmusił i kraj cały podbił, stare prawa i obyczaj narzucając.

W armii von Jungingena nie brakowało niemieckich krzyżowców. Pod jego rozkazy stanęła jak zwykle

mieszana chorągiew pod sztandarem św. Jerzego tu-
dzież odrębne oddziały ochotników z Westfalii, Szwa-
bii, Nadrenii i Szwajcarii. W cesarstwie klęska odbiła
się echem korzystnym dla Zakonu: do Prus rychło za-
częły napływać posiłki prowadzone przez biskupa
Würzburga. Jednakże już od dziesięciu lat przed Grun-
waldem (gdzie według Monstreleta stawiała się garstka
rycerzy z Normandii, Pikardii i Hainaut) krzyżowców
spoza Rzeszy przybywało niewiele, a brak reakcji na
wynik bitwy ze strony Francji i Anglii wskazuje, że
międzynarodowa pozycja Zakonu znacznie podupadła.
Królowi Henrykowi IV Lancasterowi, byłemu uczest-
nikowi krucjat litewskich, który zawsze grał rolę do-
brego przyjaciela Krzyżaków i wyśmiał polski protest
przeciwko nim ogłoszony w styczniu 1410 roku, nagle
odechciało się płacić Malborkowi odszkodowania za
ładunki rabowane pruskim kupcom przez angielskich
korsarzy. Nigdy przedtem Zakon tak pilnie nie potrze-
bował tych dziesięciu tysięcy funtów; król uznał jed-
nak, że w obliczu prawdopodobieństwa zdobycia Prus
przez „niewiernych” spłata długu byłaby niewskazana.

Jedna chorągiew Burgundczyków, w tym Gilbert
de Lannoy, wyruszyła w 1412 roku „na pomoc Prusom
przeciwko heretykom” i rok później skrzyżowała mie-
cze z Polakami podczas rejzy, był to jednak najpraw-
dopodobniej ostatni przypadek, kiedy pod krzyżackim
sztandarem stanęli rycerze innej narodowości niż
Niemcy. Ich napływ ustał po części z powodu wybuchu
wojny francusko – angielskiej, która dała stałe zajęcie
na Zachodzie całemu pokoleniu niespokojnych du-

chów, a po części dlatego, że Jagielle i Witoldowi udało się przekonać europejską opinię publiczną, iż nie są „niewiernymi” ani „Saracenami”, lecz pobożnymi chrześcijańskimi władcami. Powszechnie zaczęto uważać, że każda następna krucjata w tym regionie (przeciwko Rusom i Tatarom) powinna być podejmowana wspólnie przez krzyżackie Prusy, Polskę i Litwę, a osłabianie chrześcijaństwa przez wspieranie któregośkolwiek z katolickich krajów przeciwko innemu nie byłoby żadną zasługą. Dlatego też pokój toruński zawierał klauzulę, w której Zakon i Witold zgodzili się wspólnymi siłami kontynuować nawracanie lub podbój pogan. Dopóki zaś trzy chrześcijańskie mocarstwa wschodniej Europy pozostawały sobie wrogie, podobna współpraca nie wydawała się możliwa.

Z punktu widzenia Krzyżaków była to jedna z poważniejszych konsekwencji Grunwaldu: w przyszłości musieli być zdani niemal wyłącznie na pomoc z samej tylko Rzeszy, to zaś oznaczało konieczność coraz większego dostosowywania się do życzeń niemieckich książąt, szczególnie zaś Zygmunta Luksemburskiego, który w 1410 roku został królem niemieckim. Innym palącym problemem był kryzys w samych Prusach, gdzie biskupi, mieszczenie i świeccy rycerze zaczęli kwestionować krzyżacki monopol władzy, a Gdańsk nawet wypowiedział Zakonowi wojnę. Wielki mistrz Henryk von Plauen (wybrany w listopadzie 1410 roku) starał się udobruchać poddanych, powołując *Landesrat*, radę złożoną z reprezentantów miast i posiadaczy ziemskich, z którą miał konsultować kwestie polityczne - tylko że

głównym jego celem był jak najszybszy odwet na Polsce. Ani biskupi, ani świeccy wasale, ani nawet wielki komtur nie zamierzali jednak ryzykować drugiego Grunwaldu; wielki mistrz zdołał jeszcze wymusić podjęcie krótkiej kampanii we wrześniu 1413 roku, ale wnet został obalony przez wielkiego marszałka przy współudziale stanów pruskich. Od tej pory władza w Prusach była podzielona między Zakon i stany, przy rosnącej wzajemnej niechęci obu stron, a brak wewnętrznej jedności zwiększał szanse powodzenia ewentualnego polskiego natarcia.

Władysław Jagiełło przyjął mediację króla Zygmunta we wszystkich spornych sprawach z Zakonem, ale kiedy w werdykcie z Budy (1414) ten zalecił Polakom, by zadowolili się postanowieniami pokoju toruńskiego i zaniechali dalszych roszczeń do swych dawnych ziem w Prusach, wojna rozgorzała na nowo. Silna polska armia znów pomaszerowała na północ i obiegła Brodnicę nad Drwęcą. Tym razem wielki mistrz Michał Küchmeister von Stemberg zastosował inną strategię: ogołociwszy kraj z zapasów, zamknął swe siły w dobrze zaopatrzonych warowniach i przeciął linie zaopatrzenia Jagiełły; kampania wkrótce zyskała miano „wojny głodowej”, niewiele to jednak Krzyżakom pomogło - tracili komturię za komturią, dopóki wysłannik papieski Jan, biskup Lozanny, nie doprowadził do rozejmu i wycofania się wojsk polskich.

Wielki mistrz Küchmeister był wysokim, korpulentnym mężczyzną rozsmakowanym w nauce i zręcznym politykiem; jako przywódca lepiej się sprawdzał

w tych czasach niż jego dwaj porywczy i wojowniczy poprzednicy. Wojna z 1414 roku przekonała go, że jeżeli ma uratować Prusy od polskiego podboju, musi doprowadzić do zmiany równowagi sił przez odwołanie się do europejskiego instynktu krzyżowca. Wiedział, że papież nigdy by nie usankcjonował krucjaty przeciwko Polsce z własnej woli, a król Zygmunt Luksemburski i przyjacini wobec Zakonu księżęta niemieccy nie zechcą ryzykować dla niego otwartej wojny. Jednakże nadarzała się inna sposobność. W listopadzie 1414 roku w Konstancji mieli się zebrać biskupi i monarchowie katolickiej Europy, aby radzić nad środkami walki z husycką herezją, zakończeniem wielkiej schizmy zachodniej i reformą Kościoła; gdyby to grono dało się nakłonić do zagwarantowania praw Zakonu w Prusach i potwierdzenia poparcia dla jego misji krzyżowej, Władysław musiałby zrezygnować z dochodzenia swych roszczeń. Zwycięstwo w wojnie propagandowej uratowałoby Krzyżaków od prawdziwej, której już nie mogli wygrać. W grudniu 1414 roku delegacja zakonna pod przewodnictwem Deutschmeistra i arcybiskupa ryńskiego przybyła jedenastoma wozami do Konstancji, wioząc petycję przedstawiciela wielkiego mistrza, Petera von Wormditta.

Spór w Konstancji (1414–1418)

Memorandum Wormditta zaczynało się od wstępu historycznego. Autor przypomniał audytorium, że armie szatana oblegają chrześcijańską opokę ze wszystkich stron i że Krzyżacy niczym Machabeusze zostali

powołani do wojny w imię Boga z poganami. Uratowali Polskę przed Prusami i Litwinami, w czym ochoczo pomagał im cały katolicki świat; dzięki nim Prusy stały się państwem chrześcijańskim, a sam Zakon - szkołą walki dla całego rycerstwa europejskiego. Niestety, ich powodzenie wzbudziło zawiść i wrogość niewdzięcznych Polaków, których król sprzymierzył się z Witol-dem i poganami przeciwko swym dobroczyńcom. Kiedy jego zakusy obróciły się wniwecz, pozornie zgodził się na zakończenie wszelkich sporów i zawarcie pokoju w Toruniu.

Cóż jednak z tego wynikło? Wormditt przedstawia kolejne paragrafy traktatu toruńskiego, udowadniając, że Jagiełło naruszył je co do jednego, jeśli nie w ich literze, to w duchu. Jego biskup wniósł skargę przeciwko Zakonowi do Rzymu, a posłowie polscy szkalowali Krzyżaków w całej Europie. Wbrew umowie nie uwolnił jeńców i wespół z usuniętym wielkim mistrzem von Plauenem knuł dywersję polityczną w Prusach, wielokrotnie dopuszczał się naruszenia granicy i aresztował kupców. Na koniec odrzucił werdykt króla Zygmunta i raz jeszcze sprowadził wszystkie wojenne niedole na nieszczęsnych poddanych Zakonu. Owe nieszczęścia Wormditt określił jako „nieopisane”, postarał się jednak je nazwać: mordy, dzieciobójstwo, księżobójstwo, jasyr tatarski, gwałty, podpalenia i świętokradztwo, słowem krwawe dzieło zatwardziałego tyrana i jego na pół pogańskiej watahy.

W dawnych czasach, pisał dalej, kiedy wiara znalazła się w niebezpieczeństwie, wszyscy jak jeden mąż

stawali w jej obronie. „Dziś jest jednak inaczej. Teraz nikt się nie przejmuje krzywdą bliźnich, jeśli tylko jemu samemu takowa się nie dzieje. Nikogo nie obchodzą odległe zagrożenia; dopóki człowiek może żyć spokojnie i bez trosk, uważa się za szczęśliwego i najzupełniej bezpiecznego”. Niemniej rada biskupia dobrze by zrobiła, sugerował Wormditt, gdyby wejrzała na obronę Prus, kraj to bowiem święty, opłacony krwią przodków, do których mogłyby się odnosić słowa Wergiliusza:

*Czy dla tych barbarzyńców obsialiśmy tę ziemię
I czy im szczęsne nasze pola oddać mamy?*

*O niebiosa, jak straszliwe skutki niesie niezgoda
w narodzie!*

Nie opuszczajcie nas teraz w potrzebie, apelował do uczestników soboru, „aby w kronice waszego pontyfikatu i królestw waszych nie znalazł się zapis tej okropnej tragedii: oto za waszych dni unicestwiony został Zakon Niemiecki”.

Wormditt przedstawił sprawę krzyżacką przemyślnie i z patosem, papież uważał jednak, by nie antagonizować Polaków, zanim jeszcze dotarli do Konstancji, i krótko potem uczynił coś, co zakrawało na deklarację przeciwko Zakonowi: mianował Jagiełłę i Witolda swymi wikariuszami generalnymi, czyli obrońcami wiary i wszystkich katolików, w Nowogrodzie i Pskowie. Unieważnił też roszczenia Krzyżaków wobec Litwy, bez wątpienia w nadziei na usunięcie kości niezgody między stronami i skaptowanie Polski i Wielkie-

go Księstwa Litewskiego dla sprawy krucjat. Tak Niemcom, jak i Polakom nie o to jednak chodziło. 5 lipca 1416 roku polski kanonista Paweł Włodkowic wygłosił ripostę na krzyżackie zarzuty. Punkt po punkcie odrzucał w niej wszystkie domniemania, na których oparł swój wywód jego adwersarz, włącznie z legalnością samej krucjaty. Włodkowic, rektor Akademii Krakowskiej i uczeń słynnego teologa Francesca Zabarelli, potrafił zająć niezależne stanowisko i wynieść dysputę na wyższy poziom intelektualny.

On również rozpoczął mowę - opublikowaną później pod tytułem *Tractatus de potestate papae et imperatoris respectu infidelium* („O władzy papieża i cesarza nad niewiernymi”) - od wprowadzenia w tło historyczne, ale inaczej niż Wormditt. Przeciwwstawił skłonność Zakonu do wojowania nie tylko z agresywnymi, zatwardziałymi poganami, lecz i ludami usposobionymi pokojowo, a nawet z chrześcijanami, polskiemu sukcesowi na niwie krzewienia wiary: nawróceniu Litwy drogą pokojową. Następnie podważył samą prawną podstawę działalności Krzyżaków: najpierw zakwestionował ich twierdzenie o wypełnianiu misji papieskiej, potem przeszedł do upoważnienia cesarskiego.

Uznał za oczywiste, że papież nie mógł przyznać Zakonowi uprawnień, jakich sam nie posiada, a wszelkie wydane przezeń w tej sprawie dokumenty są po prostu nieważne. Krzyżacy mogą tylko wykonywać wyraźne rozkazy Ojca Świętego, i to takie, których wydanie leży w jego kompetencjach. Pytanie zasadnicze brzmiało: czy papież może legalnie nakazać chrześcija-

nom atakowanie suwerennych krajów pogańskich? Odpowiedź była pozytywna, ale tylko w odniesieniu do Ziemi Świętej, gdzie narodził się i żył Jezus; wszędzie indziej każdy niesprowokowany akt agresji wobec jakiegokolwiek niewinnego, spokojnego ludu - tak chrześcijańskiego, jak i pogańskiego - jest pogwałceniem prawa naturalnego i nawet papież nie jest władny takich działań usankcjonować. Owszem, ma on jurysdykcję nad wszystkimi ludźmi i może zlecić ukaranie niewiernych - jednakże nie za łamanie zasad, o których istnieniu nie mają pojęcia. Czy zatem może wydać rozkaz nawracania pogan siłą? Nie: stosowanie przymusu kłóci się bowiem z wolnym wyborem, nierozdzielnie łączonym przez Pismo Święte i prawo kanoniczne z prawdziwym nawróceniem. Cel nie uświęca środków i dlatego bulle, na których Zakon Krzyżacki oparł swoją działalność, albo nie mają mocy prawnej, albo są ważne tylko wtedy, gdy chodzi o wojnę obronną przeciwko poganom naruszającym prawa chrześcijan - a w takim razie niemieccy rycerze zakonnicy posunęli się o wiele za daleko.

Równie bezceremonialnie rozprawił się Włodkowiec z cesarskimi edyktami z lat 1226 i 1245, nakazującymi Krzyżakom nawracać, karać i podporządkowywać sobie pogańskie ludy. Stwierdził, że zostały wydane w błędnym przekonaniu, iż cesarz niezależnie od papieża jest odpowiedzialny za szerzenie wiary, podczas gdy wszystkie współczesne autorytety zgodnie uważały, że jego obowiązkiem jest wspieranie misji, a nie ich inicjowanie. „Wasza Cesarska Mość, głoszenie Ewan-

geli nie Tobie powierzono!” Wspomniane przywileje rzeczywiście przyznawały Zakonowi prawo do podboju nieszkodliwych pogan, ale cesarz nie miał prawa zalegalizować niesprawiedliwej wojny, a jego jurysdykcja nie obejmuje ludów żyjących poza uznanymi granicami cesarstwa. Fryderyk II bezprawnie wszedł zatem w sferę kompetencji papieskich i pogwałcił naturalne prawo własności, do którego przestrzegania był zobowiązany. „O, jakże szczodrze ów imperator szafował cudzymi ziemiami!”

Amunicja Włodkowica do tego „przygotowania artyleryjskiego” była zbierana przez dwa wieki intensywnych badań prawniczych, jakie upłynęły od nadania Zakonowi jego specyficznych uprawnień. Pod wpływem pokoleń nauczycieli, od XII-wiecznej „szkoły św. Wiktora” po Zabarellę, idea prawa naturalnego nabrała znaczenia i była coraz powszechniej uznawana, doktryna wojny sprawiedliwej zaś doczekała się o wiele lepszego sprecyzowania. Krzyżacy odwoływali się do tradycji i dokumentów, Polacy do rozsądku i nauki Arystotelesa; w sercu prawa kanonicznego był jednak zakorzeniony komentarz wielkiego dekretalisty Henryka de Segusia, biskupa Ostii, do fragmentu Dekretaliów Grzegorza IX, napisany w latach 1245–1254. Dość obszernie wywodził on:

Wraz z narodzeniem Chrystusa wszelka cześć, suwerenność, zwierzchnictwo i jurysdykcja (...) zostały odebrane wszystkim niewiernym i nadane wiernym. To, że odbyło się to dla słusznej racji, udowadnia Księga

Syracha: „Panowanie przechodzi od narodu do narodu przez krzywdy, bezprawia, pieniądze” (...) I to panowanie nad regnum i sacerdotium Syn Boży przekazał Piotrowi i jego następcom.

W myśl tej zasady papieże w istocie mieli władzę również nad poganami i mogli scedować ją na Krzyżaków, jak każdy uczony kanonista musiał mruczeć pod nosem, gdy Włodkowiec kończył swą przemowę 5 lipca. Polski delegat był jednak dobrze przygotowany; następnego dnia wystąpił z kontrargumentacją, którą później rozszerzył do rozmiarów traktatu znanego pod tytułem *Opinio Ostiensis*.

Przyznał, że według de Segusia niewierni są całkowicie niezdolni do sprawowania legalnej władzy politycznej i że pogląd biskupa Ostii znalazł licznych wyznawców, jak Egidiusz Kolonna Romanus, Oldradus de Ponte, Johannes Andreae i Piotr z Ancarano, który niedawno stwierdził, że „chrześcijanie mogą bez łamania prawa kraść, przywłaszczać, rabować, zajmować i najechać ziemie cudzień dobra niewiernych nie uznających Kościoła rzymskiego ni cesarza, nawet jeśli chcą oni żyć z nami w pokoju”. Skoro tak, to prawowiernego chrześcijanina w stosunkach z poganinem nie obowiązuje prawo ani boskie, ani naturalne; Włodkowiec jednak, przemawiając „nie jako poseł, lecz jako uczony”, podał pięćdziesiąt dwie konkluzje udowadniające, że de Segusio był w błędzie. Na podstawie Biblii wykazał, że Bóg nakazuje papieżom raczej karmić i chronić pogan, niż ich zabijać, a z prawa rzymskiego wywiódł wnio-

sek, że własność zawsze powinna być respektowana; cytował św. Tomasza z Akwinu, aby dowieść, że jest ono jednakowo nienaruszalne w wypadku i chrześcijan, i pogan. Wyjątek Ziemi Świętej uzasadnił twierdzeniem, że Tytus zdobył Palestynę w wyniku wojny sprawiedliwej i dlatego papież jako spadkobierca imperium rzymskiego miał prawo przywrócić ją chrześcijaństwu. Również wszystkie ziemie zagarnięte przez muzułmanów można im odebrać, ale tylko wtedy, gdy nielegalność takiej aneksji zostanie sądownie wykazana. Papież jest uprawniony do sądzenia i karania pogan, ale wyłącznie za występki przeciwko prawu naturalnemu: bałwochwalstwo, sodomie, ataki na chrześcijan i odmowę wpuszczenia misjonarzy na ich terytorium; powinien posunąć się do ich wywłaszczenia tylko w ostateczności, dla oddalenia bezpośredniego zagrożenia chrześcijaństwa. Jeśli zaś się na to zdecyduje i przekaze władzę nad nimi świeckiemu władcy, ich prawo własności nadal musi być uszanowane.

Co więcej, papieska jurysdykcja nad poganami z całą pewnością nigdy nie była przyznana bezpośrednio chrześcijańskim cesarzom, a zatem wydane przez nich przywileje dla Krzyżaków nie mają mocy prawnej. Nawracać należy tylko perswazją i dobrocią, zakonni rycerze więc i wspierający ich krzyżowcy nie tylko błędzą, ale i grzeszą, dobywając mieczy dla szerzenia wiary. Ci, którzy polegli podczas krucjat północnych, jeżeli skruchy na Sądzie nie okażą, będą z pewnością potępieni - jest bowiem obowiązkiem chrześcijańskiego rycerza upewnić się, czy walczy za słuszną sprawę.

Owe wojny nie spełniały żadnego z pięciu warunków wojny sprawiedliwej, a na dodatek zmuszały krzyżowców do łamania fundamentalnych zakazów walki w niedzielę i dni postne. Wszystko, co zostało zdobyte w takich grzesznych przedsięwzięciach, jest złodziejskim łupem i nie powinno być przez najeźdźców zatrzymane. Innocenty IV zadekretował dawniej, że poganin ma prawo do zwrotu zagrabionego mu mienia z wyroku chrześcijańskiego sądu. Chrześcijański monarcha (jak Władysław Jagiełło) jest też w pełni uprawniony do posłużenia się pogańskimi sojusznikami dla obrony swego królestwa: czyż bowiem Machabeusze nie sprzymierzyli się z Rzymianami? Z każdego możliwego punktu widzenia jest oczywiste, że poganom przysługuje prawo naturalne, a ich władcy mogą zgodnie z nim sprawować nad nimi rządy; dlatego też obowiązkiem każdego prawomyślnego chrześcijanina jest odrzucenie opinii biskupa Ostii i podążanie śladem Innocentego IV, który napisał, że „wśród niewiernych może istnieć legalna władza i jurysdykcja” i że „do prawdziwej wiary należy ich przekonywać”.

Była to silna argumentacja, ale miała raczej charakter wyzwania niż perswazji. Włodkowiec nie szukał przyjaciół, tylko starał się udowodnić własne racje. „Jesteś dobrym adwokatem pogan przeciwko chrześcijanom”, brzmi komentarz czytelnika na jednym z manuskryptów *Opinio Ostiensis*; z nimi, a więc przeciw nam - tak właśnie musiała zareagować większość słuchaczy. Niektórzy z uczestników soboru sami brali udział w krzyżackich rejsach, wielu innych było zaś święcie

przekonanych, że poganie są źli, a chrześcijanie dobrzy. Specjaliści od prawa cywilnego uważali, że władza cesarska jest praktycznie nieograniczona, według kanonistów uprawnienia papieskie sięgały o wiele dalej, niż twierdził polski mówca. Sobór miał jednak inne problemy do rozwiązania, jak choćby potępienie i spalenie na stosie Jana Husa. Jagiełło i Witold mieli zaś również mniej teoretyczne argumenty w zanadrzu. 28 listopada 1415 roku do Konstancji przybyło poselstwo polskie, któremu towarzyszyło kilka wzburzonych person przedstawiających się jako prawdziwi Żmudzini pragnący przejść na łono Kościoła, co jednak boją się uczynić z powodu ustawicznej wrogości i agresywności Krzyżaków. Sobór miał więc wreszcie okazję wysłuchać najbardziej zainteresowanych - pogan we własnej osobie. W tym samym czasie król Władysław listownie powiadomił zebrane gremium, że gotów byłby rozpocząć krucjatę przeciwko Turkom, gdyby nie obawa przed atakiem z Prus.

Żmudzini przedłożyli skargę w lutym 1416 roku, a tydzień później posłowie Polski i Litwy postawili oficjalnie żądanie wymierzenia sprawiedliwości za zło wyrządzone ich krajom przez Zakon Krzyżacki. Żadnej natychmiastowej decyzji oczywiście nie podjęto. Po jakimś czasie adwokat krzyżacki, Andreuccio da Porta z Novary, wniósł o zwolnienie jego mocodawców z obowiązku odpowiadania na kolejne zarzuty; próbowano odczytać rekapitulację wszystkich kwestii spornych między Zakonem a Polską i Litwą, lecz dokument okazał się zbyt obszerny na jedno posiedzenie; czytanie

zawieszono i sobór zajął się śledztwem w sprawie herezji Hieronima z Pragi. Wyglądało na to, że trudno będzie przechylić szalę opinii na korzyść którejkolwiek ze stron konfliktu, ale wystąpienie delegacji żmudzkiej wywarło spore wrażenie i Krzyżakom nie było łatwo ich zdyskredytować. Podejrzewali, że to tylko ślepe narzędzia Witolda i w rzeczywistości wcale nie zamierzają przyjmować chrztu, ale jak to udowodnić? Rozwiązaniem, jak to nazbyt często się zdarzało w Zakonie, był akt przemocy: w marcu wracających do domu Żmudzinów aresztowano i więziono wbrew wszelkim panującym prawom i zwyczajom. We wrześniu tegoż roku i Jagiełło, i wielki mistrz napisali listy do zebranych na soborze delegatów, zapewniając, że nie zamierzają na razie ze sobą wojować, ale ich intelektualni harcownicy trwali w pełnej mobilizacji. Włodkowic w bardziej szczegółowym ataku na Krzyżaków (*Articuli contra cruciferos*) wykazał, że nie tylko ich władza polityczna nie ma żadnego uzasadnienia, ale i codziennym swym postępowaniem przeczą zasadom obowiązującym tak rycerzy, jak i mnichów. Doktor Dominik z San Gemignano usiłował polemizować z traktatem Włodkowica na temat błędów de Segusia, a doktor Jan Urbach na nowo uzasadnił prawo papieża do usankcjonowania wojny zaczepnej w celu nawracania pogan; na brak tekstów wspierających tę tezę nie mógł się skarżyć.

Urbach był płatnym polemistą na usługach Zakonu, ale to nie on najzarliwiej przeciwstawiał się królowi Polski. Tej samej jesieni dominikanin Jan Falkenberg

kończył swą *Liber de doctrina potestatis papae et imperatoris* („Księga o doktrynie władzy papieża i cesarza”), chcąc doprowadzić do uznania Włodkowica przez sobór za błędzącego heretyka. Kwestionując poglądy Polaka, który pozwalał sobie podważać uprawnienia cesarskie, posłużył się Arystotelesem, aby dowieść, że władza świecka ma starsze od papieskich - i od nich niezależne - tradycje prawne, po czym stwierdził, że cesarz jest wikariuszem Boga na ziemi w sprawach doczesnych i dlatego ma obowiązek w Jego imię zajmować ziemie okupowane przez ludy występujące przeciw Niemu przez niewiarę, bałwochwalstwo, schizmę czy herezję. Nieprzyjaciele Boga pozostają nimi, choćby zawarli pokój z całą resztą świata, a już Augustyn i Izydor dowiedli, że to cesarz, a nie papież powinien wydać im wojnę. Oczywiście miłość jest ważna i potrzebna; ponieważ jednak celem zwalczania pogan jest ochrona chrześcijan, takie wojny są w istocie oznaką miłości. „I dlatego jest więcej niż pewne, że kto broni wiary, idąc z takich pobudek na bój z niewiernymi, ten zasługuje na królestwo niebieskie”. Z tego już jasno wynika, że postępowanie zakonnych rycerzy i krzyżowców jest w pełni usprawiedliwione, ponieważ działali w posłuchu wobec doktryn Kościoła i dla wyegzekwowania praw cesarza; wolno im bić się w czasie świąt Najświętszej Marii Panny tak samo, jak Chrystus mógł uzdrawiać w szabas: „Jeżeli człowiek może przyjmować obrzezanie nawet w szabat, aby nie przekroczone Prawa Mojżeszowego, to dlaczego złościcie

się na Mnie, że w szabat uzdrowiłem całego człowieka?”.

Polacy skorzystali jednak z pomocy niewiernych w celu zniszczenia chrześcijańskiego kraju i udawanie, że było inaczej, nie tylko jest oburzające, ale wręcz bliskie herezji. Augustyn i Chryzostom mają rację: nigdy nie należy wchodzić w układy z diabłem. Dlatego wszyscy chrześcijanie, którzy wspierali Jagiełłę w wojnach z 1410 i 1414 roku, zasługują na wieczne potępienie, a cały polski lud powinien zostać przez Kościół skazany na utratę politycznej niezależności, jeżeli nie na śmierć. Skoro Jagiełło i Witold nie kryją się z zamiarem podboju Prus, a potem całej środkowej Europy aż po Ren, sobór winien ich niezwłocznie napiętnować.

Ruch soborowy dał intelektualistom tak duże znaczenie w praktyce politycznej, jakiego rzadko wcześniej dostępowali. Wątpię jednak, czy ktoś na tym skorzystał; na pewno nie Falkenberg. Jego praca wskazuje, że miał błyskotliwy umysł, poczynił sobie jednak zbyt śmiało i się przeliczył. Polemika z Włodkowicem była zwykłym pojedyńkiem uczonych, ale atak na Jagiełłę, i to bezzasadny, był przejawem głupoty. Co więcej, niemal równocześnie z publikacją *Liber de doctrina* dominikanin przedłożył profesorom Sorbony jeszcze bardziej oszczerczy traktat znany pod tytułem *Satyra na herezje i inne nikczemności Polaków oraz ich króla Jagiełły*. Była to rozprawka napisana około pięciu lat wcześniej, kiedy Falkenberg przeniósł się z Polski do Pragi i dalej do Magdeburga, gdzie został inkwizytor. Utrzymywał w nim, że „Jagiel” jest wściekłym li-

tewskim psem, ohydnie prześladowuje chrześcijan i nie jest godny być królem nawet takiego kraju jak Polska. Nazywał go zwykłym „bałwanem”, a wszystkich Polaków bałwochwalcami - a więc apostatami i heretykami gorszymi od pogan, albowiem atakują Kościół od wewnątrz. Aby zapobiec szerzeniu się tej polskiej herezji, prawdziwi chrześcijanie powinni zgładzić ich wszystkich z królem na czele i tym samym zasłużyć sobie na życie wieczne

Dzisiejszy czytelnik uzna to zapewne za satyrę na samą koncepcję krucjaty lub na cały średniowieczny sposób myślenia; współcześni odbierali jednak dziełko Falkenberga zupełnie inaczej. Sam autor użył go jako amunicji w kampanii przeciwko Jagielle, a ponieważ rzecz była jawnym oszczerstwem, Władysław mu nie popuścił. W 1417 roku Falkenberg trafił do więzienia i został potępiony tak przez swój zakon, jak i przez sobór w Konstancji jako skandalista. Flirt z ideą tyranobójstwa sprawił, że uznano go za publiczne zagrożenie, jednakże jego bardziej oględne procesarskie i antypolskie wypowiedzi zaskarbiły mu pewną sympatię zwłaszcza wśród Niemców. Polskiej delegacji trudniej było walczyć z ideą niż z jej twórcą; mimo drobiazgowej polemiki Włodkowica i gorączkowych apeli do soboru i nowego papieża Marcina V nigdy nie ukarano Falkenberga za herezję. Tuż przed zakończeniem obrad, 14 maja 1418 roku, kontrowersyjnego dominikana spotkała satysfakcja: raport komisji złożonej z trzech kardynałów stwierdzał, że choć *Satyre*... „należałoby podrzeć na strzępy i zdeptać”, herezji się w niej jednak

nie dopatrzono. Następne sześć lat spędził jednak jako więzień we Florencji i w Rzymie.

Ta nieproszona interwencja Falkenberga nie przyniosła niczego dobrego obu stronom sporu. Publikacja paszkwilu będącego praktycznie karykaturą życzeń wielkiego mistrza zmniejszyła szanse Zakonu na nakłonienie soboru do podjęcia sankcji przeciwko Polsce; z kolei upór, z jakim posłowie Jagiełły usiłowali uczynić z antypolskości herezję i obwiniali Krzyżaków o konszachty z Falkenbergiem, zraził do sprawy nawet tych delegatów, którzy sprzyjali polskiemu królowi. Do uznania *Satyry* za dzieło heretyckie nie dopuścili Anglicy i Kastylijczycy. W 1417 roku kilku polemistów wyrażało otwarte poparcie dla co najmniej dwóch konkluzji dominikanina: po pierwsze, że w pewnych okolicznościach wojna z niewiernymi jest prawnie dopuszczalna, a nawet godna pochwały; po drugie, że sprzymierzenie się z poganami przeciwko chrześcijańskim nieprzyjaciołom jest nikczemnością. W styczniu Andreuccio da Porta wydał *Tractatus*, w którym wskazywał niektóre nielogiczności w rozumowaniu Włodkowica i wykladał osobliwy własny argument przeciwko poganom: skoro Bóg obdarzył ich ziemią, na której żyją, są oni zobowiązani przestrzegać Jego praw; uprawiając bałwochwalstwo, łamią te prawa, więc powinnością papieża jako namiestnika Pańskiego jest ich wywłaszczyć. Andreuccio otrzymał za swą pracę honorarium od Zakonu, podobnie jak Urbach za ułożenie oficjalnej odpowiedzi na mowę Włodkowica, która ukazała się w czerwcu tego samego roku. Pojawiły się

jednak także dwie popierające Krzyżaków wypowiedzi autorstwa powszechnie szanowanych niezależnych myślicieli: kardynała Piotra d'Ailly, biskupa Cambrai, doświadczonego teologa i orędownika reformy Kościoła, oraz benedyktyna Andrzeja Escobara, biskupa Ciudad Rodrigo, absolwenta uniwersytetu w Wiedniu.

D'Ailly próbował uprościć debatę, redukując ją do dwóch kwestii: czy katolicy mogą prowadzić sprawiedliwą wojnę z chrześcijańskimi ludami przy asyście pogan oraz czy Krzyżacy są uprawnieni do zdobywania ziemi przez odbieranie jej niewiernym. Doszedł do wniosku, że nie może istnieć absolutny zakaz wykorzystywania pogańskich sprzymierzeńców do walki w łonie chrześcijaństwa: każdy wasal niezależnie od wyznawanej wiary musi bić się za swego seniora. Z drugiej strony papież lub cesarz mają prawo nakazać chrześcijanom, by stanęli do wojny z poganami, ale tylko z trzech powodów: w celu odzyskania utraconych terytoriów, poskromienia agresywnych najeźdźców lub ukarania tych, którzy „hańbią imię Stwórcy” i wodzą chrześcijan na pokuszenie swoim nienaturalnym sposobem życia. Przyjaźnie usposobionych niewiernych należy jednak zostawić w spokoju, a ich majątek i system władzy traktować jak legalne. Jeżeli więc część poddanych Władysława Jagiełły żyje w pogaństwie, miał on pełne prawo rzucić ich do walki z Krzyżakami; jeżeli reguła zakonna upoważnia braci-rycerzy do prowadzenia wojen z jednego z wymienionych powodów, to ich postępowanie jest usprawiedliwione. D'Ailly dodaje, że postulat Falkenberga, by Jagiełłę i wszystkich Polaków

zgodzono połączonymi siłami chrześcijańskich książąt za herezję, bałwochwalstwo i prześladowanie Kościoła, jest najzupełniej słuszny - pod warunkiem że wina Polski zostanie udowodniona i werdykt skazujący wyda prawomocny sąd. Ta krótka opinia miała ująć nieco wiatru z żagli obu adwersarzy, była jednak zdecydowanie surowsza dla Włodkowica niż Zakonu.

Escobar przedstawił płomienną i bardzo tradycyjną obronę krucjat w ogóle, a Krzyżaków w szczególności. Zreassumeował historię stosunków polsko – krzyżackich do roku 1414 w taki sposób, by oskarżyć Jagiełłę o utrudnianie działania powstałej zgodnie z prawem organizacji religijnej, po czym dość szczegółowo zajął się kwestią nawracania pod przymusem. Włodkowic argumentował, że pracy misyjnej nie da się pogodzić z wojną, ponieważ nikomu nie można siłą narzucić wiary. Escobar odpowiada na to, że celem walki nie jest spędzenie ludzi pod chrzcielnicę za pomocą miecza, lecz zniechęcenie ich do bluźnierczych i bałwochwalczych praktyk jako wstęp do zmiany światopoglądu, a w konsekwencji do nawrócenia. Wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi; jeżeli ktoś z nas znieważa Ojca, odrzucając prawdziwą wiarę, obowiązkiem pozostałych jest przywołać go do porządku dla dobra jego i swoich dusz - do tego właśnie powołany został Zakon Krzyżacki i ze swej powinności się wywiązał, ponieważ kocha bliźnich i Boga. Jeżeli więc polski król zdecydował się wezwać pogan, aby pomogli mu zaspokoić roszczenia terytorialne wobec tych dobrych rycerzy, to zasługuje na utratę i spornych ziem, i samej korony,

a wszyscy porządni chrześcijanie powinni ruszyć Zakonowi z pomocą.

Wobec takich argumentów oskarżenie Krzyżaków przez Włodkowica o „pruską herezję” i żądanie traktowania ich jako nielegalnej organizacji nie miało dostatecznej mocy. Jego stanowisko było tak radykalne, że nie dałoby się potępić Zakonu z podanych przezeń przyczyn i nie skalać przy tym dobrego imienia papiestwa, cesarstwa i większości chrześcijańskich władców. Choć usilnie się starał nie stawiać znaku równości między krucjatami północnymi a hiszpańskimi i palestyńskimi, luki w tych zabezpieczeniach były wyraźnie wyczuwalne, co sprzyjało zwieraniu szeregów byłych, obecnych i potencjalnych krzyżowców. Sobór jednak nigdy nie opowiedziałby się jednoznacznie za żadną ze stron - choćby dlatego, że miał ważniejsze sprawy do załatwienia. Nowy papież Marcin zakończył ostatnią sesję, nakazując milczenie obrońcy Polski... po czym wyznaczył Jagiełłę i Witolda na swych wikariuszy generalnych na Rusi. Katolicyzm obu władców został tym samym dobitnie potwierdzony.

Przetrwanie i kres Zakonu w Prusach (1418–1525)

Zakon również nie miał wielu powodów do niezadowolenia z wyniku dysputy, ponieważ sobór opowiedział się ogólnie za krucjatami, a część delegatów odniosła się do jego sprawy z sympatią. Krzyżacy szczęśliwie uniknęli odium, jakie spadło na Jana Falkenberga, choć i jego doktryna nie została oficjalnie potępiona

aż do 1424 roku, a on sam wyszedł z tej wojny na słowa zwycięsko; tak w każdym razie widział to kontynuator *Kroniki Pruskiej* Jana z Żuławki, pisząc w 1418 roku: „Wysłannicy królewscy złożyli kłamliwe skargi na Zakon przed papieżem i całym soborem, królem rzymskim i elektorami, lecz każda z nich upadła pod naporem prawdy, upierali się bowiem Polacy przy swoich niezliczonych kłamstwach”. Nie ulegało wątpliwości, że Krzyżacy byliby usprawiedliwieni, trzymając się praw zagwarantowanych przez pokój toruński.

Problem w tym, że nie mieli już na to dostatecznych sił. W latach 1418–1422 Kűchmeister odpowiadał na żądania wysuwane przez Jagiełłę względem zachodnich prowincji pruskich nadawaniem nowych przywilejów tamtejszym wasalom, a jego argumenty zadowolily trybunał cesarski we Wrocławiu; kiedy jednak król stracił cierpliwość do rokowań i po raz kolejny najechał Prusy, Zakon został przywołany do porządku po trwającej niecałe dwa miesiące kampanii. Na mocy pokoju melneńskiego następcą Kűchmeistra, Paweł von Russdorf, przekazał Polsce rozmaite skrawki terenów granicznych i raz na zawsze zrzekł się dawnego krzyżackiego roszczenia do Żmudzi. Von Russdorf zwrócił się o pomoc do cesarza, ale polskie natarcie okazało się tak błyskawiczne, że wojna się skończyła, zanim pierwsi krzyżowcy zdążyli dotrzeć na miejsce akcji. Miesiąc po podpisaniu traktatu pokojowego, 17 października 1422 roku, elektor Palatynatu Reńskiego Ludwik III Wittelsbach i arcybiskup koloński Dytryk von Moers powiedli swoje zastępy do Prus, gdzie przezimowali, i z wiosną

wrócili do domów. Była to ostatnia grupa krzyżowców; już nawet rycerze niemieccy nie garnęli się pod zakonny sztandar i odtąd wielcy mistrzowie musieli polegać przede wszystkim na własnych siłach, wojskach zaciężnych (na które nie było ich stać) albo na pruskim pospolitym ruszeniu (które już nie kwapiło się do walki).

Nawet kiedy stosunki między Polską i Litwą się oziębiały, jak w latach 1422–1447, Zakon nie mógł z tego wyciągnąć trwalszych korzyści. Von Russdorf - pobożny intrygant z uśmiechem i pięknym słówkiem na każdą okazję, który w Polsce znany był jako „Duch Święty” - zaprzyjaźnił się nawet z wiekowym już Witoldem i jego następcą Świdrygiełłą, ale próba ingerencji w litewski spór o sukcesję (1431–1435) zakończyła się dla Krzyżaków niepowodzeniem. Jagiełło w odwecie wysłał do ujścia Wisły armię husytów, która przez cztery miesiące pustoszyła zachodnie Prusy, i w końcu wielki mistrz zmuszony był zawrzeć pokój (grudzień 1435). Kraj ogarnęła fala demoralizacji i niezadowolenia, krzyżackie regularne i doświadczone wojsko dostało ciągi od zbieraniny heretyków; ich pogromca naraził się wprawdzie na ekskomunikę za posłużenie się nimi, a przywileje Zakonu zostały potwierdzone przez sobór w Bazylei - sytuacji to jednak nie zmieniło.

Nad losem krzyżackiego państwa lament podniósł jego sympatyk, utalentowany łacinnik Konrad Bitschin. W dziele *Epistola ecclesiae deplanctoria* nie szczędził Polakom obelg („O przeklęta Polsko, ty tępy narodzie szaleństwem dotknięty! Jak mogłaś, o własne zbawie-

nie nie dbając, wybrać sobie tak nikczemnego sojusznika...”) i piętnował rozpasaną grabież swego kraju: „Płaczcie, wrażliwe Prusy, któreście jeszcze niedawno w owoce i rybę opływały, i wszelkie rodzaje jadła smacznego...”, a na koniec wzywał odsiecz: „Słuchajcie, chrześcijańscy rycerze i knechci, coście dotąd przybywali z dalekich ziem i żołąd brali hojny; zważcie na Wasze powołanie, upraszam Was, albowiem w tej potrzebie nie za pieniądze tylko staniecie, jeno by bój chwalebny stoczyć, za który nagrodą jest łaska Boża”. Zapłata musiała się wydawać niedostateczna: nikt na to płomienne wezwanie do Prus nie przybył. Stany skąpiły i podatków, i służby wojskowej, europejskie rycerstwo zostało w domowych pieleszach. Tylko bracia inflancy walczyli dalej, lecz i oni przegrali, o czym jeszcze będzie mowa.

Po pokoju melneńskim zmuszenie Zakonu do oddania Polakom wszystkiego, czego żądali, było więc tylko kwestią czasu. Konflikt trwał jeszcze czterdzieści lat; na przemian walczono i negocjowano, krzyżowały się pozwy i polemiki, kilkakrotnie godzono się na arbitraż, na koniec Prusy rozdarła wojna trzynastoletnia - ale ostatecznie przeważająca potęga polsko - litewskiej monarchii musiała zatriumfować. Podpisując drugi pokój toruński (19 października 1466 roku), wielki mistrz Ludwik von Erlichshausen zrzekł się wszystkich ziem nad dolną Wisłą - zagrabionych Polsce po 1309 roku oraz zdobytych w pierwszej połowie XIII wieku Prus Górnych, w tym samej malborskiej stolicy - zwanych odtąd Prusami Królewskimi. Reszta krzyżackiego pań-

stwa, którą rządził z Królewca, pozostała na prawach niezależnego księstwa, ale od kolejnych wielkich mistrzów wymagano złożenia osobistej przysięgi wierności królowi, co miało zagwarantować ich dobre zachowanie.

Te wojny pod żadnym względem nie były kontynuacją krucjat północnych, mimo starań Zakonu i zatrudnianych przezeń publicystów o uzyskanie wsparcia krzyżowców. Jedynymi „poganami”, jacy pozostali do nawracania, byli teraz Rusowie - a zaangażowanie w konflikt z Polską nie pozwalało Krzyżakom na podejmowanie awantury na wschodzie. Gdyby połączyli siły z królem, krucjata mogłaby dojść do skutku; dopóki jednak pozostawali w zaciętej wzajemnej wrogości, nie mogło być mowy o świętej wojnie.

Idea przeżyła jednak rzeczywistość, stając się oficjalną *raison d'être* krzyżackich rządów aż do 1525 roku. Dopóki reszta Europy trzymała się krucjatowych frazesów, „pruscy panowie” mieli szansę manipulowania jej opinią na swoją korzyść. Do 1411 roku wiara w powinność niesienia krzyża była potężną siłą spajającą Zakon, jego poddanych i „gości” w realizacji wspólnego, choć nie zawsze godnego celu; później stała się już tylko obsesją Krzyżaków, zmuszającą ich do utrzymywania stanowiska nie do obrony - nie tylko wobec królestwa polskiego, lecz ich własnych mieszczan, rycerstwa i biskupów. To oddanie dla misji, która już nigdy nie mogła być spełniona - w każdym razie nie w Prusach - pomogło w podtrzymaniu dawnego systemu rządów, nie uchroniło jednak braci – rycerzy od

nienawiści poddanych, wewnętrznego skłócenia i rosnącej niesubordynacji tak wobec wielkiego mistrza, jak i samej zakonnej reguły. Rekrutowano ich teraz wyłącznie spośród niezamożnego drobnego rycerstwa zachodnich Niemiec; mieszczan i możnych już nie przyjmowano, a w baliwatach niemieckich ich liczba spadła na przestrzeni pierwszej połowy XV wieku o jedną trzecią. Tych, którzy przenosili się do Prus, miejscowi postrzegali jako „cudzoziemców”; oni zaś odnosili się do „tubylców” z pańska, wzmacniając siłę piastowanego urzędu obelgą i drwiną. Zdarzało się, że gdy poddani próbowali się skarżyć krzyżackiemu urzędnikowi, ten stukał się w głowę, mówiąc: „Patrzcie, tu siedzi wielki mistrz! Ja dla was będę wielkim mistrzem i innego nie potrzebujecie, więc na kolana, psy!” Ich wasale z tęsknotą wspominali stare dobre czasy von Dusemera i von Kniprodego, kiedy osadnik był traktowany z szacunkiem. Jak junkrzy z Chełmna i Torunia wypomnieli Zakonowi w 1438 roku: „Choć to wasi poprzednicy zdobyli ten kraj dla chrześcijaństwa, jakżeby do tego dojść mogło, jeśli nie dzięki sile i wytrwałości naszych przodków?” Odpowiedź na podobne pytania nieodmiennie brzmiała: „Mieczem was zawojowaliśmy” - aż w 1454 roku mieszczanie i wasale sami za miecze chwycili, zwracając się o pomoc do króla polskiego.

Takie podejście nie wynikało ze zniecierpliwienia ludzi ducha sprawami ludzi świata. System administracji i zarządzania rozwinięty w XIV wieku pochłaniał więcej energii Zakonu w XV, kiedy wszedł on w ostrą

rywalizację z innymi pruskimi grupami interesów. Z tego okresu mamy o wiele mniej pisemnych świadectw intelektualnego i duchowego rozwoju, przynajmniej wśród braci pruskich. Nie było już potrzeby zapewniania wyszukanych rozrywek, jakie czyniły Malbork atrakcją dla goszczących tam niegdyś krzyżowców; wysokie mniemanie o sobie i skłonność do biesiadowania pozostały jednak żywe jak dawniej, co pozwalało w prosty sposób spędzać czas i pokazywać rdzennej ludności, kto tu jest panem. Nikt już nawet nie odmawiał godziniek; ba! mało kto znał na pamięć *Pater noster*, jak skarżyli się kartuzi w *Napomnieniu* z 1428 roku: „Kiedy wierni w kościele śpiewają, panowie w piwnicy siedzą i się weselą (...) Nie masz już zadowolenia w odmawianiu brewiarza, nie masz duchowości w konwentach, w ich życiu ni w ubiorze” W czasie pokoju bracia – rycerze tyranizowali ludność, nabijali sobie trzosi, ucztowali i folgowali żądom; na wojnie jeszcze bili się z nie mniejszym zapałem od swych poprzedników, ale wynik bitwy zależał już bardziej od możliwości opłacania wojsk zaciężnych niż od ich własnej rycerskiej sprawności. Nie było też w ich szeregach dawniejszej jedności: od 1410 roku w łonie Zakonu toczyły się ustawiczne spory między zwolennikami różnych dialektów. Wielki mistrz Henryk von Plauen próbował faworyzować dolnoniemiecki, ale spotkał się z wrogością braci posługujących się wysokoniemieckim, którzy przywykli uważać Prusy za swoją domenę. Von Russdorf wspierał Nadreńczyków, przez co wszedł w konflikt ze Szwabami, Bawarami i Frankończykami,

którzy pragnęli zachować dotychczasowy monopol na urzędy. Paradoksalnie wraz z rosnącym rozprzężeniem i krnąbrnością braci, władza polityczna coraz bardziej wymykała się im jako wspólnotnie, przechodząc w ręce wielkiego mistrza: z początku wskutek przebiegłego manewru stanów pruskich, które złożyły hołd osobiście Konradowi VI von Erlichshausenowi w dniu jego elekcji w 1441 roku, a później, kiedy strach przed Polską skłonił Krzyżaków do wyboru kandydatów z zewnątrz, z dynastii panujących Rzeszy: Fryderyka Wettyna z Saksonii w 1498 roku czy Albrechta Hohenzollerna w 1511 roku - książąt, którzy wykorzystywali pozycję w Zakonie do zabezpieczania interesów rodowych.

Po 1466 roku wszyscy kolejni wielcy mistrzowie usiłowali zreformować Zakon, nikomu się jednak nie udało zwołać posiedzenia kapituły generalnej, co uważano za niezbędny wstęp. Problem braci pruskich nigdy nie był rozpatrywany w odizolowaniu; traktowano go jak jeden z aspektów rozkładu całego Zakonu, a ponieważ mistrzowie krajowi Inflant i Niemiec nie chcieli współpracować przy przeobrażeniach, żadna inicjatywa nie mogła dojść do skutku.

Dalekowzroczny reformator mógłby się zastanowić nad dwoma radykalnymi rozwiązaniami tego dylematu. Pierwszym było wierne trwanie przy tradycji wypraw krzyżowych, przyjęcie do wiadomości, że krucjata północna się definitywnie zakończyła, i opuszczenie Prus; Zakon mógłby wówczas podjąć walkę z realnym zagrożeniem, jakie dla Europy przedstawiało imperium osmańskie, oraz znów stać się prawdziwym bractwem

zbrojnych mnichów, uwolnionym od trosk związanych z rządzeniem i polityką. Drugie wyjście było zupełnie inne: pruscy bracia powinni przeciąć więzi łączące ich z resztą Zakonu, odwołać śluby, pożenić się i osiąść w Prusach na dobre już jako członkowie świeckiej elity.

W XV wieku pierwszy wariant miał licznych zwolenników. Cesarzowi Zygmuntowi Luksemburskiemu, który wciąż nosił także koronę węgierską, zależało na powstrzymaniu tureckiego podboju Bałkanów i na konferencji w Łucku (1429) zaproponował, by zakonnym rycerzom powierzyć operacje militarne na tym froncie. Oddział krzyżacki pod dowództwem komtura Klause von Redewitza ponownie zajął tę część Siedmiogrodu, która była w rękach Zakonu w latach 1211–1225, i pozostawał tam, dopóki połowa braci nie zginęła podczas tureckiego najazdu w 1432 roku. Pięć lat po tej porażce Zygmunt Luksemburski zasugerował, żeby cały Zakon przenieść do tego regionu pod wspólnym nadzorem cesarza, papieża i soboru w Bazylei. Ten pomysł podobał się przede wszystkim Polakom, nawet po drugim pokoju toruńskim. W 1497 roku wielki mistrz Jan von Tiefen pomaszerował z Królewca do Halicza nad Dniestrem, aby wesprzeć króla Jana Olbrachta przeciwko jego zbuntowanemu wasalowi, gospodarowi mołdawskiemu Stefanowi III Wielkiemu; gdy jednak dotarł na miejsce, zapadł na dyzenterię i zmarł we Lwowie. Jego czterotysięczna armia natychmiast zawróciła do domu, a nowym mistrzem został Fryderyk Wettyn. Jego wybór był triumfem faksji niechętnej wobec współpracy

z Polską i optującej za zacieśnieniem więzi z Rzeszą. Ratowanie Europy przed Turkami było niewątpliwie chwalebnyim zadaniem, ale wyprowadzka z Prus nie wchodziła dla niej w grę. Trzeba było utraty prowincji, aby Krzyżacy zaczęli poważnie myśleć o przeniesieniu się na front wschodni, a rzeczywiście to zrobili dopiero w 1595 roku, za kadencji pierwszego wielkiego mistrza z rodu Habsburgów, arcyksięcia Maksymiliana.

Trzymanie się Prus zębami i pazurami zawsze było ideą popularną w łonie Zakonu, nawet po 1466 roku - połowa kraju jest lepsza niż nic. W stosunkowo spokojnych dniach po przyjęciu polskiego zwierzchnictwa ziemie krzyżackie zaczęły na nowo rozkwitać; za czasów von Tieffena jeden z kronikarzy zapisał: „Prusy wyglądają jak park Boga”, a sam wielki mistrz, mąż spokojny i zrównoważony, dumny był, że u pruskich mieszczan i kmieci widzi się eleganckie szaty i zastawione stoły. To był kraj wart posiadania, nawet jeśli zarządzanie nim sprawiało, że Krzyżacy nie byli dobrymi mnichami. Do czasów reformacji, kiedy zaczęto atakować samą ideę życia klasztornego, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że Zakon można by rozwiązać - to pozornie proste wyjście zrodziłoby bowiem trudności nie do pokonania. Po pierwsze, takiego aktu mógł dokonać tylko papież, a kolejni ojcowie Kościoła, podobnie jak wielcy mistrzowie, uparcie wierzyli, że Krzyżacy potrafią się zmobilizować do odnowy moralnej. Po drugie, społeczną funkcję Prus i Inflant jako schronienia dla ubogiej szlachty niemieckiej dawało się utrzymać tylko dopóty, dopóki ich rządzące elity wy-

magaly ciągłego uzupełniania - to zaś gwarantowała zasada celibatu. Po trzecie i najważniejsze, wcale nie było pewne, że zeświecczenie pozwoli zachować Prusy w rękach Niemców. Jak zakonni renegaci mogliby odrzucić śluby i regułę, nie zrzekając się zarazem swoich ziem i przywilejów?

Ostatecznie sekularyzację narzucił pruskim braciom sam wielki mistrz. W 1511 roku stanowisko to objął Albrecht Hohenzollern (z gałęzi von Brandenburg–Ansbach), wnuk margrabiego brandenburskiego i obiecujący młody żołnierz. Głosując na niego, Krzyżacy mieli nadzieję, że jego potężne koneksje odstraszą króla polskiego od prób rozszerzania swych wpływów w prowincji. Albrecht przyjął śluby zakonne i przy poparciu cesarza Maksymiliana I odmówił złożenia hołdu Polsce, a porzucony później przez protektora zaczął się sposobić do wojny. Nie mógł wprawdzie liczyć na współpracę mistrza inflanckiego von Plettenberga, ale pokładał nadzieję w niemieckich najemnikach i sojuszach z Danią lub Moskwą - a nawet z Tatarami. Kiedy Polacy wypowiedzieli mu wojnę, dopełnił tradycyjnego odwołania się do opieki Matki Boskiej, pielgrzymując boso do Jej sanktuarium pod Kętrzynem i urządzając uroczyste procesje w Królewcu. Nie przyniosło mu to jednak wojennego szczęścia; z Krakowa przewieziono Wisłą armaty i krzyżackie zamki padały jeden po drugim. Za sprawą cesarza Karola V w 1521 roku walczące strony zawarły rozejm, ale choć kwestia hołdu została oddana pod arbitraż, szansa, że Albrecht uniknie złożenia homagium, była znikoma.

Sprawę pogarszały wewnętrzne niepokoje w Prusach wywołane przez szerzenie się wśród świeckich obywateli i części duchowieństwa poglądów Marcina Lutra. Zjawisko to w księstwach niemieckich doprowadziło do zamieszania i rozruchów, ale w państwach o charakterze duchowym było zagrożeniem dla samego ich istnienia. Wielki mistrz nie mógł sobie pozwolić na wojnę domową w obronie starego porządku, tym bardziej że kilku komturów, a nawet biskup sambijski Jerzy von Polenz opowiedzieli się po stronie herezji. Albrecht spotkał się z Lutrem w Wittenberdze w 1522 roku i znalazł wyjście z sytuacji. Ojciec reformacji przekonał go, że Krzyżacy muszą porzucić habity i celibat, a on sam powinien stworzyć dla siebie świeckie księstwo w Prusach. Takie rozwiązanie pojednałoby go z wrogimi Zakonowi luterańskimi poddanymi i zapewniło mocną pozycję jako władcy. Kiedy Hohenzollern, składając hołd lenny królowi Zygmuntovi Staremu, zapewnił sobie pokój z Polską i dziedziczny tytuł księcia, a układ został ratyfikowany przez stany pruskie i biskupów, jego oponenti w Zakonie nie mieli już szans na zatrzymanie zmian. Albrecht celowo dopuścił do wakatów na wszystkich wielkich urządach krzyżackich i stopniowo ograniczył liczbę braci – rycerzy pruskich do pięćdziesięciu pięciu, a dla zatwierdzenia swej decyzji wezwał do Królewca (maj 1525) tylko mniejszość z nich. Delegaci byli wystraszeni wrogością mieszczan i ulegli naciskom stronnictwa wielkiego mistrza. Tylko siedmiu trwało niezłomnie przy swoich ślubach, lecz po kilku dniach wahania i oni się pogodzi-

li z losem, a opuszczając zamek, wycięli czarne krzyże z płaszczy w obawie przed linczem.

Zakon Krzyżacki w Prusach przestał istnieć nie z powodu duchowej degrengolady braci–rycerzy ani wskutek upadku idei krucjat. Reformy przeprowadzone później w baliwatach niemieckich pod przewodnictwem wielkiego mistrza Waltera von Cronberga i udział Krzyżaków w wyprawach Habsburgów przeciwko Turkom i protestantom wskazują, że zbrojni mnisi wciąż mieli swoje miejsce w europejskiej polityce jeszcze długo po sekularyzacji Prus, a przetrwanie Zakonu w Inflantach aż do 1562 roku dowodzi, że również w bałtyckich konwentach życie bynajmniej nie zamarło. Pruski system legł w gruzach, dlatego że tamtejsi bracia nie zdołali dojść do zadowalającego porozumienia z królestwem polskim. Pokładając zaufanie w książętach Rzeszy, Krzyżacy stracili zdolność utrzymania zakonnych więzi, które nie były już niezbędnym fundamentem obrony kraju, za to stały się źródłem problemów w czasach religijnego fermentu lat dwudziestych XVI wieku. „Z nami, panami pruskimi, stało się to, co z żabami, gdy królem bociana obrały”, napisał brat Filip von Kreutz (komtur Insterburga) w *Relacji* z całego, jak to nazwał, brudnego interesu: „Kiedy wszystkie stany hołd złożyły, ujrzałem, że nie ma już sposobu na odwrócenie tego brudnego interesu i sam się do nich przyłączyłem, aby swój majątek zachować, dysponowałem bowiem dużą sumą pieniędzy, większą niż którykolwiek z komturów”. Interesujące, że w dyskusji towarzyszącej rozwiązaniu pruskich konwentów

niewiele miejsca poświęcano kwestii moralnego fundamentu koncepcji krucjat: zarówno Krzyżacy, jak i ich adwersarze woleli spierać się o słuszność idei zakonów.

Jednym z pruskich braci, który opowiedział się przeciwko nowemu księciu, był komtur Memla, Eryk von Braunschweig–Wolfenbüttel, członek niemieckiego rodu książęcego. Pozostałe domy zaakceptowały przemianę. Większość Krzyżaków z Rzeszy pozostała głucha na Lutra *Napomnienie panom Zakonu Krzyżackiego* (marzec 1523), ale wiele ich posiadłości uległo zniszczeniu podczas wojny chłopskiej, a później zostały one skonfiskowane przez protestanckich książąt. W 1527 roku mistrz krajowy von Cronberg został wielkim mistrzem i Zakon rozpoczął nową kartę w swych dziejach jako sojusznik Habsburgów w wojnach religijnych XVI i XVII wieku.

Inflanty i Rusowie (1400–1562)

W Inflantach Krzyżacy trzymali się w XV wieku lepiej niż w Prusach. Kraj nieźle prosperował: mieszczanom z Rewia i Dorpatu udało się przejąć sporą część handlu z Nowogrodem kosztem innych miast Hanzy; Ryga czerpała korzyści z trwającej dobrej passy litewskiej gospodarki, a mnisi i ich świeccy wasale bogacili się na eksporcie żyta. Prowincja rządziła się według monarchii stanowej; zgromadzenia stanów wiodły dysputy z mistrzem i biskupami znacznie dłużej, niż to się działo w Prusach, ale Zakon zdobywał coraz większe uprawnienia. Dawny trójstronny spór między mistrzem, mieszkańcami i arcybiskupem - rozwiązany na

dobrze, jak się mogło wydawać, w 1394 roku, kiedy Bonifacy IX nakazał włączenie do prawa miejskiego obyczaju i reguły Zakonu, w rzeczywistości odradzał się co pokolenie aż do końca XV wieku, ale te kolejne wyzwania rzucone przez zdecydowanych hierarchów przyczyniały się tylko do umocnienia dominującej pozycji mistrza.

Krzyżacy kilkakrotnie czuli się zobligowani do pójścia w sukurs swym pruskim braciom. W 1410 roku Konrad von Vietinghoff pociągnął na południe, by wspomóc wielkiego mistrza po klęsce grunwaldzkiej; Cisse von Ruttenberg i Franke von Kerskorff wypuszczali się na długie rejzy w głąb Litwy w latach 1433 i 1435, a Jan Osthof von Mengede czynił wielkie wysiłki dla wsparcia zwierzchnika Zakonu w wojnie trzydziestoletniej. Obie prowincje coraz bardziej jednak się od siebie oddalały. Braci inflanckich werbowano na ziemiach dolnoniemieckich, którymi wzgardził Malbork i Królewiec (w Westfalii, Nadrenii i Niderlandach), nic więc dziwnego, że ich światopogląd polityczny różnił się od pruskiego. Granica z Litwą nie podlegała dyspucie, a król polski nie rościł sobie żadnych praw do ich ziem. Wojny prowadzone przez wielkiego mistrza z tymi potęgami nie przynosiły Inflantczykom najmniejszych korzyści. Kiedy w 1433 roku von Russdorf narzucił im Frankego von Kerskorffa jako mistrza krajowego, on zaś dwa lata później poprowadził ich na katastrofalną kampanię przeciwko siłom polsko-litewskim zakończoną pogromem pod Wilkierzem, zdecydowali się wziąć przyszłe elekcje we

własne ręce: odrzucili regułę nominowania przez wielkiego mistrza jednego z dwóch wybranych kandydatów, pozostawiając mu tylko prawo do przyjmowania hołdu od zatwierdzonego lokalnie elekta, który nieodmiennie był z pochodzenia Westfalczykiem.

Nie należy jednak domniemywać, że normy moralne i sposób życia braci inflanckich były bardziej ascetyczne niż u ich towarzyszy znad Wisły i Pregoi. Interesy, przyjemności, polityka i rywalizacja o stanowiska zajmowały ich równie mocno, a przez zaniedbanie obowiązku kronikarskiego - od czasów Bartłomieja Hoenekego nie powstał w Inflantach ani jeden zapis, nawet kronika rymowana - sami skazali się na odejście w niepamięć. Dziś wszystko, co wiemy o ich poczynaniach, trzeba było odsiać z korespondencji w archiwach Zakonu i Hanzy oraz ze źródeł polskich, ruskich i skandynawskich. Trzeba jednak przyznać, że choć nie grzeszyli wykształceniem, to przynajmniej nie dali sobie zbyt w kaszę dmuchać.

W XIV wieku Inflantczycy mniej chętnie od Szwedów porywali się na utarczki z Rusami, zbyt bowiem sobie cenili stosunki handlowe z Nowogrodem i Pskowem, aby je na dłużej zakłócać. Napięcia na granicy od czasu do czasu eksplodowały najazdami i odwetami, jak w latach 1341–1342 i 1377, ale na ogół kwestie sporne załatwiano na drodze rokowań i traktatów. I tak w 1362 roku rada miejska Pskowa aresztowała hanzeatyckich i inflanckich kupców w proteście przeciwko ekscesom poddanych biskupa Dorpatu. Rok później Dorpatczycy i Pskowianie spotkali się w No-

wogrodzie, podebatowali i rozstali się, nie dochodząc do porozumienia. Krótco potem w Dorpacie zatrzymano kupców nowogrodzkich, lecz wtedy udała się tam delegacja bojarów, doprowadziła do ugody Inflantczyków z Pskowem i wszystkich więźniów wypuszczono. Ta historia może posłużyć za przykład długoletniej biernej postawy w kwestiach związanych z Rusią: obie strony bacznie i nieufnie się obserwowały, czasem dochodziło do utarczek nad Narwą, Ługą i Wieliką, ale nie było poważnych prób podboju. To z tego gruntu wyrosła niechęć Inflant do wspierania krucjat króla Magnusa II w połowie stulecia; Szwedzi, Duńczycy i Rusowie wysuwali roszczenia do tamtejszych ziem, Zakon więc wolał trzymać ich wszystkich na dystans, a poza tym o wiele poważniejsze zagrożenie przedstawiali dla nich Litwini niż Nowogrodzianie czy Pskowianie.

W XV wieku przejście Litwy na chrześcijaństwo dało Inflantczykom sposobność do wznowienia prób podporządkowania Rusów, mieli teraz bowiem potężnego sojusznika w tych zamierzeniach. Przed 1409 rokiem, kiedy Witold zaczął współdziałać z Zakonem i najeżdżać księstwa ruskie, mistrz Konrad von Vietinghoff ponownie obrócił uwagę na Psków - małą, ale zamożną społeczność, nie związaną już ściśle z Nowogrodem, leżącą daleko od Moskwy i bezbroną wobec połączonego ataku krzyżacko – litewskiego. Idąc za przykładem wielkiego księcia, von Vietinghoff trzykrotnie zapuszczał się na terytorium Pskowa (1406, 1407 i 1408); podczas drugiej rejsy rozgromił nieprzy-

jaciela w walnej bitwie, ale za każdym razem czekał go skuteczny odwet, a gdy w 1409 roku Witold przestał pomagać Zakonowi, Inflantczycy i Pskowianie zawarli pokój.

Kolejna wojna wybuchła w roku 1443 i trwała pięć lat. Nowogród był rozdarty wówczas na faksje proli-tewską i promoskiewską i groziło mu podporządkowanie przez któreś z dwóch mocarstw. Mistrz Vinke von Overberg przedsięwziął co najmniej dwie ambitne rejsy ku najbardziej na zachód wysuniętej twierdzy ruskiej, Jamburgowi nad Ługą. W 1444 roku nie udało mu się jej zdobyć mimo wykorzystania artylerii, spustoszył jednak Ingrię aż po Newę i nałożył embargo na handel wzdłuż granicy.

Z tych zapędów nic ostatecznie nie wyszło; zakończyły się podpisaniem pokoju, który miał trwać pięćdziesiąt lat. Związki z Prusami nie pozwoliły Inflantczykom dojść do trwałego porozumienia z Litwą i zmuszały mistrzów krajowych do trwonienia sił i środków na wspieranie wielkiego mistrza w wojnie trzynastoletniej, niemniej prowincja dobrze prosperowała, a jej potencjał militarny się zwiększał; wciąż więc możliwe było doprowadzenie do końca nieudanej krucjaty z 1242 roku. Rusowie mieli więcej ludzi i armat, ale mogli przerzucać armię tylko drogami lub rzekami, podczas gdy hanzeatyckie statki zapewniały szybszy i tańszy transport morzem z Lubeki do Inflant i Estonii. Około 1430 roku czterech lubeckich kapitanów dostarczyło do Rewia trzydzieści dwie bombardy, zapas prochu i dwieście trzydzieści pięć kul kamiennych; na nabytym

od gdańszczanina statku kupiec rewelski przywiózł sześć kolejnych bombard, a według relacji gości trzech małych inflanckich konwentów (1442) w każdym z nich znajdowało się ich od sześciu do ośmiu.

Co więcej, do Inflant przybywali jeszcze nieliczni krzyżowcy. Trzynastu takich ochotników dostało się do polskiej niewoli pod Wiłkomierzem (w tym sześciu bliskich krewnych mistrza, marszałka lub któregoś z komturów). W 1439 roku „gościnnie” służył graf von Gleichen z Turyngii. Obecność takich „błędnych rycerzy” z pewnością nie liczyła się zbytnio z wojskowego punktu widzenia, była jednak częścią i wyrazem szerszych powiązań z mieszkańcami Dolnej Nadrenii i Westfalii, w których opinii inflanccy Krzyżacy wykonywali dobrą robotę na rzecz ochrony szlaków handlowych do Nowogrodu. Powodem wybuchu wojny z lat 1443–1448 była zbrodnia popełniona na tłumaczu wynajętym przez możnowładcę Gerarda, wuja księcia Kliwii, prowadzącego wówczas negocjacje między wielkim mistrzem a mistrzem inflanckim. Jacyś Rusowie ścięli i poćwiartowali nieszczęśnika, junkier domagał się odszkodowania od Nowogrodu, a pięć lat później mistrz von Overberg wypowiedział księstwu wojnę. Dopóki wzdłuż północno–wschodniego szlaku kupieckiego utrzymywało się zagrożenie napadami pirackimi, rabunkiem na drogach i bezprawnymi aresztowaniami, Krzyżacy mogli liczyć na poparcie Niemców w każdej podejmowanej wyprawie przeciwko Rusi.

Zbliżenie między Kościołami zachodnim i wschodnim, do jakiego doszło w latach trzydziestych

i czterdziestych XV wieku, w niczym się nie przyczyniło do poprawy stosunków między Inflantczykami i Rusami. Wśród prawosławnych duchownych, którzy w 1439 roku podpisali akt unii florenckiej, był metropolita moskiewski Izydor; wróciwszy z soboru, nie spotkał się on z dobrym przyjęciem rodaków („Zaczął wspominać papieża rzymskiego w swych kazaniach i mówić o rzeczach, jakich nie słyszeliśmy od dnia chrztu Rusi”, wyrzekał nowogrodzki kronikarz), a w końcu musiał uciekać z powrotem do Rzymu. Jego protektor Eugeniusz IV napisał do wielkiego mistrza von Erlichshausena, że skoro Zakon „nie ma już kłopotów z niewiernymi”, pieniądze zebrane na cele pojednania z Kościołem prawosławnym powinny być spożytkowane dla ujarznienia bądź wyeliminowania arcybiskupa ryskiego i innych, którzy popierają ideę zwierzchnictwa soborów nad papiestwem. „Zniszcz ich albo oni zniszczą ciebie”, brzmiało przesłanie głowy Kościoła.

Wojna zakończyła się rozejmem, a linią demarkacyjną została Narwa i jezioro Pejpus; na ich zachodnich brzegach stanęły załogi Zakonu i biskupa Dorpatu, na wschodnich pskowskie. Granicy strzegły warownie: nad górną Narwą krzyżacka i ruska o tej samej nazwie Nienśłot (niektóre źródła rosyjskie podają niemiecką nazwę Neuschloss, nowy zamek); na południe od jeziora obsadzone przez ludzi biskupa Neuhausen i Izborsk; nad Wielką arcybiskupia twierdza Marienhausen i pskowskie grody Wyszogródek i Ostrów. To, że straż na granicy Pskowa objęły trzy niezależne i często pozostające w niezgodzie władze, dawało Rusom pewną

przewagę: mogli na przykład atakować Dorpat, niekoniecznie przy tym narażając się Krzyżakom inflanckim. W 1458 roku zaangażowanie von Mengedena w wojnę w Prusach zachęciło Pskowian do nękania Inflant; w 1463 roku obiegli i zdobyli Neuhausen. Mistrz natchmiast wysłał emisariusza do Italii, aby ostrzec papieża, że prowincja znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie, ale sytuacja w Prusach była wtedy jeszcze gorsza; utraconych zdobyczy biskupa Dorpatu nie można było odzyskać, dopóki mistrz oszczędzał siły Zakonu dla ratowania pruskich braci przed Polakami.

Za tą śmiałością niewielkiego pogranicznego państewka kryła się rosnąca potęga Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, dla którego Psków był użyteczny jako przeciwwaga dla Litwy i Nowogrodu. Oficjalne przymierze zostało zawarte krótko po zdobyciu Neuhausen i moskiewskie wojsko wkroczyło, by zabezpieczyć przyległe do zamku terytorium. Do tej pory wielcy książęta moskiewscy interweniowali w tym regionie tylko na prośbę Nowogrodzian i w chwilach wielkiego zagrożenia, jak podczas krucjaty szwedzkiej w 1348 roku. Na ogół mieli zbyt wiele ambarasu ze swymi mongolskimi zwierzchnikami, by się wdawać w agresywną politykę wobec zachodnich sąsiadów, a odległości i topografia terenu ograniczały i spowalniały ich wojenne ekspedycje: z Moskwy do Nowogrodu było ponad pięćset sześćdziesiąt kilometrów, a dalsze dwieście do Pskowa, więc armia inwazyjna mogła liczyć tylko na krótki sezon działań.

Sytuacja się zmieniła, kiedy wielki książę Iwan III Srogi, uwolniwszy się spod supremacji Wielkiej Ordy, zaczął „scalać ziemie przodków” - czyli po prostu podporządkowywać zwierzchnictwu Moskwy wszystkie księstwa ruskie. Jego przodkowie byli wzywani na ratunek Nowogrodowi zagrożonemu przez Szwedów (w latach dwudziestych XIV wieku i w 1348 roku), ale republika za każdym razem zdołała zachować niezależność. W 1471 roku Iwan III był już gotowy zakończyć ten chwiejny układ i za pomocą gigantycznej moskiewskiej maszyny wojennej wcielić tę oligarchię bojarów do swego autokratycznie rządzonego dominium. Jego cel nadrzędny, to jest wyrwanie dawnych ziem ruskich z rąk Wielkiego Księstwa Litewskiego, wymagał wykorzenienia prolitewskiej faksji w łonie tejże oligarchii; tego roku najechał Nowogród, przełamał obronę i zmusił bojarów do złożenia mu hołdu i wydania wszystkich, którzy jawnie sprzyjali „łacińskiemu królowi” Polski i Litwy. W ciągu następnych osiemnastu lat Iwan stopniowo upokorzył dumną i bogatą republikę nowogrodzką, czyniąc z niej odartego z morale wasala bez zgromadzenia stanowego i własnej polityki. Psokowianie ochoczo z nim współpracowali, mógł więc teraz obrócić całą moc zjednoczonej pod jego władzą północno-zachodniej Rusi przeciwko Litwie. Krzyżacy z Inflant nagle znaleźli się oko w oko z prawosławnym imperium, zdolnym walczyć z nimi nie gorzej niż król polski z Prusami. Co więcej, Moskale tak jak Inflantczycy interpretowali swą ekspansję w kategoriach kru-

cjaty mającej ratować Rusów z północy i zachodu przed heretyckim obrządkiem łacińskim.

Niebezpieczeństwo ze wschodu zostało rozpoznane już w 1471 roku. Mistrz Jan Wolthus von Herse ostrzegł wtedy wielkiego mistrza, że jeśli Nowogród i Psków połączą siły z Moskwą, „będziemy musieli przyjąć pokój na ich warunkach i oddać im wszystko, czego zażądatają, albo ruszyć na wojnę z nimi wszystkimi”.

Wolthus planował antyruski sojusz z Litwą, ale został odsunięty od władzy, zanim zdążył rozpocząć wojnę. Jego następca Bernard von der Borch zareagował na drugi nowogrodzki hołd wobec Iwana z 1478 roku próbą samodzielnego przejęcia kontroli nad Pskowem. 1 stycznia 1480 roku powiódł całą inflancką armię nad Wielikę i zaatakował miasto, musiał się jednak wycofać, nie osiągnąwszy niczego poza złupieniem Wyszogródka. 20 stycznia raz jeszcze dotarł pod pskowskie mury i pustoszył okolicę, podczas gdy drugi oddział zaatakował leżący na wschodnim brzegu jeziora Pejpus gród Gdow. Obrońcy zwrócili się do Iwana o pomoc i w lutym moskiewska armia dowodzona przez księcia Andrzeja Oboleńskiego dokonała odwetowego najazdu na biskupstwo dorpackie i komturę w Fellinie. Zaraz potem wróciła jednak do domu, była bowiem potrzebna gdzie indziej. Mistrz inflancki odpowiedział rejzą na Izborsk, Psków i dalej na drugą stronę jeziora, gdzie podobno wyciął trzy tysiące Rusów w bitwie pod Kobilje.

Pskowa ani Izborska nie udało się jednak Krzyżakom zdobyć, a po wstrzeźliwej postawie Iwana III Srogiego, który nie zamierzał dać się wciągnąć w długą wojnę, można się domyślać, że od początku nie mieli na to zbyt dużych szans. Von der Borch również został usunięty ze stanowiska przez komturów, gdy wszedł w spór nie tylko z arcybiskupem ryskim, ale i z własnymi rycerzami, a na dodatek został obłożony przez papieża Sykstusa IV ekskomuniką. Wybrany na jego miejsce Jan Freitag von Loringhoven (1483–1494) był zbyt zaangażowany w problemy Rygi, by podejmować działania przeciwko Rusi; zdołał jednak zadać tak zdecydowany cios niepokornym mieszczanom, że pod koniec jego kadencji Inflanty były znacznie bardziej zdyscyplinowaną społecznością niż kiedykolwiek przedtem. W tym samym czasie Iwan Srogi postanowił trwale zaznaczyć moskiewską obecność na inflanckiej granicy i na wprost Narwy, na wschodnim brzegu rzeki zbudował wielką twierdzę Iwangorod. Inflantczycy od niedawna znów byli gotowi do wojny dzięki porozumieniu w Wolmarze z 1491 roku między biskupami, mieszczanami i Zakonem; ukończona rok później nowa warownia moskiewska zwiększała prawdopodobieństwo jej wybuchu, choć bezpośrednim skutkiem inwestycji Iwana było odnowienie traktatu pokojowego.

Nowy mistrz krajowy, Wolter von Plettenberg, był typowym wytworem inflanckiego systemu. Pochodził z rodziny rycerskiej zamieszkałej nieopodal Soest w Westfalii, ojczyźnie wielu rycerzy i kupców przybywających nad wschodni Bałtyk od XII wieku. Miał bli-

skich krewnych osiadłych w Inflantach, a także w samym Zakonie. Do krzyżackiego fortu w Narwie trafił w wieku dziesięciu lat; przeszedł typową ścieżkę kariery zakonnej, zanim dochrapał się funkcji marszałka. Po udanej pacyfikacji ryskich mieszczan został wybrany na mistrza; miał wówczas czterdzieści cztery lata i był człowiekiem cichym, ale bystrym, porządnym i doświadczonym. Przez pierwsze siedem lat jego kadencji nad Inflantami wisiała groźba rychłego najazdu ruskiego: obie strony miały na sumieniu akty przemocy, które mogły w każdej chwili stać się pretekstem do wojny.

Wielki książę zamknął przedstawicieli Hanzy w Nowogrodzie i uwięził przebywających tam kupców niemieckich - dla Inflantczyków nie była to zła nowina, gdyż dzięki temu ich kraj miał się stać głównym ośrodkiem północno-wschodniego handlu, ale wśród aresztowanych byli ich krajanie. Mieszczanie z Rewia wyrazili swoje odczucia w tej kwestii, skazując na śmierć dwóch Rusów: jednego za rozprowadzanie fałszywych monet, drugiego za stosunki homoseksualne. Mistrz uprosił cesarza o zaapelowanie do książąt Rzeszy, by udzielili Inflantom pomocy, co zaowocowało przybyciem garstki ochotników. W 1496 roku Iwan Srogi wdał się w wojnę z regentem Szwecji Stenem Sturem; kiedy szwedzka armada z Wyborga zaatakowała i zdobyła Iwangorod, Estończycy przyłączyli się do plądrowania fortecy a po odpłynięciu okrętów przekazali ją Zakonowi. Wkrótce potem Rusini zabrali się do budowy mostu nad Narwą i wzdłuż granicy zaiskrzyło się od potyczek. Von Plettenberg stanął w obliczu wojny z po-

tęgą zdolną wystawić do boju dwudziestotysięczną armię; łączna liczebność inflanckiego pospolitego ruszenia nie przekraczała wtedy dziesięciu tysięcy żołnierzy. Nie miał wyjścia - trzeba było szukać sojuszników.

Zaczął od kontaktu z królem Danii i Norwegii (a chwilowo i Szwecji) Janem; ten gotów był przyjść mistrzowi w sukurs, ale zażądał za to Estonii. Wprawdzie jego ojciec, Chrystian I, od 1456 roku zaczął używać tytułu księcia estońskiego, ale domagać się rzeczywistego zwrotu prowincji to już było za wiele, von Plettenberg udał się więc do wielkiego księcia litewskiego Aleksandra Jagiellończyka, brata króla polskiego i wroga numer jeden Iwana. Wizyta w Wilnie przyniosła sukces: 21 czerwca 1501 roku podpisany został zaczepny sojusz zwany traktatem z Wenden. Stany inflanckie zgodziły się sfinansować zaciąg najemników i wkrótce z Lubeki przyplłynęło dwa tysiące rycerzy i knechtów. Mistrz grał *va banque*; planował przeciwstawić korpus ciężkozbrojnych wsparty przez pospolite ruszenie nieznaną, acz przeważającą siłę nieprzyjaciela. Ta stara formuła nie zawsze się sprawdzała w przeszłości, a teraz miała przejść ogniową próbę. Sen o wspólnej „łacińskiej” inwazji na Ruś mógł się wreszcie ziścić - pod warunkiem że możliwe będzie zgodne współdziałanie wojsk inflanckich i litewskich.

Tak się jednak nie stało. Aleksandra zatrzymała nagła śmierć brata i konieczność zabezpieczenia tronu polskiego dla siebie. Von Plettenberg pomaszerował do Izborska, dzięki artylerii polowej wygrał bitwę nad Sericą, po czym na próżno czekał w umówionym miejscu

- pod grodem Ostrów nad Wielką - na litewskich sprzymierzeńców. Nie doczekawszy się, 7 września zniszczył miasto i zawrócił do domu. Jego niedoszły podbój zamienił się w bój o przetrwanie; moskiewska armia szła na Inflanty i mistrz musiał stawić jej czoło osamotniony, mając do dyspozycji tylko siły krzyżackie (około czterystu trzydziestu ludzi) i zmniejszony oddział zaciężnych. Rusowie zjawili się w listopadzie; przez sześć tygodni kraj był pustoszony przez trzy odrębne armie, a von Plettenberg nie mógł temu przeciwdziałać. Na zwołanym przezeń w styczniu Landtagu w Wolmarze nie stawili się trzej biskupi i wasale z Estonii. Kraj był rozdarty, zrujnowany i zdemoralizowany; wkrótce spadł nań kolejny najazd moskiewski, tym razem z udziałem siedmiotysięcznej ordy tatarskiej i... tysiąca sześciuset psów do tropienia zbiegów. Kiedy mistrz wysłał na dwór litewski apel o pomoc, sojusznik w odpowiedzi zalecił mu tylko, by się trzymał i walczył dalej.

To, że von Plettenberg tak właśnie zrobił, przez stulecia było powodem do dumy i samozadowolenia niemieckiej społeczności nad Bałtykiem, a on sam stał się bohaterem narodowym. Z całą pewnością był doskonałym wodzem; można się jednak zastanowić, czy jego agresywna polityka wobec Moskwy nie była po prostu katastrofalnym błędem. Sojusz z Litwą mógł oczywiście być źródłem siły, ale zawsze w takich sytuacjach istnieje ryzyko, że sprzymierzeniec zawiedzie - to zaś dla Inflant oznaczało zagładę, a w najlepszym razie konieczność złożenia hołdu zwycięzcy. Z drugiej

strony w 1500 roku wojna z Iwanem III wydawała się nieunikniona, a żadna strategia, ofensywna lub defensywna, nie rokowała sukcesu. Von Plettenberg uchwycił się jedynej szansy działania czegokolwiek. Teoretycznie mógł się podporządkować Moskwie; w praktyce jednak nie było to możliwe z uwagi na historię, wykszolenie i postawę inflanckich braci: mieli zbyt wiele do stracenia, a długa tradycja walki ze schizmatykami nie pozwalała ugiąć się przed jednym z nich. Mistrz nie miał wyboru, decydując się na walkę do końca. Na szczęście dzięki najemnikom, bombardom i rusznicom miał nad wrogiem podobną przewagę technologiczną, jaka nieraz w przeszłości przynosiła zwycięstwa nad liczniejszym przeciwnikiem.

W sierpniu 1502 roku przerażone stany uznały konieczność mobilizacji kraju do jeszcze jednej kampanii. Przez trzy dni po święcie Narodzenia Matki Boskiej (8 sierpnia) Inflanty pościły i zanosły modły, a potem von Plettenberg pociągnął na Psków z całymi siłami Zakonu, liczącymi około trzech i pół tysiąca żołnierzy pieszych i konnych korpusem zaciężnym, artylerią i popolitym ruszeniem. W wigilię przypomnienia Podwyższenia Krzyża Świętego (14 września) nad jeziorem Smolina doszło do walnej bitwy, z której obie armie wyszły mocno pokiereszowane, ale Inflantczycy dopięli swego: w tym i następnym roku najazdów moskiewskich już więcej nie było. Szerzyła się pogłoska, że mistrz miał widzenie Maryi, której przyrzekł odbycie pielgrzymki do Jerozolimy, jeżeli ześle mu zwycięstwo. Historia dziwnie staroświecka w tych okolicznościach,

chodziło jednak o wrażenie, że oto odtwarza się przeszłość Inflant.

Rusowie najeżdżali wcześniej Litwę, ale do ich odparcia wystarczały niewielkie siły i warowne miejsciny. Perspektywa, że Inflantczycy podbiją wschodnich schizmatyków lub im ulegną, budziła niepokój w Rzymie, Rzeszy Niemieckiej i Skandynawii; ta poświęcona Maryi prowincja miała wtedy niemałe znaczenie jako przedmurze chrześcijaństwa. W 1502 roku antagonizm dotąd tłący się wzdłuż inflancko – ruskiej granicy rozpałił się w wojnę między daleko większymi potęgami: Moskwą, Polską i Litwą, z których żadna nie troszczyła się o przyszłość Inflant - chyba że w roli potencjalnego lenna. Z punktu widzenia papieża zagrożenie nadbałtyckiej prowincji było o wiele mniej ważne od osmańskiego naporu na Europę. W latach 1495–1503 rzymski przedstawiciel Zakonu Krzyżackiego nieustannie błagał o bullę krzyżową na rzecz von Plettenberga, ale bez skutku: Aleksandrowi VI zbyt zależało na wciągnięciu Rusi do sojuszy przeciwko Turkom. Ostatnia poważna petycja o krucjatę - w formie traktatu *Eyme schonne hysthorie* - odbiła się od papieskich uszu jak groch o ścianę. W 1503 roku Iwan III zawarł w Pskowie pokój z von Plettenbergiem i Inflanty zyskały pięćdziesiąt lat spokoju, zanim znów zaczęły się najazdy, a prowincja stała się stołem gry dla daleko silniejszych graczy, z których każdy mógł wystawić więcej wojska i dział, niż liczyli jej mieszkańcy. Lokalną wojnę między bałtyckimi kolonizatorami, postrzeganą jako konfrontację między rzymską i grecką wiarą, zastąpiły mocarstwowe

zmagania Moskwy, Polski i Szwecji, w których średniowieczna koncepcja świętej wojny miała jakiegokolwiek znaczenie już tylko dla Rusów.

Bracia inflanccy, którzy tę koncepcję uosabiali, trzymali się swej roli katolickiej organizacji obsadzającej twierdze częściowo już luterańskiej kolonii tak długo, jak na to im pozwalali silniejsi sąsiedzi. Rozpoczęta w 1557 roku seria najazdów unicestwiła ich mikroskopijną armię i przestarzałe zamki i kiedy ostatni mistrz Gotard Kettler zrzucił habit i stał się świeckim księciem (5 marca 1562 roku), kraj został podzielony pomiędzy Moskwę, Polskę, Szwecję i Danię. Po sekularyzacji Prus szlachta inflancka nalegała na von Plettenberga, by uczynił to samo; on jednak odmówił, twierdził bowiem, że prowincja jest za słaba i wewnętrznie rozdarta, żeby powstrzymać Moskwę bez wsparcia Zakonu. Kiedy się okazało, że miał rację, katolicycy apologetyci załamywali ręce i wskazywali na upadek moralny Krzyżaków. „Dopóki rycerze Zakonu w Inflantach podtrzymywali katolicką wiarę (...) dziesięć tysięcy mogło zmusić do rejterady czworokroć liczniejszych Moskwićcinów: odkąd jednak ów pobożny Zakon zaniechał dawnej religii, zwycięstwo przeszło na stronę naszych adwersarzów”, pisał Fryderyk Staphylus w wydanej w Kolonii w 1562 roku *Apologia* (przełożonej na angielski przez Tomasza Stapletona), ku przestrodze przed demoralizującym wpływem „nowej ewangelii Lutera”.

O losie swoich rodaków, męczenników w Inflantach, niemiecka opinia publiczna dowiedziała się

z opublikowanego w Norymberdze afisza. Barwny drzeworyt pokazywał odzianych w futra Rusinów strzelających z łuków do trzech nagich kobiet wiszących na konarze drzewa, na którym zatknięto serca wydarte z ich dzieci leżących bez życia w trawie. Wizerunek odwołuje się do dawnej retoryki wypraw krzyżowych, reakcje nań były jednak chłodne i wyrachowane. Urok świętej wojny i cała jej machina zostały skierowane ku innym sprawom, pilniejszym od obrony „dawnej opoki saskiego możnowładztwa”.

Podsumowanie

W niniejszej pracy krucjaty północne potraktowane zostały jako rezultat zmian światopoglądowych, jakie w XII wieku zaszły wśród ludów germańskich i skandynawskich. Ich władcy zaczęli widzieć swych wschodnich sąsiadów w nowym, religijnym świetle, w jakim inni Europejczycy postrzegali już muzułmanów z Palestyny czy Półwyspu Iberyjskiego. Ich wojny nabrały nowego znaczenia i prowadziły do bezprecedensowych rezultatów, które z kolei - złożony zbiór innowacji, z których wyrósł zlatynizowany świat wschodniego Bałtyku - dowodziły słuszności owego zmienionego światopoglądu i go rozwijały. Przez większość średniowiecza potężna instytucja katolickiej opinii publicznej widziała w bałtyckich prowincjach pogranicze chrześcijaństwa, strzeżone przez armie prawdziwej wiary przed wrogim zewnętrznym światem pogaństwa i odstępstwa.

To podejście absolutnie nie pomija faktu, że wojny przeciwko poganom z Północy wszczynano z tych samych pobudek, jak wszystkie inne wojny w historii. Atakujący pragnęli zdobywać szlaki handlowe, zagarniać ziemię, mnożyć swoje dochody i chwałę książąt i biskupów, zwalczać piractwo, zyskiwać dostęp do nowych zasobów naturalnych i udział we wszystkich możliwych łupach. Te motywy nigdy nie były nieobecne, nie wyjaśniają jednak, dlaczego w owej walce widziano krucjatę ani dlaczego niezbędne było puszczanie w ruch ogromnej maszyny religijnej propagandy, przy-

wilejów i odpustów. Jeżeli chodziło tylko o ryby, futra i воск albo o duńską, szwedzką czy niemiecką ekspansję, po cóż byłoby udawać, że to święty obowiązek chrześcijan? Co więcej, nie byłoby powodu, aby do przedsięwzięcia przyłączało się tylu ludzi z zewnątrz, od papieży po drobne rycerstwo francuskie, angielskie czy burgundzkie. Królowie i zakonnicy rycerze znad Bałtyku mogli materialnie zyskać więcej niż ci przybysze, ale i w ich wypadku motyw profitu nie jest przekonującym wyjaśnieniem. Do zysku oczywiście dążyli, ale wśród sposobów jego zdobywania wyprawy krzyżowe nie mogły zajmować poczesnego miejsca. Ryzyko niepowodzenia i koszty wojaczki były na to za wielkie, a zdobycze zbyt chude.

Stwierdzenie, że były to wojny prowadzone z fałszywych pobudek - czy jako sprawy materii w przeobrażeniu spraw ducha, czy po prostu nieścisle nazewnictwo - byłoby pójściem po linii najmniejszego oporu. Już sam taki osąd jest z gruntu fałszywy. Omija nieuniknione pytanie, dlaczego ludzie, którzy nigdy się nie wzbranieli przed agresją dla zysku, sławy, zemsty czy wręcz dla zabicia czasu, i to bez szukania pretekstu czy pozorów, woleli jednak głosić, że niektóre z ich wojen mają za cel pomnażanie boskiej chwały i zbawienie ludzkości. Odpowiedź może być tylko jedna: takie hasło na sztandarach było wówczas uważane za równie prawdziwe jak, dajmy na to, roszczenie Edwarda III do tronu francuskiego czy króla duńskiego do Estonii albo angielskich baronów do reprezentowania wszystkich mieszkańców królestwa: być może niezbyt logiczne, ale war-

te, by za nie walczyć albo wysupłać jakąś kwotę z sakiewki.

Nie miałyby większego sensu próbować rozróżniać między krucjatami podejmowanymi z czystych, duchowych motywów i tymi, które należy ocenić jako polityczne, wynaturzone lub niemoralne w pobudkach, realizacji czy skutkach (jak choćby między pierwszą i czwartą wyprawą krzyżową, żeby wybrać najbardziej popularny przykład). Takie krytyki pojawiały się przez całe średniowiecze i dotyczyły wszystkich bez wyjątku krucjat. Wynikały raczej z zasadniczej dwuznaczności samej idei niż z jej jakiegokolwiek wymiernej porażki. Nigdy nie udało się przekonać wszystkich katolików, że wojny krzyżowe są rzeczą słuszną; nie było to też nigdy potrzebne. Święta wojna, podobnie jak klasztory, była wyjściem dla niektórych, lecz nie dla każdego. Krucjaty były zarazem ruchem religijnym i (poczynając od około 1185 roku) przedsięwzięciem ujętym w ramy pewnych restrykcji prawnych: musiały być zadekretowane przez papieża, rozpropagowane przez Kościół, uszlachetnione przyznawaniem przywilejów i odpustów ochotnikom i usankcjonowane przez odwołania do interesów chrześcijaństwa. Inspiracją dla krucjat północnych bywały okresowe erupcje lokalnego entuzjazmu, wezwania płynące z Rzymu i wreszcie upoważnienie do prowadzenia ustawicznej świętej wojny, jakie otrzymał Zakon Krzyżacki. Wydaje się więc uzasadnione, że należy traktować trzy wieki rozmaitych konfliktów zbrojnych jak historię jednego, powtarzalnego zjawiska i poświęcić więcej czasu ideom i organizacji,

które dostarczyły motywu przewodniego, niż innym pobudkom i zainteresowaniom krzyżowców. Na więcej zresztą nie ma tu miejsca.

Z tego punktu widzenia krucjaty północne narodziły się w konsekwencji nawiązania w XII wieku bliższego kontaktu regionu bałtyckiego z cywilizacją zachodniego chrześcijaństwa. W tym okresie idea świętej wojny została przeszczepiona na sprawy lokalne, aby wyjść naprzeciw potrzebom tych, którzy chcieli podbijać lub chrystianizować pogańskie wybrzeża, a uczyli się na przykładzie wojny o Ziemię Świętą. Ludzie ci nie tworzyli jednej grupy i nie kierowali się identycznymi celami, ale walczyli o wspólną sprawę, którą definiowało, nadawało jej znaczenie i strukturę pojęcie świętej wojny. Po okresie eksperymentów z lat 1140–1200 zakorzeniło się tam wiele instytucji krzyżowych: niemieckie zakony rycerskie, państwa biskupie i zakonne, legaci papiescy, królowie – krzyżowcy i organizmy państwowe zakładane na podbitych ziemiach. Z XIII-wiecznej rywalizacji wyłoniły się dwie najsilniejsze: Zakon Krzyżacki i królestwo Szwecji. To im przede wszystkim od lat siedemdziesiątych XIII wieku papieżstwo powierzyło kontynuację świętej wojny. Żadnej z nich nie udało się obalić niekatolickich potęg, przeciwko którym je skierowano: Litwy i Nowogrodu z Pskowem. Obydwie jednak zachowały XIII-wieczne zdobycze mimo powtarzanych kontrataków i utrzymywały przy życiu ideę, na której fundamencie ich przedsięwzięcia były oparte.

Szwecja przestała odgrywać swą rolę w tym ruchu w latach sześćdziesiątych XIV wieku po wymarciu dynastii Folkungów i wejściu królestwa do unii skandynawskiej pod berłem królowej Małgorzaty. Przebieg granicy rusko–szwedzkiej pozostał źródłem konfliktów, a czasem wywoływał troskę samej kurii rzymskiej, ale więcej krucjat z tego powodu już nie organizowano. Kiedy w ostatniej dekadzie XV wieku wojna z Rusią rozgorzała na nowo, znów zaczął powiewać sztandar katolicyzmu, był to już jednak tylko pusty gest.

Krzyżakom z Prus wytrąciło ten sztandar z ręki przyjęcie chrztu przez Litwę i jej unia z Polską; w XV wieku coraz trudniej im było ożywiać tradycje krzyżowe w tym regionie, ponieważ Litwina jako głównego niechrześcijańskiego wroga wschodniej Europy zastąpił Turek. Tradycję tę adaptowano do obrony Prus przed katolickimi nieprzyjaciółmi i utrzymania status quo wewnątrz prowincji, nie dało się już jednak wabić nią zewnętrznych sojuszników niezbędnych do przetrwania.

W Inflantach Zakon i jego partnerzy dłużej prowadzili wojny i wojenki z ruskim prawosławiem, ale rozwój potęgi Moskwy i katastrofalna kampania z lat 1501–1502 uświadomiły wszystkim, że ceną za tę wierność idei krucjat będzie unicestwienie. I tam, i w Prusach wygnanie diabła siłą w XIII i XIV stuleciu zrodziło demony siedmiokroć groźniejsze.

Krucjaty północne zapoczątkowały fazę łączenia się ludów we wspólną chrześcijańską kulturę. Czy ich kres był symptomem rozpadu tej kultury? Nie. Bałtyk u

świtu XVI wieku wciąż był katolickim jeziorem, a nadbrzeżne państwa - w pełni zasymilowanymi członkami chrześcijańskiej rodziny jeszcze przez co najmniej dwa pokolenia po ustaniu ruchu krzyżowego. Święta wojna nie mogła już służyć interesom katolicyzmu w tej części kontynentu - i na tym właśnie polega różnica. Rozkwit Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, Polski i Litwy oraz potrójnej monarchii skandynawskiej był polityczną rewolucją, która oznaczała, że obrona i krzewienie wiary w północno-wschodniej Europie zależały li tylko od stosunków między tymi mocarstwami, a krzyżacka organizacja w Prusach i Inflantach była (oczywiście po 1466 roku) zbyt wątpa i osłabiona, aby być czymkolwiek więcej niż niepotrzebnym, acz tolerowanym dodatkiem.